

Zostać bogatą wdową...  
Żeby to tylko było takie proste.

# OLGA RUDNICKA

## Były sobie świnki trzy



Prószyński i S-ka



**OLGA**  
**RUDNICKA**  
**Były sobie świnki trzy**

*Prószyński i S-ka*





Sandra Tomaszewska miała dwadzieścia osiem lat i wszystko, co jest potrzebne, by odnieść sukces: wykształcenie, inteligencję, ambicję, charakter oraz urodę. Do tego cechowała ją bezwzględność, a także absolutny brak empatii, a jej umiejętność współczucia była w fazie embrionalnej. Wydawała się osobą całkowicie pozbawioną uczuć, które mogłyby stanowić przeszkodę w wykonywanej pracy. Nie żywiła ciepłych uczuć dla klientów, a oni tego nie oczekiwali. Na szczęście nie była adwokatem, co znacznie ułatwiało jej pracę. Obawiała się, że prowadząc sprawy karne, nie zdołałaby zachować tak chłodnej obojętności. Gdyby stanęła twarzą w twarz z ofiarą gwałtu, wówczas obrona gwałticiela mogłaby polegać na jego kastracji i solennej obietnicy, że więcej tego nie zrobi. Albowiem Sandra miała pewne poczucie sprawiedliwości, które jednak znacznie odbiegało od powszechnie przyjętego.

Skończyła aplikację radcowską, lecz nie została w macierzystej kancelarii. Uprzejmie podziękowała i poszła tam, gdzie dawali więcej. Wiele poświęciła, by trafić tu, gdzie się znalazła. Harowała jak wół, by osiągnąć najlepsze wyniki we wszystkim, czego się podjęła. Jej życiowe motto brzmiało: Cokolwiek robisz, zrób to dobrze.

I tego się trzymała przez pięć lat studiów oraz trzy lata aplikacji. A także ucząc się języków – angielskiego, niemieckiego, włoskiego. I zarabiając na to wszystko jako Sondra.

Sondra była jej alter ego – wysoka, atrakcyjna blondynka o niebieskich oczach – dzięki szkłom kontaktowym. Wysportowana i wystarczająco inteligentna, by wybierać klientów tylko z górnej półki, czyli tych, którzy mogli dobrze zapłacić za jej usługi.

Różnie ją nazywano. Dla jednych była dziwką, prostytutką, sprzedajną kurwą. Dla innych dziewczyną do towarzystwa, call girl. Ona sama nie używała żadnych określeń. Miała plan: studia, aplikacja, praca, która da jej kopa w górę, nigdy w dół. Rodzina też znajdowała się na tej liście, lecz raczej jako podpunkt niż cel sam w sobie. Ważne, by trafił jej się mężczyzna z odpowiednią pozycją. Nie wierzyła w miłość. Zbyt wielu żonatych facetów ją przeleciało przez ostatnie lata, by pozostała w niej choćby odrobina romantyzmu. A jeśli nawet była, to tylko po to, by Sondra mogła sprostać oczekiwaniom klientów, którzy mieli ochotę na randkę, nie tylko na pieprzenie.

Sondra zniknęła z jej życia rok temu, gdy mecenas Tomaszewska przenieśli się do Warszawy. Nadal była wysportowana i atrakcyjna – w końcu jak cię widzą, tak cię piszą. Szklka kontaktowe i blond peruka wylądowały w pudle na najniższej półce w szafie jako wspomnienie złych czasów, które już nie wrócą, i przestroga, by nie zapominać, skąd przyszła i dokąd zmierza.

Teraz była po prostu Sandrą Tomaszewską. Miała krótkie, ciemne włosy, nosiła okulary w rogowej oprawie, za którymi kryły się szare oczy ze złotymi cętkami. Wzrok miała doskonały, ale wiedziała, że okulary dodają jej powagi, a także zyskiwała dzięki nim osłonę, jakby nosiła na twarzy maskę, spoza której nikt nie widział jej samej, lecz to, co chce pokazać światu. Dyskretny makijaż raczej tuszował niedoskonałości urody, niż ją podkreślał. Do tego beżowy kostium ze spódnicą do kolan, czółenka na obcasie, skromna torebka i nieodłączna teczka z dokumentami. Oczywiście nadal była szczupłą i zgrabną, jako że nie zamierzała stać się jedną z tych zaniedbanych kobiet, które mają zbyt wiele zajęć i zbyt mało czasu dla siebie, a przynajmniej tak twierdzą. Bo na seriale zawsze znajdą z godzinę czy dwie, które mogłyby poświęcić na krótki bieg czy nałożenie maseczki na twarz.

Nie zależało jej, by być lubianą. Nie potrzebowała tego. Potrzebowała uznania dla swojej pracy i talentu. Nie chciała być subtelna i układna. Zamierzała być kurewsko dobra w swoim fachu.

Nie miała życia prywatnego. Nie miała przyjaciół, tylko kolegów z pracy. Utrzymywała kontakt jedynie

z tymi, którzy byli tego warci. Dla reszty świata była po prostu suką.

Niestety, przeszłość ma to do siebie, że lubi wracać wtedy, gdy najmniej się tego spodziewasz. Dla nowego szefa, mecenasa Tadeusza Markiewicza, była po prostu dziwką, bo jeszcze dwa lata temu płacił jej za seks.

Trzy przyjaciółki, w wieku gdy ceni się znaczenie tego słowa na „s”, kończącego się na „ks”, siedziały mniej lub bardziej wygodnie na przechylonych w tył fotelach w SPA. Na głowach miały białe turbany z ręczników frotté, otulone były miękkimi szlafrokami w tym samym kolorze, na twarzach, dłoniach i stopach położono im maseczki, każdą w innym kolorze. Siedziały w milczeniu, żeby maseczki nie popękały, z plasterkami czegoś chłodnego na powiekach, czegoś, co mogło być ogórkiem, awokado albo czymś zupełnie innym, co zamówiły w zestawie kosmetycznym, a czego nie widziały na oczy.

Pani mecenasowa Jolanta Markiewicz miała trzydzieści osiem lat i dwoje dzieci w nastoletnim wieku, które serdecznie nienawidziły matki za sam fakt jej istnienia, jak to zdarza się nastolatkom. Ojca nienawidziły jakoś mniej, pewnie dlatego, że ten nie miał czasu ingerować w ich życie, ubiór i oceny, zbyt zajęty sobą i sobą, i... sobą.

Jolanta, zwana przez przyjaciółki Jolką, miała rude włosy, zupełnie niepasujące do cery, czekoladowe oczy na ogół o wyrazie zbitego psa, przynajmniej dziesięć kilogramów nadwagi umiejscowionych głównie w udach, brzuchu oraz tyłku, do tego rozstępy na wymienionych częściach ciała i po halluksie na każdej stopie. Mimo że regularnie uczęszczała do kosmetyczki i fryzjerki, nie zamierzała zmieniać w sobie absolutnie niczego.

Jeszcze, nie daj Panie Boże, schudnie i mąż znowu zacznie ją ciągnąć do łóżka. A tak to sypia ze swoimi dziwkami, a ona ma święty spokój, i niczym jej nie zarazi, odpukać. Do tego cham myśli, że ona nic nie wie, i dla konieczności utrzymywania wizerunku troskliwego małżonka nie czepia się rachunków za wizyty w SPA, choć kiedyś wymknęło mu się półgębkiem, że rezultatów nie widzi. Mecenasowa Jolka, jak zwykła to czynić zawsze, gdy zmuszona była do milczenia przez przekłętą glinę czy co też tam miała na sobie, prowadziła rozległe rozważania dotyczące drastycznych zmian w swoim życiu. Problem polegał na tym, że każdy scenariusz kończył się tak samo. Obniżeniem stopy życiowej, co zdecydowanie jej się nie uśmiechało. Tylko że dotychczasowe życie też jej się nie podobało. Och, gdyby nie ta cholerna intercyza...

Kamelia Padecka, równie nieszczęśliwa małżonka Macieja Padeckiego, stołecznego komornika, miała lat trzydzieści sześć i zawzięcie walczyła o zachowanie urody, figury i statusu materialnego, który łatwo mogła utracić na rzecz młodszej kobiety. Padeckich nigdy nie łączyła wielka miłość, ale od pół roku początkowa namiętność wyraźnie osłabła, a nie da się ukryć, że była to jedyna przyczyna ich małżeństwa. Kamelia podejrzewała również, że mąż dogadza sobie gdzie indziej, ale jako osoba uzależniona od niego finansowo trzymała buzię na kłódkę. Za to trenowała ciało, jakby chciała startować w triathlonie, zmieniała fryzurę co dwa tygodnie, żeby się Maciejowi nie znudzić, i już zaczynał ją trafiać szlag.

Bo włosy już jej trafił, a częstotliwość współżycia i tak spadała w alarmującym tempie.

Toteż nic dziwnego, że rozmyślała usilnie, co tu począć ze swoim życiem. Wyszła za mąż zaraz po studiach, skończyła pedagogikę specjalną. Nigdy nie pracowała, doświadczenia nie miała żadnego. Perspektywy zawodowe nie uśmiechały się do niej promiennie, co najwyżej kącik ust krzywo unosił się w górę. W razie rozstania z mężem groziła jej praca w markecie. Pod warunkiem, że zrobi kurs obsługi kasy fiskalnej. A rozwód coraz wyraźniej ukazywał się na horyzoncie.

Dlatego też siedziała jak mysz pod miotłą, uśmiechała się czule do małżonka i udawała, że nie widzi resztek szminki na jego tyłku ani cudzych włosów na marynarce. Męża nie kochała nigdy, chociaż kiedyś go lubiła. Intercyzę podpisała bez wahania i to był błąd.

Martusia Skałka była równie nieszczęśliwa w małżeństwie, jak jej przyjaciółki. Zegar biologiczny tykał nieubłaganie, a mąż stanowczo, zdecydowanie i z pełnym przekonaniem odmawiał zostania ojcem. Dziesięć lat temu, gdy wychodziła za niego za mąż, ta deklaracja nawet ją uszczęśliwiła. Liczyła sobie wówczas dwadzieścia cztery lata i przerażała ją odpowiedzialność za nowego człowieka, bo miała z tym spory kłopot nawet w odniesieniu do siebie.

Stanowiło to swego rodzaju paradoks, bowiem Martusia chętnie angażowała się w przeróżne przedsięwzięcia. Była stałą wolontariuszką w domu dziecka, gdzie chętnie bawiła się z maluchami. Raz w tygodniu uczęszczała do domu pomocy społecznej, gdzie równie chętnie jak z dziećmi spędzała czas z osobami samotnymi, złąknionymi towarzystwa.

Tymczasem malutkiej, słodkiej blondyneczce – ten typ urody właśnie reprezentowała – po trzydziestce zaczął się marzyć własny potomek. Przebąkiwała więc coś nieśmiało od czasu do czasu, a już od roku, gdy skończyła trzydzieści trzy lata, wręcz tego maluszka zaczęła się od męża domagać.

Małżonek, Tobiasz Skałka, właściciel znanej firmy doradztwa podatkowego wyłącznie dla naprawdę dużych przedsiębiorców, nie ufając antykoncepcji stosowanej przez żonę, zaczął stanowczo odmawiać współżycia. Martusia obawiała się, że ten stan rzeczy może potrwać do końca jej klimakterium, które jeszcze jej nie groziło, zostanie więc dziewicą z odzysku. Co więcej, znając upodobanie męża do blondynek, obawiała się, że może nie być jedyną jasnowłosą w jego życiu. I jako już niekochana i nieużywana, tak ogólnie rzecz ujmując, stanie się całkowicie zbędna. Tobiasz empatią nie grzeszył, przeczuwała więc, że jej małżeństwo zmierza do nieubłaganego końca. Problem w tym, że zrobiła dokładnie to samo, co jej przyjaciółki. Złożyła podpis na owym cholernym dokumencie.

Strach, że przeszłość powróci, był jak samospełniająca się przepowiednia. Ten strach tkwił głęboko w podświadomości Sandry, ale często, częściej niżby tego sobie życzyła, wypływał na wierzch. Wiedziała, że pewnego dnia to się stanie. Ktoś ją rozpozna. Nie przewidziała tylko, że dojdzie do tego tak szybko.

Wiedziała, że jej twarz nie wyraża zupełnie niczego. Był to pozbawiona wyrazu maska, ukazująca profesjonalną uprzejmość. Uśmiech, który pojawił się na ustach Markiewicza, mówił jednak wszystko. Szef ją rozpoznał. Świadczył o tym ironiczny błysk w jego oczach, pełen satysfakcji i złośliwości, a także wyrachowana mina. Nie powiedział wówczas nic, ale Sandra wiedziała, że oto spełnił się jej najgorszy sen. Stanęła oko w oko z byłym klientem, a ten ją pamiętał. Wiedziała, jak to jest. Jemu nic nie zrobią, ją wywalą na zbity pysk. Jedyne, co mogło ją uratować, to obawa Markiewicza przed żoną.

Wczoraj wieczorem wezwał ją do gabinetu.

– Proszę wejść. Pan mecenas czeka na panią – poinformowała ją z obojętnym uśmiechem sekretarka.

Sandra nie pamiętała jej imienia, nie było jej do niczego potrzebne. Skinęła jej tylko głową, zapukała i weszła do środka.

Gabinet szefa był przestronny, znacznie większy od zajmowanego przez nią. No ale ona nie była jednym z udziałowców kancelarii, a Markiewicz był jednym z założycieli spółki. I on jedyny nosił nazwisko nadające się do reprezentowania firmy. No bo co to za nazwisko Kopytko albo Dobytek, które nosili dwaj jego wspólnicy. Pozostali dwaj jeszcze by uszli w tłoku, ale zgodnie uznali, że „Markiewicz” brzmi dumnie.

Najważniejszy prawnik kancelarii był tuż przed pięćdziesiątką, miał przerzedzone szpakowate włosy, opadające powieki nadawały jego twarzy wyraz chytryści, a małe ząbki kojarzyły się z łasicą. Brzuszek miał znacznie większy niż dwa lata temu, nogi zaś wydawały się jeszcze bardziej chude i krzywe. Sandra spotkała się z nim zaledwie kilka razy, a potem za wszelką cenę starała się wymazać te chwile z pamięci. Seks z klientami rzadko sprawiał jej przyjemność, lecz choć nie dawał satysfakcji, na ogół nie budził



wstrętu. Markiewicz był wyjątkiem. Do tego wszystkiego wyłaził z niego pospolity cham i prostak. A jego upodobania... wołała sobie tego nie przypominać.

– Dzień dobry – przywitała się uprzejmie. – Wzywał mnie pan. Czy chodzi o sprawę...

– Nie. Nie chodzi o żadną sprawę – przerwał jej bezceremonialnie. – Z tego, co wiem, nieźle sobie radzisz.

– Dziękuję panu.

– Jak na zwykłą kurwę – dokończył z satysfakcją.

Sandra nie spodziewała się tak bezpośredniej konfrontacji. Mimo to postanowiła udawać, że nie wie, o co chodzi, zatem powinna się oburzyć. Otworzyła usta, by ostro zaprotestować, ale Markiewicz ją ubiegł.

– Możesz kłamać, że nie jesteś Sondrą, ale to nie przejdzie. Zachowałem ulotkę. Na pamiątkę. Jak zgłoszę współpracownikom swoje podejrzenia, a ty zaprzeczysz, jedna z naszych agencji detektywistycznych przeprowadzi dochodzenie i wtedy już nie będzie wątpliwości.

– Byłeś klientem. – Sandra uznała, że forma „pan” nie przejdzie jej przez usta. Nie spodziewała się jednak, że będzie musiało jej przejść coś innego.

– No i co z tego? – Uśmiechnął się cynicznie.

– Jak się wyda moja przeszłość, to twoja też. Jesteś żonaty, prawda? – zapytała beznamiętnie.

– Moja żona jest głupia jak but. Mamy intercyzę. Nie odważy się wystąpić o rozwód, bo wie, że na tym straci. Mam mówić dalej?

W milczeniu pokręciła głową. No cóż, należało się tego spodziewać. Większość z nich miała żony, z którymi absolutnie się nie liczyła. Nie wszyscy jednak zabezpieczali sobie tyłki. Niestety, Markiewicz należał do tej kategorii, że na alimenty było go stać, a rozdzielność majątkowa uświadamiała jego niepracującej i nieosiągającej dochodów żonie, że jeśli zależy jej na życiu w dobrobycie, a nawet w luksusie, w jej interesie jest postępować tak, by go nie stracić.

W przeciwieństwie do niej, Sandry, ten człowiek nie miał nic do stracenia, koledzy po fachu jeszcze by go pokleпали po ramieniu i zapytali, jak było. Ona natomiast... No cóż... otrzyma właściwą etykietkę. Potrzebowała czasu, który z pewnością pozwoli jej coś wymyślić, żeby się pozbyć tego podleca, bo na razie miała w głowie tylko pustkę i strach. A to ostatnie uczucie zdecydowanie jej się nie podobało.

– Czego chcesz? – spytała, starając się nie okazywać emocji. To byłoby najgorsze, co mogłaby zrobić.

– Na kolana – polecił jej.

Ten skurwysyn każe się błagać?! Sandra zacisnęła wargi, ale posłusznie uklękła na miękkim dywanie. Nauczyła się jednego. Czasami, gdy nie masz argumentu siłowego, sprzeciw może cię wiele kosztować. Zbyt wiele.

– Nie tam, skarbie. Bądź miła, a się dogadamy. Możesz wiele skorzystać, jak będziesz mądra. – Odepchnął się od biurka. Fotel przejechał jakieś pół metra w tył. – Tutaj. – Wskazał palcem na rozporek spodni, gdzie widniało spore wybrzuszenie.

Jolka wbijała w męża czekoladowe spojrzenie, które kiedyś urzekło go do tego stopnia, że oświadczył jej się już na trzeciej randce. Szczęśliwa jak skowronek bez namysłu powiedziała wtedy „tak”.

Spojrzenie w zamyśle miało być jadowite i pełne niechęci, bo mimo że wróciła myślami do owej chwili, gdy wypełniła ją i uniosła do bram niebios bezbrzeżna euforia, upadek z tak wysoka musiał boleć jak jasna cholera. Zastanawiała się właśnie, jak to jest, że najszcześniejszy moment w życiu z perspektywy czasu okazał się jej największym życiowym błędem, prowadzącym do tego, co ma teraz. Czyli JEGO.

– Tak, kochanie, o co chodzi? – zapytał Tadeusz, widząc rozmarzone spojrzenie żony.

Miał tylko nadzieję, że nie zebrało jej się na amory, bo na widok rozstępów i trzęsącego się od tłuszczu tyłka Jolki jego najlepszy przyjaciel odmawiał posłuszeństwa.

– Robię tylko w głowie listę zakupów, Tadziku – odpowiedziała z uśmiechem, przeklinając swoje oczy spaniela.

Nawet w chwili największego gniewu jej spojrzenie było łagodne, nadawało twarzy wyraz słodczy i bezradności. O ile przydawało się to niekiedy w relacjach z ludźmi, o tyle mąż był wciąż przekonany o niesłabnącej z czasem miłości Jolki, a dzieci chodziły jej po głowie i do tego tańczyły kankana, nie przejmując się zupełnie miernymi próbami zyskania przez matkę jako takiego autorytetu. Traktowały ją dokładnie tak jak ich ojciec, jak małego słodkiego głuptaska, którego można ignorować, ile się da.

– Mam nadzieję, że nie zabrakło ci pieniędzy? – Jego pytanie zawierało sporą dawkę wyrzutu.

Na dom i osobiste wydatki żony przeznaczał sporą sumę, która, w jego mniemaniu, była jak najbardziej wystarczająca. Nie zamierzał zwiększać owej kwoty, żeby Jolka szastała forszą na prawo i lewo. Efektów tych wszystkich zabiegów upiększających i tak nie widział. Brał jednak pod uwagę, że bez SPA i całej reszty mogłoby być jeszcze gorzej, a wtedy nie będzie mógł jej ludziom pokazać. Wizerunek przykładowego męża i ojca bardzo się dla niego liczył.

– Nie po to tak ciężko haruję, żebyś wszystko przepuściła na fatałaszkę – dodał z niechęcią.

– Ależ skąd – zaprzeczyła szybko, widząc jego minę zwiastującą wybuch. – Przecież wiesz, że po to planuję wydatki, żeby na nic nie zabrakło i żebyś nie musiał nic dokładać. Wiem, jak ciężko pracujesz – dodała obłudnie.

Podziałało. Tadzik spojrział na nią łaskawie, po czym zapytał:

– Może miałabyś ochotę wybrać się ze mną na bankiet? Nic wielkiego. Pokręcimy się trochę i wracamy.

– Byłoby miło – odpowiedziała machinalnie, wiedząc doskonale, że zaproszenie nie miało na celu sprawienia jej przyjemności.

Po prostu od czasu do czasu mąż musiał się z nią pokazać, aby wszyscy widzieli, że taki pracoholik jak on dba o żonę i dzieci, które notabene widywał najczęściej wtedy, gdy wyciągał zdjęcia z portfela, by pokazać je znajomym i klientom. Zdjęcia, które mu regularnie wymieniała. W przeciwnym wypadku pokazywałby fotografie pięciolatek i puszył się jak młody tatuś, zapominając, że starsze z dzieci, syn Tymoteusz, dokładnie za rok osiągnie pełnoletność, a córka Regina – za dwa.

– Stroje wieczorowe? – zapytała.

– Tak, postaraj się ładnie wyglądać.

– No cóż, chyba coś znajdę w szafie. Może ta czarna suknia z aksamitu? Pamiętasz? Włożyłam ją cztery lata temu na imprezę pożegnalną... Jak mu tam było? No, nieważne. Myślisz, że będzie dobra? – zapytała z udawanym niepokojem. – To dość klasyczny krój, nie wychodzi z mody. Gorzej, jeśli ktoś będzie pamiętał tę sukienkę. A może...

– Kup sobie coś – powiedział szybko, wzdrygając się na myśl, że żona chce włożyć tamtą koszmarną kieckę, która z pewnością okaże się na nią za obcisła. Wtedy Jolka też nie wyglądała w niej za dobrze, a była wówczas młodsza przynajmniej o pięć kilo. – Masz tu moją kartę kredytową.

– Och, dziękuję, Tadziku. – Zatrzepotała rękami. – Ale wiesz, że do nowej sukienki będę musiała jeszcze kupić buty i torebkę. To za dużo. – Przesunęła kartę na powrót w jego stronę. – Może coś pożyczę od...

– Jolka! – zdenerwował się. – Tam będą ważni ludzie. Nie możesz wyglądać jak kopciuch!

– Świetnie! To może jeszcze mam spędzić pół dnia u kosmetyczki i fryzjera? – Zirytowała się, odsuwając z brzękiem filiżankę. – Wiem, wiem, nie musisz nic mówić. Jestem świadoma twojej pozycji. W końcu tak ciężko na nią pracowałeś. Nie powinnam tak się zachowywać. Obiecuję, że nie przyniosę ci

wstydu – zapewniła, na powrót sięgając po leżącą na stole kartę i wstając, by pocałować małżonka w czubek głowy. – Wiesz, jaka jestem z ciebie dumna? Wszyscy zazdroszczą mi takiego męża – skłamała na koniec, nim wyszła z jadalni, zostawiając Tadeusza napuszonego i zadowolonego z siebie.

– Co za kretyn – mruknęła tylko do siebie, wspinając się po schodach i wycierając z obrzydzeniem usta. Znów czymś sobie wysmarował głowę. Pewnie kolejny niezawodny środek na porost włosów. Niech wreszcie, do diabła, kupi sobie perukę! Stać go!

Kamelia poprawiła opadającą na czoło rudą grzywkę. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze i posłała fryzjerowi uśmiech. To było to. Ten odcień kasztana, odbijający refleksy świetlne, ten połysk... Wyglądała jak nowa kobieta i dokładnie tak się czuła. Problem w tym, że ta nowa kobieta wciąż miała zupełnie tego samego męża i nie widziała przed sobą żadnych perspektyw na zmianę. Przynajmniej nie na pozytywną. Spojrzała na zegarek. Do powrotu Macieja ma jeszcze trzy godziny. To powinno wystarczyć. Zapłaciła, umówiła się na następny raz i stawiając zamaszyste kroki, ruszyła na postój taksówek, bo prawa jazdy nie zrobiła do tej pory. Przerazała ją wizja samodzielnego poruszania się autem po Warszawie.

Dziesięć minut później wchodziła do centrum fitness, gdzie kilka razy w tygodniu trenowała ciało, odyskiwała spokój wewnętrzny i wyciskała wszystkie soki ze swojego prywatnego trenera, za którego płacił, rzecz jasna, jej wiarołomny małżonek.

To Maciej pierwszy zaczął, usprawiedliwiała się w myślach, wchodząc do salki, w której Darek coś tłumaczył jakiemuś mięśniakowi. Mówił wolno i wyraźnie. Albo mięśniak był obcokrajowcem, albo... po prostu był mięśniakiem.

To Maciej pierwszy zaczął ją zdradzać i zaniedbywać. Kobieta ma swoje potrzeby. Minęły czasy, gdy musiała leżeć z rozłożonymi nogami i myśleć o Anglii. Biorąc jednak pod uwagę stagnację, która panowała w jej małżeństwie, tamte żony i tak cieszyły się większym zainteresowaniem swoich mężów niż ona. Byle o niczym się nie dowiedział, bo wówczas nie będzie jej stać nawet na karnet.

Darek pomachał ręką na znak, że ją widzi, zamienił jeszcze kilka słów z klientem, po czym podszedł do niej.

– Witaj. – Pocałował ją w policzek.

– Cześć, trenerze. – Chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. – Gabinet wolny?

– Owszem. – Roześmiał się, obejmując ją w pasie. – Zakładam, że nie chodzi o nowy plan ćwiczeń?

Ładny kolor – pochwalił, patrząc z uznaniem na jej włosy.

– Cieszę się – odparła automatycznie.

Weszli do środka, Kamelia przekręciła klucz w zamku i poleciała:

– Ściągaj spodnie. Nie mam dużo czasu, a zamierzam dojść przynajmniej dwa razy, więc się sprężaj.

Martusia postanowiła uwieść męża. Tak, to jedyne wyjście. Musi się zamienić w femme fatale i uwieść Tobiasza, bez względu na to, czy będzie tego chciał, czy też nie. Podkreśliła tuszem duże, błękitne oczy, by stały się jeszcze większe i bardziej błękitne. Wargi pociągnęła czerwoną szminką. Czarno-czerwony gorset prowokująco unosił piersi, podkreślając talię osy. W przeciwieństwie do Kamy Marta nie lubiła się pocić, więc wciąż była na jakiejś diecie. Po namyśle postanowiła zrezygnować z koronkowych majtek. Włożyła tylko pończochy i pas, a potem wsunęła nogi w obcisłe, lśniące kozaki na niebotycznie wysokim obcasie.

Stała przed lustrem, przyglądając się własnemu odbiciu. Kurczę, gdyby była facetem, sama by siebie przeleciała. Uśmiechnęła się uwodzicielsko. Cofnęła się i ruszyła do przodu, kołysząc zalotnie biodrami. Obserwowała w lustrze każdy swój ruch. Jak tylko usłyszy podjeżdżający samochód, zejdzie na dół,

powoli, tak by Tobiasz mógł widzieć każdy jej ruch, a potem pozwoli, by ją zerznął zaraz przy samych drzwiach. To powinno wprowadzić jej małżeństwo na powrót w ruch, a jak już zaczną się między nimi układać, wtedy znów porozmawiają o dziecku i...

– Jeszcze nie jesteś gotowa?

Męski głos za plecami wprowadził ją w taki popłoch, że krzyknęła ze strachu.

– Co ty masz na sobie? – zapytał, mierząc ją pełnym niesmaku spojrzeniem. – Wyglądasz jak dziwka. Przebierz się i zmyj z twarzy to świństwo. Za godzinę mamy bankiet.

– Jaki bankiet? – wymamrotała zawstydzona.

– Jak to, jaki? – zdenerwował się, po czym klepnął się w czoło i wyjaśnił zirytowany: – Szlag, zapomniałem ci powiedzieć! Mam jeszcze jednego klienta, muszę zaraz wracać do biura. Wpadłem tylko po garnitur.

Martusia, nieszczęśliwa, pozbawiona godności i kobiecości, patrzyła, jak mąż wyjmuje z szafy garnitur, czystą koszulę i krawat, wciska pod pachę pudło z butami i wychodzi z pokoju, rzucając na odchodnym:

– Doprowadź się do ładu i przyjedź do centrum. I znajdź sobie jakieś zajęcie, a nie...

Reszta słów jej umknęła, gdyż Tobiaszek opuścił już pokój, co nie znaczy, że przestał mówić. Trzaśnięcie drzwi na dole obwieściło wszem i wobec, że już wyszedł z domu. Tymczasem Martusia nadal stała przed lustrem, patrząc na siebie z przygnębieniem.

– Twoja strata – rzuciła w końcu pod adresem nieobecnego męża. Przysunęła do toaletki krzesło i usiadła, rozkładając szeroko uda. Z szuflady wyjęła wibrator. W końcu nie po to tak się ubierała, żeby nic z tego nie mieć.

Jolka skrupulatnie wykorzystała limit na karcie męża. Sukienka kosztowała znacznie mniej niż kwota, którą ten sknera zobaczy na wyciągu. Wyglądała całkiem ładnie i najważniejsze, że miała właściwą metkę. Tadzik będzie zadowolony, a że sukienka była przeceniona... No cóż, ona, Jolka, na pewno mu tego nie powie. Zaszalała i kupiła jeszcze kilka bluzek oraz spodni, na które na pewno nie dałby jej pieniędzy. Na szczęście na wyciągu bankowym będzie widać tylko kwotę i nazwę sklepu, a nie specyfikację dokonanych zakupów.

Z trudem stłumiła ziewnięcie. Nudziła się jak jasna cholera. W dodatku przez te czekoladowe oczy sprawiała wrażenie Matki Teresy i garnęli się do niej wszyscy nieudacznicy, którzy koniecznie właśnie jej musieli się wyzalić. Udawała więc, że słucha wywodów niedocenianego przez szefową gryziopiórka, jednocześnie rozglądając się dookoła za jakąś znajomą, mile widzianą twarzą, i znieczulała się kolejnym drinkiem. Upijała się na spokojnie, więc póki nie otworzy ust, nikt się nie zorientuje. Ale do tego momentu miała jeszcze czas. Jakież... spojrzała na zegarek... Trzy drinki.

– Przepraszam pana. Właśnie mój mąż się znalazł.

Pożegnała się z uśmiechem, nie pamiętając imienia ani nazwiska rozmówcy. Ruszyła przed siebie, czując, że jej limit mógł się zmniejszyć od ostatniego bankietu. Ściany stały prosto, podłoga nie pływała, ale krok Jolki stał się zbyt zamaszysty, a biodra miały ochotę na salsę, która nigdy na trzeźwo jej się nie udawała. Bezpiecznie dotarła do ściany, gdzie zamierzała pozostać przez jakiś czas.

Za ogromną donicą, w której tkwił ogromniasty kwiat z wielkimi liśćmi, krył się złotowłosy elf. Marta odsunęła włochaty liść i przez powstałą szczelinę podpatrywała małżonka. Tobiasz, nieświadom obecności żony, zawzięcie flirtował z tlenioną blondynką, znacznie od niej młodszą. Kobieta wydawała się pochłonięta nim bez reszty, nie odrywała odeń wzroku i co chwila wybuchała śmiechem. Martusia doskonale знаła swojego męża. Cokolwiek miał do powiedzenia, z pewnością nie mogło to nikogo bawić. Chyba że opowiadał coś o podatkach, co rozumieli tylko jemu podobni.

Niemożliwe! – zachłysnęła się powietrzem. Można zdziwić naprawdę rozumie, co on do niej mówi? Może dlatego uważa to za zabawne? O Boże! Tamta też jest blondynką! Już po niej! Znaczący się, po Martusi. Musi działać. Natychmiast. Odwróciła się na pięcie, gotowa do akcji, choć jeszcze nie wiedziała jakiej, i zderzyła się z rudowłosą kobietą w koszmarnej sukience, równie włochatej jak liście, przez które Marta podglądała Tobiasza, i z pewnością koszmarnej drogiej. Ona sama miała na sobie czarno-białą kreację, z dopasowaną górą i rozkloszowanym dołem. Zderzenie z rudą nie byłoby problemem, gdyby ta nie miała w ręku drinka w kolorze rubinu. I gdyby czarno-biała sukienka naprawdę była czarno-biała, a nie biało-czarna, gdyż rozkład kolorów przedstawiał się tak, że góra była biała, a dół czarny. Problemem za to stała się ogromna czerwona plama, która rozkwitła na biuście Marty.

– Jasna cholera! – zaklęła.

– Martusia, bardzo cię przepraszam! O mój Boże! Tadzik mnie zabije! – Jolka była przerażona. Bardziej tym, że stanie się przyczyną zamieszania, niż zniszczeniem sukienki koleżance. – Chodu! – Złapała ją za rękę i pociągnęła za sobą.

– Chodu? – Zdumiona Marta nie opierała się w najmniejszym stopniu.

Jak ciele prowadzone na rzeź podreptała za Jolką, która skradała się pod ścianą, pochylona, udając, że nie widzi rzucanych na nią spojrzeń, i ciągnęła przyjaciółkę w kierunku drzwi na korytarz.

– Chodu? – powtórzyła pytającym tonem Martusia, gdy Jolka wepchnęła ją do toalety i zamknęła za nimi drzwi.

– Słyszałam w telewizji – wyjaśniła tamta, z przerażeniem patrząc na plamę, która zajęła znaczną powierzchnię przodu sukienki. Przynajmniej tej białej części. Na czarnej nic nie było widać. – Nie możesz tam wrócić – wystękała.

– Nie bardzo – przyznała Martusia. – Ale muszę – oświadczyła mężnie, przypominając sobie jasnowłosą krowę, prezentującą Tobiaszowi swoje wymiona.

– Nie możesz. Mąż cię zabije.

– Fakt. – Marta zgodziła się z Jolką. – Ale jak tam nie wrócę, będzie jeszcze gorzej. Rozwiedzie się ze mną.

Czuła, że jest zbyt spokojna, zważywszy na okoliczności. Chyba właśnie wpadała w ów błogosławiony stan otępienia, który zdarzał jej się zawsze wtedy, gdy nadmiar emocji ją przytłaczał. Miała jakiś wewnętrzny wyłącznik chroniący ją przed histerią.

– Ktoś się rozwodzi? – Drzwi jednej z kabin otworzyły się, uderzając o ścianę. Na kłapie muszli klozetowej siedziała Kamelia, oparta o ścianę. W jednej ręce trzymała lusterko, w drugiej tubkę z fluidem, torebka leżała na posadzce.

– Co ty robisz? – zdziwiła się Jolka.

– Ratuje swoje małżeństwo? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Kama.

– W kiblu? – zapytała z niedowierzaniem Martusia.

– Pytam, co robisz na tym pieprzonym bankiecie. – Jolka starała się nie podnosić głosu, żeby nie ściągnąć do toalety kogoś ciekawskiego.

– Nie wiem. Maciej kazał mi przyjść, więc jestem.

– To komorników też zapraszają? – zdziwiła się Jolka.

– Kochana, komorników zapraszają wszędzie. Zwłaszcza takich elastycznych. – Kama puściła do nich oko, na powrót podniosła lusterko i uważnie przyjrzała się zaczerwienieniu na szyi, które właśnie próbowała zatuszować.

– Elastycznych? – Marta zmarszczyła brwi.

– Nie wnikaj – poradziła jej Jolka.

– To kto się rozwiedzie? – zapytała ponownie Kamelia.

– Mój mąż, jeśli nie wróce natychmiast na salę i nie wyrwę go ze szponów tej... tej... tej... amatorki cudzych chłopów! – odparła Martusia, zdenerwowana teraz nie na żarty.

Uświadomiła sobie nader wyraźnie, że ona jest tu, a on tam! I to nie sam! Szlag! Cholerny wyłącznik! Zdaje się, że i jego szlag trafił!

– Hm... – Kama obrzuciła ją wiele mówiącym spojrzeniem. – Ta kiecka ci w tym nie pomoże.

– Wiem. – Zabrzmiało to wyjątkowo żałośnie. – Ale skąd ja teraz wezmę sukienkę?

W toalecie zapadła cisza. Rzeczywiście, to spory problem. Żadna nie miała zapasowej kiecki w torebce.

– Kicha – stwierdziła Jolka.

– No – potwierdziła Kama.

– Kicha? – zdziwiła się Martusia. – Chodu? Kicha? Skąd ty znasz takie słowa? Ja też oglądam telewizję, ale chyba jakąś inną – pożaliła się.

– Nastolatki w domu mam – zlitowała się nad nią Jolka. – Znam nawet takie skróty jak WTF i... zapomniałam tego drugiego... Jak to było...?

– WTF? To nie jest to samo co WF?

Kama spojrzała na nią z politowaniem.

– Nie, nie jest.

– Skąd wiesz?

– Bo ratuję rysie.

– Jakie rysie?

– O, mam! – przerwała im Jolka. – HWDP. To ten drugi skrót.

– A co to znaczy? – dopytywała się Martusia.

– Nie musisz wiedzieć i nikogo o to nie pytaj – poradziła jej Kamelia.

– Ładny kolor. – Jolka dopiero teraz zobaczyła zmianę kolorystyczną włosów przyjaciółki, która siedziała na toalecie i studiowała uważnie swoje odbicie w lusterku w trakcie absurdalnej rozmowy z Martusią.

Porażająca naiwność Marty czasami wzruszała Kameę, czasami zaś irytowała, ale po kilku latach znajomości miała ją głęboko w... tam, gdzie jej mąż by dosięgał, gdyby natura szcudrzej go obdarzyła. Ponieważ tak się nie stało, jedyną osobą, która miała styczność z jej szyjką macicy, był ginekolog.

– Dzięki – odparła automatycznie.

– Jak mam tam wrócić? – Martusia powróciła do zasadniczego problemu.

– Długo tu jeszcze będziesz? – zapytała Jolka Kamelię, zdecydowana wspomóc Martusię. W końcu ta poplamiona sukienka to jej wina, musiała więc jakoś rozwiązać ten problem.

– Nie wiem. Macie mocniejszy fluid? Albo korektor? – Brzoskwiniowy odcień niestety nie pokrywał zaczerwienienia na szyi.

– Co ty właściwie robisz?

Kama spojrzała na Jolkę, jakby odrobinę zaczepnie, po czym bez żenady wyjaśniła:

– Maskuję malinkę, żeby mój mąż jej nie zauważył. Zobaczyłam ją, dopiero jak weszłam do toalety, bo mi coś do oka wpadło. Gdybym widziała ją wcześniej, przyszłabym w golfie. Jak jej nie zamaluję, to mojego małżonka szlag trafi.

– A co on ma z tym wspólnego? – zapytała Martusia.

– W tym właśnie problem, że zupełnie nic. To nie on zrobił mi malinkę.

– O! – jęknęła ze zgrozą Marta, która dopiero teraz pojęła istotę sprawy.

– Nie mogłaś kupić sobie wibratora? To bezpieczniejsza opcja. – Jolka nie kryła wzburzenia. – Jak się z tobą rozwiedzie, nawet na alimenty się nie załapiesz!

- A ja mam wibrator – poinformowała je Martusia. – To naprawdę bezpieczniejsza opcja.
- Ale nie taka fajna – odcięła się Kama.
- Nic nam nie powiedziałaś – wytknęła jej tamta. – Zakochałaś się?
- Zgłupiałaś? – Popatrzyła z niesmakiem na przyjaciółkę. – Wyglądam na głupią? Tylko się pieprzymy.
- Fajnie jest? – Marta, podekscytowana nowiną, chwilowo zapomniała o Tobiaszu.
- Owszem. – Na twarzy Kamelii pojawił się pełen satysfakcji uśmiech. – Malinkę mam nie tylko na szyi. – Mrugnęła, a tamte dwie jęknęły z zazdrością.
- Kurczę, nie mam nawet wibratora – oświadczyła z urazą Jolka. – Żyję w celibacie.
- Zrzuć parę kilo i też sobie kogoś znajdziesz – poradziła Kama.
- Zwariowałaś? Jak zrzuć parę kilo, to Tadzik dobierze mi się do tyłka. I to nie miała być metafora.
- Tak też jest fajnie...
- Hej! – Jolka obiema rękami pomachała Kamelii przed nosem. – Mówimy o Tadziku!
- Jak jest z tyłu, nawet nie musisz go oglądać. – Tamta nie rozumiała, w czym problem, jeśli się lubi te sprawy, bo jeśli się nie lubi, to zupełnie inna sytuacja.
- On chrumka! – wysyczała Jolka, ścisząc głos, ale nadając mu odpowiednią intonację.
- Co robi? – Kama zamarła.
- Chrumka!
- Jak... świnka?
- Nigdy nie wiem, czy przypadkiem nie dławi się własną śliną – wyjaśniła z nagłą urazą Jolka, jakby mając za złe mężowi, że się istotnie nie udławił.

Wszystkie trzy zamilkły. Kamelia usiłowała wyobrazić sobie chrumkającego Tadeusza w łóżku z Jolką. Martusia zastanawiała się, czy oszukiwanie męża, że jest się wierną żoną, podczas gdy się nią nie jest, to trudna sprawa i czy w ogóle miałyby z tego powodu wyrzuty sumienia, a jeśli nie, to czy zna kogoś, kto zastąpiłby jej wibrator. Pełna żalu Jolka rozkliwiała się nad sobą, uważając, że gdyby tyle nie wypła, nie zalałaby tej pieprzonej sukienki, nie wyjawiała koleżankom swoich tajemnic i nie doszła do wniosku, że celibat jest stanowczo przereklamowany. Wszystkie te rozmyślenia odbywały się w toalecie, podczas gdy tuż za ścianą w najlepsze trwało przyjęcie.

- Muszę zmienić stan cywilny! – nieoczekiwanie oświadczyła Jolka.
- Tamte dwie wymieniły zaskoczone spojrzenia.
- Chcesz zostać rozwódką? – Martusia nie wierzyła własnym uszom.
  - Nie. Wdową. – Jolka doszła do wniosku, że nadmiar alkoholu nie jest taki zły. Na trzeźwo nie wpadłaby na ten pomysł, a gdyby jej się zdarzyło, nie wyjawiałaby go głośno.

Kamelia upuściła lusterko, które rozprysnęło się na dziesiątki kawałków. Martusia mrugała jak szalona przyklejonymi rzęsami.

Jolka w milczeniu patrzyła na przyjaciółki.

Pierwsza otrząsnęła się Kama. Wcisnęła odkręconą tubkę fluidu do torebki i powiedziała z lekkim namysłem, jakby sama nie wierząc w to, co mówi:

- A wiesz, że to jest pomysł?
- Nie. Nie słyszałam tego. – Martusia była zdecydowanie przeciwna. – Nie możesz popierać pomysłu zamordowania męża Jolki!
- Nie mam nic do jej męża. Myślę o własnym.
- Nawet nie chcę tego słyszeć! – Marta odwróciła się gotowa do ucieczki. Nie chciała mieć z tą sprawą nic wspólnego. Położyła już dłoń na klamce, gdy zatrzymały ją w miejscu słowa Jolki.
- Intercyza czy nie, żona dziedziczy wszystko.
- O! – Tylko tyle zdołała z siebie wydobyć. Ale nie było to zwykłe „o”. Było to „o”! Pełne nadziei na

przyszłość, która nieoczekiwanie zaczęła się rysować w interesujących barwach.

Jolka siedziała w kuchni i palcem rysowała niewidzialne kółka na blacie stołu. Owszem, trochę wypity, nawet więcej niż trochę. Właściwie to przeniosły imprezę do toalety i tylko od czasu do czasu powracały do sali, by rzucić się mężom w oczy, a także zwinąć kolejną butelkę wina, potem zaś na powrót znikwały w toalecie. Z oczywistych względów Kama i Martusia pojawiały się wśród gości na zmianę. W końcu sukienka była tylko jedna.

Przewidująco umieściły na drzwiach wywieszkę z napisem NIECZYNNE. Rozłożyły na posadzce obrusy, zwinięte ze stojących na korytarzu wózków i kolejne kilka godzin spędziły, jedząc i pijąc w nader niehigienicznych warunkach. Jednocześnie rozprawiły z zapałem o tym, jak wyglądałoby ich życie bez mężów, choć żadna już nie poruszyła tematu przedwczesnego zejścia małżonków z tego świata i ewentualnego w tym udziału ich żon.

Do domów wróciły taksówką. Wspólną. Tadzik nie był zadowolony, gdy jego poszukiwania małżonki, o której w końcu sobie przypomniał, zakończyły się w sypialni, kiedy już przyjechał nad ranem wściekły i zmęczony. Widok wieloryba pochrapującego pod kołdrą nie nastroił go pokojowo, czemu dał upust przy śniadaniu.

Od pamiętnego bankietu minął tydzień. Mąż nadal był wściekły, a przyjaciółki nie odezwały się słowem. Jolka nie wiedziała, co o tym myśleć. Czyżby rzucony na chybcika pomysł na trzeźwo już nie był tak wspaniały?

– Czy w tym domu śniadania to dziś nie będzie? – Tadeusz patrzył ze złością na siedzącą przy pustym stole żonę, ubraną w jakieś powyciągane dresy, które nadawałyby jej wygląd wyblakłej landrynki, gdyby nie te koszarne rude włosy.

Jolka spojrzała na niego gniewnie. Przynajmniej taki miała plan. Niestety, Tadzik, jak zwykle, zupełnie inaczej zinterpretował jej wilgotne spojrzenie. Nieoczekiwanie zmiękł i oświadczył łaskawie:

– No, no, nie gniewam się już na ciebie. Wiem przecież, że ci przykro. – Poklepał ją po głowie jak psa i dodał: – Wyjątkowo zjem coś po drodze. A ty już się tak nie przejmuj. Na szczęście nikt nie zauważył, że się spiłaś.

Wyszedł odprowadzony jadowitym wzrokiem małżonki.

Do kuchni weszła latorośl płci męskiej, z którą Jolka jakoś bardziej mogła się dogadać dziesięć lat temu. Pewnie dlatego, że jeszcze wtedy lubiła swoje dzieci.

– Czego? – warknęła, widząc, że nieodrodny syn swego ojca zamierza wygłosić jakieś komentarz.

Doskonale znała tę minę. Tymoteusz tylko wzruszył lekceważąco ramionami i wycofał się z kuchni. Jolka usłyszała jeszcze krótką wymianę zdań między rodzeństwem.

– Stara siedzi zła jak osa. Pewnie ma okres – poinformował siostrę.

– Co ty? W tym wieku?

Zdziwienie było całkiem autentyczne; na szczęście kilka sekund później rozległ się huk frontowych drzwi i Jolanta odetchnęła z ulgą. Jak dobrze pójdzie, miała przynajmniej osiem godzin spokojnego, niczym niezakłócanego życia.

Stała przed ogromnym lustrem wiszącym w przedpokoju. Rzeczywiście, wyglądała nie najlepiej. Twarz jeszcze ujdzie, uznała. Skóra trzyma się całkiem nieźle, gorzej z resztą. Dziewczyny miały rację, zaniedbała się. Do tej pory brakowało jej impulsu, by nadać swojemu życiu kierunek, a nie tylko toczyć się tam, gdzie ktoś ją kopnie.

Sięgnęła po komórkę i nim zdążyła się rozmyślić, zadzwoniła do Kamy.



Martusia nieszczęśliwym wzrokiem wodziła za mężem, który starannie unikał jej spojrzenia. Oczywiście nigdy by się do tego nie przyznał, gdyby go zapytała. Nie, on po prostu był bardzo zajęty patrzeniem w monitor laptopa. Ale jego oczy spoczęły kolejno na filiżance z kawą, talerzu z jajecznicą oraz koszyku ze świeżym chlebem i bułką z ziarnami słonecznika. Oczywiście Marta z samego rana pobiegła do piekarni, nim małżonek wstał z łóżka. Jediną rzeczą czy też osobą – sama nie wiedziała, czym jest dla męża, może tylko elementem wyposażenia luksusowego domu – którą omijał wzrokiem, była ona, Martusia, ukochana żona. I trwało to od tygodnia.

Od owego pamiętnego bankietu, gdzie przecież nic się nie wydarzyło. Przynajmniej nic, o czym by wiedział jej mąż. Nie miał najmniejszego pojęcia, że część, a nawet większość, imprezy spędziła w toalecie, chlając na umór i rozkoszując się wizją życia bogatej wdowy.

Martusia nigdy nie była orłem, zwłaszcza z matematyki, ale umiała dodać dwa do dwóch. Jeśli to nie ona zawiniła, winien jest on. Zdecydowanie miał coś na sumieniu.

– Tobiaszku... – zagadnęła go zniecka.

– Tak? – Drgnął nerwowo. Zbyt nerwowo. I nadal na nią nie patrzył.

– Tak sobie właśnie pomyślałam, że może moglibyśmy kupić trochę rzeczy dla dzieci z domu dziecka, gdzie mam wolontariat. Wiesz, kochanie, jakieś majtki, skarpetki, takie różne drobiazgi. Nigdy ich za wiele.

– Oczywiście. Doskonały pomysł – poparł ją gorąco. – Zaraz ci przeleję pieniądze na konto. Daj mi chwilę. – Nerwowo uderzył w klawisze laptopa. – Gotowe – oznajmił minutę później. – A teraz wybac, proszę, ale muszę biec do pracy. – Zerwał się od stołu, zostawiając niedojedzone śniadanie i niedopitą kawę.

Martusia przygryzła wargę, tłumiąc łzy. Tobiasz zdecydowanie miał coś na sumieniu. Jak on mógł jej to zrobić? No jak? Czy to ta blondynka z bankietu? Ta głupia krowa z cyframi wytatuowanymi na biuście? W tym momencie rozległ się sygnał SMS-a. Marta zatrzepotała powiekami, by pozbyć się napływających do oczu łez i odczytać wiadomość.

To była informacja z banku o dokonanym przelewie na jej konto. Dziesięć tysięcy.

– Ty skurwysynu! – wyszeptala zbiełymi wargami. Łzy obeschły w ułamku sekundy.

Tobiasz ma romans i zamierza ją rzucić. Innego wyjaśnienia nie było.

Nikt nie ma kaca przez tydzień. No, chyba że się pije przez cały ten czas. Ale Kama od dnia pamiętnego bankietu nie tknęła alkoholu. Przedłużająca się niedyspozycja zmusiła ją do posunięcia w jej mniemaniu całkowicie nonsensownego, jakim był zakup testu ciążowego.

Teraz spoglądała na wynik nie tylko z niedowierzaniem, ale również z pewną dozą podziwu dla swojej intuicji. Ostatecznie poszła do apteki po jakiś środek przeciwwymiotny i prezerwatywy, a nie po test.

Intuicja Kamelii na tym się nie skończyła. Powiedziała teraz całkiem głośno, poruszając jej ustami:

– No to masz przejebane, Kama.

Nie musiała już tłumaczyć dlaczego. To Kamelia wiedziała sama. Nie sypiała z mężem od kilku miesięcy. Jeśli sąd orzeknie rozwód z jej winy, a dowód winy miała teraz w brzuchu, to nawet o alimentach może zapomnieć. Pytanie jeszcze, który to miesiąc. Może udałoby jej się choć raz przelecieć męża po pijaku i potem mu wmówić, że to jego dziecko? Może by się nie doliczył?

Przez dłuższą chwilę analizowała szanse powodzenia tego planu. Były zerowe już przy punkcie pierwszym – przelecieć męża po pijaku. Przecież ona nie może pić alkoholu, żeby nie zaszkodzić dziecku. Nigdy nie pragnęła mieć dzieci, ale teraz, kiedy miała zostać matką, nawet przez moment nie wzięła pod uwagę usunięcia ciąży. Co więcej, pojawiła się kolejna myśl, równie zaskakująca jak pierwsza. Musi chronić swoje dziecko. Za wszelką cenę. Widziała tylko jedno wyjście z tej sytuacji.

W tym momencie zadzwonił telefon. To była Jolka. Czas rozterek właśnie minął.

Sandra nie zatrzymała się ani na chwilę przy sekretarce, która z wyraźnym zaciekawieniem spoglądała za oddalającą się młodą kobietą. Szef poświęcał nowej pracownicy sporo uwagi, co już rodziło pewne plotki. Tomaszewska była niezwykle atrakcyjną kobietą, do tego bardzo inteligentną. Nic więc dziwnego, że mecenas Markiewicz wziął ją pod swoje skrzydła. Sekretarka nie widziała w tym nic zdrożnego. Awans w tej firmie można było zdobyć tylko ciężką pracą i ciężką forszą. Wspólników nie obchodziło nic więcej. Wiedzieli o tym wszyscy, zatem robienie kariery przez łóżko nie wchodziło w grę, o czym także wszyscy wiedzieli.

Nigdy też nie słyszała, by szef wdawał się w jakieś romanse, zatem ci, którzy mieli za złe młodej kobiecie względy u szefa, mogli się ugryźć w tyłek. Nie zmieniało to faktu, że Lida nie lubiła nowej pracownicy, podobnie jak cała reszta. Ta dziewczyna była suką. I dlatego daleko zajdzie. Tego była pewna.

Sandra zamknęła drzwi toalety i przekręciła klucz w zamku. Dopiero teraz dała upust emocjom; rzuciła się do kranu i odkręciła mocno wodę, a potem złożyła dłonie w łódkę i piła łapczywie, za wszelką cenę próbując się pozbyć ohydny smaku. Przemknęło jej przez myśl, że może lepiej byłoby przepłukać usta, a następnie wypluć wodę, ale po tym, co połknęła, chlorowana kranówka już jej życia nie zohydzi.

Po dłuższej chwili poczuła się trochę lepiej. Ustało drzenie w klatce piersiowej. Oparła dłonie o umywalkę i opuściła głowę. Oddychała głęboko. Zaczynała się uspokajać. I zaczęła myśleć.

Do tej pory płynęła z prądem, czekając na to, co jeszcze wymyśli Markiewicz, i zastanawiając się, kiedy znudzi mu się ta zabawa. Niestety, nic nie zapowiadało zmiany. Ta świnka bawiła się w najlepsze, a co gorsza, kazał jej zostać po bankiecie w sali konferencyjnej, gdzie zaprosił swoich dwóch kumpli. Wiedziała, kim tamci są. Podatki i egzekucje. Markiewicz wiedział, jak się ustawić. W dodatku dał im jej adres, by mogli wpadać na szybki numer, kiedy tylko najdzie ich ochota. Na razie żaden z nich nie skorzystał, ale Sandra wiedziała, że to tylko kwestia czasu. Tego typu mężczyzn jak ci tutaj podnieca władza, którą mają nad drugą osobą, a nie sam seks.

Zbyt długo obsługiwała takich jak oni, by mieć co do tego wątpliwości. Wiedziała też, że zbytnia pewność siebie doprowadzi ich do zguby. Stracą czujność. A wtedy ona znajdzie ich słabe punkty.

Jolka otworzyła drzwi przyjaciółkom. Marta przestępowała nerwowo z nogi na nogę, wyraz twarzy Kamelii można było określić wyłącznie jako ponurą determinację. Gospodyni przesunęła się, robiąc im przejście, po czym starannie zamknęła drzwi na oba zamki, a na koniec przysunęła oko do wizjera, by zlustrować otoczenie.

– Co robisz? – zainteresowała się Martusia, gdy po trzydziestu sekundach oko Jolki nadal tkwiło w wizjerze.

– Sprawdzam teren – oznajmiła tamta.

– Po co? Myślisz, że policja ma na etacie jasnowidza? – zakpiła Kama.

– Patrzę, czy dzieciaki nie wracają do domu albo mój nieboszczyk mąż. – Odwróciła się i spojrzała na nie z urazą.

– Aha. – Kama pokiwała głową ze zrozumieniem, po czym zabawnie przewróciła oczami, słysząc zdziwione pytanie Martusi:

– To on już nie żyje?

– Dokonuję wizualizacji celu – poinformowała młodszą przyjaciółkę Jolka, cedząc słowa, jakby rozmawiała z dzieckiem.

– Aha. – Martusia zachichotała nerwowo, po czym oznajmiła z rozpaczą: – Myślę, że Tobiaszek mnie

zdradza. Dziś bez słowa dał dziesięć tysięcy na dom dziecka. Wiecie, jak sępi mi kasę.

– Jestem w ciąży – podzieliła się z nimi nowiną Kama.

– Gratulacje – odruchowo rzuciła Jolka.

Na twarzy Martusi rozkwitł szeroki uśmiech, gdy zawołała:

– Cudownie! Będziesz miała dzidziusia! – W tej samej chwili zmartwiała. – Ale jakże to tak? Teraz chcesz go... no tego... – Wykonała gest podrzynania gardła, jakby drastyczne zobrazowanie nagłej śmierci męża Kamy było łatwiejsze niż stwierdzenie, że ta chce zabić przyszłego ojca swego dziecka.

– To nie jego dziecko – obwieściła ponuro Kamelia.

– Och! – szepnęła Marta.

Jolka tylko pokiwała głową, jakby ostatnia zapadka właśnie wskoczyła na swoje miejsce i sejf z kasą stanął otworem.

– Cieszę się, że jesteśmy zgodne – oświadczyła z zadowoleniem. – To dobrze wróży na przyszłość.

Dziesięć minut później siedziały sobie spokojnie w salonie. Jolka zajmowała swój ulubiony fotel nieopodal kominka. Martusia umościła się na dywanie, gdzie uprzednio rozrzuciła poduchy z sofy, wygodnie o nie oparta. Kamelia pół leżała, pół siedziała na czymś w rodzaju szeszlunku, co nijak nie pasowało do pokoju, a co Jolka dostała w prezencie od nie wiadomo kogo i musiała gdzieś ów prezent ulokować. Głównie dlatego, że zdaniem jej męża owo coś wyglądało przede wszystkim bogato i snobistycznie. A wizerunek był tym, na czym szczególnie Tadeuszowi zależało. Ona zaś, matka jego dwojga dzieci, po tym, co zobaczyła dzisiejszego ranka w lustrze, gdy przyjrzała się sobie uważniej niż zwykle, do tego wizerunku nie pasowała.

Jako najstarsza z całej trójki, pomysłodawczyni projektu, a także pani domu i fundatorka herbaty, postanowiła objąć również rolę przewodniczącej tego szczególnego zebrania. Upiła łyk jaśminowego napoju z niewielkiej filiżanki, odstawiała ją na równie mały spodek, odchrząknęła, przerywając panującą w salonie ciszę, i powiedziała spokojnie, aczkolwiek stanowczo:

– Myślę, że nasza obecność tutaj świadczy tylko o jednym.

Odpowiedziało jej milczenie. Kama i Martusia wymieniły spojrzenia. Było oczywiste, że żadna z nich nie chce powiedzieć głośno tego, o czym wszystkie myślały. Słowo „morderstwo” jakoś nie brzmiało ładnie.

– Nie jest to kwestia „czy”, tylko „jak” – dokończyła Jolka.

Tym razem również nie doczekała się werbalnej odpowiedzi, ale reakcją były dwa entuzjastyczne skinienia głową, choć w postawie Kamy znać było determinację i zdecydowanie, a u Martusi potakujący ruch głowy połączony z obgryzaniem paznokcia wskazywał na głębokie zdenerwowanie.

Kama spojrzała na nią z irytacją, a Jolka ze współczuciem. Doskonale rozumiała stan psychiczny przyjaciółki. W końcu niecodziennie kobieta podejmuje decyzję o pozbyciu się męża, a z pewnością nie w tak drastyczny sposób. Uznała jednakże, że najlepszą strategią w tej sytuacji będzie pragmatyczna rozmowa o możliwościach załatwienia sprawy, jak określała w myślach plan zostania wdową.

– Chyba nie rezygnujesz? – Kama nie miała w sobie tyle empatii co starsza przyjaciółka i jej ton był po prostu napastliwy.

– Nie, skąd. – Martusia, ku swemu zdumieniu, czuła, że mówi to całkiem szczerze. – Właśnie dziś uświadomiłam sobie w pełni, że w moim życiu nic się nie zmieni. Tobiaszek będzie mnie zdradzał i dawał kasę. A ja będę siedziała w domu i marzyła o dziecku tak długo, aż jajniki mi uschną. Chcę mieć rodzinę – dodała z przekonaniem, choć lekko drżący głos zdawał się przeczyć jej słowom. – A z Tobiaszkiem jej nie stworzę. Zatem on musi odejść. – Tu głos całkowicie odmówił jej posłuszeństwa, a ogromne oczy zaszyły łzami. – Tak mi go szkoda – zaszlochała nagle. – W gruncie rzeczy nie jest taki zły. Będzie mi go brakowało. No... – Pociągnęła nosem, zgoła nieelegancko. – Przynajmniej

przez jakiś czas.

– Taaa... – Kamelia z trudem się powstrzymała, by nie narysować okrągłego kółeczka na czole. – Nikt nie powiedział, że to będzie proste.

– Na pewno nie będzie – wtrąciła się Jolka. – Musimy nie tylko ich się pozbyć, ale zrobić to w taki sposób, by podejrzenie nie padło na nas.

– Krótko mówiąc, musimy popełnić zbrodnię doskonałą – podsumowała Kamelia, czując, że podjęcie decyzji było sprawą najprostszą. Schody dopiero teraz się zaczynają.

– Komuś to się udało? – Martusia nie była całkowitą kretynką. Jej pełen powątpiewania ton doskonale o tym świadczył.

Kamelia skrzywiła się z niechęcią. Pytanie zdecydowanie nie przypadło jej do gustu. Jolka również miała minę niewyraźną.

– No wiesz... Jeżeli komuś się udało i nikt się nie domyślił, to my i tak nie będziemy o tym wiedziały... – Jolka odpowiedziała w końcu na pytanie Martusi, bo ktoś musiał przerwać tę nagłą ciszę, która zaczęła ciążyć wszystkim trzem.

Kamelia sięgnęła po filiżankę i zaczęła powoli sączyć herbatę. Ale robiła to z wielkim namysłem, co od razu rzuciło się w oczy pozostałym. Tym razem cisza była pełna oczekiwania.

– Po pierwsze – odezwała się po chwili – nikt nie może nas podejrzewać.

Przyjaciółki zgodnie pokiwały głowami. To oczywiste. Tak oczywiste, że Jolka aż miała ochotę potrząsnąć tamtą w pełnej rozczarowania irytacji.

– Zatem powinni odejść w taki sposób, by nie ściągnąć na nas podejrzeń – ciągnęła Kama, nie zwracając uwagi na zniecierpliwione sapnięcie pomysłodawczyni.

– Na przykład? – Martusia nie była tak zirytowana, jak Jolka. Ktoś musiał w końcu na coś wpaść, a ona zupełnie się do tego nie nadawała. W głowie miała kompletną pustkę.

– Śmierć naturalna.

– Ze starości? Nie da się. – Jolka nie mogła się powstrzymać od złośliwego komentarza.

– Wypadek – kontynuowała swój wywód Kamelia, spoglądając na nią gniewnie, ale nie wdała się w dyskusję, by nie stracić wątku. – Samobójstwo. Ewentualnie zaginięcie. Więcej pomysłów nie mam.

– Jak to, zaginięcie? – zdziwiła się Martusia. – Nikt się nie zdziwi, że nagle zaginęło trzech mężczyzn?

– Racja. – Kamelia odstawiła z trzaskiem filiżankę. – Ale samobójstwo też będzie podejrzane. Tak samo jak trzy różne wypadki w krótkim czasie.

– A co jest po drugie? – zapytała Jolka.

– Nie ma po drugie. Na razie jest tylko po pierwsze. Musimy obrać taką metodę, żeby nas nie podejrzewano – autorytatywnie stwierdziła Kama.

Jolka spojrzała na nią z mieszaniną podziwu, zgrozy i odrobiny zazdrości. Zawsze zazdrościła Kamelii socjopatycznej psychiki. Trudno jej było uwierzyć, że kobieta z osobowością alfa, jak nazywała ją w myślach, przez tyle lat była po prostu żoną przy mężu. Ona sama nigdy nie marzyła o pracy zawodowej. Zawsze pragnęła mieć dużą rodzinę, dzieci, które będzie lubiła, a nie tylko kochała, i męża, którego nie będzie chciała zabić. No cóż, wygórowane oczekiwania zawsze źle się kończą, pomyślała smętnie.

– A czy wszyscy muszą odejść tak samo? – zapytała nagle Martusia, która, wbrew pozorom, nie była tylko blondynką.

– Nie rozumiem. – Na czole Kamelii pojawiła się głęboka zmarszczka.

– No bo jeden może popełnić samobójstwo, drugi zaginąć, a trzeci umrzeć w wypadku – zasugerowała niepewnie tamta, strapiona lodowatym spojrzeniem rudowłosej przyjaciółki.

– Doskonały pomysł. – Jolka uśmiechnęła się do niej ciepło. – Co o tym sądzisz? – zwróciła się do Kamelii, która zastanawiała się nad tym z dziwną miną, nie odrywając oczu od najmłodszej z nich.

- Zgadzam się – oświadczyła teraz. – Powinnam sama na to wpaść – dodała natychmiast i na jej twarzy pojawił się lekki uśmiezek – ale wygląda na to, że doskonale się uzupełniamy. Oby tak dalej.
- Przyszło mi to do głowy tylko dzięki tobie. – Marta uśmiechnęła się nieśmiało, a jej głos przestał drżeć. Aprobata przyjaciółek dodała jej pewności siebie.
- To ma sens. – Jolka nie mogła ukryć podekscytowania. Teraz, gdy decyzja została ostatecznie podjęta, mogła odrzucić na bok wszelkie skrupuły, a wyrzutami sumienia – jeśli takowe się pojawią – zajmie się w stosownym czasie. – Skoro każdy z nich odejdzie w inny sposób, nie będzie powodu, by ktokolwiek miał coś podejrzewać...
- Moment, moment. – Kama uciszyła ją stanowczym gestem. – Wiesz, jacy są ludzie. Oskarżyliby Matkę Teresę, gdyby tylko mieli okazję. Plotki na pewno będą, musimy się z tym liczyć.
- Dlatego nie możemy popełnić żadnego błędu i powinniśmy rozsądnie zaplanować czas – stwierdziła Jolka.
- Nie rozumiem – zmartwiła się Martusia.
- Nie mogą odejść wszyscy jednocześnie, bo to dopiero wywoła plotki i podejrzenia. Należy zachować odpowiedni dystans czasowy – wyjaśniła jej Jolka.
- Odpowiedni – to znaczy jaki? – Ton Kamelii można było odebrać wyłącznie jako wrogi, co dodatkowo podkreślał gniewny błysk w oczach.
- Odpowiedni – powtórzyła Jolka – czyli taki, który pozwoli nam na swobodę działania, i to nie na żadne łapu-capu. Nie martw się, Maciej pójdzie na pierwszy ogień.
- Jak to tak? – sprzeciwiła się Martusia. – Myślę, że powinniśmy głosować. – Myśl, że jej mąż będzie wydawał pieniądze na kochankę, podczas gdy dookoła jest tyle potrzebujących dzieci, zdecydowanie jej nie odpowiadała.
- Żadnego głosowania – zaprotestowała Kamelia.
- Powiedzmy, że problem Kamy będzie narastał. A właściwie rósł – uściśliła Jolka, wskazując palcem na jeszcze płaski brzuch przyjaciółki. – Maciej musi odejść pierwszy.
- Tak, Maciej musi odejść – twardo powtórzyła tamta.
- Niech wam będzie – zgodziła się Martusia. – W takim razie musimy zdecydować jak.

Sandra zamknęła drzwi za Tobiaszem Skałką. Z trudem ukrywała odrazę. Na szczęście nie był zbyt wymagający, ale sam fakt, że jej życie przybrało taki obrót, przyprawiał ją o mdłości. Zachowanie mężczyzny nie wskazywało jednak na to, by znał jej przeszłość. Sandra obawiała się, że Tadeusz Markiewicz wyjawiał kolegom jej sekret. Na szczęście dotąd nie zrobił tego. Co nie znaczyło, że nie stanie się tak w przyszłości. Na razie przedstawił ją jako koleżankę po fachu, niemającą czasu na związki, ale lubiącą się zabawić.

Hipokryzja świata, którego była częścią, przyprawiała młodą kobietę o zawrót głowy. Mogła mieć opinię dziwki skaczącej z łóżka do łóżka i wykorzystującej seks do własnych celów. W najgorszym wypadku stałaby się obiektem plotek personelu niższej rangi, którego zdanie nikogo nie obchodziło. Gdyby jednak przebiła się na światło dzienne informacja, że mecenas Tomaszewska była prostytutką, koledzy po fachu zniszczyliby ją jednym pstryknięciem palca.

Trzeba działać, nim Markiewicz zacznie gadać. Należy coś zrobić, by zapewnić sobie jego milczenie. Zdesperowana Sandra obawiała się, że ma tylko jedno wyjście: musi coś na niego znaleźć. Dobry, staromodny szantaż rozwiąże jej problem, a może nawet pozwoli coś zyskać.

Dwie konspiratorki najpierw z niedowierzaniem spojrzały na trzecią, potem na siebie, a następnie znów na tamtą.

– Jak to, samobójstwo odpada? – zapytała w końcu Jolka.

– No odpada i już – odparła stanowczo Kamelia.

– Chodzi ci o to, że będziesz musiała znaleźć zwłoki? Przecież może popełnić samobójstwo w innym miejscu. Będzie nam trudniej to przeprowadzić, ale wszystko jest do zrobienia. Gdyby... Na przykład... No... O, mam, a gdyby tak popełnił samobójstwo w biurze? Niech się wtedy sekretarka martwi. – Jolka starała się przekonać Kamę do swojego pomysłu. – Samobójstwo powinno być najprostsze do wykonania. Zaplanowanie wypadku czy zabójstwa nastęrczy dużo poważniejszych trudności. Zaginięcie również. Najpierw będziemy musiały go... no tego... wiecie co... a potem ukryć zwłoki, żeby nikt nigdy ich nie znalazł. Uważam, że na początek samobójstwo będzie idealne – zakończyła z przekonaniem.

– Jak Maciej popełni samobójstwo, to nie dostanę odszkodowania z jego polisy na życie. – Kamelia podniosła głos, by przekrzyczeć Jolkę, której głos zaczynał się wspinać na coraz wyższe rejestry. – No co tak na mnie patrzycie? Nie moja wina, że ubezpieczyciele takie dziwne zapisy robią w tych umowach. – Z urazą wzruszyła ramionami.

– Kurczę, Tadzik też ma polisę na życie. Tobiasz z pewnością także. – Jolka opuściła ramiona i bezradnie spojrzała na przyjaciółki. – Dziewczyny, samobójstwo odpada.

– Jaka szkoda! – westchnęła Martusia. – Byłoby to najprostsze wyjście.

– Niekoniecznie – starała się ją pocieszyć Jolka. – Przekonanie kogoś z nich, żeby się zastrzelił, powiesił albo połknął leki, a do tego jeszcze napisał list pożegnalny, mogłoby się okazać sporym problemem. Może lepiej działać z zaskoczenia...

– Pewnie macie rację, ale i tak szkoda – powiedziała z żalem Martusia. – Ale nic to. Musimy ustalić pewne priorytety. To ważne w życiu każdego człowieka, by kierować się określonymi zasadami. Nawet jeśli zamierzamy zrobić to, co zamierzamy – dodała markotnie. – W końcu działamy w imię wyższego dobra.

– To znaczy jakiego? – zapytała podejrzliwie Kama. Słowa przyjaciółki wydawały się jakieś nawiedzone i brzmiały irracjonalnie. Czyżby już zaczynała pękać?

– No wiecie... Ja będę mogła pomagać dzieciom. Ty jako matka masz obowiązek chronić swoje dziecko. A Jolka... – zawahała się. – Jolka... – Zmarszczyła czoło, zasznurowała usta i spojrzała pytająco na panią domu, która łagodnie wpatrywała się w nią swymi pięknymi, sarnimi oczami. – A Jolka musi ratować siebie, zanim Tadeusz ją zniszczy. Jest dla niego zbyt delikatna i wrażliwa, a on ją podepcze jak płatki róży.

Kamelia spojrzała z powątpiewaniem na Jolantę. Przecież właśnie owa delikatna i wrażliwa istota była pomysłodawczynią tego całego przedsięwzięcia.

– Właśnie tak. – Jolka przywołała uśmiech na twarz, choć w środku skręcała się ze złości. Aż żałowała, że upośledzona mimika nie może oddać w pełni jej nastroju. – I przypominam, że ja też mam dzieci – dodała z urazą, nie dodając wszakże, że jej dzieci przed ojcem ratować nie trzeba.

– Dobra. Koniec z tymi bzdetami. Nasze priorytety to kasa i wolność, dokładnie w tej kolejności. Wolność bez kasy oznacza zasiłek z opieki i pracę na kasie w supermarkecie. – Kamelia postanowiła przejąć pałeczkę. – Koniec z marnowaniem czasu. Interesują nas tylko pomysły konstruktywne.

– Zatem zaginięcie też odpada – powiedziała z żalem Martusia.

– Dlaczego? – zapytały jednocześnie obie kobiety.

– Bo musi upłynąć ileś tam lat, zanim zaginionego uznają za martwego, a po żywym nie można dziedziczyć – ponuro poinformowała je Martusia.

– Skąd wiesz? – podejrzliwie zapytała Kama.

– Oglądam *Annę Marię Wesołowską*. I *Sąd rodzinny*. I *W-11*. Nie pamiętam, gdzie o tym było, ale było.

– Czyli wypadek albo zabójstwo – zawyrokowała Jolka.

– Raczej zabójstwo poprzez wypadek – uściśliła Kama. – Nie ma co się oszukiwać, trzeba nazwać rzecz po imieniu.

– Słuchajcie, a samo zabójstwo nie mogłoby być? Na przykład...

– Nie – przerwała Martusi Jolka. – Chodzi o to, żeby nie było dochodzenia i podejrzeń. Zabójstwo odpada.

– Ale na przykład Maciej mógłby paść ofiarą kradzieży. I przy okazji zostać zabity – obstawała przy swoim tamta.

– Jak chcesz to zrobić? Żyjemy w czasach, gdzie Wielki Brat patrzy na nas każdego dnia.

– Kto? – zdziwiła się Martusia. Nic nie zrozumiała z tego, co powiedziała Kama.

– Kamery – zlitowała się Jolka. – Są wszędzie. Jak chcesz go napaść na ulicy, skoro zaraz coś gdzieś cię nagra?

– Jak chcesz go napaść na ulicy, skoro Maciej nie chodzi ulicą? On się przemieszcza wyłącznie swoim luksusowym autem. To musi być wypadek.

– Samochodowy?

– Samochodowy może być – zgodziła się Kama. – Wóz jest ubezpieczony, nie będę stratna.

– A czy któraś wie, jak doprowadzić do wypadku samochodowego? – zapytała Martusia.

Jolka otworzyła usta, po czym je zamknęła i bezradnie spojrzała na Kamelię. Ta wzruszyła ramionami. Też nie wiedziała.

– Jakie są najczęstsze przyczyny wypadków samochodowych? – drążyła Marta.

– Alkohol? – rzuciła pytającym tonem Kamelia.

– Hm... Możliwe – przyznała Martusia. – Ale chodziło mi raczej o przyczyny mechaniczne.

– Wsadzenie pijanego Macieja za kierownicę mogłoby być trudne – zauważyła Jolka. – Duży jest. I nie ma gwarancji, że dojdzie do wypadku.

– I zasadniczo nie pije. Popija, owszem, ale się nie upija. Będzie ciężko – stwierdziła Kamelia. – Alkohol odpada.

– Niesprawne hamulce? – zasugerowała po namyśle Jolka.

– Któraś wie, jak uszkodzić hamulce w lexusie? – zapytała z nadzieją Martusia. I znów nie doczekała się odpowiedzi. Wszystkie trzy siedziały pogrążone w ponurych rozmyślaniach.

– Czekaście, mam pomysł! – Jolka zerwała się jak oparzona. – Mój syn jest w trakcie robienia prawa jazdy. Będzie wiedział.

– Nie możesz zadzwonić do swojego syna z pytaniem, jak uszkodzić auto mojego męża! – zawołała przerażona Kamelia.

– Przecież nie zapytam w ten sposób.

Jolka spojrzała na nią z urazą, której jak zwykle nie było widać w jej oczach. Jeśli oczy są zwierciadłem duszy, to jej dusza była piękna, łagodna, czysta i kompletnie nieskalana niczym. Ach, te pozory...

– Witaj, synu. Matka mówi. Jakie są najczęstsze przyczyny wypadków samochodowych w Polsce?

– ...

– Nie, nie zamierzam ci zabronić robić prawka. Bardzo się cieszę, że chodzisz na kurs i osobiście poprę cię u ojca, żeby kupił ci samochód, ale najpierw mi odpowiedz.

– ...

– Aha...

– ...

– Aha...

– ...

– Aha... Dzięki, synu. Dobre dziecko z ciebie. – Pożegnała się i ogłosiła z triumfem: – Niedostosowanie prędkości do warunków ruchu. Nieprzestrzeganie pierwszeństwa przejazdu. Nieprawidłowe wyprzedzanie. Nieprawidłowe omijanie. Nieprawidłowe...

– Zaraz, zaraz... – przerwała jej Kamelia. – A jak to niby może nam pomóc?

– Nie wiem... – odrzekła zdeprymowana Jolka, do której w tym momencie dotarło, że statystyki podane przez syna nijak się mają do ich zamiarów. Tego wszystkiego nie da się zaplanować.

– Musimy się dowiedzieć czego innego. Na przykład, jak popsuć hamulce? – myślała na głos Martusia. – I to tak, żeby potem wyszło, że one same z siebie, a nie przez kogoś. Albo... albo mogłoby odpaść mu koło.. O! – zawołała. – Koło! To jest myśl. Wystarczy tylko trochę poluzować śruby! Jak nic wóz musi wylecieć z trasy!

– Hm... I nikt nie udowodni, że ktoś przy nich majstrował... Przecież równie dobrze mógł sam zmieniać koło czy coś i nie dokręcić... – Kamelia rozważała jej pomysł. – Mnie się to podoba – stwierdziła z zadowoleniem.

– A mnie nie – sprzeciwiła się Jolka. – Ten pomysł z wypadkiem samochodowym ogólnie jest nie do przyjęcia. Jaką mam gwarancję, że nikt inny nie ucierpi? Nie chcę mieć nikogo na sumieniu.

– Racja – przyznała z żalem Martusia. – O tym nie pomyślałam...

– No nie – jęknęła sfrustrowana Kama. – A już zaczynałam się cieszyć. Jakies inne pomysły?

– Otrucie?

– Porażenie prądem?

– Wstrząs anafilaktyczny?

– Utonięcie?

– Upadek ze schodów?

– Wypadek na budowie?

– Przejechanie przez samochód?

– Przedawkowanie insuliny?

– Zadławienie?

– Zatrucie spalinami?

Jolka wraz z Martusią prześcigały się z pomysłami, ale Kamelia wyglądała na coraz bardziej zde gustowaną i nieszczęśliwą.

– Jak to jest, że trzy inteligentne kobiety nie mogą wymyślić ani jednego dobrego sposobu zabójstwa, a musimy popełnić aż trzy! – Była zdruzgotana.

– Jak to, nie? – oburzyła się Martusia. – Podaliśmy ci cały zestaw dobrych zabójstw.

– Racja – potwierdziła Jolka. – Reszta to tylko kwestia szczegółów.

– Jak z tego wszystkiego wybrać jedno i zrealizować? Jak Maciej ma spaść ze schodów? Mam się za nim skradać i go zepchnąć? A jaką mam gwarancję, że się zabije, a nie tylko połamie? Albo zatrucie spalinami... Mam go zamknąć w garażu? Może jeszcze związać i zakneblować? A potem liczyć, że patolog to idiota i nie znajdzie śladów? Wszystko do kitu...

– Żadne do kitu. Ale częściowo masz rację. Nie możemy tu i teraz wybrać jednego sposobu, bo nie wiemy, co będzie najlepsze w danej sytuacji. Myślę, że powinniśmy trochę czasu poświęcić na poznanie naszych ofiar – powiedziała Martusia.

– Ja swoją znam całkiem dobrze. To świnia pospolita i...

– Nie o to mi chodziło – przerwała Jolce. – Chodzi mi o rozkład dnia. Co robią, gdzie chodzą, jak spędzają czas poza biurem. Wtedy będziemy mogły coś zaplanować. Na przykład... Jeśli Maciej chodzi na ryby... Mógłby przecież wpaść do wody i się utopić, no nie? Albo możemy poczekać, aż będzie wracał późno z jakiejś kolacji czy na co tam łązi, będzie szedł ciemnym zaułkiem, zaczaić się i trrrach! –



Wykonała zamach wyimaginowaną siekierą.

Albo mieczem, Kama z Jolką nie były w stanie zbyt dokładnie wyobrazić sobie narzędzia, którym ich przyjaciółka zamierzała dokonać owego „trrrach”. Równie dobrze mógł to być młotek. Martusia, na co dzień przypominająca słodkiego króliczka, wydawała się nader pomysłowa.

– Oglądasz za dużo filmów.

– I seriali.

– Zatem wiem więcej o wykrywalności przestępstw niż wy. – Marta nie przejęła się jawną krytyką. – Mówię wam, że podstawa to dobry plan. Zrobimy rozpoznanie sytuacji i zaraz coś nam wpadnie do głowy. Pamiętajcie ten film o napadzie na kasyno? Ten z Bradem Pittem i George’em Clooneyem? *Oceans* coś tam? Poświęcili czas na obserwację, organizację i ukradli sto milionów.

– *Ocean’s Eleven* – uściśliła Kama. – To nie jest dobry przykład. Właściciel kasyna dowiedział się, kto go obrobił, i dobrał im się do skóry. Jak widać, obserwacja i organizacja była ważna, ale realizacja im nawaliła.

– No to nam nie może – uznała Jolka. – Trzeba działać ostrożnie i rozważnie. I co najważniejsze, cokolwiek się wydarzy, musimy trzymać się razem. – Wyciągnęła dłoń nad stołem, wierzchem do góry.

Kamelia bez wahania położyła na niej swoją. Martusia dołączyła do nich z lekkim opóźnieniem i łzami w oczach.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak bardzo się wzruszyłam – wyznała, pociągając nosem.

Kamelia podeszła na palcach do drzwi łazienki. Przyłożyła do nich ucho i nasłuchiwała dłuższą chwilę. Nic nie słyszała. Widocznie Maciej jeszcze nie wszedł pod prysznic. Albo już wyszedł. Trudno powiedzieć. Zaczęła nerwowo obgryzać skórę przy paznokciu. Czekać czy nie czekać? Bo jak skończył, to zaraz wyjdzie, a ona nie będzie miała żadnego wytłumaczenia na to, co tu robi. Ale jeśli odejdzie od drzwi, a Maciej dopiero wejdzie pod prysznic, ona zaś nie będzie o tym wiedziała, straci niepowtarzalną okazję.

Nim zdołała przeprowadzić pełny wywód, mniej lub bardziej logiczny, ze środka dał się słyszeć odgłos spuszczonej w toalecie wody, potem szcęknięty drzwi kabiny prysznicowej i ponownie zaszumiała odkręcona woda. Nie było na co czekać. Bogowie im sprzyjali.

Nie zważając na swój błogosławiony stan, zbiegła pędem po schodach. Wpadła do gabinetu i chwyciła teczkę Maćka. Wyjęła z niej terminarz i rozłożyła na biurku. Telefonem komórkowym szybko zrobiła zdjęcia poszczególnych dni, nie zadając sobie trudu, by odcyfrowywać poczynione przez męża notatki. Trzy minuty później nerwowo przeglądała jego telefon komórkowy. Tak jak podejrzewała, nie miał tam zanotowanych żadnych terminów. Nic się nie zmieniło, wszystkie spotkania wpisywał do terminarza w skórzaną oprawie, który zamawiał co roku w drukarni.

Odłożyła notatki i teczkę na miejsce. Upewniła się, że wszystko jest dokładnie tak, jak było, i cicho zamknęła za sobą drzwi gabinetu. Równie cicho pobiegła na górę i wpadła do garderoby. Włączyła światło, otworzyła kilka szuflad i wyrzuciła ich zawartość na dywan. Jeśli Maciej ją tu zastanie, powie, że robi porządek.

Uklękła w tym rozgardiaszu tyłem do drzwi, by w razie czego nie widział, czym naprawdę się zajmowała, i przesłała wszystkie zdjęcia jako MMS-y do Jolki. Na razie plan był prosty: Jolka śledzi męża Kamy, Kama śledzi męża Martusi, a ta – męża Jolki. Tak wynikło z losowania, które urządziły dzisiaj. Punkt pierwszy planu zakładał zdobycie rozkładu dnia każdego z małżonków. Punkt drugi mówił, że każda uważnie obserwuje swój obiekt i czyni szczegółowe notatki. Punkt trzeci – spotykają się ponownie od dziś za dwa tygodnie z planem pozbycia się obserwowanego obiektu.

Narada upadła przy punkcie czwartym. Mianowicie, kto pozbywa się męża, żona czy obserwatorka.

– Nie mogę zabić Tobiaszka – powiedziała żałośnie Martusia. – Nie dam rady. To musi zrobić któraś z was.

– Nie możesz oczekiwać, że jedna z nas zabije człowieka, który w niczym jej nie zawinił – odparła Jolka. – Jestem zdecydowanie przeciwna zabijaniu kogokolwiek poza własnym prywatnym mężem. Nie jestem psychopatką.

– Dasz radę zabić Tadzika? – zdziwiła się Kamelia, która w głębi duszy rozumiała skrupuły Martusi.

– Jak sobie przypomnę te wszystkie zmarnowane lata... I kiedy patrzę w przyszłość, i widzę kolejne zmarnowane lata... Dam radę! – oświadczyła z przekonaniem Jolka. – Tylko wiecie... Jakoś tak go... No... tego... No tak patrząc mu w oczy, to chyba nie mogłabym. Ale popchnąć go, zrzucić, coś mu podsypać, tyle dam radę.

– Dasz radę czy nie, musisz mieć alibi. – Martusia uśmiechnęła się, czując, że zdobywa przewagę. – Żadna z nas nie może zabić własnego męża, bo w tym czasie musi być tam, gdzie jego nie ma, i w dodatku mieć wiarygodnych świadków.

– Kurczę, to racja. – Kamelia spojrzała przepaszająco na Jolkę.

– Szlag! – zaklęła tamta. – To wszystko jest trudniejsze, niż myślałam, a nawet jeszcze nie zaczęłyśmy.

I w ten oto sposób postanowiły punkt czwarty planu odwlec w czasie. Kto kogo, kiedy i jak – ustalą, gdy nadejdzie właściwa pora. Czyli dokładnie za dwa tygodnie.

Jolka zgoła nieelegancko drapała się po głowie, próbując zrozumieć zapisane drobnym maczkiem notatki w terminarzu Tadzika. Szeregi cyfr i liter nie mogły być niczym innym jak tylko dziwacznym szyfrem zrodzonym w pokrętnym umyśle jej małżonka. Nie licząc dat i godzin, kompletnie nic jej to wszystko nie mówiło. Nie było najmniejszego znaku dotyczącego miejsca spotkania. Każdy z tych dni mógł spędzać w biurze, gdzie o wypadek raczej trudno, a o świadków zbyt łatwo.

Wiedziała, że sprawa nie będzie prosta, ale tego rodzaju utrudnienia na samym początku nie wróżyły dobrze. Przez moment rozważała możliwość rozwodu. Alimenty pewnie pozwoliłyby jej na w miarę wygodne życie. Bez luksusów jednak. Bez fryzjera i kosmetyczki, wizyt w SPA i masażu relaksacyjnego. Bez zajęć jogi, na które uczęszczała rzadziej niż częściej, ale nie w tym rzecz. Chodziło o to, by było ją na nie stać. Nawet jeśli nie będzie z nich korzystać.

Westchnęła ciężko. Los Tadzika został przypieczętowany. Spójrzmy prawdzie w oczy, pomyślała, ojciec z niego żaden. Dzieci jakoś się pogodzą z jego śmiercią. I tak doceniały tatusia głównie wówczas, gdy otwierał portfel. Jak umrze, nie będą musiały się dopraszać o pieniądze. Będą miały własne. Ze spadku. Jako matka musi tylko dopilnować, żeby nie przepuściły wszystkiego.

Ponownie westchnęła i zaczęła robić zdjęcia. Dobrze, że to nie ona ma obserwować Tadzika. Martusia musi sobie jakoś poradzić. Jak na niby to głupią blondynkę miała zaskakująco dużo dobrych pomysłów. Może i ten zasrany szyfr zrozumie. Chwilę później wysłała wszystko na jej telefon, po czym zamknęła terminarz męża i wrzuciła na powrót do szuflady, którą zamknęła na klucz dorobiony kilka lat temu, o czym Tadzik nie miał najmniejszego pojęcia.

Martusia z niedowierzaniem patrzyła na ekran laptopa Tobiaszka. Ten łajdak miał hasło! Jak zdoła się teraz włamać do jego komputera i skopiować terminarz?! Z nienawiścią spojrzała na drzwi łazienki, gdzie przyszyły denat zażywał własnoręcznie przez nią przygotowanej kąpieli. Pomyślała, że gdyby nie potrzeba alibi i fakt, że zabójca nie może dziedziczyć po ofierze, własnoręcznie by drania utopiła.

Wstukała datę jego urodzin. Nic. Datę swoich urodzin. Nic. Datę ślubu. Nadal nic. Zrobiła dokładnie to samo od tyłu. Potem wpisała swoje imię w przeróżnych konfiguracjach, od pospolitej Marty, którą była, na Martusi kończąc. Gniewnie spojrzała na telefon komórkowy, który zasygnalizował, że dostała MMS.

Zerknęła na zdjęcia. No jasne, ta świnia Tadzik miał zwyczajny notes, ale nie, Tobiaszek musiał iść z duchem czasu i wszystko wciepielić w ten pieprzony komputer.

Zaraz, zaraz... Co to, do cholery, jest PKF256? Z niedowierzaniem przeglądała kolejne zdjęcia przesłane jej przez Jolkę. Jakim cudem ma być w najbliższy poniedziałek o dziewiątej rano w miejscu oznaczonym jako PKF? A te cyfry? Numer domu? Numer lotu? Co to, kurde, jest? Dokładnie tak zapytała Jolkę dwanaście sekund później, gdy ta odebrała telefon.

– Co to, kurde, jest? – wysyczała wściekle do przyjaciółki.

– Terminarz – wyszeptła w komórkę Jolka, mimo że miała więcej szczęścia niż Martusia i Kama, gdyż była sama w domu.

Ten drań znowu gdzieś pognał, nie mówiąc dokąd. Swoje rzeczy zostawił w gabinecie, do którego również miała dorobiony klucz.

– Co?? – Martusia nie dosłyszała jej odpowiedzi.

– Terminarz! – odparła już normalnym, a nawet lekko podniesionym głosem Jolka, uświadamiając sobie, że tylko święty Antoni, patron rzeczy zagubionych, mógłby ją usłyszeć.

– To jest terminarz? Nie rozumiem z tego ani słowa. – Marta nadal mówiła z trudem, za wszelką cenę usiłując opanować szczękościsk, zwiastujący chyba jakiś atak nerwowy. Zawsze gdy bardzo się zdenerwowała, z jej twarzą działo się coś dziwnego, mięśnie sztywniały, zamieniając się w kamień.

– Ja też nie – wyznała Jolka. – Nie dość, że ta szuja trzyma wszystko w zamkniętej szufladzie w zamkniętym na cztery spusty gabinecie, to jeszcze szyfruje kalendarz. On ma paranoję, Martusia. Mieszkam w jednym domu z paranoicznym gnojem.

– Ja chyba też – wyznała tamta. – Tobiaszek ma hasło na laptopie. Nie mogę wejść do plików, a normalnego kalendarza nie używa. Jak teraz zdobyć jego plan dnia?

– Czekaj... – Jolka zastanawiała się szybko. – Jak jest taki zelektronizowany, to może ma też w komórce? Sprawdź jego telefon.

– Dobry pomysł. – Martusia czuła, jak powoli opada z niej napięcie. O tym nie pomyślała, a powinna. W końcu to ona ogląda wszystkie kryminalne seriale i programy. Chwilę później zawołała podekscytowana: – Jest! Jolka, jesteś boska! Zaraz go... O... o... – Zacięła się na widok wiadomości, którą odczytała zupełnie przypadkiem. – O...

– Co o? – zdziwiła się Jolka, wychodząc z gabinetu Tadzika. Dwukrotnie przekręciła klucz w zamku, jak zwykł to robić mąż.

– Zabiję go! – wysyczała rozeźlona Martusia, rozłączając się. Nie zwracając uwagi, że zostawiła włączony laptop i trzyma w ręku oba telefony, i swój, i męża, pobiegła na górę.

Wpadła do łazienki, gdzie zaskoczony Tobiasz Skalka właśnie zamierzał wyszorować plecy specjalną myjką.

– Przyszłaś umyć mi plecy? – zapytał.

– Plecy? Mam ci umyć plecy?! Ty draniu! Ja ci zaraz... Ja ci... – Rozeźlona Marta rozglądała się po łazience, szukając nie wiadomo czego i nie wiadomo po co.

– Czy ty masz w ręku mój telefon? – rozgniewał się Tobiasz, nie zważając na wściekłą minę żony. – Natychmiast mi go oddaj! – krzyknął ze złością, doprowadzając Martusię do białej gorączki.

Ten zdrajca jeszcze śmiał podnosić na nią głos! O nie. Tego było już za dużo.

– Ależ bardzo cię proszę. – Podeszła do wanny i wrzuciła aparat do gorącej wody.

– Ty suko! – Wściekły Tobiasz, który nigdy wcześniej nie podniósł ręki na żonę i dręczył ją głównie psychicznie, tym razem zamachnął się pięścią w jej kierunku, choć w pozycji, w której się znajdował, dosięgnięcie całkiem zwinnej małżonki było zdecydowanie niemożliwe. – Wiesz, co zrobiłaś?! Miałem tam wszystkie kontakty! – Sięgnął po utopiony telefon i już bardziej z rozpaczą niż ze złością zawołał: –

I co ja mam teraz zrobić?!

– Wyszusz go sobie. – Podeszła do stojącej przy wannie szafki, na której leżała suszarka do włosów, i pchnęła ją wściekle w kierunku męża.

Tobiasz nieudolnie próbował złapać zsuwającą się suszarkę, lecz bez powodzenia. Suszarka wpadła do wanny. Była podłączona do gniazdka. Tego, co się stało potem, Martusia nie mogła zapomnieć do końca życia. Do tej pory takie sceny oglądała tylko w filmach. Jej małżonek otworzył usta, ale nie wydobył się z nich najmniejszy dźwięk. Jego ciało natomiast trzęsło się przez chwilę jak w ataku epileptycznym, a potem nagle znieruchomiało i powoli osunęło się na dno wanny.

Martusia, nie czekając na ciąg dalszy, przerażona tym, co zrobiła, i tym, co ją za chwilę może spotkać, rzuciła się do ucieczki. W panice wypadła przez drzwi frontowe dokładnie tak, jak stała, trzymając w zaciśniętej dłoni własny telefon komórkowy, i pobiegła przed siebie, ile sił w nogach. Zatrzymała się, dopiero gdy zaczęło brakować jej tchu. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Na szczęście znalazła się u zbiegu dwóch całkiem ruchliwych ulic, gdzie dostrzegła przejeżdżającą taksówkę. Machając szaleńczo ręką, zatrzymała kierowcę, a potem z niemałym trudem wydusiła z siebie adres Jolki. Mimo natłoku myśli i emocji uznała, że to znacznie bezpieczniejsze schronienie niż dom wścieklej Kamelii. Jolka na pewno będzie wiedziała, co robić. W końcu to był jej pomysł!

Sandra z rozbawieniem spoglądała na łysiejącego tłuscioszka w za ciasnych slipach. Tadeusz Markiewicz – bo o niego chodziło – tym razem nie stanął na wysokości zadania. Krótko mówiąc, jego mały przyjaciel odmówił posłuszeństwa.

– Jesteś do niczego! – warknął, wciągając pogniecione spodnie. – Żadnej iskry...

Według Sandry wyglądał śmiesznie. Brzuch wylewał mu się zza paska, bladą klatkę piersiową tu i ówdzie porastały rachityczne włoski. A do tego chude ramionka i zwisająca grdyka. Facet był ewidentnie zaniedbany, choć nie miał pięćdziesiątki. Niewiele mu brakowało, ale uznała, że Markiewicz zejdzie przed sześćdziesiątką. Co nie oznaczało, że zamierzała tak długo czekać, aż ta kanalia da jej spokój.

Wzruszyła ramionami i wstała z łóżka.

– Nie muszę cię lubić – powiedziała. – Jestem w sytuacji bez wyjścia, czyż nie? Sam zauważyłeś, że nie mam szans pociągnąć cię za sobą na dno. Ja się utopię, a po tobie wszystko spłynie.

– Zgadza się – stwierdził z zadowoleniem. – I radzę ci o tym nie zapominać.

– Wierz mi, nie zamierzam. Zbyt ciężko pracowałam, żeby znaleźć się tu, gdzie jestem, i nie zamierzam dać się wykopać z mojego nowego życia – odparła gorzko. – Jestem dobra w tym, co robię. Coś mi się należy.

– Do czego zmierzasz? – zapytał podejrzliwie.

– Chcę tego nowego klienta.

– Zwariowałaś – zarechotał. – Nie dasz rady. Nie masz doświadczenia.

– Nie, ale ty masz. Mogłabym się wiele nauczyć, gdybyś dał mi szansę. Wiesz, że sobie poradzę.

– Niby dlaczego miałbym ci na to pozwolić? – Z rozbawieniem obserwował Sandrę.

Mimo że ją szantażował i traktował jak ostatnią szmatę, usiłowała jeszcze coś ugrać dla siebie. Twarda sztuka.

– Przysługa za przysługę – oświadczyła twardo. – Obsłużyłam twoich dwóch kumpli na bankiecie. I pozwałam im tu przychodzić. Ale chcę coś z tego mieć. W przeciwnym razie od razu mogę się przenieść na głuchą prowincję i odwalać papierkową robotę za marne grosze. Jeśli mam się pieprzyć z tobą i tymi dwoma, chcę mieć szansę w firmie. Oboje wiemy, że prędzej czy później znudzisz się i mnie wykopiesz. Ale dopóki tak się nie stanie, zamierzam pracować na swoje nazwisko i ty mi w tym pomożesz.

– A jak nie?

– Jutro składam wypowiedzenie. Nie mam powodu, by zostać w firmie i cię obsługiwać – odparła z pogardą, której już nawet nie kryła.

– Jesteś tylko zwykłą dziwką. I to niezbyt dobrą. – Na jego twarzy odmalowała się wściekłość.

– Może twoja tłusta żonka lepiej się spisuje? – zapytała z ironią. Nie wycofała się, gdy do niej podszedł. Patrzyła mu prosto w oczy, wiedząc, że nie odważyłby się jej uderzyć. – No proszę cię – zmieniła nagle ton na miękki i uległy. – Oboje możemy dostać to, czego chcemy. – Dotknęła paska jego spodni. Spojrzała na niego spod rzęs i dodała: – Mogłabym asystować przy tej umowie. Nic więcej. Tylko asystować...

Martusia nie uprzedziła Jolki, że do niej jedzie. Nie mogła wykrztusić ani słowa. Włożyła kciuk do ust i ssała całą drogę.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział kierowca, zatrzymując się przed dwupiętrowym budynkiem otoczonym wysokim na dwa metry metalowym parkanem. Gęsty żywopłot skutecznie zasłaniał posesję. – Czterdzieści pięć złotych. Paragon czy faktura?

– Płose cekać – wysepleniła, nie wyjmując palca z ust. Wskoczyła z auta i podbiegła do furtki. Wcisnęła guzik domofonu.

– Tak?

– To ja.

– Jakie ja?

– Maltusia.

– Kto?

– Maltusia.

– Martusia?

– Przecież mówię. Mas kase?

– Co mam?

– Kase.

– Pieniądze? No mam, a co?

– Tzeba zapłacić.

– Co zrobić?

– Zapłacić. Kielowcy.

– Nic nie rozumiem – zdenerwowała się na dobre Jolka, nie rozumiejąc, dlaczego właściwie rozmawiają przez ten cholerny domofon i co Martusia, jeśli to rzeczywiście ona, robi u niej pod domem o dziewiątej wieczorem, zamiast siedzieć w domu i odcyfrowywać zapiski tego wieprza, którego ona, Jolka, ma nieszczęście być żoną. – Wejdz.

Wcisnęła klawisz odblokowujący zamek furtki, a sama podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież. Martusia już biegła do niej wąskim chodnikiem, prowadzącym do schodów.

– Co się dzieje? Co ty tu robisz? – Zdenerwowana Jolka rozglądała się dookoła, jakby sama obecność przyjaciółki w jej domu była podejrzana i zwiastowała rychłe zjawienie się policji.

– Musiałam tu psyjsc. Musis mi pomóc – wysepleniła tamta.

– Wyjmij palec z ust i mów normalnie – zażądała Jolka.

– Nie mam kasy. Taksówka. – Marta drżącym palcem wskazała na stojący pod domem samochód. – Błagam, nie pytaj telaz. Zapłać. – Na powrót włożyła palec do ust. To ją uspokajało. I było znacznie mniej obrzydliwe od obgryzania paznokci czy skórek.

Jolka spojrzała na nią uważnie. Martusia miała rozmazany makijaż. Smugi na policzkach świadczyły

o łzach. Do tego drzące wargi i dłonie, kciuk w ustach, niechlujne ubranie, rozczochrane włosy i tenisówki na nogach. Zimny dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie. Zrozumiała, że stało się coś złego. Coś bardzo, bardzo złego.

– Wejź do domu. Wszystkim się zajmę – powiedziała łagodnie, popychając przyjaciółkę w kierunku drzwi i jednocześnie machnęła uspokajająco ręką do spoglądającego w ich kierunku taksówkarza.

– Jak to, nie żyje? – zapytała z osłupieniem dziesięć minut później, gdy siedziały już w jej garderobie na piętrze, gdzie nie zaglądał nikt poza samą Jolką, a relanium, które zaaplikowała Martusi, wreszcie zaczęło działać.

– Nie żyje – powiedziała z rozpaczą tamta.

– Ale jak to się stało?

– Nie wiem, jak to się stało. Jakoś tak samo wyszło.

– Zabiłaś go?

– Nie wydaje mi się.

– Nie wydaje ci się?

Jolka nic nie rozumiała. Jeszcze przed chwilą Marta nie była w stanie mówić, szczękała tylko zębami, a teraz udzielała nader enigmatycznych i niezrozumiałych odpowiedzi.

– Więc jednak żyje?

– Nie sądzę.

– Nie sądzisz?

– Nie sądzę – powtórzyła z uporem winowajczyni. – Ale jest taka możliwość.

– Możliwość? – Jolka rozumiała, że powtarzanie słów Martusi nic nie da, mimo to powiedziała jeszcze raz: – Możliwość?

– Możliwość – potwierdziła tamta, patrząc na nią ogromnymi, błękitnymi oczami skrzywdzonego dziecka.

– Zaczekaj tutaj – poleciła jej Jolka.

– Dobrze – zgodziła się potulnie.

Środki uspokajające Jolki zaczęły działać; Martusia, w dalszym ciągu siedząc na szafce na buty, oparła się wygodnie o ścianę i uśmiechnęła tępawo. Po czym zamknęła oczy i odpłynęła w słodki niebyt.

Tymczasem Jolka po wyjściu z garderoby upewniła się o miejscu pobytu swojej rodziny. Dzieciaki wróciły, ale nie miała siły dociekać, gdzie i z kim przebywały, ani w jakim teraz są stanie. Tadzika nie było. Diabli wiedzą, gdzie się szlajał. Ale teraz, gdy jego los został przypieczętowany, miała to w głębokim poważaniu. Zdradza ją czy chleje, wszystko jedno.

Wróciła do garderoby. Martusia spała już w najlepsze. Przez moment Jolka zastanawiała się, czy jej gdzieś nie przenieść, ale ostatecznie postanowiła nie ruszać przyjaciółki. Marcie było chyba wygodnie, a jak nie, to jej problem. Ona ma większy. Po pierwsze – nie wiadomo co dziś się wydarzyło u Skalków, po drugie – nie miała pomysłu, jak się tego dowiedzieć, po trzecie – Tadzik kiedyś wróci do domu i lepiej, żeby się nie natknął na Martusię, będącą w takim stanie. Dopóki ta siedzi w garderobie, szanse, że na siebie wpadną, są równe zeru.

– Czyli postanowione, śpi tutaj – powiedziała do siebie.

– Kto śpi tutaj? – zapytała zdezorientowana Kamelia, która odebrała połączenie i usłyszała ową dość dziwną uwagę.

– To nie było do ciebie, tylko do mnie. Szybko odebrałaś... – powiedziała Jolka.

Pogrążona w głębokich rozmyślaniach, odruchowo zadzwoniła do Kamy, nie do końca zdając sobie

sprawę z tego, co robi.

– Wszystko gra? – zaniepokoiła się tamta, ścisząc głos, by za chwilę jej małżonek nie zaczął się domagać informacji, z kim rozmawia i dlaczego, do cholery, o tej porze. Na wszelki wypadek wycofała się do kuchni, gdzie nie powinien zaglądać.

– No właśnie nie sędzę – odrzekła Jolka dość markotnie. – Sprawa wygląda tak: Martusia w stanie hysterii przyjechała do mnie taksówką i bez pieniędzy. Jest możliwość, że jej mąż nie żyje. Ale jest możliwość, że żyje. Ostatecznie nie wiem, na czym stanęło – szybko zrelacjonowała sytuację.

– Jasna ciasna... – zakłęta Kamelia. – Mój miał być pierwszy! – wysyczała do telefonu scenicznym szeptem, zaciskając wolną rękę na pasku szlafroka. – Jak ona mogła?! Zdrajczynie!

– Nie wiemy, co się stało – zauważyła łagodnie Jolka, próbując uspokoić rozeźloną przyjaciółkę.

– Daj mi ją natychmiast do telefonu! – zażądała Kama.

– Śpi.

– Jak to, śpi?! W takiej sytuacji ona śpi?! – Nie wierzyła własnym uszom.

– Dałam jej relanium. No może dwa... Ale chyba połknęła ze trzy... – Usiłowała sobie przypomnieć, ile dokładnie tabletek wcisnęła w Martusię, a ile tamta wyszarpnęła z listka, który ona, Jolka, trzymała w ręku.

– Jasny gwint! Czyli jest możliwe, że w jej domu leży... jej mąż? – W ostatniej chwili zrezygnowała ze słowa „trup”, na wypadek gdyby jednak ktoś je podsłuchiwał.

– Jest taka możliwość – potwierdziła głucho Jolka. – Na wszelki wypadek trzymam ją w garderobie, żeby nikt jej tu nie zobaczył. Nie wiem, co mam z nią zrobić, jak się ocknie.

– Jak się ocknie, to najpierw dowiedz się czegoś więcej o tych jej „możliwościach”. – Kama nie kryła urazy. – Jak ona mogła to zrobić? To nie była jej kolej, tylko moja! Ja miałam być pierwsza!

– Ja, ja, ja... – przedrzeźniała ją Jolka. – Ty się lepiej martw tym, co robi jej leżący mąż, jeśli nie jest do końca leżący! A jak Martusia nas wsypie?

Kamelia umilkła, a trybiki w jej mózgu zaczęły pracować w przyśpieszonym tempie. Nie do końca rozumiała, o co chodzi Jolce. Albo Martusia zabiła męża, albo go nie zabiła. Czyżby zabiła go tylko trochę? Wolą nie dopytywać się przez telefon.

– Nie wypuszczaj jej z domu, dopóki wszystkiego się nie dowiemy – zdecydowała. – Przyjadę do ciebie zaraz rano, jak tylko Maciej pójdzie do pracy. Coś wymyślimy. Ale potem ja jestem następna! – Kama czuła, że zachowuje się jak rozhisteryzowane dziecko, lecz jeszcze miesiąc, a mąż przestanie podejrzewać u niej bulimię. Ciągłe wymioty skutkują ubywkami masy ciała, a nie jej przybywaniem.

Rankiem, po wyjściu Markiewicza, Sandra otworzyła okno i długo wietrzyła pokój. Mimo to wciąż miała wrażenie, że mieszkanie, ona sama, powietrze, słowem wszystko wokół jest przesiąknięte smrodem jego potu. Do tego jeszcze został na noc. Wcisnęła pościel do automatu, choć najchętniej wyrzuciłaby ją do śmieci. Miała tylko nadzieję, że ten drań dotrzyma słowa i weźmie ją do obsługi nowego klienta. Potrzebowała tylko kilku tygodni, by pokazać, ile jest warta. W tym czasie opracuje i zrealizuje plan, który pozwoli jej pozbyć się zarówno Markiewicza, jak i jego obrzydliwych przyjaciół, a jej samej da możliwość utrzymania się w firmie.

Tadeusz Markiewicz dziarsko wmaszerował do domu. Nie zamierzał tłumaczyć się przed żoną. W końcu to on zarabia na dom i na nią. Gdyby zachowywała się jak prawdziwa kobieta, nie musiałby korzystać z usług dziwek. Ostatecznie to jej wina. Z tą myślą wszedł na piętro, gdzie Jolka właśnie wychodziła ze swojej garderoby na korytarzu.

– Cześć, kochanie! – zawołała pogodnie. – Wpadłeś się przebrać?

– He? – zdębiał. Zamiast awantury, pytań, dociekań, podejrzliwych spojrzeń – radosne powitanie. Coś tu było nie tak.

– Musisz być wykończony – ciągnęła Jolka, czując, jak uśmiech wykrzywia jej twarz w jakimś przedziwnym grymasie. – Nie powinieneś tak ciężko pracować. Mam nadzieję, że twoi klienci to doceniają.

– Co? – Nadal nie mógł wykrztusić z siebie nic więcej poza monosylabami.

– Mogłeś chociaż zadzwonić, że zostajesz w biurze. – Jolka usilnie patrzyła mu w oczy, za wszelką cenę starając się udawać, że nie widzi szminki na kołnierzu koszuli nadal żywego męża, choć tylko strach, że ten mógłby odkryć niespodziewanego gościa w garderobie, powstrzymywał ją przed pójściem do kuchni, wzięciem tasaka i rozwaleniem Tadeuszowi tej świńskiej twarzy. – Pewnie zasnęłeś nad papierami?

– Tak. Tak było – przyznał. – Nie mam teraz czasu. Przygotuj mi czysty garnitur i koszulę – polecił. – Za godzinę spotykam się z klientem. Nie mam czasu na pogaduszki.

– Wiem, kochany. – Jolka zmusiła się, by podejść i pocałować go w nieogolony policzek. – Garnitur leży na łóżku, wyprasowałam ci dwie koszule. Nie wiem, czy wolisz tę błękitną czy białą. Sam zdecyduj. Przygotować ci jakieś śniadanie? Zdązysz jeszcze coś zjeść?

– Nie, nie mam czasu. Zrób mi kanapki – oznajmił łaskawie, sam nie wiedząc, czy cieszy go naiwność żony, czy irytuje jej tępota. Gdzie on miał oczy, jak się żenił z tą rozlazłą krową?

– Jak sobie życzysz, kochanie – odpowiedziała potulnie, schodząc na dół i nie oglądając się na męża, by nie dostrzegł w jej oczach żądy mordy, co mylnie mógłby wziąć za namiętność lub inne uczucie, które już dawno w niej wygasło.

Na szczęście Martusia zdążyła rozwiązać problem potrzeb fizjologicznych około szóstej rano, gdy dzieciaki jeszcze spały, a Tadzik urzędował nie wiadomo gdzie z nie wiadomo kim. Była też na tyle przytomna, by zrozumieć, że ma siedzieć cicho w ukryciu, póki Jolka po nią nie przyjdzie.

Na szczęście Jolka miała własną garderobę, przerobioną ze schowka, służącą bardziej jako składzik niepotrzebnych kłopotów niż do celu, do którego była przeznaczona. Tadzik nie życzył sobie mieszania swoich ubrań z rzeczami małżonki, toteż musiała się wyprowadzić ze wspólnej garderoby urządzonej przy sypialni, i zorganizować sobie własną.

Szkoda, że z sypialni mnie nie wywalił, pomyślała z nagłą złością. Nie musiałyby słuchać jego chrząkania, chrapania i pierdzenia. Czy wszyscy mężczyźni z upływem czasu stają się tak obrzydliwi? – zastanawiała się, szykując mu kanapki.

Pół godziny później, po wyekspediowaniu dzieci do szkoły, które polegało na wciśnięciu im do rąk po dwie dychy na śniadanie i krótkim pożegnaniu, zatrzasnęła drzwi, upewniwszy się, że jej pociechy wyszły z domu.

Chwilę potem zjawiła się Kamelia. Zdenerwowana, bladozielona, przestępowała z nogi na nogę, dopytując się bez tchu:

– I co? I jak? Wiesz już coś? Powiedziała ci? Gdzie ona właściwie jest?

– Zupełnie cię nie poznaję – stwierdziła z niesmakiem Jolka. Cięża zdecydowanie nie wpływała pozytywnie na przyjaciółkę. Ta cyniczna twardzielka zamieniła się w kłębek nerwów. – Zachowujesz się jak histeryczka.

– Gdybyś rzygała jak kot każdego ranka, wieczora i popołudnia, też byś miała nerwy w strzępach – oznajmiła tamta, bynajmniej nieurazona tą uwagą. – Gdzie Marta?

– W garderobie. – Jolka pokazała gestem, że Kama ma iść za nią. – Nie było jeszcze okazji, żeby z nią pogadać. Za dużo się działo. Ta świnka wróciła rano nabuzowana hormonami, ze śladami szminki na koszuli. Udałam, że nic nie widzę, ale mam nadzieję, że będzie zdychał bardzo, bardzo wolno.



Martusia siedziała na podłodze, usiłując przyjąć pozycję lotosu, co w jej stanie nie było łatwe. Na zmianę dostawała szczykościsku albo kurczu dłoni lub stopy i co rusz musiała je rozmasowywać.

– Mam za mało magnezu – powiedziała żałośnie, gdy rozsunęły się drzwi w ścianie i stanęła w nich Jolka.

Dopiero widok Kamy, która weszła tuż za tamtą, spowodował, że Martusia zapomniała o wszelkich niedoborach minerałów.

– To było niechcący! Naprawdę! Wiem, że nie tak się umawialiśmy, ale to było niechcący!

– A to skubana! Jednak go załatwiła! – bardziej z podziwem niż złością powiedziała Kama. – Mów, jak na spowiedzi, co się stało?

– Przysięgam, że to był wypadek!

– Wypadek... Dobrze pomyślane, tylko że to mój Maciej pierwszy miał mieć wypadek! – wrzasnęła na nią Kamelia. – I co teraz?! Ile będę czekać?! I co z tym całym pieprzonym obserwowaniem, planowaniem i organizowaniem?! No co?! – Bliska załamania potrząsała Martusią jak szmacianą lalką, wbijając palce w skórę jej ramion. – No co?!

– Suszarka do włosów wpadła do wody! Przysięgam, że tego nie planowałam! Przysięgam! – zaklinała się Martusia, za wszelką cenę usiłując sobie przypomnieć jakichś wiarygodnych świętych, by się na nich powołać, ale niestety, żaden nie przychodził jej do głowy. Pewnie dlatego, że nie ma takiego, który byłby patronem krętaczek i zabójczyń.

– Suszarka? – Kama zamarła. – Suszarka? – powtórzyła zdezorientowana, po czym spojrzała na Jolkę, szukając u niej potwierdzenia tego, co właśnie dotarło do jej uszu. – Czy ona powiedziała: „suszarka do włosów”?

– Owszem – przytaknęła tamta, równie oszołomiona. – Nie wiedziałam, że od tego naprawdę można umrzeć.

– Może nie można? – wtrąciła Martusia, rozcierając obolałe ramiona. – Może go tylko poraziło i tylko się utopił?

– Jak to „tylko”? – Jolka podrapała się po głowie.

– Chwila! – Kamelia uniosła dłoń do góry, nakazując im obu milczenie. – Muszę pomyśleć. Jeśli dobrze zrozumiałam, wrzuciłaś suszarkę do włosów do wody, a twój mąż się utopił?!

– Tak naprawdę to wrzuciłam do wanny jego telefon komórkowy – wyznała mężnie Martusia.

– Utopił się od telefonu? – Kama spojrzeniem szukała pomocy u Jolki, ale mina przyjaciółki wskazywała jednoznacznie, że z tej strony ratunku się nie doczeka.

– Od telefonu się zaczęło. Utopił się sam z siebie. Chyba. Nie wiem, bo nie sprawdzałam.

– Chwila! – Kamelia ponownie uniosła dłoń, nakazując im milczenie, na wypadek gdyby Martusia na powrót zaczęła gadać te swoje dyrdymały, a Jolka próbowała zadawać pytania wspomagające, by coś zrozumieć. – Może zacznij od początku – zwróciła się łagodniej do siedzącej na podłodze winowajczyni.

– No bo wszystko zaczęło się od tego, że Tobiaszek miał zahasłowany komputer. Wzięłam więc do ręki jego komórkę i znalazłam tam SMS do jakiejś kurwy. Napisał do niej: „Lody były boskie”. Jakie lody, pytam się? No, jakie?! Facet lubi tylko jeden rodzaj loda i to nie ja go robiłam. SMS też nie był do mnie. Co więcej, użył liczby mnogiej, więc ta dziwka robiła mu loda więcej niż raz. Nadążacie? – spytała Martusia, widząc osłupienie na twarzach przyjaciółek.

Obie zgodnie skinęły głowami, choć ich miny niekoniecznie świadczyły o rozumieniu czegokolwiek. Kamie i Jolce zależało raczej na poznaniu okoliczności zdarzenia, do którego Martusia zdawała się zmierzać raczej okrężną drogą.

– No to szlag mnie trafił na miejscu, a ty akurat wtedy zadzwoniłaś.

Tu spojrzała na Jolkę, która potwierdzająco skinęła głową, po czym powiedziała:

– Krzyczałaś, że go zabijesz.

– Oj, krzyczałam, krzyczałam, ale nie zamierzałam. Przynajmniej nie wtedy.

– Więc co się stało?

– Tobiaszek zapytał, czy przyszedłam umyć mu plecy. Wyobrażacie sobie?! Nie chce mnie przelecieć, gdyby nie wibrator, oszalałabym już dawno. A to, co powinno być we mnie i dać mi dziecko, wsadza do gęby jakiejś dziwki i jeszcze pisze do niej sprośne SMS-y!

– I wtedy go zabiłaś? – zapytała Jolka.

– Nie. Wtedy wrzuciłam jego telefon do wanny pełnej wody.

– O skubana! – jęknęła Kamelia. – Nie odważyłabym się!

– No... – przytaknęła równie oszołomiona Jolka.

– Potem on coś krzyczał, a ja coś powiedziałam, zdaje się, że niech sobie wysuszy ten telefon czy coś tam, i rzuciłam w niego suszarką do włosów.

– I trafiłaś go w głowę, a on się utopił? – doprecyzowała Kama.

– Nie przerywaj – zirytowała się Martusia. – Wcale nie. Utopił się wtedy, jak poraził go prąd. Bo ta suszarka była podłączona do gniazdka. I on tak jakoś zeszywniał, czy tam drgnął, czy właściwie nie wiem dokładnie, co zaszło, bo to bardzo szybko się stało. Następne, co pamiętam, to jak osunął się na dno wanny i patrzył na mnie tak jakoś nieruchomo przez wodę. – Jeszcze przez chwilę jakby zbierała myśli, po czym zakończyła z emfazą: – I uciekłam.

– Zostawiłaś w domu trupa i przyjechałaś tutaj? – Kamelia nie dowierzała własnym uszom.

– Jest taka możliwość – przyznała Marta.

– Co ty ciągle z tymi możliwościami? – zirytowała się Jolka.

– Nie sprawdzałam, czy on żyje czy nie. Skąd mam wiedzieć? – Martusia zamrugała powiekami, próbując opanować łzy, które nieoczekiwanie pojawiły się w jej oczach.

Do tej pory jakoś się trzymała, pewnie dzięki tym pigułkom Jolki. Ale chyba przestawały działać, bo nieoczekiwanie wybuchnęła spazmatycznym szlochem.

– O Boże! – wystraszyła się Jolka. – Tylko nie to! – Z doświadczenia wiedziała, że Marta może tak długo. Żadna z nich tego nie zniesie. – Może jeszcze żyje, ocknął się i wylazł z tej wanny – próbowała ją pocieszyć.

W odpowiedzi do szlochu doszły jakieś niezrozumiałe pojękiwania.

– Widzisz, co narobiłaś? – Kamelia zdecydowanie odsunęła Jolkę. – Nie martw się, na pewno jest martwy. – Poklepała Martusię po głowie jak psa.

– Tak... tak... myśl.. myśl... liś? – Marta za wszelką cenę starała się powstrzymać czkawkę, która nagle ją dopadła, jakby sam napad hysterii nie był wystarczający.

– Jasne. Nawet jak prąd go nie załatwił, to na pewno się utopił. – Kamelia uniosła podbródek przyjaciółki i zmusiła ją, by spojrzała jej w oczy. – A teraz przysięgnij na te wszystkie dzieci, które tak bardzo chcesz mieć, że to naprawdę był wypadek i nie rzuciłaś w niego suszarką celowo! – zażądała.

– Przysięgam – oświadczyła z determinacją Martusia. – Przysięgam, że to naprawdę był wypadek. Poniosło mnie, ale nie chciałam go zabić. To znaczy, tak ogólnie to chciałam, żeby umarł, ale w przyszłości. Nie wtedy, kiedy umarł. Chyba...

– Dobra. Nieważne.. Chcący czy niechcący... celowo czy przypadkowo... Musimy zdecydować, co robić – przerwała im Jolka, czując, że te wyjaśnienia mogą jeszcze potrwać.

– Jolka ma rację. – Kama rzuciła ostatnie podejrzliwe spojrzenie Martusi i oświadczyła: – Musimy znaleźć zwłoki, zawiadomić pogotowie, policję czy co tam trzeba i udawać pogrążone w głębokim szoku. A przede wszystkim ustalić jakąś wersję wydarzeń.

– Jak to, my? – zdenerwowała się Jolka. – Marta musi to zrobić. Jakim cudem któraś z nas miałaby

znaleźć zwłoki jej męża w wannie?!

Jolka pełnymi łez oczami patrzyła na przystojnego, szpakowatego mężczyznę lat około czterdziestu, z bruzdami na ogorzałej, niezbyt dokładnie ogolonej twarzy. Jego szare oczy wpatrywały się w nią przenikliwie, na nosie widać było ślady złamania. Usta, pełne i jędrne, wydawały się wprost stworzone do całowania. Nie był zbyt wysoki, ot, zaledwie kilka centymetrów wyższy od niej, miał więc może z metr siedemdziesiąt. No, może metr siedemdziesiąt jeden.

Szary sweter opinający się na szerokich ramionach i barkach przybyłego podkreślał jego muskulaturę. Mężczyzna nie nosił obrączki, nie widać też było śladu po niej; Jolka wbijała w niego swoje sarnie oczy, zastanawiając się, czy wypada flirtować z przystojnym komisarzem policji, skoro jeszcze jest mężatką, czy też raczej powinna poczekać na odejście Tadzika.

– Przepraszam, o co pan pytał? – ocknęła się z rozmarzenia, widząc, że wargi komisarza Kalinki przestały się poruszać i policjant najwyraźniej czeka na jakąś odpowiedź.

– Prosiłem, żeby pani jeszcze raz opowiedziała wszystko, co tu się wydarzyło – powtórzył cierpliwie. Świadek Markiewicz była w stanie szoku. Nic dziwnego, znalezienie zwłok dla tak wrażliwej i delikatnej kobiety musiało być nie lada wstrząsem.

– Ach, tak – szepnęła Jolka. – Przepraszam, jestem taka zdenerwowana. Nigdy wcześniej nie widziałam nieboszczyka. To było naprawdę straszne.

– Rozumiem panią. – Bartosz Kalinka przysunął stojące nieopodal krzesło bliżej sofy, na której siedziała Jolanta Markiewicz, niestety, mężatka, jak już zdołał się dowiedzieć, i powiedział z nieskrywanym żalem: – Bardzo mi przykro, ale musi pani jeszcze raz wszystko opowiedzieć.

Naprawdę tak myślał. Wprawdzie ostatni związek, po którym nadal lizał rany, co musiał ze wstydem przyznać, spowodował, że do normalnej policyjnej nieufności wobec ludzi doszła jeszcze wzmożona nieufność wobec kobiet, tym razem jednak czuł, że trafił na istotę niezwykle wrażliwą.

– Tak, tak. Oczywiście.

Uśmiechnęła się niewyraźnie, w duchu przeklinając swoje pięć do dziesięciu kilo nadwagi umiejscowione na brzuchu, tyłku i udach. Pozostałe części ciała były na szczęście w porządku, a sukienka, którą miała na sobie, powinna skutecznie kryć dodatkowe kilogramy. Na wszelki wypadek Jolka siedziała wyprostowana, wciągając brzuch tak mocno, że oddech miała płytki i przyspieszony.

– Umówiliśmy się z Martusią na poranną kawę.

– O której?

– O dziesiątej – odparła bez namysłu.

Taką godzinę ustaliły wspólnie z Kamą. I o tej godzinie przyjechały tu samochodem, z Martusią skuloną na tylnym siedzeniu, by nikt z sąsiadów jej nie zobaczył. Teoretycznie miała siedzieć w domu i czekać na swoje psiapsiółki, by potem razem pojechać do domu dziecka, w którym się udzielała. Jedynym słabym punktem tej historii była wieczorna paniczna ucieczka Marty z domu. Zważywszy jednak na fakt, że przyjaciółka dotarła do Jolki w bluzie, legginsach i wsuwanych tenisówkach, Kamelia wpadła na pomysł, by zrobić z niej biegaczkę.

– Proszę dalej.

– Przyjechałam... przyjechałyśmy kilka minut przed dziesiątą.

– My?

– Tak. Kamelia Padecka i ja. Umówiliśmy się we trzy.

– Widziałem tylko jedno auto pod domem... – wtrącił Kalinka.

– Kama przyjechała ze mną.

– Dlaczego?

– Nie wiem dlaczego. – Jolka zbaraniała. Tego akurat nie uzgodniły. Nagle ją olśniło. Przecież spokojnie może powiedzieć prawdę. – A nie, wiem. Kamelia nie ma prawa jazdy. Najpierw przyjechała do mnie taksówką. Potem razem przyjechałyśmy tutaj.

– Dlaczego od razu nie przyjechała taksówką do pani Skałki?

– Bo najpierw chciała ze mną pogadać – skłamała bez namysłu Jolka, mając nadzieję, że Kama nie chlapnie jakiejś głupoty, odmiennej od tego, co ona powiedziała.

– I potem przyjechały panie tutaj?

– Tak, potem przyjechałyśmy tutaj. – Starła się ukryć irytację. Uroda nie zawsze idzie w parze z wdziękiem, uznała. – Wypiłyśmy kawę, a Martusia zaproponowała nam wspólny wypad do domu dziecka, gdzie jest wolontariuszką. Mąż podarował jej sporą kwotę dla tych dzieci, więc miałyśmy pomoc z zakupami. I wtedy... – zająknęła się, gdyż w tym momencie stanął jej przed oczami obraz Tobiasza w wannie. To nie był miły widok.

– Co wtedy? – zapytał komisarz tak łagodnie, że Jolka zaczęła się zastanawiać, czy może jednak ten facet ma w sobie jakąś ukrytą głębię, której z racji zawodu nie może ujawniać na co dzień, mając do czynienia z różnymi przestępcami, kłamcami i mordercami.

– I wtedy poszłam na górę do łazienki. Chciałam się umalować, a nie wzięłam tuszu. A tam był... on – dokończyła dramatycznym tonem.

– Jak pani zareagowała?

– Najpierw wcale. A potem zaczęłam krzyczeć – odparła zgodnie z prawdą Jolanta.

– I?

– I przybiegła Martusia z Kamelią.

– I?

– I one też zaczęły krzyczeć.

– I tak panie krzyczały wszystkie razem?

Kalinka próbował wyobrazić sobie tę scenę, co mu się udało, choć w efekcie z trudem powstrzymywał uśmiech. Nie było to zachowanie adekwatne do okoliczności, jednak komisarz jakoś nie potrafił litować się nad denatem, gdy do tego wszystkiego przypomniało mu się powiedzenie, że na tym świecie tylko dwie rzeczy są pewne: śmierć i podatki. Skoro Tobiasz Skałka był doradcą podatkowym, można powiedzieć, że dopadły go obie nieuchronności jednocześnie. Musi opowiedzieć tę historię kumplom. Z tego, co stwierdził na pierwszy rzut oka, denat najpierw utopił telefon komórkowy podczas kąpieli, a potem próbował go suszyć. Co za kretynizm. Człowiek z jego wykształceniem i stanowiskiem powinien być rozsądniejszy. Zasadnicze pytanie brzmiało, czy taka śmierć jest możliwa. Ze sporym sceptycyzmem podchodził do owego porażenia prądem. Może facet chorował na serce? A może jednak żona miała coś wspólnego z tym przedziwnym wypadkiem.

– Zobacz się – mruknął do siebie.

– Słucham? – Jolka nie zrozumiała, o co mu chodzi. Zdecydowanie nie było to pytanie. Do czego to odnieść? Nie miała pojęcia. – Co się zobaczy? – zapytała zdezorientowana.

– Czy w tym tragicznym zdarzeniu nie brały udziału osoby trzecie – wyjaśnił z uprzejmym uśmiechem.

– No wie pan! – oburzyła się świadek Markiewicz. – Myśli pan, że go utopiłyśmy?

– Na obecnym etapie śledztwa nie wykluczam żadnej możliwości. Musimy sprawdzić i taką ewentualność.

– A sprawdzajcie sobie – zgodziła się łaskawie, choć jej oczy pełne były zawodu, żalu i wyrzutów wobec komisarza Kalinki, że nie okazał się ani trochę tak szarmancki, męski i miły, jak to sobie wyobrażała. No dobra, męski może i był, ale co do reszty zachowania, to zdecydowanie jej się nie podobała.

Powinien pozwolić, żebym się wyplakała na jego ramieniu, pomyślała rozmarzona, rozcierając palce, bo nagle poczuła w nich nieprzyjemny chłód. I w tym momencie trafiła na obrączkę, na którą spojrzała z jeszcze większym wyrzutem i urazą, jakby złoty krążek był winien temu, że komisarz Kalinka postanowił być po prostu komisarzem Kalinką i nikim więcej.

– Co działo się dalej?

– Dalej?

– Jak już panie skończyły krzyczeć? – uściślił pytanie.

– Martusia zemdląca. To znaczy Marta Skałka. Wie pan, ona jest bardzo delikatna. Kiedy zobaczyła męża w takim stanie... – Z ubolewaniem pokręciła głową. – To straszna rzecz dla kobiety. Nie wyobrażam sobie nawet, co ona czuje.

– Z pewnością było to bardzo przykre zdarzenie – skomentował Kalinka.

– Tak, na pewno – zgodziła się z nim Jolka, nie wiedząc, jak zinterpretować te słowa. Ton policjanta zdecydowanie przeczył jakimkolwiek współczuciu, jeśli takowe miało tam być.

– Jak układało się w małżeństwie pani przyjaciółki?

– Normalnie. Wie pan, jak to jest. – Wzruszyła ramionami.

– Niestety, nie wiem. Nie było mi dane – odparł z lekkim uśmiechem.

– Aha. – Jolka szybko analizowała jego słowa. – Ale w jakimś związku pan był?

– To nie jest przedmiotem sprawy – odparł chłodno.

Uśmiech nadal tkwił na jego twarzy, ale raczej cierpki. Świadek Jolanta Markiewicz bardzo niedelikatnie poruszyła temat niezwykle dla niego drażliwy. Nie mogła o tym wiedzieć, jej pytanie wystarczyło jednak, by Kalinka przestał ją lubić i wbił w nią podejrzliwe spojrzenie.

– To prawda. Chciałam tylko powiedzieć, że jak się jest z kimś naprawdę długo, to wszystko powszednie. Nie ma wielkich wzlotów ani upadków. Po prostu dopada człowieka zwyczajne życie.

– I u państwa Skałków tak było?

– Tak sądzę – odparła z namysłem. – Ale Marta nigdy nie narzekała na męża. Był spokojnym człowiekiem, chętnie wspierał jej wolontariat.

Przed przyjazdem policji uzgodniły wspólnie, że nie będą przedstawiać Martusi i jej świętej pamięci męża jako małżeństwa idealnego, bo nikt w to nie uwierzy. Zeznania muszą brzmieć jak najbardziej wiarygodnie. Niewykluczone, że nie jest to ich ostatni kontakt z policją. Nie wiadomo przecież, jak odejdą pozostali dwaj mężowie. Jolka aż poczuła zazdrość na myśl, że następny ma być mąż Kamelii. Najchętniej już dziś zostałaby wdową.

– Wolontariat?

– Tak, Martusia dość aktywnie działa w domu dziecka.

– A państwo Skałka nie mają swoich dzieci?

– Niestety – westchnęła, i to nawet nieobłudnie.

Naprawdę współczuła Martusi z tego powodu. Na szczęście problem się rozwiązał. Znajdzie sobie teraz jakiegoś miłego faceta. Jest starsza, mądrzejsza, już nie będzie czekała na motyle w brzuchu, bo te zawsze odlatują, a potem zostaje szara rzeczywistość i obcy mężczyzna przy stole.

– No cóż... Pani Skałka zemdląca. Co dalej?

– Ja starałam się ją ocucić, a Kamelia zadzwoniła pod sto dwanaście. Nic więcej nie przyszło nam do głowy. Kiedy Martusia się ocknęła, zeszyliśmy na dół, położyliśmy ją na sofie i czekałyśmy na karetkę. To chyba wszystko.

– Nie dotykały panie ciała?

– Broń Boże. – Jolka aż się wzdrygnęła.

– Żadna z pań nie sprawdziła, czy pan Skałka nie potrzebuje pomocy?

– Widział go pan? Naprawdę pan uważa, że mogliśmy mu pomóc? – Teraz naprawdę się zdenerwowała. – Chyba nie zamierza nas pan oskarżyć o nieudzielenie pomocy czy coś takiego? Przecież było widać, że to trup!

– Po czym to pani poznała, skoro nie dotknęła pani ciała?

– Bo leżał pod wodą, nie oddychał, miał wytrzeszczone i nieruchome oczy. To mało?

Autentycznie się zdenerwowała. Chyba nie oskarżą ich o to, że nie reanimowały Tobiasza? Ci z pogotowia też tego nie robili. Od razu powiedzieli, że zbyt dużo czasu upłynęło od utonięcia. No dobrze, nie od razu. Słyszała jednak, jak jeden z ratowników mówił to, gdy dzwonił na policję.

– Hm... – mruknął komisarz. – No dobrze, na razie to wszystko. Proszę przejść do kuchni i poprosić panią Kamelię Padecką.

– Oczywiście – burknęła Jolanta, wstając, i posłusznie udała się we wskazanym kierunku.

Kilka minut później Kama siedziała na tej samej sofie naprzeciwko tego samego policjanta i przyglądała mu się czujnie, nie poddając jednakże analizie jego walorów fizycznych.

Zastanawiała się właśnie, czy to on będzie prowadził ewentualne dochodzenie w sprawie śmierci jej męża, który miał odejść pierwszy, ale Martusia musiała narozrabiać. Była przekonana, że przyjaciółkę poniosło i rzeczywiście zabiła przypadkowo, bo przecież nie wpadłaby na tak idiotyczny sposób uśmiercenia Tobiasza. Nie zmieniało to wszakże faktu, że chciała się go pozbyć, więc może zrobiła to przez przypadek, ale za to celowo?

A może i dobrze się stało, powiedziała sobie w duchu. Przynajmniej będę miała już jakieś doświadczenie w przesłuchaniu, pomyślała. Będę wiedziała, o co pytają i na co mam zwrócić szczególną uwagę, uznała.

– Proszę opowiedzieć, co tu zaszło – zażądał całkiem przystojny policjant, choć zupełnie nie w jej typie. Za stary.

– Jolka poszła do łazienki. Krzyknęła. Martusia i ja pobiegłyśmy na górę. Zobaczyłyśmy Tobiasza martwego. Zadzwoniłyśmy po was. Wszystko – zreferowała krótko, nie chcąc się wdawać w niepotrzebne szczegóły, bo tak do końca nie wiedziała, czy Jolka czegoś nie chlapanęła.

– Hm... Byłyście panie umówione na kawę?

– Tak, babskie pogaduchy – przytaknęła sucho.

– Dlaczego zatem najpierw pojechała pani taksówką do pani Markiewicz, a dopiero potem wspólnie do pani Skałki? Trasa do pani Skałki jest znacznie krótsza niż do domu pani Markiewicz.

– Chciałam najpierw pogadać z Jolką – oświadczyła z przekonaniem.

Tego pytania nie przewidziały. Nie miała pojęcia, co powiedziała Jolka.

– O czym?

– Właściwie o niczym szczególnym. Takie tam plotki... – Wzruszyła ramionami. – Nawet nie pamiętam dokładnie. Wie pan, teraz wszystkie te sprawy wydają się nieistotne. Nie wiem, jak Martusia sobie poradzi z tym wszystkim. Byli dobrym małżeństwem. – Westchnęła ciężko, starając się zmienić temat; miała nadzieję, że komisarz tego nie zauważy.

– Pani Markiewicz zeznała, że takim sobie.

– Może i tak. Ale nie kłócili się ani nic z tych rzeczy. Tobiasz chętnie finansował żonę. Czego chcieć więcej?

– No właśnie... Czego chcieć więcej? – Zmierzył ją tak zimnym wzrokiem, że aż poczuła ciarki na plecach. – Rozumiem, że pani małżeństwo jest podobne do małżeństwa państwa Skałków?

– Co pan ma na myśli? – Kamelia gniewnie zmarszczyła brwi, czując, że w tym pytaniu kryje się obraza, choć nie potrafiła wskazać gdzie.

– Że ma pani równie dobre małżeństwo, jak pani Skałka – wyjaśnił Bartosz, nie kryjąc ironii.

– Można tak powiedzieć. Nie narzekam. Ale co to ma do rzeczy? – Spojrzała na niego zaczepnie, odrzucając do tyłu rude włosy.

– Zupełnie nic. – Uśmiechnął się cierpko. – No dobrze. Siedziałyście panie w pokoju i piłyście kawę.

– W salonie – poprawiła go.

– A tak... Oczywiście. W salonie. Proszę wybaczyć tę pomyłkę – zakpił. – I co się wydarzyło?

– Jolka poszła do łazienki. Usłyszałyśmy krzyk. Pobiegłyśmy na górę. I znalazłyśmy go... – zreferowała sytuację.

– Dotykała pani zwłok?

– No co pan! – Aż się wzdrygnęła. – Nigdy w życiu.

– Możliwe, że pan Skałka jeszcze żył...

– Tak pan sądzi? – zaniepokoiła się Kamelia. – Nie wydaje mi się. Miał taki wytrzeszcz oczu. I z jego ciałem stało się coś dziwnego. Jakby napuchł czy coś... Nie, nie, on już zdecydowanie nie żył... Zresztą jak przyjechała karetka, to wcale go nie reanimowali, tylko zadzwonili po policję. Na pewno był martwy.

– Jak zareagowała pani Skałka?

– Na przyjazd karetki i policji? – Kameł zdziwiło to pytanie, bo niby jak Marta miałyby zareagować.

– Nie, na śmierć męża.

– Zemdląca. Teraz też jest w kiepskim stanie. Lekarz dał jej coś dożylnie – wyjaśniła.

To była jedyna rzecz, co do której nie musiały udawać; na widok ciała Tobiasza Martusia naprawdę wpadła w histerię. Najpierw dostała szczękościsku, a teraz spała jak suseł. Kama czuła, że gdyby nie dziecko, sama chętnie by poprosiła o coś dożylnego, żeby mogła odpłynąć i obudzić się, jak już będzie po wszystkim. A to nawet nie był jej mąż.

– Nie mieli dzieci? – dopytywał się dalej policjant, notując coś w niewielkim kajecie. Kama nie miała pojęcia, co mógł zapisywać. W końcu nic ważnego nie powiedziała, skoro on sam o nic ważnego nie pytał.

– Nie, nie mieli.

– Dlaczego?

– Mnie pan o to pyta? – odparła ze zdziwieniem.

– Pani Skałki nie mogę, bo śpi.

– No tak... – przyznała Kama, mając nadzieję, że ten facet nie umie czytać w myślach. Przecież gdyby nie odmowa posiadania dzieci, Tobiasz Skałka z pewnością nadal by żył. – Młodzi byli jeszcze. Mieli czas – powiedziała.

– Czyli planowali dzieci?

– Nie wiem, czy planowali. – Wzruszyła ramionami.

– Jak na przyjaciółkę niewiele pani wie – skwitował ironicznie Bartosz.

– Jak na przyjaciółkę przystało, powinnam być teraz przy Martusi, a nie odpowiadać na głupie pytania – zirytowała się, mierząc go swoim najbardziej wzgardliwym spojrzeniem, starannie opracowanym na różne okazje.

– Wobec tego nie będę zabierał pani więcej czasu. Ostatnie pytanie: pan Skałka był raczej majętny...

– Tak pan sądzi? – Kamelia, udając zdumienie, rozejrzała się teatralnie po sporym salonie, w którym się znajdowali.

Komisarz Kalinka nie dał się wyprowadzić z równowagi. Nie mrugnawszy okiem na tę jawną impertynencję, dokończył pytanie:

– Czy zostawił testament?

– Tego nie wiem.

Kamelia zmarszczyła brwi, zastanawiając się gorączkowo nad pewną istotną kwestią. Przyszła jej bowiem do głowy straszna myśl. Co będzie, jak Maciej umrze, a okaże się, że w testamencie nie zostawił jej ani grosza? Niemożliwe, stwierdziła stanowczo. Tylko nie to! Ale może wcale nie spisał testamentu? Szlag! Trzeba się dowiedzieć.

Kalinka przez chwilę przyglądał się świadek Padeckiej. Kobieta wyraźnie usiłowała sobie coś przypomnieć. Czekał jeszcze minutę, lecz gdy stało się jasne, że doszło do jakiegoś zawieszenia procesów myślowych i nic więcej nie usłyszy, wytrącił ją z tego stanu, mówiąc:

– Dziękuję. Na dziś to wszystko.

Martusia zamrugała oczami. Sufit był zdecydowanie obcy. Podobnie jak pościel, którą czuła pod dłonią. Jakaś taka... No cóż, nie wiedziała jaka, wiedziała jednak, że to nie satyna.

Najgorszy był ten sufit. Taki bez życia. Taki zwyczajnie biały. Zupełnie jak w szpitalu. Albo w więzieniu. O Boże, zamknęli mnie! – pomyślała z rozpaczą. Ale jak? Kiedy? Jak mogła tego nie pamiętać? Czy to amnezja? Ostatnia myśl doprowadziła ją do takiej rozpacz, że poczuła, jak cała sztywnieje z napięcia. Jest w więzieniu i ma amnezję!

Dźwięk otwieranych drzwi niemal ją ogłuszył. Brzmiał przeraźliwie, przenikliwie i kłócił się z ciszą panującą za kratami. Z przerażenia zamknęła oczy. Ale zaraz, zaraz... Jakimi kratami? W oknach nie dostrzegła krat, a powinny być. Coś tu jest nie tak. Może to jednak nie więzienie, pomyślała z nadzieją, nie mając odwagi otworzyć oczu, w obawie, że zobaczy strażnika więziennego i wtedy jej podejrzenia staną się rzeczywistością.

– Martusia? Śpisz?

Głośny szept koło ucha spowodował, że wreszcie oprzytomniała i przeraźliwie wrzasnęła. Nie wiedziała, czy ze strachu, czy aby dać ujście napięciu, ale zaraz poczuła się lepiej. Problem w tym, że teraz nie mogła przestać krzyczeć.

– Nie wrzeszcz, bo wszystkich pobudzisz! – Zdenerwowana i wystraszona Jolka złapała ją za ramię i potrząsnęła nią mocno.

Ogromne błękitne oczy spojrzały na nią z lękiem, ale krzyk nie ustawał. W tej sytuacji Jolce zostało tylko jedno. Wymierzyła Martusi solidny policzek. Pomogło. Cisza, która nastąpiła, w tym momencie przyniosła ulgę.

I Tadeusza.

Wparował do pokoju gościnnego w piżamie w słoniki, podarowanej przez wdzięcznego klienta. Ów klient, zdaniem Jolki, był co najmniej dziwny. W końcu kto kupuje dorosłemu facetowi piżamę w słoniki?

– Co tu się, do cholery, dzieje! – Znak zapytania zaginął w wykrzykniku, który umieścił na końcu zamiast pytajnika.

Przerażona Martusia usiadła gwałtownie na łóżku i znów otworzyła usta. Jolka wolała nie wnikać, czy przyjaciółka zamierza się przedstawić, czy znów zacznie wrzeszczeć, toteż na wszelki wypadek spojrzała na nią groźnie i wysyczała:

– Ani się waż.

Martusia nie wiedziała, czego ma się nie ważyć robić, dlatego na wszelki wypadek zastygła w bezruchu. Mrugała tylko powiekami jak przerażony królik.

– Tadziku – Jolka stanowczym tonem zwróciła się do męża – to Marta Skałka. Moja przyjaciółka.

– A co ona tu robi? – Wymierzył palec w stronę łóżka, gdyby żona miała wątpliwości, o kogo pytał.

– Wczoraj zmarł jej mąż. Martusia potrzebuje wsparcia – wyjaśniła.

– A dlaczego to wsparcie ma dostawać tutaj?



Tadeusz Markiewicz od lat nie posiadał umiejętności okazywania empatii. Praca prawnika skutecznie wyleczyła go z wszelkich odruchów człowieczeństwa. Umiejętnie współczuł swoim klientom, w rzeczywistości mając ich osobiste problemy tak głęboko w dupie, że czasami się zastanawiał, jakim cudem jeszcze nie dostał skrętu kiszek.

Przyjaciele powinni być przede wszystkim użyteczni. Tadeusz był nawet gotów do świadczenia im pewnej pomocy czy utrzymywania kontaktów prywatnych, ale stanowili grono starannie wybranych osób, które zmniejszało się natychmiast, gdy tylko dochodził do wniosku, że ktoś jest mu całkowicie zbędny, ewentualnie nie rokuje dobrze na przyszłość.

Jolka wszakże aż do tej chwili żyła w głębokiej iluzji, że śladowe ilości empatii gdzieś tam jeszcze mu pozostały. Nie miała pojęcia, że jej mąż nie posiadał w ogóle emocji. Przynajmniej tych pozytywnych. Negatywnych uzbierał tyle, że w każdej sztuce mógłby zagrać czarny charakter bez charakteryzacji.

Zdecydowana za wszelką cenę chronić przyjaciółkę, podeszła bliżej do męża i użyła jedyne argumentu, jaki do Tadzika mógł przemówić:

– Bo to żona twojego znajomego, Tobiasza Skałki, tego doradcy podatkowego. I prawdopodobnie jedyna spadkobierczyni wszystkich jego interesów, a miał ich sporo. – W tym miejscu mrugnęła i dodała szeptem: – Spójrz na nią. Nie potrafi nawet zająć się sobą. Jak myślisz? Kto powinien jej pomóc w zarządzaniu majątkiem? – Mrugnęła jeszcze raz.

Tadeusz zaniemówił. Nerwowy tik, który objawiła jego żona, wprowadził go w pełne osłupienie. Jeśli zacznie jej się pogarszać, nie będzie mógł jej pokazać ludziom. Ewentualnie można by powiedzieć, że to pozostałość po ciężkiej chorobie. Tak, to zdecydowanie poprawi jego wizerunek oddanego męża.

Rzecz jasna, hasło rzucone przez Jolkę – zarządzanie majątkiem – momentalnie uruchomiło jego szare komórki. W takiej sytuacji Tadeusz Markiewicz potrafił odnaleźć się doskonale. Natychmiast podszedł do łóżka, gdzie spoczywała pogrążona w głębokim żalu wdowa, i ukłonił się grzecznie:

– Proszę wybaczyć moje zachowanie. To z powodu zaskoczenia. Niezmiernie przykro mi słyszeć o śmierci szanownego małżonka. Proszę przyjąć najszczerze kondolencje. Polecam się szanownej pani. – W tym miejscu sięgnął do kieszeni po wizytówkę, szybko uświadomił sobie jednak, że nie ma na sobie odpowiedniego stroju. By zatuszować gafę, raz jeszcze ukłonił się zbolącej wdowie i dodał: – Proszę u nas zostać, jak długo pani zechce. Służę wszelką pomocą. Małżonka zaopiekuje się panią, a ja... No cóż, służę wszelką poradą prawną.

Tu ukłonił się po raz trzeci, bo z tego, co pamiętał, Tobiasz Skałka nie tylko miał dochodową firmę doradztwa podatkowego, lecz także z powodzeniem grał na giełdzie, a także posiadał udziały w kilku przynoszących dochody przedsiębiorstwach i jeśli dobrze kojarzył, działał też całkiem aktywnie na rynku nieruchomości. W dodatku otworzyła mu się właściwa szufladka dotycząca działu SPADKI. Skałkowie byli bezdziejni. Zatem oprócz żony zmarłego prawo do dziedziczenia mają jego rodzice, a gdyby jedno z nich nie żyło czy nawet oboje, również jego rodzeństwo. Oj, będzie się działo, a on powinien nieźle na tym zarobić. Toteż ucałował szarmancko rękę wdowy i spoglądając jej głęboko w oczy, zakończył:

– Proszę bez wahania zwracać się do mnie z wszelkimi problemami.

Następnie, wychodząc z pokoju, poklepał Jolkę po głowie jak psa i powiedział głośno:

– Postaraj się, kochanie, żeby naszemu gościowi niczego nie zabrakło.

Jego żona tylko uniosła oczy ku sufitowi, wołając o pomstę do nieba, lecz jak zawsze nic się nie wydarzyło. Potem spojrzała na oniemiałą Martusię, która patrzyła na nią tępo, blada jak prześcieradło, w dalszym ciągu trzymając w powietrzu wycelowaną przez Tadzika dłoń. Wyglądała jak podający łapę maltańczyk.

Jola podeszła do łóżka i zwróciła się do niej stanowczo:

– Weź się w garść. Dziś przylezie ten cały Kalinka, żeby z tobą pogadać. Możesz histeryzować, ile chcesz, byle świadomie. Jak coś chlapniesz, będzie po tobie.

Martusia nawet nie mrugnęła. Jakaś część jej umysłu nie mogła ogarnąć definicji świadomej hysterii. Jolka opacznie zinterpretowała jej stan. Bez wahania uszczypnęła przyjaciółkę w ramię.

– Au! – krzyknęła tamta, patrząc na nią z urazą. – Za co?

– Za tępotę. Weź się w garść. Kalinka dziś tu będzie, żeby cię przesłuchać. No, chyba że wolisz odpowiadać na głupie pytania w komisariacie.

– O Boże! – jęknęła Martusia, do której wreszcie dotarła groza sytuacji. – On coś wie?

– Nie wie i nie będzie wiedział, jak nic nie chlapniesz. Pamiętasz, co uzgodniłyśmy?

– Tak. – Zacisnęła spazmatycznie palce na kołdrze, spojrzała na nie z odrazą i powiedziała płacząco:

– Ja nie chcę.

– Chcesz czy nie chcesz, i tak cię to nie ominie. Zbieraj się.

Jolka bez śladu współczucia wyszarpnęła z jej rąk kołdrę. Martusia ma, co chciała. Może i załatwiła Tobiasza przypadkiem, ale Kamelia szybko jej tego nie zapomni. W końcu to Maciej miał odejść pierwszy. Dlatego trzeba jak najprędzej uporać się z dochodzeniem i zająć problemem ciężarnej przyjaciółki. Skrzyżowała palce i wyszeptła szybką prośbę do wszystkich sił anielskich i piekielnych – nigdy nie wiadomo, kto słucha i zaoferuje pomoc – aby sekcja zwłok nie wykazała niczego, co mogłoby pokrzyżować ich plany.

Komisarz Kalinka rozglądał się po pokoju, w którym kazano mu zaczekać. Umeblowanie było co najmniej dziwne. On sam preferował prostotę i żaden ze sprzętów nie odpowiadał jego gustowi, nie pasował do jego mieszkania ani – jak Bartosz podejrzewał – do policyjnego portfela.

Różnice majątkowe między ludźmi nigdy nie stanowiły dla niego problemu. Nikomu nie zazdrościł, cieszył się z tego, co ma. Był minimalistą. Jeśli kogoś nie lubił, to z powodu jego charakteru. Przynajmniej tak było do niedawna. Dwa lata temu w jego życiu zaszło sporo zmian. Od tej pory, oględnie mówiąc, nie przepadał za kobietami.

Z jednej strony uruchamiała się w nim rycerskość i gotowość do ich obrony, z drugiej nie ufał im. Wystarczyła mała skaza, by zakwalifikował delikwentkę do teczki z napisem: „Zła”.

Jego partner, który dotąd trzymał go w ryzach – inaczej pewnie w papierach Bartka znalazłaby się już uwaga, że jest mizoginistą – miał zwolnienie lekarskie, więc Kalinka sam musiał ze wszystkim się uporać. Nie tylko ze sprawami, ale i ze sobą. Od czasu do czasu dostawał kogoś do pomocy, ale nie przydzielono mu stałego współpracownika.

Bzdety odkładał na sam spód. Kogo obchodzi skradzione auto, skoro właściciel ma autocasco? Pieprzyć to. Kogo obchodzi kradzież w domku letniskowym? Właściciele stać na nową szybę. Czuł, że z takim nastawieniem długo nie pociągnie. Chyba się wypalił.

I teraz ta sprawa z trupem w wannie. Patolog miał sporo pracy, więc na wyniki autopsji trzeba jeszcze zaczekać. Komisarzowi trudno było uwierzyć w przypadkową śmierć Tobiasza Skałki, ale dotąd nie znalazł niczego, co by wskazywało na działanie osób trzecich. Nikt z sąsiadów, z którymi rozmawiał, nie powiedział złego słowa o małżeństwie Skałków. Jako doradca podatkowy facet cieszył się dobrą opinią. Oczywistym motywem ewentualnego zabójstwa byłyby pieniądze, lecz Kalinka na razie nie wiedział, czy właśnie z tym ma do czynienia. Dochodzenie prowadził w sprawie, a nie przeciw komuś. Gdyby nie była w to zamieszana kobieta, a nawet trzy, pewnie skłaniałby się ku nieszczęśliwemu wypadkowi.

Zobaczymy, co powie wdowa, pomyślał, nieufnie przyglądając się dziwnej kanapie. Nie wiadomo było, czy leżeć na niej, czy siedzieć – w swoim trzydziestoparoletnim życiu jeszcze nie widział takiego mebla.

– A ty tu czego, człowieku? – Rozmyślenia Bartosza przerwał młody głos. Komisarz odwrócił się; stał za nim chłopak. Nastolatek.

– Komisarz Kalinka – przedstawił się i dodał groźnie: – Zmień ton, gówniarzu. Nie rozmawiasz z kumplem.

– Jestem u siebie. Mogę gadać, jak mi się będzie podobało. – Chłopak nie przejął się zupełnie tym, że ma do czynienia z policjantem. – Czego pan tu chce?

– Jak ty się zachowujesz? – Jolka, która właśnie weszła, była oburzona, słysząc, jak syn zwraca się do komisarza.

– Cześć, matka.

– Marsz do szkoły albo poskarżę ojcu – zagroziła.

– Że niby co?

Ubódł ją pogardliwy ton Tymoteusza.

– Nie wiem co, ale pewnie wystarczy, jak sprawdzę twoje oceny. – Nie zamierzała okazywać słabości. Z doświadczenia wiedziała, że wilki tylko czekają, aż ofiara się potknie, a wtedy złapią ją za gardło i już nie puszcza.

– Dobra, dobra... – Chłopak się wycofał natychmiast. – Czemu zaraz tak ostro? Chciałem tylko wiedzieć, czego ten tu szuka. Ojca nie ma w domu, a w salonie jakiś facet się płacze. Mogłem się zdenerwować, co nie?

– Co takiego? – oburzyła się Jolka. – Ty myślisz, że ja... Że ja sprowadzam sobie...?! Ty... Ty... – jąkała się. – Jak możesz?!

– Sorry, matka. Nie jesteś jeszcze taka stara. Jakbyś zrzuciła parę kilo, to mogłabyś się nawet podobać...

– Won mi stąd! – wyszczała rozeźlona na dobre.

– Dobra, dobra. – Tymoteusz podniósł ręce w obronnym geście, zmierzając w stronę drzwi.

Rozbawiony Kalinka z trudem ukrył uśmiezek, widząc, jak oburzona kobieta odprowadza syna wzrokiem. Gdyby mogła, pewnie by czymś za nim rzuciła.

– Niech się pani nie przejmuj. Nastolatki – odezwał się pocieszającym tonem.

Zażenowana Jolka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Spojrzała na niego bezradnie. Czy te parę kilogramów naprawdę aż tak widać? Miała na sobie szerokie spodnie z lejącego się materiału i tunikę do połowy uda, dopasowaną w biuście, szerszą w niższych partiach ciała, której zadaniem było ją wysmuklić, wyszczuplić i dodać kilka centymetrów wzrostu.

Na szczęście w tym momencie do pokoju weszła wystraszona Martusia. Biedaczka uznała, że nie ma innego wyjścia, jak zmierzyć się z sytuacją, do której doprowadziła. Pocieszała się, że prędzej czy później i tak by się to wydarzyło. Za miesiąc czy za trzy, któż to wie, Tobiasz i tak by odszedł. Wtedy także miałyby do czynienia z policją. Też zadawano by pytania, choć wówczas byłaby mniej podejrzana niż teraz, bo miałyby alibi. Los jednak sprawił, że wydarzyło się to właśnie teraz. Może powinna mu zawierzyć? Nic nie dzieje się bez przyczyny.

– Dzień dobry – powiedziała nieśmiało. – Pan z policji?

– Witam. Komisarz Kalinka. – Wyjął odznakę i okazał ją wdowie.

Martusia nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi, wpatrując się w szare oczy mężczyzny. Przystojny był. Jolka nic nie wspomniała – Marta popatrzyła na nią z wyrzutem.

Przyjaciółka zrobiła głupią minę, nie mając pojęcia, co oznacza to spojrzenie.

– Mam do pani kilka pytań. – Komisarz Kalinka wybawił Jolkę z kłopotu.

– Oczywiście. – Martusia uśmiechnęła się drżącymi wargami, bez reszty poświęcając uwagę policjantowi. – Rozumiem. Proszę pytać.

Usiadła na szeszlengu, przyjmując wdzięczną pozę, a przynajmniej taką miała nadzieję. Trzymaną w dłoni chusteczką delikatnie otarła kąciki oczu, uważając, by nie rozmazać makijażu.

Na szczęście Kama wrzuciła jej do walizki kilka rzeczy. Martusia miała na sobie kremową sukienkę na cieniotkich ramiączkach, z tasiemką pod biustem, dość dopasowaną, sięgającą do połowy kolana, podkreślającą jej smukłą figurę.

– Proszę przyjąć moje kondolencje – powiedział Bartosz Kalinka, przyglądając się eterycznej blondynce.

Nawet makijaż nie zdołał ukryć podpuchniętych oczu. Wyglądała na wstrząśniętą i nieszczęśliwą, lecz zbyt długo służył w dochodzeniówce, by się opierać na tym, co widzi. Liczyły się dowody. No i, co najważniejsze w tej sprawie, zdążył już zniechęcić jej przyjaciółki, choć ta z oczami łani zrobiła na nim wrażenie. Powściągnął jednak impuls, nakazujący mu opiekować się Jolantą Markiewicz, bo po pierwsze, miała od tego męża, a po drugie, takie kobiety sprowadzają mężczyzn na złą drogę.

– Dziękuję. – Martusia na powrót przycisnęła chusteczkę do oczu. Ręka mocno jej drżała, nie ze smutku, lecz ze strachu.

– Muszę zadać pani kilka pytań. – Komisarz starał się mówić współczującym tonem. – Na osobności – dodał z naciskiem.

Martusia tylko skinęła głową, nie wiedząc, o co chodzi z tą osobnością. Spojrzała na policjanta z lękiem. Chce ją zabrać na komisariat? Ale Kalinka nie patrzył na nią, tylko na obecną w pokoju Jolkę.

– Oczywiście. – Przyjaciółka z wymuszonym uśmiechem na twarzy wycofała się do kuchni.

Spojrzała jeszcze na Martusię ostrzegawczo, by ta czegoś nie chlapnęła, ale tamta odczytała jej wyraz oczu zupełnie opacznie, bo powiedziała uspokajająco:

– Nie martw się. Już mi lepiej.

– Są panie bardzo żyte – zauważył Kalinka, gdy zostali sami w salonie.

– Owszem. Nie dałabym sobie bez nich rady – przyznała Martusia.

– Dobrze mieć takie przyjaciółki.

– Proszę to im powiedzieć. – Martusia uśmiechnęła się do niego łagodnie.

– Powiem. – Odwzajemnił uśmiech.

Wdowa była młoda i ładna. Z pewnością niedługo sobie kogoś znajdzie, pomyślał, sięgając po notes. Do tego będzie miała forsy jak lodu. To na niektórych działa jak afrodyzjak. Dla niego, rzecz jasna, liczyła się przede wszystkim uczciwość i wierność.

– Proszę mi opowiedzieć o okolicznościach znalezienia cia... męża.

– No cóż... – Martusia przełknęła ślinę. – To Jolka, znaczy się, pani Jolanta Markiewicz, znalazła Tobiaszka.

– Jak?

– Jak? No... tego... Weszła do łazienki, a on... On tam był...

– Było to koło dziesiątej, zgadza się?

– Niezupełnie. Koło dziesiątej Jolka i Kama, to znaczy Kamelia Padecka – Martusia wiedziała, że musi uściślić, o kogo dokładnie chodzi, w końcu trochę tych programów kryminalnych w życiu zdążyła obejrzeć – przyjechały na kawę. Potem miałyśmy iść razem do domu dziecka. Tobiaszek przelał mi na konto sporą kwotę... – Nagle zaczęła płakać. Ogromne łzy spływały po policzkach, nie ujmując jej urody, o czym Martusia wiedziała, więc specjalnie się nie przejęła. Zgoła nieelegancko pociągając nosem, dodała: – Wie pan, on był w gruncie rzeczy dobrym człowiekiem. To straszne, że musiał odejść.

– Musiał odejść? – zapytał podejrzliwie Kalinka, nie wiedząc, jak interpretować te słowa.

Martusia miała ochotę walnąć się w głowę, ale było za późno. Powiedziała to. Głośno.

– Pan Bóg powołał go do siebie – oznajmiła w końcu, nie wiedząc, jak wybrnąć z sytuacji. – Takiej

proście się nie odmawia.

– Pani jest wierząca?

– O tak – przytaknęła gorliwie, mając nadzieję, że Bóg jednak nie istnieje, bo za takie łgarstwo na pewno wysłałby ją do więzienia, choćby miał zstąpić z niebios i osobiście nadzorować śledztwo. – To moja jedyna pociecha – dodała jeszcze obłudnie.

– Rozumiem. – Zapisał coś w notesie. Było to spostrzeżenie: „dewotka”.

– Ty to słyszałaś? – zwróciła się scenicznym szeptem Kamelia do Jolki, która podsłuchiwała pod drzwiami z równą gorliwością co przyjaciółka.

Tamta przyłożyła palec do ust i pokiwała głową. Tak, też to słyszała.

Kamelia w odpowiedzi przyłożyła sobie palec wskazujący do skroni i pociągnęła za wymaginywany spust.

Jolka tylko przewróciła teatralnie oczami, ale zaraz smętnie wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: Cóż robić? Jakim mnie, Panie Boże, stworzyłeś, takim mnie masz.

Kalinka poczekał jeszcze chwilę, aż ustało pociąganie nosem, i zadał kolejne pytanie:

– Pani Jolanta Markiewicz znalazła pani męża. Może pani opisać okoliczności, w jakich do tego doszło?

– Okoliczności? – Martusia nie rozumiała o co mu chodzi. – Nie było żadnych okoliczności. Ona po prostu poszła do łazienki zrobić siusiu i rzęsy.

– Siusiu i rzęsy? – Uniósł brwi.

– No... tak... Powiedziała, że musi skorzystać z toalety i mojego tuszu do rzęs, a chwilę potem zaczęła strasznie krzyczeć.

– I co było dalej?

– A dalej to nie wiem, bo zemdlałam.

– Zemdlała pani, bo pani Markiewicz zaczęła krzyczeć?

– Nie, zemdlałam, bo zobaczyłam Tobiaszka, jak tak tam... leżał...

– Proszę, aby pani zachowała kolejność zdarzeń.

– Oczywiście. No więc Jolka zaczęła krzyczeć. Ja spojrzałam na Kamelię, Kamelia na mnie. Można powiedzieć, że wymieniliśmy spojrzenia. I potem nagle tak same z siebie zerwałyśmy się obie i pobiegłyśmy na piętro. – Martusia zastanawiała się przez chwilę, a potem spojrzała na powrót na milczącego komisarza i powiedziała z przekonaniem: – Tak właśnie było. To była taka straszna myśl widoczna w naszych oczach, że wydarzyło się coś straszego.

Ta kobieta nadal jest na prochach, pomyślał Kalinka, a głośno zapytał:

– Dlaczego pani pomyślała o czymś strasznym? To mogła być choćby mysz.

– No wie pan! – oburzyła się Martusia. – Mysz w moim domu? Za kogo mnie pan uważa? Za jakiegoś flejtucha?

– Ależ skąd – zaprzeczył szybko. – To tylko przykład. Taką reakcję mogło wywołać cokolwiek.

– Nie – odparła stanowczo. – To był krzyk naprawdę przerażonej kobiety.

Kalinka chciał dodać, że mysz też może wywołać taką reakcję, ale zrezygnował. W końcu to nie miało znaczenia.

– Jolka jest bardzo wrażliwa i delikatna – dodała jeszcze Marta.

– Co było dalej?

– A na czym skończyłam?

– Usłyszały panie krzyk.

– Właśnie. Pobiegłyśmy na górę. Drzwi do łazienki były otwarte. Jolka stała jak słup soli i tylko wskazywała palcem przed siebie.

– I krzyczała?

– Wtedy już nie. – Martusia nie miała pojęcia, czy Jolka wówczas krzyczała czy nie, ale widziała tę scenę w głowie, tak jakby wydarzyła się naprawdę. – Była bardzo blada i przerażona. I tylko poruszała ustami. Tak niemo.

Jolka z dziwnym grymasem na twarzy spojrzała na Kamelię, która też nie wyglądała najlepiej. Jolanta zmarszczyła czoło, jej usta wykrzywiły się jakoś brzydko. Co ta Martusia wygaduje? I dlaczego, zamiast zrobić z niej syrenę, zrobiła karpia?

– I wtedy zobaczyłam Tobiaszka. I zaczęłam krzyczeć. I one też zaczęły krzyczeć. A potem to już nie wiem, co się działo. Wiem tylko, że podobno zemdlałam. – To akurat była prawda. – Przyjechała karetka. Dostałam jakiś zastrzyk i obudziłam się w domu Jolki. To bardzo miło z jej strony, że mnie zabrała, ale nie pamiętam, jak się tu znalazłam. Proszę wybaczyć mi ten strój – powiedziała na koniec z zakłopotaniem. – To Kama mnie pakowała.

– Bardzo ładnie pani wygląda – skomplementował ją Kalinka.

– Dziękuję panu, ale w zaistniałych okolicznościach ta sukienka jest nie na miejscu. Chociaż Tobiaszek bardzo... bardzo... ją lubił.

Nieoczekiwanie na powrót zaniósł się płaczem. Sama nie wiedziała, dlaczego opowiada takie dyrdymały, bo sukienka jeszcze dziś rano miała metkę, a Tobiaszek na oczy jej nie widział, za to skrytykował cenę na paragonie, który zapomniała wyrzucić.

– On był dla mnie taki dobry – łkała. – Taki dobry – powtórzyła, uspokajając się trochę, bo właśnie sobie przypominała, dlaczego ten łajdak przelał pieniądze na jej konto.

– No cóż... – Kalinka z zakłopotaniem czekał, aż wdowa ochłonie.

– Gdzie ja teraz znajdę takiego drugiego męża? – płakała dalej Martusia, bardziej już dla odwrócenia uwagi niż z żalu.

Kama dźgnęła Jolkę palcem pod żebro. Jolka uniosła ręce w geście bezradności. Kama popukała się w czoło. Jolka tylko pokiwała głową.

– Chyba trochę za wcześnie na nowego męża – zauważył w końcu z zakłopotaniem komisarz.

Martusia podniosła oczy pełne łez, spojrzała na niego z wyrzutem i powiedziała urażona:

– No wie pan... To było nie na miejscu. Uważa pan, że już myślę o powtórny zamążpójściu? Jeszcze nie pochowałam męża, a pańskie insynuacje są...

– Ale pani sama...

– Ja tylko powiedziałam, że drugiego takiego jak Tobiaszek nie ma. Był absolutnie wyjątkowy – odparła z przekonaniem, dziwiąc się sobie w duchu, że opowiadanie tych bzdur przychodzi jej z taką łatwością.

– Rozumiem...

– Nie sądzę – przerwała mu wyniośle. – Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, to słucham, a jeśli nie, to chciałabym wiedzieć, kiedy z powrotem otrzymam mojego męża. Muszę zorganizować pogrzeb.

Piętnaście minut później Martusia w wyśmienitym nastroju popijała cappuccino i zajadała się rogalikiem. Nie zwracała uwagi na milczenie przyjaciółek, które siedziały naprzeciwko i przyglądały jej się ponuro.

– Nie było tak źle – powiadomiła je, gdy przełknęła. – Ten Kalinka trochę dziwny, ale nie jest zbyt bystry, nie uważacie? – zapytała.

– Przy tych dyrdymałach, które opowiadałaś, nawet Einstein by zgłupiał – skomentowała kwaśno Kamelia. – Zrobiłaś z siebie popisową blondynkę.

– Ale może i dobrze – uznała Jolka. – Jak pomyśli, że to idiotka, to nie będzie jej podejrzewał o zamordowanie męża.

– Przecież go nie zamordowałam – oburzyła się Martusia. – To był wypadek! Już wam mówiłam!

– Mówiłaś, mówiłaś – przytaknęła kwaśno Kamelia. – Co nie zmienia faktu, że Maciej miał odejść pierwszy, a teraz musimy czekać. I co ja z tym zrobię? – Wskazała palcem na niewielką wypukłość brzucha.

– Ty znowu swoje. – Winowajczyni się skrzywiła. – Długo masz zamiar mi to wypominać?

– Dajcie spokój. – Jolka uznała, że czas zająć się istotnym, nurtującym ją problemem. – Kalinka chciał wiedzieć, czy Tobiasz zostawił testament. Pytał o to Kamelię.

– A skąd ona miałaby wiedzieć? – zdziwiła się Martusia. – Nawet ja tego nie wiem.

– Niedobrze – zmartwiła się Jolka. – Bo widzisz, z tego, co wiem, jak nie ma testamentu, to prawo do spadku, poza tobą, będzie też miała jego rodzina.

– Ożeż ty... – zakłęta Martusia. Natychmiast opuścił ją dobry humor. Odstawiła filiżankę z kawą i zapytała: – A ile tego prawa oni mają?

– Nie wiem – odrzekła Jolka. – Wiem tylko tyle, że gdy odejdzie Tadeusz, to mnie się należy połowa, a druga połowa jego majątku zostanie podzielona równo między nasze dzieci. A może dla mnie jest jedna czwarta? A reszta dla dzieci? Coś tam pozmieniali, Tadzik kiedyś wspominał... Ale co dokładnie? Czekać. – Podniosła obie ręce w górę jak medium oczekujące, aż pojawi się duch. – Już wiem! Dziedziczymy w równych częściach. To uczciwe. Ale jak będzie z tobą? Nie wiem. – Bezradnie wzruszyła ramionami.

– Rany! – zdenerwowała się Kamelia. – Maciej ma dwóch braci i siostrę! – Uderzyła otwartą dłonią w blat stołu. Tego nie uwzględniła w swoich planach. No cóż, i tak nie mogła pozbyć się wszystkich. Przecież tamci nic jej nie zrobili.

– Spokojnie, nie unoś się, w twoim stanie takie emocje nie są wskazane – uspokajała ją Jolka, jakby sam fakt planowania morderstwa nie był powodem do stresu. – Dziedziczyć będziesz ty i twoje dziecko. Reszcie nic się nie należy.

– Ale to nie jest dziecko jej męża – przypomniała Martusia, jakby ktokolwiek mógł o tym zapomnieć.

– Nieboszczyk nie wstanie z grobu i nie zakwestionuje swojego ojcostwa, a jak Kama będzie ostrożna, to nikt się nie będzie czepiał, bo niby dlaczego? – Jolka była pewna swego. – Nie widzę powodu, dla którego dziecko Kamelii miałoby być pozbawione tego, co mu się należy. W końcu zostało poczęte w trakcie trwania małżeństwa, a po odejściu Macieja nikt nie będzie wnikał, przez kogo.

– Podoba mi się twój tok myślenia. – Kamie z miejsca poprawił się nastrój.

Chciwość nie popłaca, ale przecież robiła to wszystko dla swojego dziecka. To, że pomysł pozbycia się mężów, rzucony przez Jolkę, przypadł jej do gustu podczas owego pamiętnego bankietu, gdy jeszcze nie wiedziała o ciąży, nie stanowiło dla niej problemu. Nie myślała o tym. Miała moralne alibi, które rozkładało na cztery łopatki wszelkie ewentualne wątpliwości i rozterki etyczne.

– A co będzie ze mną? – dopytywała się zmartwiona Martusia.

– Co ma być? Tadzik wszystkim się zajmie. Odejdzie na końcu, więc powinien zdążyć załatwić twoje sprawy spadkowe. Jeśli chodzi o kasę, nie popuści ani grosza, zapewniam cię – oświadczyła z przekonaniem Jolka. – Kiedy dostaniesz ciało? Kalinka mówił tak cicho, że nie dosłyszałam.

– Podśluchiwałyście? – Dopiero teraz dotarło do niej, skąd przyjaciółki wiedzą, co dokładnie

powiedziała komisarzowi.

– Tak jakby – przyznała się Kama. – Ale chwilami było niewyraźnie słyhać. To kiedy go dostaniesz z powrotem?

– Może jeszcze w tym tygodniu. – Martusia westchnęła, postanawiając machnąć ręką na zachowanie przyjaciółek. Na ich miejscu zrobiłaby dokładnie to samo. – Na razie nie ma jeszcze wyników sekcji. Pytałam Kalinkę, co właściwie stało się Tobiaszkowi, ale nie wiedział albo nie chciał powiedzieć. Mam tylko nadzieję, że mnie nie podejrzewa. Bo tak sobie myślałam, że przecież nikt normalny nie wpadnie na to, że to mogło być morderstwo. Kto morduje człowieka za pomocą suszarki do włosów?

– W filmach zdarza się to całkiem często – zauważyła Kamelia z pewną dozą złośliwości, gdyż miała za złe Martusi wyłamania się z kolejki.

– Nigdy nie myślałam, że to możliwe. – Wdowa wzruszyła obojętnie ramionami. – Ale cóż, stało się, więc widocznie jest możliwe.

– Powiadomiłaś jego rodzinę? – Jolka uznała, że czas przejść do konkretów. Kamelia jeszcze długo mogła się czepiać Martusi, na szczęście ta, mając już przesłuchanie za sobą, uspokoiła się wreszcie.

– Jeszcze nie. Wyleciało mi to z głowy. Słuchajcie, może powinnam najpierw poszukać testamentu?

Problem dziedziczenia po Tobiaszku odsunął sprawy związane z pogrzebem na dalszy plan.

Sandra bez słowa minęła sekretarkę mecenasa Markiewicza. Jak zwykle zresztą. Ta odprowadziła ją jadowitym spojrzeniem. Młoda kobieta zignorowała jej wzrok. Jak zawsze. Miała istotniejsze problemy niż niedopieczona sekretarka. Zapukała i czekała, aż usłyszy głos szefa. Nie odważyłaby się wejść bez zaproszenia, choć z całego serca nienawidziła tego drania.

– Wejść. – Krótkie, ostro rzucone słowo sprawiło, że odetchnęła głęboko i ukrywając swoje uczucia pod maską obojętności, weszła do środka.

– Jesteś wreszcie – przywitał ją zgryźliwie. – To, że cię pieprzę, nie oznacza, że będziesz specjalnie traktowana, *comprendre?* – poinformował ją, gdy tylko zamknęła drzwi.

– Właśnie wróciłam z sądu. Przyszłam natychmiast – powiedziała.

Nienawidziła się usprawiedliwiać. Nienawidziła Markiewicza. Nienawidziła usprawiedliwiania się przed nim i tego, jak ją traktował. Nienawidziła się płaszczyć. A najbardziej nienawidziła siebie, że zachowuje się jak prostytutka i jeszcze negocjuje cenę za swoje usługi.

– Zmarł mąż przyjaciółki mojej żony i mój zaufany przyjaciel. Twój zresztą też. – Uśmiechnął się złośliwie. – Tobiasz Skalka. Zajmiesz się wszystkim, czego tylko zażyczy sobie wdowa, a zwłaszcza postarasz się, żeby nasza kancelaria zajęła się jego interesami.

– Oczywiście – odparła sucho. – Ale chyba za wcześnie na takie rozmowy z wdową.

– Zajmiesz się wszystkim, czego sobie zażyczy, łącznie z podcieraniem tyłka, jeśli zajdzie taka potrzeba. Pomaszterujesz teraz do mojego domu, gdzie właśnie przebywa ta... jak jej tam... no, nieważne, Skalkowa, złożysz kondolencje i zaoferujesz pomoc. Masz być miła dla mojej żony i trzymać gębę na kłódkę, to może i ja będę miły dla ciebie. A teraz wypieprzaj z mojego gabinetu. Mam ważniejsze sprawy niż oglądanie twojej cipki. Na to przyjdzie czas później.

Tadeusza rozpieierała jakaś chora ekscytacja na myśl, że jego kochanka pozna dziś jego żonę. Na szczęście Jolka jest zbyt głupia, żeby się zorientować, choćby i on, i Sandra mieli szkarłatną literę wypaloną na czole.

– Oczywiście – powiedziała chłodno, choć wewnątrz kipiała z wściekłości. – Myślałeś o tym, o co cię prosiłam?

– Nie interesują mnie twoje prośby. Chyba jasno to wyłożyłem – odparł z całym cynizmem Markiewicz. Był świnią, wiedział o tym. I podobało mu się to, Sandra nie miała wątpliwości. Mogłaby się założyć,



że należał do tych dzieciaków, które kuliły się ze strachu przed starszakami, a same dręczyły mniejszych i słabszych od siebie, gdy tylko miały ku temu okazję. Wewnątrz jednak był słabeuszem, wiedziała o tym.

– Owszem. Miałam nadzieję, że zmienisz zdanie. – Postanowiła, że nie da się wyprowadzić z równowagi. – Mogę wiedzieć, kogo wyznaczyłeś do obsługi tego nowego klienta?

– Najlepszego specy, czyli siebie. Masz lepszy typ?

– Oczywiście, że nie.

– No to wypieprzaj stąd. Niektórzy w tej firmie zarabiają na życie głową.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się chłodno i skierowała do wyjścia. Zapłaci jej za to. Tego może być pewien.

– Tomyślak będzie mi asystował.

Słowa szefa dogoniły ją, gdy już zamykała za sobą drzwi. Nie mogła się cofnąć. Sekretarka popatrzyła w jej kierunku. Sandra bez słowa opuściła poczekalnię i absolutnie spokojnie poszła do swojego gabinetu. Tam dopiero dała upust złości, z całej siły trzaskając drzwiami. Nie pomogło. Na jej gniew było tylko jedno lekarstwo. Markiewicz musi umrzeć.

Bartosz Kalinka przeglądał akta sprawy. Niewiele tego było. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie. Wyjął notes, w którym zwykł zapisywać to, co mu nie pasowało. Pomijając sam aspekt śmierci, nie miał na razie nic, do czego mógłby się przyczepić. Nie otrzymał jeszcze wyników sekcji, zatem nie znał czasu zgonu. Woda w wannie zdążyła ostygnąć. Ciało było opuchnięte. Z pewnością Skałka nie był świeżynką. Nie mając jednak ram czasowych, Kalinka nie bardzo mógł rozpytywać, kto, co, gdzie i kiedy robił. Zaczął notować sobie wątpliwości, które już zdążyły się pojawić w sprawie.

Jeśli Skałka zmarł wieczorem, jak to się stało, że małżonka znalazła go dopiero rano? A właściwie nie małżonka, tylko jej przyjaciółka.

Czyżby Marta Skałka nie korzystała z łazienki ani rano, ani poprzedniego dnia?

Albo też w domu znajdowała się więcej niż jedna łazienka i każde z nich miało własną. Ale suszarka do włosów raczej należała do kobiety, więc śmiało można założyć, że z łazienki korzystali wspólnie. Skałka mógł też zginąć rano, choć zdaniem komisarza stan ciała na to nie wskazywał.

A zatem żona denata nie była rano w łazience? Nie korzystała z toalety? Nie myła zębów?

Dlaczego nie znalazła ciała?

Tak, to jeden wielki znak zapytania. Zanim jednak zacznie drążyć tę sprawę, musi się dowiedzieć dwóch rzeczy: ile łazienek jest w domu i kiedy zmarł Tobiasz Skałka. Żadna blondynka nie będzie mydlić mu oczu, postanowił.

Sięgnął po zdjęcia z miejsca zdarzenia, zrobione przez jednego z techników. Same zwłoki w tej chwili go nie interesowały. Skoncentrował się na wyposażeniu łazienki. Wanna. Kabina prysznicowa. Ogromne lustro. Dwie umywalki. Na szafce łazienkowej stało sporo kosmetyków. Męskich i damskich. Na wieszaku przy kabinie wisiały dwa szlafroki, w tym jeden różowy, uszyty ze lśniącego materiału. Nie znał upodobań denata, ale znając już jego żonę, śmiało mógł założyć, że ten szlafrok należał do niej.

Uśmiechnął się do siebie. Miał punkt zaczepienia. Pociągnął nosem, poprawiając zsuwające się okulary. Coś tu śmierdziało. Z tego, co widział na zdjęciu – perfumami Chanel No 5.

Dwupiętrowy budynek z szarego kamienia wyglądał na stary. Żelazną bramę oplatał bluszcz. Brukowany podjazd był jednak zupełnie nowy i prowadził do garażu pod budynkiem. Sandra przypuszczała, że kiedyś mieściła się tam piwnica, dostosowana do potrzeb dawnych mieszkańców, może tych, którzy wybudowali ten dom.

Nigdy się nie zastanawiała, jak wygląda domostwo Markiewicza. Spodziewała się raczej nowoczesnej

willi postawionej przez nowobogackich, przeładowanej formą i zdobieniami. Do tego kilka kolumn, a w ogrodzie, nad oczkiem wodnym, nagi Posejdon dzierżący trójząb.

Wygląda na to, że Markiewicz urodził się z pieniędzmi, a potem je tylko pomnażał, pomyślała. Nie był żalonym dorobkiewiczem, za jakiego go uważała. Swój charakter wyssał z mlekiem matki.

Włączyła alarm w aucie i energicznym krokiem podeszła do furtki. Wcisnęła guzik domofonu. Najwyraźniej jej szefa bawiło to, że ona spotka się dziś z jego żoną. Sandra nie wiedziała tylko, czy bardziej bawi go jej poniżenie czy też myśl, że jego żona nie będzie wiedziała, że przyjmuje w domu kochankę męża. Ona sama miała to gdzieś. Jeśli sądził, że ją upokorzy, to głęboko się mylił.

Kilka minut później siedziała w salonie przy niewielkim stoliku na żeliwnych nogach i o blacie ze szkła. Przed nią stała filiżanka herbaty, o którą poprosiła. Markiewiczowa była miłą kobietą i nie zasługiwała na takiego męża. Pozbywając się go, Sandra wyświadczy przysługę im obu. Jednak należy pokonywać przeszkody po kolei. Markiewicz jeszcze się przyda, zatem na pierwszy ogień pójdzie Tomyslak. Sandra miała podzielną uwagę, zatem bez przeszkód mogła oddać się planowaniu swojej kariery w kancelarii, a jednocześnie skoncentrować się na sprawie, z którą przysłał ją szef.

Na razie była tak wściekła i na niego, i na Tomyslaka, że sączyła herbatę, której serdecznie nie znosiła, ale ciśnienie miała już wystarczająco wysokie bez kolejnej dawki kofeiny.

– Proszę przyjąć moje kondolencje – powiedziała współczującym tonem do ładnej blondynki, którą żona Markiewicza, Jolanta, przedstawiła jako Martę Skalkę.

Talent do okazywania emocji, chociaż ich nie odczuwała, był jedną z tych umiejętności, które posiada znaczna część kobiet, choć większość z nich nie zadaje sobie trudu, by go rozwijać, ograniczając swoje możliwości do udawania orgazmu. Sandra nie miała zbyt dobrego mniemania o mężczyznach, zwłaszcza żonatych. W rzeczywistości nie było jej przykro z powodu śmierci kogoś, kogo nie znosiła, ani ze względu na jego żonę, której nie znała. Zresztą wdowa też nie wyglądała na zrozpaczoną. W pokoju była jeszcze jedna kobieta, Kamelia Padecka. Sandra zastanawiała się, czy Markiewicz wiedział, że spotka w jego domu małżonki obu przyjaciół, z którymi kazał jej sypiać. Jeśli tak, to był bardziej zboczony, niż przypuszczała.

– Dziękuję – odparła z wdziękiem Martusia. Po zakończonym przesłuchaniu poczuła się znacznie lepiej.

Ku swemu zdumieniu, nie miała wyrzutów sumienia związanych ze śmiercią Tobiaszka, jakby sam fakt, że była przesłuchiwana i nie została wyprowadzona w kajdankach, stanowił akt rozgrzeszenia. Martusia nie mogła się pozbyć myślenia w kategoriach katolickich, choć była ateistką. Wychowanie robi swoje, indoktrynacja też, choć tylko jedno z tych określeń ma w społeczeństwie negatywny odbiór. No i, co najważniejsze, przecież nie zabiła męża świadomie.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, a przecież jedynie chciała zrobić mu na złość, a nie pozbywać się go na dobre. To znaczy, chciała się go pozbyć na dobre, ale nie już, tylko później. I nie ona sama by to zrobiła, tylko któraś z jej przyjaciółek, gdy nadszedłby czas Tobiaszka. Ona miała się zająć innym mężem.

– Kim pani jest i o co dokładnie chodzi? – Kamelia, jak zawsze, od razu przeszła do sedna sprawy.

Właśnie skończyła opróżniać żołądek i nie czuła się najlepiej, a wiedziała, że to jeszcze nie koniec. Musi coś zjeść, żeby dziecko nie było głodne, a jak zje, to znów zacznie rzygać jak wściekły kot.

– Sandra Tomaszewska. Jestem radcą prawnym – przedstawiła się ponownie, uświadamiając sobie, że kobieta o rudych włosach i zielonkawej twarzy weszła do salonu ostatnia.

– Super. Twój mąż jeszcze nie ostygł, a sępy już się zlatują – skomentowała kwaśno Kamelia.

– Kama! – zganiła ją ostro Jolka. – To Tadzik panią przysłał. Ma pomagać Martusi we wszystkim.

– Czyżby? – Powątpiewanie Kamy nie dotyczyło jednakże przybyłej, tylko intencji jej szefa, co Jolka odczytała zupełnie trafnie.

Nim Sandra zdążyła się odezwać, Markiewiczowa powiedziała:

– Wiesz, jaki jest Tadzik. Nie przepuści żadnej okazji. – Było jej zupełnie obojętne, że jego podwładna to słyszy i może mu powtórzyć jej słowa. Zresztą to, co powiedziała, można zinterpretować na różne sposoby, Jolanta nie od dziś była żoną prawnika. – A prawda jest taka, że pomoc nam się przyda. – Tu popatrzyła surowo na Kamelię, jednakże jej spojrzenie jak zawsze zostało zinterpretowane opacznie.

– No dobrze, nie przejmuj się tak. – Kama uśmiechnęła się blado, obawiając się, że przyjaciółka za chwilę zacznie płakać.

– Nie przejmuję się. – Jolka chciała dodać coś jeszcze, jednak w końcu machnęła ręką. – Przepraszam panią – zwróciła się do Sandry. – To trudna sytuacja, zwłaszcza że to my znalazłyśmy zwłoki. Jesteśmy... poruszone.

Uznała, że to słowo doskonale oddaje ich stan emocjonalny. Były poruszone. Wprawdzie nie z tego powodu, o którym wszyscy myśleli, ale ostatecznie warto jak najbliżej trzymać się prawdy, gdyż dzięki temu nie zapłaczą się we własnych łgarstwach. Prawdziwą trudnością nie jest kłamanie tak, by ludzie we wszystko wierzyli, lecz zapamiętanie tego, co się mówiło. I komu. Dlatego trzeba kłamać wszystkim po równo.

– Oczywiście.

Sandra z ciekawością przyglądała się żonie szefa. Ładna kobieta. Gdyby zrzuciła parę kilo, byłaby bardzo atrakcyjna. Wydawała się serdeczna i łagodna, lecz tak mógł pomyśleć tylko mężczyzna. Po dokładniejszym przyjrzeniu się Markiewiczowej uznała, że ciepło bijące od tej kobiety jest złudne. Owszem, nie odmawiała jej zalet, wszakże była pewna, że pod tymi pozorami matki Polki kryje się żelazna dama.

– Pani Skalka... – zwróciła się do wdowy. W końcu do niej tu przyjechała, a dotąd nie udało jej się przedstawić celu wizyty.

– Proszę mi mówić po imieniu – odezwała się po raz pierwszy Martusia.

Wcześniej jakoś nie miała okazji, Jolka i Kama nie dopuściły jej do głosu. Uśmiechała się promiennie do młodej przystojnej prawniczki, choć nie tak efektownej, jak ona sama. Kobięcym okiem dostrzegła jej urodę, którą tamta raczej ukrywała. Tak to jest, jak człowiek trafia do męskiego świata, pomyślała ze współczuciem Marta.

– To bardzo uprzejme z pani strony. – Sandra, nieświadoma spraw, wokół których błądziły myśli jej przyszłej klientki, podziękowała skinieniem głowy, nie mając jednakże najmniejszego zamiaru skorzystać z tej propozycji, po czym podjęła przerwany wątek: – Proszę pani, mój szef, pan mecenas Markiewicz, przysłał mnie, żebym pomogła we wszelkich formalnościach, a także w każdej innej kwestii, w której potrzebowałyby pani pomocy. Wiem, że to dla pani trudny okres, ale niestety, z pewnymi rzeczami musimy się uporać.

– To bardzo miłe. – Martusia, która do tej pory siedziała głęboko wbita w fotel, przesunęła się na jego skraj, by znaleźć się jak najbliżej prawniczki, i powiedziała: – Właściwie jest pewna sprawa, w której mogłaby pani mi pomóc. Jeśli Tobiaszek nie zostawił testamentu, to co mam zrobić, żeby dostać jak najwięcej?

Sandra nie mogła widzieć siebie, ale miała nadzieję, że zamiast zdziwienia i lekkiego zniesmaczenia na jej twarzy gości choćby cień profesjonalnej uprzejmości i obojętności. Marta Skalka najwyraźniej nie była zbyt zmartwiona śmiercią męża. Gdyby mecenas Tomaszewska pracowała w policji, właśnie wpisałaby tę kobietę drukowanymi literami na pierwsze miejsce listy podejrzanych. I jeszcze podkreśliła jej nazwisko czerwonym mazakiem.

– Marta! – syknęła oburzona Kamelia, dając tamtej jakieś rozpaczliwe znaki, doskonale widoczne również dla Sandry, która próbowała zinterpretować sytuację, w jakiej się znalazła.

Może Skałkowa jest typową blondynką, a może są inne powody – nie tylko te zwyczajowe – dla których nie powinno się poruszać takich tematów. A przynajmniej nie przed pogrzebem.

– Proszę wybaczyć. – Jolka uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Nasza przyjaciółka nie jest sobą. Łatwiej panuje nad rozpaczą, skupiając się na sprawach praktycznych. Niektórzy ludzie tak sobie radzą w stresujących sytuacjach, po prostu nie dopuszczają do siebie gwałtownych emocji. Martusia dopiero dziś trochę się pozbierała, ale nadal jest w szoku. Może najpierw skoncentrujemy się na sprawach pogrzebu? – Za wszelką cenę próbowała ratować sytuację.

Jeszcze moment, a ta idiotka zapyta, jaki wyrok grozi za zabójstwo.

– No tak... Pogrzeb... – Martusia nie wiedziała, w czym problem. W końcu ta kobieta jest prawnikiem. Jeszcze żywy mąż Jolki przysłał ją, żeby im pomogła, to niech pomaga. – Nawet nie wiem, od czego zacząć – wyznała.

Najlepiej od ciała, pomyślała Sandra, a głośno powiedziała:

– Obawiam się, że dopóki prokuratura nie wyda zwłok pani małżonka, planowanie pogrzebu będzie raczej utrudnione.

– Racja. Najwyżej możesz wybrać sobie kieckę – mruknęła pod nosem Kamelia, z trudem powstrzymując odruch wymiotny. Owsiane ciasteczka na śniadanie właśnie przestały się sprawdzać. Czas przerzucić się na sucharki.

– Przepraszam panią. Zazwyczaj nie jesteśmy takimi jędzami, ale wobec tego, co się stało... Nerwy. Rozumie pani?

Jolka znów usiłowała ratować sytuację. Ta prawniczka dziwnie jej się przyglądała. Za chwilę uzna, że ma do czynienia z wariatkami albo jeszcze gorzej – zacznie się czegoś domyślać.

– Rozumiem pani obawy dotyczące jej sytuacji majątkowej. – Sandra zdecydowała się przejąć inicjatywę, zwracając się na powrót do wdowy. Inaczej będzie tu bezproduktywnie traciła czas. – Mogę przejrzeć dokumenty męża, jeśli to pani odpowiada. Zakładam, że pan Skałka nie wtajemniczał pani w swoje interesy?

– Skąd! – zachnęła się Martusia. – Tobiaszek uważał, że jestem za głupia.

– Ach tak... No cóż... Sporo mężczyzn myśli stereotypami...

– Ale tak ogólnie był dobrym mężem – dodała śpiesznie, widząc miny Jolki i Kamy. – Płacił rachunki, dawał mi pieniądze. Był bardzo hojny.

– Rozumiem. – Super, pomyślała Sandra, prostytutka z jednym klientem. A to ja jestem dziwką. – Pani przyjaciółka ma rację. Czasami skoncentrowanie się na wymiarze praktycznym pomaga uporać się z emocjami. To sposób na radzenie sobie w trudnych sytuacjach. – Zdobyła się na pełen zrozumienia, pocieszający uśmiech. – Proszę, to moja wizytówka. Jak poczuje się pani lepiej, proszę dzwonić. Zajmę się wszystkim.

– To może dzisiaj...

– Lepiej, jak jeszcze dziś zostaniesz u Jolki – przerwała jej bezceremonialnie Kamelia. – Od wczoraj masz taką huśtawkę nastrojów, że strach zostawić cię samą. Proszę sobie wyobrazić – zwróciła się do Sandry – że Martusia była w takim szoku, że lekarz z pogotowia musiał jej podać dożylnie środki uspokajające.

– Dziś rano też nie czuła się najlepiej. – Jolka pospieszyła na pomoc Kamie. – Do tego przesłuchiwał ją taki okropny policjant. Żadnego współczucia ani zrozumienia dla tej tragedii. Na szczęście mam tabletki z melisą, tylko dzięki nim biedaczka jakoś się trzyma. Myślę jednak, że nie powinniśmy narażać jej na większy stres niż to konieczne. Zajmiemy się wszystkim po pogrzebie.

– A jak pani uważa? – Sandra nie była w ciemieniu bita. Może i przyjaciółki tylko chciały ją chronić, ale zdecydowanie coś jej tu śmierdziało. Ich troskliwość była zbyt sztuczna.

Popatrzyła wyczekująco na przyszłą klientkę.

– Ja uważam tak samo. – Martusia nie wiedziała, o co chodzi dziewczynom, ale jeden dzień nie robi różnicy. Nie zamierzała czekać na żaden pogrzeb, tylko jak najszybciej wrócić do domu, żeby szukać testamentu.

– Proszę, to moja wizytówka. – Tomaszewska wiedziała, kiedy spasować. – Proszę zadzwonić, jak tylko poczuje się pani na siłach.

– Pani mecenas... – Martusia przytrzymała jej rękę. – Mam pytanie. Jako mój adwokat nie może pani ujawnić niczego, co powiem ani czego się pani dowie, prawda? – Pytanie nie brzmiało, jakby wyszło z ust blondynki. Wręcz przeciwnie.

– Jestem radcą prawnym. – Tomaszewska delikatnie uwolniła rękę, po czym, patrząc prosto w oczy swojej klientki, powiedziała: – Ale tak, zasadniczo ma pani rację. Jako pani doradca prawny będę zobowiązana zachować w tajemnicy wszystko, czego się dowiem w trakcie świadczenia pani swoich usług.

– Bez wyjątku? – zapytała nieufnie Martusia.

– Niezupełnie... – Sandra zawahała się chwilę, a potem wyjaśniła zgodnie z prawdą: – Nie mogę udzielać pani pomocy prawnej, mającej na celu popełnienie przestępstwa, ani pomocy w uniknięciu odpowiedzialności karnej za czyn, który zamierzałyby pani popełnić.

– Czyli zasada dochowania tajemnicy działa wstecz?

– Tak, można tak powiedzieć. – Spojrzała na nią z rozbawieniem. – Ale za to jest to zakres bezterminowy. Nawet jeśli nie będzie już pani moją klientką, tajemnica nadal mnie obowiązuje.

– Niech pani przygotowuje umowę. Chcę mieć to na piśmie – zdecydowała Martusia.

– Oczywiście, co tylko pani sobie życzy...

– I to pani ma się mną zajmować. Nikt więcej – zaznaczyła jeszcze.

– To oczywiste. – Sandra uśmiechnęła się z satysfakcją. Markiewicz nie będzie zadowolony, ale w końcu to on kazał jej się zająć wdową. – Nie mogę też udzielać pomocy w praniu brudnych pieniędzy – dodała jeszcze, nie wiedząc, czego dokładnie będzie od niej oczekiwała klientka. Lepiej niech ma pełną świadomość.

– Nie mam żadnych pieniędzy do prania – powiedziała ze zdziwieniem Martusia.

– Ani nie zamierza popełniać żadnych przestępstw – uzupełniła zdezorientowana i zdenerwowana Jolka. – Jeśli to wszystko, pani mecenas, to bardzo proszę. Odprowadzę panią.

Sandra tylko skinęła głową, czując, że kroi się tu grubsza afera. Miała jedynie nadzieję, że cokolwiek planują te kobiety, ich działania odbiją się Markiewiczowi czkawką, zanim ona pozbędzie się tego drania na dobre. Niech gnój cierpi.

– Zabiję cię, jak tylko przestaniesz mnie mdlić. Masz szczęście, że boję się ruszyć, żeby nie zarzygać Jolce dywanu – oznajmiła groźnie Kamelia, gdy tylko tamte dwie opuściły pokój.

– Ale dlaczego? – spytała żałośnie Martusia, zdziwiona nagłą wrogością przyjaciółki.

– Zadajesz takie pytania, że jak ta kobieta ma choć trochę rozumu w głowie, zaczniesz się zastanawiać, co jest grane – wysyczała wściekła Kama.

– No i co z tego? – Martusia wzruszyła ramionami. – Przecież Tobiaszek nie żyje, więc ma to odniesienie do przeszłości, a tego dotyczy tajemnica.

– Chcesz powiedzieć tej kobiecie, że zabiłaś męża?!

– No co ty! – obruszyła się tamta. – Masz mnie za głupią? Chodzi mi tylko o to, że w razie pytań, tak jak teraz, kto po kim dziedziczy, nawet nie mamy kogo się poradzić. A teraz będziemy miały. Do tego wszystko będzie na piśmie.

– O Boże... – jęknęła Kama. Nie dodała nic więcej. Z jednej strony Martusia miała rację. Z drugiej...

dopiero teraz mogą wpaść w bagno. W końcu tylko jeden mąż jest martwy. Zostało jeszcze dwóch.

Sandra kończyła sporządzać umowę współpracy dla Marty Skałki, gdy do jej gabinetu, bez pukania oczywiście, jak to miał w zwyczaju, wszedł Adam Tomyślak. Podpatrzył ten zwyczaj u szefa, nie załapał jednak różnicy między ich statusem. Tylko jeden z nich był udziałowcem. I nie był to Adam.

Podniosła na niego wzrok znad komputera i czekała, aż intruz powie, po co przyszedł. Zwracanie mu uwagi byłoby bezcelowe. Zwłaszcza że i tak zamierzała pozbyć się go z firmy. Jak na neurotyka Adam był dobrym prawnikiem, prawie tak dobrym jak ona. Do tego był mężczyzną w zdominowanej przez mężczyzn kancelarii. Ona, Sandra, zawsze będzie na drugim miejscu, ze względu na brak jaj między nogami, choć tak naprawdę to Adam ich nie miał.

– Co robisz wieczorem, laska? – zapytał bezceremonialnie.

Westchnęła w duchu. Czasami zapominała, jaki z niego palant.

– Bo co? – odparła niegrzecznie.

Nie lubiła gnidy, a gnida doskonale o tym wiedziała, więc wniosek z tego był tylko jeden. Sukinsyn przyszedł z nią się podrażnić. Natura strzela plemnikami na oślep, pomyślała. Adam był wysoki, przystojny, wymuskany, zawsze elegancki, a tak doskonale opakowanie profanowała osobowość salonowego padalca.

– Bo może bym cię gdzieś zabrał.

– Mam na czole napisane „naiwniaczka”? Jak chcesz kogoś przelecieć, porozglądaj się za studentkami. Są chętniejsze. Do tego myślą, że jesteś dobry w łóżku.

– Bo jestem.

– Tylko wtedy, jak ci stanie.

– Uuuu – jęknął. – Zabolało.

– Tylko twoje nadmuchane ego.

– To może ominiemy te podchody i po prostu będziemy się pieprzyć? – zaproponował.

– Jak lubisz królową Śnieżkę...

– Nie rozumiem...

– Musiałabym najpierw stracić przytomność – wyjaśniła. – Skończ już z tym. Przyszedłeś się pochwalić, że szef wyznaczył cię do obsługi nowego klienta? Wiem o tym od samego rana. Coś jeszcze?

– Powiedział ci? – Zdumiony Tomyślak oparł się o drzwi.

– Owszem. Wezwał mnie rano i zlecił obsługę wdowy po swoim przyjacielu. To ten doradca podatkowy, Skałka, kojarzysz? Podobno to sprawa rodzinna i chciał ją dać komuś, komu ufa. Wolałabym twojego klienta, ale cóż... – Wzruszyła obojętnie ramionami. A przynajmniej tak to miało wyglądać. Sądząc po minie Adama, jej sugestia, że dostał nowego klienta tylko dlatego, że Markiewicz zlecił jej coś ważniejszego, trafiła celnie i boleśnie. – Coś jeszcze? – zapytała. – Bo pracuję...

– Jasne. Nie przeszkadzam. I tak muszę się przygotować. Za godzinę jadę z szefem do firmy Krotkowskiego na spotkanie z zarządem. – Rzucił jej spojrzenie zwycięzcy i wyszedł.

Oboje wiedzieli, że zwycięstwo było tylko połowiczne. Dostał największego klienta, jednak stało się to nie w takich okolicznościach, w jakich by sobie życzył.

Sandra nie była tak obojętna, jak udawała. Chciała mieć wszystko: i Skałkę, i Krotkowskiego. A także pozbyć się Markiewicza ze swojego życia. I Adama z kancelarii.

Skałkę już miała. Krotkowskiego zdobędzie. Metodą szczeniacką, ale skuteczną. Pojedzie z szefem. Mógł traktować ją jak szmatę, ale wiedział doskonale, ile jest warta jako prawnik. Była skuteczna, a tylko to miało dla niego znaczenie. Za chwilę okaże się, jak bardzo. Kiedy tamten przydupas nawali, ona, Sandra, będzie jedynym logicznym wyborem.

Przyszedł czas na akcję, do której przygotowała się w drodze powrotnej do firmy. Farmaceutka w aptece zapewniała, że środek jest bardzo skuteczny i działa błyskawicznie.

– Zrób to – poleciła sekretarce Tomyślaka, która odebrała telefon.

Nazywała się Ania czy Hania, Sandra nie pamiętała. Wiedziała za to, że Adam zaprosił tę dziewczynę na kolację ze śniadaniem, a potem zapomniał o jej istnieniu. Była na niego wściekła i pragnęła zemsty, co Sandra chętnie wykorzystała. Najdalej za trzydzieści minut Adam zacznie okupować toaletę i nie opuści jej przynajmniej do wieczora. Pił kawę hektolitrami, słodził ją tonami cukru, więc na pewno nie wyczuje zmienionego smaku. Ten syrop też miał słodkawy smak. Zanim Tomyślak wyruszy z szefem, wypije co najmniej trzy filiżanki, odpowiednio doprawione duphalakiem.

Do gabinetu weszła kobieta po pięćdziesiątce, zajmująca się domem Skałków. Kalinka wskazał ręką, by pani Marysia zajęła miejsce na krześle stojącym przy jego biurku. Przed zadaniem kolejnych pytań wdowie postanowił uzyskać trochę informacji. Jego mentor niejednokrotnie powtarzał, że zanim się zada pytanie, należy znać na nie odpowiedź, a przynajmniej jej się domyślać. Można wtedy wzbudzić w przesłuchiwanym strach i niepewność, co doprowadzi delikwenta do popełnienia błędu i winowajca sam się poda na srebrnej tacy wraz z listą dowodów świadczących przeciwko niemu.

– Od jak dawna pani pracuje u państwa Skałków?

– Oj, chyba będzie z dziesięć lat – odpowiedziała pani Marysia.

– To dobrzy pracodawcy?

– Oj, bardzo dobrzy. To znaczy, pan Tobiasz to taki zapracowany był i rzadko bywał w domu. Ale pani Marta to złota kobieta. Niech pan sobie wyobrazi, że jak moja wnuczka zachorowała, to przez rok kupowała dla niej lekarstwa, bo nas nie byłoby stać. Wie pan, jak to jest. Żeby chorować, to trzeba mieć za co.

– No tak... – Kalinka czuł, że nic nie układa się po jego myśli. Sądząc po tonie gosposi, ta kobieta prędzej się przyzna, że własnoręcznie zamordowała swojego chlebodawcę, niż rzuci choć cień podejrzenia na jego żonę.

– Szkoda, że tak udane małżeństwo nie miało dzieci – rzucił z udawanym współczuciem.

– Pani Marta chciała. Kocha dzieci. Pan Tobiasz nie chciał.

– O... – zdziwił się komisarz. – Myślałem, że tak jak większość par w dzisiejszych czasach, czekają na właściwy moment.

– No pani Marta pewnie tak myślała, że pan Tobiasz jeszcze się zdecyduje. Na razie nic z tego nie wyszło. Dlatego pani Marta tak się udziela w domu dziecka. Ona kocha dzieci. Jak moja córka poszła do pracy i ja też do pracy, a wnuczka jeszcze była mała i nie miałyśmy co z nią zrobić, to pozwalala, żebym ją przyprowadzała. Zajmowała się nią, nawet zabawki jej kupiła. I kolorowanki. Pani Marta kocha dzieci – powtórzyła raz jeszcze gosposia, jakby Kalinka nie pojmował w swojej policyjnej głowie, że ma do czynienia z aniołem, a nie ze zwyczajną kobietą.

– Kłócili się?

– A skąd! – oburzyła się pani Marysia. – Pan Tobiasz, jak wracał z pracy zdenerwowany, to czasami powiedział słowo czy dwa nie na miejscu, ale pani Marta nigdy. Ona jest taka łagodna i wrażliwa.

– Taaak... O której pani skończyła pracę tamtego dnia?

– Tak jak zawsze, o piętnastej.

– A następnego dnia o której pani przyszła?

– Miałam wolne. Zawsze mam jeden dzień w tygodniu wolny, za to pracuję w sobotę.

– Ach tak... – Trybiki komisarza zaczęły obracać się szybciej. Marta Skałka w chwili śmierci męża była z nim sama.

– Pan Skałka o której wychodził do pracy?

– Różnie. Najczęściej koło ósmej. Czasami później.

– Yhm... – Udał, że notuje słowa kobiety. – To duży dom. Sporo pracy.

– A sporo – przyznała pani Marysia.

– Pani Skałka pewnie zacznie korzystać z drugiej łazienki – rzucił mimochodem, nadal udając, że coś zapisuje.

– Pewnie tak. – Kobieta się przeżegnała. – Sama będę miała stracha, żeby wejść do tej, gdzie umarł pan Tobiasz.

– Ta druga jest na parterze?

– Nie, też na piętrze. Na parterze jest tylko toaleta z umywalką.

– Ta na piętrze to dla gości?

– Raczej tak. Pani Marta tylko czasami z niej korzysta.

Ta odpowiedź mu się nie spodobała. Tylko czasami to nie to samo co nigdy.

Nie było sensu pytać, czy Marta Skałka korzystała z niej wieczorem w dniu wypadku lub następnego dnia rano. Pani Marii nie było na miejscu. A sam fakt sporadycznego korzystania z drugiej łazienki wystarczy, żeby uzasadnić fakt, iż zwłoki zostały znalezione przez kogoś innego niż wdowa. Ale zaraz, zaraz, co ta kobieta powiedziała? Na parterze jest toaleta?

– A ta toaleta na dole to dla kogo jest?

– Jak ktoś obcy przyjdzie, to po co ma się pętać po piętrze?

Ta odpowiedź też mu się nie spodobała. W końcu Jolanta Markiewicz i Kamelia Padecka nie były obce dla Marty Skałki. Pytanie tylko, po co biec na piętro, żeby skorzystać z toalety, skoro jest na dole? No tak, przecież chodziło o ten tusz do rzęs, ale wyjaśnienie Jolanty Markiewicz nie bardzo go przekonywało. Może więc byłby to jakiś punkt zaczepienia, chociaż wyjątkowo słaby. Na tej podstawie nawet nie warto budować hipotezy. Sam by wyśmiał kogoś, kto by wyskoczył z czymś takim. Trzeba poczekać na wyniki sekcji. Powinny być najdalej jutro. Może coś się znajdzie.

Sandra nie musiała długo czekać na efekty. Dokładnie czterdzieści minut po jej telefonie do Ani czy Hani drzwi gabinetu otworzyły się powtórnie. Bez pukania, rzecz jasna. Tadeusz Markiewicz nie widział powodu, dla którego miałby pukać do jakiegokolwiek pomieszczenia we własnej kancelarii. W końcu to on za wszystko płacił. No dobra, on i wspólnicy. Ale mniejsza o szczegóły, nie ma co się rozdrabniać.

– Zbieraj się. Masz kwadrans – polecił.

– Nie rozumiem?

Nie musiała udawać zdziwienia ani zaskoczenia. Słowa Markiewicza zabrzmiały tak, jakby ją wyrzucał z pracy. Niemożliwe. Chyba ta Ania czy Hania na nią nie doniosła?

– A co tu jest do rozumienia? Bierzesz sprawę Krotkowskiego. Zbieraj się.

– A co z Adamem? – Odetchnęła z ulgą. Jej nerwy były w gorszej kondycji, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka.

– Nie chcę o tym mówić. – Szef skrzywił się z obrzydzeniem. – Idź do niego, niech ci da dokumenty, zapoznasz się po drodze. Na spotkaniu siedź cicho. Odzywaj się tylko wtedy, gdy ja cię o coś zapytam albo jeśli będziesz całkowicie pewna rozwiązania. Nie znasz niuansów, ale nie zdążę cię wprowadzić. Musisz improwizować. Jak zawalisz, wylatujesz.

– Oczywiście – przytaknęła machinalnie, zastanawiając się, czy za dzisiejszą wpadkę Tomyslak wyleci z pracy. Ciekawe, co wpiszą jako powód zwolnienia. Rozwolnienie?

Raczej wlokący się za nim smród, pomyślała cztery minuty później, gdy weszła do gabinetu Adama. Zasłoniła ręką nos. Odór był nie do zniesienia. Obrzydliwe bulgotanie usłyszała z odległości kilku



metrów. Tomyslak był blady, oczy mu się zapadły, na czole perlił się pot. Gdy weszła, wstał z za biurka. W tym momencie wyrwało mu się koszmarne pierdnięcie.

– Jezu! – jęknął, rzucając się biegiem w stronę drzwi.

Sandra odskoczyła w ostatniej chwili, inaczej staranowałby ją bez wahania. Gdy ją mijał, poczuła świeży fetor.

– Matko Boska!

Wypadła z gabinetu, zatraskując za sobą drzwi. Ania czy Hania, wszystko jedno, uniosła tylko brwi w udanym zaskoczeniu, po czym wyciągnęła w jej stronę paczuszkę z chusteczkami.

– Perfumowane – powiedziała, uśmiechając się z satysfakcją.

– Ile mu tego wlałaś? – zapytała szeptem Sandra, pochylając się w jej stronę.

– Sporo. – Dziewczyna nie kryła zadowolenia.

– Żeby nie wykitował...

– Nic mu nie będzie. Oczyszczi sobie organizm. Powiem ci tylko, że już żadna z praktykantek nie spojrzy na niego jak na mężczyznę. Nie po tym, jak poczuły jego smród. Pomysł szczeniacki, ale skuteczny. Żałuję, że sama na to nie wpadłam.

– Ciszej – syknęła Sandra. – Bo polecimy obie.

– Spoko. Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

– Akta Krotkowskiego. Potrzebuję ich natychmiast.

– Są w gabinecie. – Ania czy Hania przestała się uśmiechać.

– Ktoś musi po nie pójść. – Nie chciała, by zabrzmiało to błagalnie, ale zabrzmiało.

– O Boże... – Ania czy Hania zbladła, spoglądając z przerażeniem na drzwi.

– Proszę... – W głosie Sandry już nie tylko brzmiało błaganie, ono wyło jak syrena strażacka.

– No dobra. Ale wiesz mi przysługę. – Ania czy Hania wyjęła świeżą chusteczkę z opakowania, głęboko nabrała tchu, przycisnęła ją do nosa i niczym strażak wchodzący w płomień, by ratować dziecko, ruszyła do gabinetu.

Mecenas Tomaszewska była z siebie ogromnie zadowolona. Spotkanie przebiegło bez zgrzytów. Cokolwiek by powiedzieć o Markiewiczu, był fachowcem pierwszej klasy. Mogłaby sporo się od niego nauczyć, gdyby pożył wystarczająco długo. Do tego wszystkiego przed dwiema godzinami Marta Skałka podpisała umowę i pełnomocnictwo do działania w jej imieniu i na jej rzecz.

Nie obyło się, rzecz jasna, bez małych komplikacji, które wywołały jej dwie zaborcze przyjaciółki. Po pierwsze, przeczytały umowę, która ich nie dotyczyła i której nie powinny oglądać na oczy. Po drugie, wynikła kwestia kluczy do domu, które wręczyła jej klientka.

– Czyś ty zwariowała?! – Kamelia wprawdzie zwracała się do Martusi, ale klucze wyrwała z ręki Sandry tak gwałtownie, że ta szybko policzyła palce, czy nie straciła przynajmniej dwóch, a z powodu szoku i upływu krwi nie czuje bólu.

– O co ci chodzi? – zdziwiła się wdowa.

– Dajesz obcej osobie klucze od domu? – Kamelia nie przejmowała się zbytnio faktem, że ta obca osoba siedzi tuż obok i słucha.

– Kama! – zgromiła tamtą Jolka, zabierając jej pęk kluczy. – Przepraszam panią – rzuciła do Sandry, po czym syknęła do przyjaciółek: – Do kuchni. Natychmiast! – I na powrót zwróciła się do oniemiałej prawniczki: – Będzie pani uprzejma chwilę zaczekać.

Sandra nie miała możliwości odpowiedzieć, że owszem, będzie tak uprzejma, gdyż wszystkie trzy kobiety błyskawicznie zniknęły, pozostawiając ją samą. Nie byłaby jednak sobą, gdyby ominęła taką okazję. Wymknęła się za nimi i przycisnęła pod drzwiami, zza których dobiegały kobiece głosy.

– Kama ma rację. Dajesz klucze obcemu babsku? – Jolka nie kryła wzburzenia.

– A co? Okradnie mnie? – zirytowała się Martusia. – Nie chcę tam wracać. Cały czas mam przed oczami wytrzeszczone oczy Tobiaszka. Już nigdy nie przekroczę progu tej łazienki.

– Cóż za wrażliwość! – zakpiła Kama. – Przypominam ci, że...

– Żadnego wypominania – interweniowała Jolka. – Problem dotyczy wyłącznie kluczy. Inne tematy nie istnieją, dopóki ta kobieta nie opuści mojego domu.

– Ta kobieta jest moją prawniczką i w pierwszej kolejności zajmie się odzyskaniem mojego spadku.

– Ta kobieta nic nie robi – wtrąciła się do rozmowy Kama – dopóki nie będziesz miała w łapce aktu zgonu.

– Więc ta kobieta zdobędzie akt zgonu. Potem znajdzie mi firmę, która zorganizuje pogrzeb. A następnie zajmie się moim spadkiem, tylko że wcześniej musi dostać klucze od mojego domu, by mogła sprawdzić w gabinecie, czy jest tam testament. – Martusia twardo obstawała przy swoim.

– Skąd wiesz, że możesz jej zaufać? – Kamelia była równie zdeterminowana.

– Kama ma rację... Może pojedziemy wszystkie trzy...

– I będziemy jej patrzeć na ręce? – przerwała Jolce Martusia. – Jeśli pracuje dla twojego męża, to jest tak samo pazerna i zachłanna jak on, i żeby zarobić swoje, najpierw musi zdobyć moje. Czyż nie?

– Dobra. Daj jej te klucze. – Jolka błyskawicznie zmieniła zdanie, wprawiając w osłupienie obie przyjaciółki.

– Naprawdę? – zdziwiła się Martusia.

– Zgłupiałaś? – sprzeciwiła się Kamelia.

– Nie. Martusia ma rację co do Tadzika. Jak ją wyznaczył, to znaczy, że to prawdziwa harpia.

– Róbcie, co chcecie, ale ja tej kobiecie nie ufam – z urazą oświadczyła na koniec Kama.

Ta kobieta uznała, że czas zakończyć podsłuchiwanie i wrócić do pokoju, w którym ją zostawiono. Usłyszała dość, by zrozumieć, że dyskusja zmierza do finału.

Teraz siedziała w gabinecie nieboszczyka i przeglądała posegregowane starannie papiery. Testament znalazła już po kilku minutach. Był w zamkniętej na klucz szufladzie, którą Sandra otworzyła spinką do włosów. No cóż, człowiek szybko zdobywa potrzebne doświadczenie. Wiedziała już, że przy tej sprawie raczej się nie napracuje. Wdowa została wyłączną spadkobierczynią. Jedynym problemem, jaki może ją czekać w przyszłości, są ewentualne roszczenia o zachówek.

Spojrzała na zegarek. Za szybko uporała się z odnalezieniem ostatniej woli Skałki. Ani kancelaria, ani ona sama nic nie zarobi. Zatrzasnęła na powrót szufladę z testamentem i wyjęła pierwszy z segregatorów stojących na regale. Przejrzy całą dokumentację, co i tak by jej nie ominęło, a stawka godzinowa właśnie zaczęła swój bieg.

– Niekiedy wydaje mi się, że jako dziecko swój pierwszy krok zrobiłem lewą nogą – powiedział do pustego pokoju komisarz Kalinka.

Przeczytał to zdanie na demotywatory.pl i od tej pory stale mu towarzyszyło. Głównie wtedy, gdy czuł, że pech kroczy tuż przy nim, a niekiedy nawet go wyprzedza i wyskakuje zza rogu z radosnym: „Uha!”.

Ten dzień nie przyniósł dobrych wiadomości. Partner Bartosza nie wróci do pracy przez kilka miesięcy. Drobnym zabieg zdjęcia paznokcia z palucha prawej stopy zakończył się infekcją, która położyła go przynajmniej na dwa tygodnie, a teraz jeszcze lekarz kazał mu się rehabilitować, o czym z radością poinformował go przez telefon kolega.

Na zastępstwo przysyłają podkomisarz Barbarę Sznurek, była flama Bartosza, która puściła go kantem jakieś dwa lata temu, a on jej tego nie wybaczył. Miał nadzieję, że koleś, z którym ją przyłapał, zaraził ją rzeżączką. Albo czymś równie paskudnym, ale wyleczalnym. Kalinka nie był aż tak podły, by życzyć jej

czegoś gorszego niż ona sama. Liczył też sobie po cichutku, że może zbrzydła, przytyła lub zmieniła się w jakieś zgorzkniałe babsko, co byłoby równie sprawiedliwą karą za jego złamane serce, co rzeźniczka.

Leżące na biurku wyniki autopsji wprowadziły komisarza w pewien stan zubożenia. Nie odczuwał żadnych emocji. Przestał nawet logicznie myśleć. Trwał w jakimś dziwnym oszołomieniu, mając całkowitą pustkę w głowie. Tobiasz Skałka zmarł wskutek porażenia prądem, które zatrzymało akcję serca. Jakby tego było mało, nie znaleziono żadnych śladów wskazujących na udział osób trzecich w tymże akcie zatrzymania krążenia.

Zatem śledztwo właściwie było zamknięte, a Kalinka miał w głowie wizję szczupłej blondynki, wrzucającej do wanny suszarkę do włosów i wydającej przy tym diabelski chichot. Ciało już czekało na odbiór, prokurator nie widział powodu, dla którego miałoby dłużej zajmować miejsce w prosektorium. Nie widział też powodu, by prowadzić kolejne przesłuchania. Na razie jednak nie było oficjalnego dokumentu zamykającego sprawę. Bartosz liczył, że może jeszcze uda mu się na coś wpaść. Inaczej jedyną szansą na wznowienie sprawy byłoby znalezienie nowych dowodów, a musiałyby ich szukać wyłącznie w swoim czasie prywatnym.

Drzwi od jego pokoju otworzyły się z rozmachem i stanęła w nich wysoka blondynka. Włosy miała zaczesane na prawą stronę, boki mocno wystrzyżone, co nadawało jej twarzy wyraz pewnej drapieżności. Ogromne brązowe oczy patrzyły na niego kpiąco. Rzecz jasna, nie było wokół nich śladu kurzych łapek. Z tego co widział, nie przytyła. Wyglądała równie seksownie jak zawsze. Jedyną nadzieją komisarza była rzeźniczka. Ale miał przeczucie, że i tu szczęście mu nie dopisze.

– Hej! – zawołała radośnie Baśka, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi na świecie. – Co słyhać?

A co może być słyhać u faceta ze złamanym sercem, który nie może się pozbierać po rozstaniu? – chciał zapytać, ale zamiast tego odparł obojętnie:

– Mamy razem pracować. Jakiś problem?

– Skąd. A dla ciebie? – zapytała, poważniejąc.

– Bynajmniej. – Pod wpływem impulsu pchnął teczkę w jej stronę i powiedział ze spokojem, jakby nigdy nic się między nimi nie wydarzyło: – Mam dość dziwny zgon. Uważam, że szczęśliwa wdowa maczała w tym palce, jednak nie ma żadnych śladów.

– Przeczucie to za mało...

– Owszem, ale może uda się coś z tego wyciągnąć. Zawsze miałaś dobre pomysły – dodał.

Chcąc nie chcąc, musiał ją pochwalić. Była dobra w tym, co robiła. Była dobra we wszystkim, co robiła. W zdradzaniu też. Dowiedział się przez przypadek. Co chyba jest normą w takich sytuacjach.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się z ulgą.

Bała się tego spotkania. Niepotrzebnie. Zdaje się, że Bartek uporządkował wreszcie swoje emocje i przeszedł do porządku dziennego nad tym, co się stało.

– Trzeba ją wezwać na komisariat i przesłuchać. Chciałbym, żebyś w tym uczestniczyła.

– Jasne. – Baśka uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Sprawa o zabójstwo, rozwiązana, rzecz jasna, to dodatkowy plus w aktach. I to ogromny.

– Kłamczucha zawsze rozpozna kłamczuchę. – Kalinka odwzajemnił jej uśmiech. Już nie udawał, że wszystko w porządku.

– Myślałam, że jesteśmy dorośli... – powiedziała zawiedziona.

– Wybacz, czyżbym cię uraził? – odparł z ironią. – Nie zamierzałem. To tylko zwykłe stwierdzenie.

– Całkowicie pozbawione podtekstów osobistych, rzecz jasna – skwitowała zgryźliwie.

Jeśli on myślał, że będzie kornie biła się w piersi, to był w błędzie. Zrobiła to dwa lata temu. Nie pomogło.

– Widzę, że nadal rozpamiętujesz tamtą sprawę.

– Rozpamiętuję? To by znaczyło, że coś do ciebie czuję, a tak nie jest. – Spojrzał na nią z wymuszoną obojętnością. Oczywiście, że nadal rozpamiętywał. Robił to za każdym razem, gdy spojrzał na pierścionek, który dla niej kupił.

Martusia siedziała w kościele w pierwszym rzędzie, nie mając pojęcia, jak się zachować. Po cichutku liczyła na to, że zgromadzeni pomyślą, iż jej brak obycia religijnego wynika z szoku po śmierci męża, a nie z nieznajomości liturgii.

– Co za bzdety – szepnęła do Jolki. – Ślub brałam cywilny, a pogrzeb mam kościelny?

– Nie ty masz pogrzeb, tylko Tobiasz – odszepnęła tamta, nie odrywając wzroku od księdza.

Kamelia pochyliła się w ich stronę, by słyszeć rozmowę, ale Jolka tylko machnęła ręką jak na naprzykrzającą się muchę.

– I zachowuj się.

– Staram się, ale nie wiem jak. Jestem niewierząca.

– To chociaż udawaj – syknęła Jolka, znów odganiając ręką Kamelię. Ta, zniecierpliwiona, wstała i przesiadła się, zajmując wolne miejsce obok Martusi.

– Co jest? – zapytała szeptem, ignorując wściekłe spojrzenie Jolki.

– Właśnie mówiłam, że ślub brałam cywilny, a pogrzeb mam kościelny.

– Nie ty masz pogrzeb, tylko Tobiasz. – Kamelia nieświadomie powtórzyła słowa tamtej.

– Jolka powiedziała to samo.

– Miała rację. O to chodziło?

– Między innymi. – Martusia pochyliła się w stronę Kamy i szepnęła jej na ucho: – Nie mam pojęcia, jak się zachowywać w kościele.

– Udawaj, że jesteś pogrążona w żalu. To wystarczy – poradziła jej Kamelia, opierając się mocniej o tył ławki.

Bolał ją kręgosłup. Brzuszka jeszcze za bardzo nie było widać, a miała tyle dolegliwości, jakby nosiła co najmniej trojaczki. Potem będzie tylko gorzej. Ciśnienie na pęcherz i bieganie co chwila do toalety. Opuchnięte stopy. Rozstępy. Poród. Nieprzespane noce. A dzieciak na końcu i tak jej powie: „Odwal się, matka”.

– Mam przejebane – szepnęła do siebie.

Baśka z zainteresowaniem przyglądała się kobietom siedzącym w pierwszym rzędzie z prawej strony. Sama stała z tyłu wraz ze swoim partnerem. Bartek uparł się, by przyjść na pogrzeb. Przy takich okazjach można sporo usłyszeć.

Trzy głowy pochylały się ku sobie, a ich właścicielki dyskutowały o czymś zawzięcie. Zdecydowanie były zajęte czymś innym niż msza żałobna za Tobiasza Skalkę.

– Kto ma przejebane? – Martusia wystraszyła się nie na żarty. – Ktoś nas podejrzewa?

– Ja. Nie nas, tylko ciebie. I mów ciszej, bo jesteśmy w kościele – wysyczała zdenerwowana Kamelia.

Jolka, która nie słyszała jej słów, ale dotarło do niej pytanie Martusi, złapała Kamę za rękę i zapytała równie przestraszona, co wdowa:

– Kto nas podejrzewa? Ten policjant?

– Jaki policjant?

– Kalinka. Jest w kościele.

– Kalinka tu jest? O Boże. – Martusia złapała Kamelię za rękę i szepnęła spanikowana: – Ten gliniarz

tu jest!

– I co z tego? – zdenerwowała się tamta. – Przecież Tomaszewska powiedziała, że sprawa wkrótce będzie zamknięta. Nieszczęśliwy wypadek.

– No tak. – Martusia odetchnęła i zwróciła się do Jolki: – Kama mówi, że Sandra powiedziała, że już po sprawie, bo uznali to za nieszczęśliwy wypadek.

– Więc dlaczego myślałaś, że ten policjant nas podejrzewa?

– Nie myślałam.

– To po co tak powiedziałaś?

– Co powiedziałam? – zdziwiła się Martusia.

Kalinka z zainteresowaniem obserwował tę wymianę zdań. Stojąc z tyłu, nie widział twarzy przyjaciółek, ale trzy głowy kręciły się bezustannie.

– Co one robią? – zwrócił się do Baški.

– Rozmawiają.

– O czym można rozmawiać na pogrzebie?

– O testamencie.

– Naprawdę?

– Nie, na żarty. Skąd mam wiedzieć? – zapytała zgryźliwie. – Nie potrafię czytać z ruchu warg, a nawet gdybym potrafiła, to widzę tylko włosy twoich podejrzanych. Może te dwie pocieszają wdowę.

Kalinka nic nie odpowiedział. Fakt. Głupio zapytał. Ale żadna z tych kobiet z pewnością nie myślała o zmarłym. Siedziały, bez przerwy szepcząc coś do siebie! Nie sprawiały wrażenia poruszonych ani smutnych.

– Ciekawe – szepnął do tymczasowej partnerki służbowej i przeszłej prywatnej.

– Co takiego?

– Kościół pełen ludzi, rodzina, zapewne współpracownicy i klienci, a ta trójca okupuje całą ławkę.

– Pierwsza ławka jest przeznaczona dla rodziny. Najbliższa zmarłemu jest żona. Jak usiadła z przyjaciółkami, to reszta nie miała tam czego szukać.

– Dziwne, że rodzina denata trzyma się od niej z daleka. Może jej nie akceptowali.

– Może. Co nie zmienia wyniku autopsji – odparła Baška.

– Co oni robią? – zdziwiła się Martusia, widząc kilku mężczyzn w czarnych frakach i kapeluszach, którzy podeszli do katafalku i dźwignęli trumnę.

– Idziemy na cmentarz! – Jolka zreflektowała się pierwsza. – Za nimi! – poleciła Martusi, która odczekała chwilę, aż minął ją ksiądz kroczący za trumną, i dostojnie podążyła za nim.

Kamelia wraz z Jolantą zajęły miejsca po obu stronach wdowy, nie opuszczając jej ani na moment. Za nimi podążyła rodzina Tobiasza. W większości byli to dalsi krewni, którzy widzieli go może kilka razy w życiu. Jego brat już od wielu lat mieszkał poza granicami kraju i nie zamierzał brać udziału w uroczystości. Złożył Martusi zwyczajowe kondolencje, a ona jemu – w końcu oprócz niej zagraniczny brat był najbliższą rodziną Tobiaszka.

Przezornie nie poruszała tematu dziedziczenia. Testament na szczęście został przez panią mecenas znaleziony, toteż Martusia pogratulowała sobie pomysłu zatrudnienia Sandry. Wszelkimi ewentualnymi kłopotami zajmie się Tomaszewska.

Stypa, którą prawniczka zamówiła w eleganckiej restauracji, przeznaczona była głównie dla klientów i współpracowników Tobiasza. Martusia najchętniej urządziłaby coś kameralnego w najbliższym gronie, ale pełnomocniczka wytłumaczyła jej, że może to mieć negatywny wpływ na interesy. Uważała, że należy

zaprosić partnerów zmarłego na poczęstunek i zapewnić ich, że firma będzie działała jak dotąd, przynajmniej do czasu podjęcia odpowiednich decyzji.

Sandra wszystkim się zajęła, więc Martusia nie zaprzętała sobie głowy żadnymi detalami, nie licząc wyboru odpowiedniej sukienki i butów. I tak nie znała nikogo z tamtych ludzi. Uśmiechała się tylko smutno do każdego, kto na nią spojrzał, i kiwała głową w niemym podziękowaniu za przybycie.

Nie słuchała uważnie księdza, który odmówił jakieś modlitwy nad trumną. Potem przemawiało jeszcze kilka osób, w tym Tadeusz Markiewicz, który długo rozwodził się nad zaletami zmarłego przyjaciela.

Dwie godziny później pogrążona w smutku wdowa, znudzona jak wszyscy diabli, miała już dość tych wszystkich obcych ludzi. Od uśmiechania się bolała ją szczeka i mięśnie policzków. Raz czy dwa rzucił jej się w oczy komisarz Kalinka, który przyszedł z jakąś blondynką. Ładna kobieta, tylko kto ich tu zapraszał? – zastanawiała się. I nie tylko ona.

– Co ten gliniarz tu robi? – spytała Kamelia, w końcu utorowawszy sobie drogę przez tłum przybyłych na stypę.

– Może Sandra go zaprosiła? – zasugerowała Martusia.

– Wątpię. Nie jest kretynką. Pewnie wcisnął się na krzywy ryj. Do tego z osobą towarzyszącą. Niektórym brak klasy – stwierdziła z lekceważeniem Kama, z trudem powstrzymując beknięcie. – Przepraszam. Małej coś nie zasmakowało – szepnęła.

– Komu?

– Myślę, że będzie dziewczynka. – Kama nie była pewna, czy to dobrze. Z tego, co widziała każdego dnia swojego pieprzonego życia, faceci mają lepiej.

– Super. – Marta nie słuchała uważnie. – Tylko nadal nie wiem, co on tu robi. Myślisz, że powinnam podejść i zapytać?

– Gdzie podejść? – U ich boku zmaterializowała się Jolka i rozglądała się z zaciekawieniem, jakby obiekt stał tuż obok. I najlepiej, żeby było to coś do zjedzenia. – Łosoś jest rewelacyjny – pochwaliła. – Pomysł szwedzkiego stołu na stypie też niczego sobie. Trudniej się upić na stojąco, choć niektórzy się starają. To gdzie chcecie podejść?

– Nigdzie – odparła Kama. – Martusia chciała zapytać tego glinę, co tu robi. Ale to nie jest dobry pomysł.

– To nie jest dobry pomysł – powtórzyła za nią Jolka. – Trzymaj się od niego z daleka. Swoją drogą... Kto przychodzi na pogrzeb z osobą towarzyszącą? – Nie kryła niesmaku.

– Masz coś ciekawego? – zapytał Kalinka, nakładając sobie na talerz coś, co wyglądało jak... nie wiadomo co, ale chciał tego spróbować.

– Nie. – Baśka z ciekawością przyglądała się zielonej roladzie. – To szpinak?

– Nie mam pojęcia. Co sądzisz o wdowie?

– Sztuczna. Choć cycki chyba ma prawdziwe.

– Nie o to pytałem.

– Tylko tyle mam do powiedzenia.

– Nie wygląda na zrozpaczoną.

– To nie przestępstwo.

– Hm... – Bartosz mruknął pod nosem coś, co równie dobrze mogło być komentarzem do jedzenia, które właśnie włożył do ust. Dobrze było, choć nadal nie wiedział, co to.

– Rodzina słabo ją zna. Popytałam trochę. – Baśka zdecydowała się spróbować szpinakowej rolady.

– Dziwne, co nie?

– Niespecjalnie. Denat miał tylko jednego brata, który nie pofatygował się na pogrzeb, bo mieszka za granicą, choć o kasę po zmarłym pewnie się upomni. Cała reszta to dalsi krewni, widzieli Skałkową na ślubie i kilka razy podczas uroczystości rodzinnych. Koniec historii. O małżeństwie Skałków nie wiedzą nic.

– Kiepsko.

– Dlaczego właściwie uważasz, że to zabójstwo? Patolog nie ma wątpliwości, że to wypadek... Kilka lat temu coś podobnego zdarzyło się w Łodzi. A całkiem niedawno, w dwa tysiące czternastym, w Kartuzach, dwie kobiety zginęły wskutek porażenia prądem. Od suszarki do włosów. Dziwne, ale prawdopodobne.

– Sprawdzałaś?

– Jasne. Suszarkę do włosów przeniosłam do przedpokoju. Mam tam lustro i zero wody. Wypadki chodzą po ludziach...

– Aha...

– Więc? – Trąciła go łokciem.

– Co więc?

– Dlaczego uważasz, że ta kobieta ma coś wspólnego ze śmiercią męża?

Rzecz jasna, rozmowa toczyła się przyciszonymi głosami. Niespecjalnie zależało im na nagłośnieniu dyskusji, którą wdowa mogłaby uznać za obraźliwą. Jeszcze napuści na nich tę harpię, swoją pełnomocniczkę. Baśka miała styczność z prawnikami nie raz i nie dwa, ale takiej suki jeszcze nie spotkała.

– Łazienka.

– Nie rozumiem...

– Skałka zginął w godzinach wieczornych w dzień poprzedzający znalezienie ciała. Jak to się stało, że żona nie korzystała z łazienki? Nie myje się, nie sika? Podejrzane...

– Bardzo – parsknęła urywanym chichotem. – Mają przynajmniej dwie łazienki i założę się, że każde własną.

– Łazienki są dwie, owszem, ale w tamtej były jej rzeczy.

– Może tego dnia i poprzedniego nie korzystała z tej, w której zginął, tylko z tej drugiej. Jeśli wyłącznie na tym opierasz swoje podejrzenia, studencina pierwszego roku prawa zje cię żywcem. – Nie kryła rozbawienia.

Bartosz zmierzył ją zimnym wzrokiem. Baśka nie przejęła się, znała jego humory. Przeraził ją tylko raz. Dwa lata temu zajrzał do pokoju, gdy ona zajęta była czymś z kimś. Wycofał się wtedy bez słowa. Nie wiedziała, czy pobiegł po broń, czy też po prostu odszedł. Miał taki wyraz twarzy, że wszystko było możliwe.

– Po prostu nie wierzę w głupie przypadki – odpowiedział w końcu.

– A może chodzi o to, że nie ufasz kobietom po tym, co ja ci zrobiłam.

W końcu odważyła się to powiedzieć. Chowanie głowy w piasek nic nie dało. Pracowała z nim kilka dni i poza sprawami służbowymi i przytykiem, na który pozwolił sobie na początku, gdy weszła do biura, odzywał się do niej wyłącznie służbowo.

Nie odpowiedział. Ale po jego minie widziała, że trafiła w czuły punkt.

Sandra krążyła między gośćmi. Stypa stypą, ale biznes się kręci. Zamierzała pozbyć się Markiewicza w przeciągu pół roku – tyle czasu potrzebowała, żeby w całości przejąć obsługę Krotkowskiego; zapewne będzie wtedy też w trakcie finalizowania – albo nawet już po – sprzedaży firmy, którą odziedziczyła Marta Skałka. Sandra nie liczyła na to, że po śmierci szefa zostanie jednym z partnerów

w firmie, ale na pewno zyska już odpowiednią, liczącą się pozycję. Młoda, zdolna, inteligentna, całkowicie zaangażowana w sprawy klientów – Markiewicz nie będzie jej potrzebny. Dotąd niewiele dla niej zrobił. A jeśli już, to bardziej z musu niż z dobrej woli.

– Dobrze poradziłaś sobie na spotkaniu z Krotkowskim. – Szef niespodziewanie zmaterializował się za jej plecami.

– Dziękuję panu – odparła oficjalnie.

– Adam odpada. Masz szczęście – mówił dalej.

– Jak mam to rozumieć?

– Klient chce, żebyś współpracowała ze mną przy obsłudze.

– To wspinała wiadomość. – Z trudem powstrzymała cisnący się na usta uśmiezek satysfakcji.

– Masz szansę się zrewanżować. Wychwalałem cię pod niebiosa.

– Rozumiem. – Zacisnęła zęby, posyłając jednocześnie uśmiech żonie Markiewicza, która właśnie spojrzała w ich stronę.

– Chyba nie. Zaprosisz dziś do siebie Padeckiego. Potrzebuję od niego przysługi. Jest komornikiem, a nasz klient nie chce stracić swojego auta. Jest z nim związany emocjonalnie.

– Dlaczego sam pan go nie poprosi? To pański przyjaciel. – Sandra spojrzała na niego chłodno.

– Bo będę mu winien przysługę. A dla ciebie robi to w ramach wdzięczności za wspólnie spędzony czas. – Markiewicz uśmiechnął się do żony.

– W takim razie będzie pan winien przysługę mnie – odważyła się powiedzieć.

– Nie przeginaj. Dostałaś Krotkowskiego. To ty jesteś mi coś winna. Lepiej powiedz, po jaką cholere zaprosiłaś Domagałę i Trybałę. Nienawidzą się.

– Domagała chciał wykupić Skałkę. Teraz krąży tu jak hiena nad padliną. Kiedy zobaczy swojego konkurenta, dojdzie do wniosku, że tamten też jest zainteresowany firmą Skałki i przejęciem jego klientów. Ktoś przecież musi to zrobić. Będzie chętniejszy do współpracy – wyjaśniła.

– Dobra robota. – Markiewicz spojrzał na nią z uznaniem. – Ty zajmij się Padeckim, a ja idę namieszać między Trybałą a Domagałą. Trzeba podsycać ten ogień. Możemy na tym nieźle zarobić.

Martusia z ulgą schroniła się w toalecie. Miała dość tego zbiegowiska. Nie знаła nikogo poza swoimi przyjaciółkami. I Kalinką, ale ten na szczęście nie zbliżał się do niej, tylko krążył i krążył po sali, co rusz zaczepiając inną osobę. Zdaniem Kamelii mógł sobie zaczepiać, kogo tylko chciał. Nikt mu nic nie powie, bo nikt nic nie wie. Jolka była zaniepokojona obecnością komisarza. Martę podejrzewa na pewno, Kamelię i ją – prawdopodobnie.

Martusia usiadła na blacie przy umywalce i oparła się o lustro. Zdjęła szpilki i zaczęła rozmasowywać stopy. Niepotrzebnie kupowała nowe buty, ale chciała ładnie wyglądać na pogrzebie. Bądź co bądź to pożegnanie Tobiaszka. Lubił, jak ładnie wyglądała.

Odgłos spuszczonej wody wyrwał ją ze stanu odrętwienia. Nie zdążyła zeskoczyć z blatu, gdy drzwi jednej z kabin otworzyły się i wyszła z nich Kamelia. Błada jak ściana, chusteczką higieniczną ocierała pot z czoła.

– Rany boskie! – wyjęczała. – Jakim cudem mamy przeludnienie na tej planecie? Ludzie rozmnażają się chyba tylko przez przypadek.

– Znowu wymiotowałaś?

– To raczej będzie chłopiec. Żarłby tylko mięso. Po łososiu rzygam.

– Przykro mi.

– I słusznie. To powinnaś być ty – powiedziała z urazą Kamelia.



– Dzięki. – Martusia spojrzała na nią z wdzięcznością. Kama była prawdziwą przyjaciółką. Wiedziała, jak bardzo ona chce mieć dziecko.

– Jezu! – Do toalety wpadła Jolka i oparła się o drzwi, jakby własnym ciałem chciała bronić ich trzech przed ewentualnymi intruzami.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się Martusia. Kamelia była zbyt zmęczona wymiotami, by zareagować. Patrzyła tylko na tamtą tępych wzrokiem.

– Ci ludzie nie zamierzają iść do domu? Stypa zaczęła się o czternastej, a dochodzi dwudziesta. Nawet nie mogę się upić – powiedziała żałośnie Jolka.

– Nie ty jedna. – Kama wskazała na swój brzusek.

– Może jak ja sobie pójdę, to oni też? – zapytała z nadzieją Martusia.

– Żartujesz? Nawet nie wiedzą, kim jesteś. Właśnie jakiś podchmielony pacan zaczepił mnie, pytając czy wiem, która z obecnych kobiet jest wdową. Słyszał, że to całkiem ładna blondynka. Z chęcią by ją pocieszył.

– Przystojny? – Martusia ożywiła się w ułamku sekundy.

– Zgłupiałaś? – Jolka pacnęła ją w czoło.

– Jeszcze dobrze męża nie pochowałaś, a chcesz się pieprzyć z obcym facetem na stypie? – Kama nie kryła niesmaku. – Poczekaj choć ze trzy dni.

– Jeśli chodzi o te sprawy, to czuję się, jakbym pochowała Tobiaszka z pół roku temu – odparowała zgryźliwie Marta. – Czy wszyscy faceci po czterdziestce cierpią na małżeńską impotencję?

– Chciałabym, żeby tak było – westchnęła żałośnie Jolka. – Muszę jednak przyznać, że na szczęście Tadzik odczepił się ode mnie.

– Może dostaje TO gdzie indziej – zasugerowała Kama.

– Wszystko jedno. I tak odejdzie, zanim zdąży się ze mną rozwieść. – Jolka nie miała co do tego wątpliwości.

– Ciszej. – Martusia spojrzała z niepokojem na drzwi, o które tamta się opierała.

– Przecież nic takiego nie powiedziałam. – Jolka na wszelki wypadek zniżyła głos do szeptu.

– Przypominam wam, że teraz kolej na Macieja. Wystarczy, że Martusia się wyłamała. – Kamelia nadal miała żal do przyjaciółki.

– Przecież nie zrobiłam tego specjalnie – oburzyła się wymieniona. Ile razy można przeproszać za to samo?!

– A ja przypominam, że Martusia NIC nie zrobiła, tak samo jak my NIC nie zrobimy – powiedziała z naciskiem Jolka. – To był nieszczęśliwy wypadek.

– Tak, tak, więc teraz przydałby się jeszcze jeden nieszczęśliwy wypadek. – Kamelia obstawała przy swoim.

– I będzie. Wypadki chodzą po ludziach, nie słyszałaś?

Kama spojrzała na nią krzywo, po czym zwróciła się do Martusi:

– Teraz masz czas na zajęcie się Maciejem.

– Przecież to miała być robota Jolki!

– Ale już nie jest. Wyłamałaś się, jesteś mi to winna.

– To ja mam spowodować dwa nieszczęśliwe wypadki, a Jolka ani jednego?

– Będziemy działać wspólnie. Ale możesz pomóc Jolce śledzić Macieja. We dwie będziecie mogły robić to na zmianę, poza tym czas nagli. Nie mogę czekać kilku tygodni, bo wszystko się wyda! – W głosie Kamy zabrzmiała rozpacz.

– A co z tym gliną?

– Sandra się nim zajmie. Niech złoży skargę o nękanie czy coś w tym stylu. Sprawa jest zamknięta,

Kalinka nie ma po co się tu kręcić – stwierdziła Jolka.

– Pogadam z nią. Najlepiej od razu. – Martusi spodobał się pomysł przyjaciółki.

Nim tamte zdołały ją powstrzymać, wyszła z toalety i wpadła wprost na komisarza.

– O, już pan wychodzi? – Kama, która szła tuż za nią, zdziwiła się uprzejmie.

– Powiedziałabym, że najwyższa pora. – Martusia była w wojowniczym nastroju. – Właśnie idę szukać mojej prawniczki. Pan mnie nęka.

– Słucham? – Bartosz zdębiał.

– Tu nie ma czego słuchać... Tu...

Jednak nie dowiedział się dalszego ciągu tego „Tu”, albowiem trzecia z przyjaciółek, Jolanta Markiewicz, przerwała wdowie:

– Proszę wybaczyć, panie komisarzu. To trudny dzień dla nas wszystkich.

– Oczywiście. Rozumiem – odrzekł uprzejmie.

– A ja nie – oświadczyła zdziwiona Martusia. – W końcu to ty powiedziałaś, że można oskarżyć go o nękanie...

– Dość tego. – Kamelia przygryzła wargę, by nie parsknąć śmiechem na widok miny policjanta. –

Widzę, że pan wychodzi. Nie będziemy pana dłużej zatrzymywać.

Nie czekając na odpowiedź, pociągnęła Martusią za sobą. Jolka, mamrocząc pod nosem coś o nieporozumieniu, poszła za nimi, czując, jak po jej twarzy rozlewa się gorący rumieniec.

– Musiałaś to wychłapać? – zdenerwowała się na Martę.

– Przecież sama powiedziałaś...

– Ale tobie!

– A co za różnica?

– Diametralna!

– Nie mów, że ci się podoba!

– No wiesz... – Rumieniec na twarzy Jolki pogłębił się jeszcze bardziej.

– Nie mam do was siły. Jedna idiotka umysłowa, a druga emocjonalna – zirytowała się Kamelia. – O, witaj, kochanie, właśnie cię szukałam.

Jolka pierwsza zorientowała się, że te słowa były skierowane do kogoś stojącego za nimi. Martusia zreflektowała się dopiero po dłuższej chwili. Najpierw zdążyła wyrazić zdziwienie:

– Przecież stoję obok ciebie... O! Pan Padecki. Jak miło, że pan przyszedł.

– Proszę jeszcze raz przyjąć najszczerze wyrazy współczucia. – Maciej cmoknął ją w rękę. Następnie zwrócił się do Kamelii:

– Wybacz, kochanie, ale muszę się zająć pilną sprawą. Wrócisz beze mnie?

– O tej godzinie?

– Nie czekaj na mnie. – Udał, że nie słyszy irytacji w głosie żony. Skinął głową na pożegnanie i odszedł szybko.

– Za nim! – poleciła Kama Martusi, trącając ją mocno łokciem.

– Dzisiaj?

– Nie wiem, dokąd on idzie, ale na pewno nie do pracy!

– Nie mogę tak po prostu wyjść z własnego pogrzebu!

– To nie jest twój pogrzeb! – syknęła Jolka.

– Wypiłam drinka. Albo dwa – przyznała się Martusia. – Mam go śledzić taksówką?

W tym momencie podszedł do nich niewysoki mężczyzna na rauszu.

– Trybała jestem. Która z pańto szanowna wdowa? – Przesunął wzrokiem po twarzach stojących w półokręgu kobiet, zatrzymując dłużej wzrok na Marcie. – Chciałem złożyć kondolencje.

– Przyjęte. – Martusia uznała, że pora na śledzenie męża Kamy jest bardziej niż odpowiednia.

– No, no... Złotko... Nie bądź taka sztywna...

– Spadamy stąd. – Jolka złapała ją za rękę i pociągnęła do wyjścia.

Wzrok pijanego Trybały spoczął teraz na Kamelii, która widząc błysk w oku mężczyzny, szybko podążyła za przyjaciółkami. Dogoniła je przy drzwiach.

– Jadę z wami.

– Mowy nie ma! – Jolka sprzeciwiła się zdecydowanie. – Lepiej, żeby cię nie widział.

– We dwie będzie różnie... – bąknęła nieśmiało Martusia.

– Odwiozę Kamelię do domu, a ty zbieraj się szybko, zanim jej mąż odjedzie. – Jolka wskazała palcem na parking, gdzie Padecki właśnie wsiadał do swojego lexusa.

– Tu nie ma postojów taksówek – powiedziała żałośnie Martusia.

– Co takiego? – zdenerwowała się przyszła wdowa.

– Szlag! – zaklęła Jolka.

– Cudownie. I co teraz? – Kama patrzyła ze złością na wyjeżdżający z parkingu samochód.

– Dobra. Jedziemy moim! A ty wracasz do domu taksówką – zdecydowała Jolka.

Nie oglądając się na ciężarną przyjaciółkę, pobięła do audi, które mąż sprezentował jej na ostatnie urodziny. Z tego, co wiedziała, kupił je za bezcen na aukcji prowadzonej przez przyszłego nieboszczyka.

Kalinka z zaciekawieniem obserwował przepychankę między trzema kobietami. Markiewiczowa wraz ze Skałkową wsiadły do eleganckiego wozu. Padecką zostawiły przy wejściu do restauracji. Rudowłosa kobieta patrzyła chwilę za odjeżdżającym audi, potem wystawiła środkowy palec w jego kierunku i cofnęła się do sali.

Bartosz pobiegł do auta.

Baśka zostawiła go na stypie dwie godziny temu. Miała go dość. On sam też chciał się ewakuować, ale zaintrygowany rozgrywającą się sceną pojechał za dwiema kobietami. Chwilę wcześniej ruszył lexusem mąż rudej, a sądząc po pisku opon na zakręcie, gdy Markiewiczowa wystartowała z parkingu, musiało im się spieszyć.

Bartosz jechał spokojnie dwa samochody z tyłu. Czarne audi śledziło złotego lexusa, nie było co do tego wątpliwości. Kalinka brał oczywiście pod uwagę, że wszyscy jadą w tym samym kierunku, ale miał przeczucie, że te dwie kobiety obserwują męża Padeckiej. Tylko dlaczego bez niej?

– Wolniej! – zapiszczała Martusia, gdy Jolka wzięła zakręt, niemal leżąc na kierownicy.

– Zgubimy go!

– Zabijemy się!

– Nie przy tej prędkości! Jadę czterdzieści na godzinę!

– Stój! Mamy czerwone!

– Nie mogę, bo nam pryśnie! – Jolka wcisnęła gaz i przeleciała przez skrzyżowanie.

– O Boże, Boże! – jęczała Martusia, zakrywając palcami oczy.

– Patrz, czy nie ma policji! – poleciła jej Jolka, nie spuszczać wzroku z lexusa.

– O Jezu!

– Jak na ateistkę dość często wzywasz imię Pana Boga nadaremno – zauważyła mimochodem.

– Przynajmniej nie mam grzechu. To dotyczy tylko katolików. Gdzie on się podział? Dlaczego jeździmy w kółko?

– Bo źle wjechałam na rondzie! – wrzasnęła zdenerwowana Jolka. Takie akcje nie są na jej nerwy. Jest matką dwójki dzieci, niedługo dobiegnie czterdziestki!

Kalinka nie miał innego wyjścia, jak objechać rondo w kółko jeszcze raz. Był za daleko, by zobaczyć, gdzie skręcił lexus. Poza tym śledził kobiety w audi, a nie Padeckiego. Nie jego sprawa, gdzie tamten się wybierał, nawet jeśli jechał do kochanki.

– Wyjedź gdziekolwiek! – zawołała zdenerwowana Martusia. – Kręci mi się w głowie!

– Niemożliwe. To bardzo duże rondo – zdziwiła się Jolka.

– Dlaczego nie wyjechałaś tutaj?!

– Bo muszę wyjechać tam! – Jolka wskazała zjazd, do którego próbowała się dostać, ale nikt nie chciał jej wpuścić, więc objeżdżała rondo już czwarty raz.

W końcu skorzystała z okazji, że znów zapaliło się czerwone światło, auta stanęły, a ona docisnęła gaz i przeleciała przez wszystkie pasy na skos. Z piskiem opon wjechała na właściwą trasę, tyle tylko, że Padeckiego już dawno nie było.

– Gdzie on się podział? – Martusia rozglądała się dookoła. – To bez sensu. Dlaczego skręcasz na to osiedle?

– Bo widziałam, jak wrzucił prawy kierunkowskaz. Musiał gdzieś tu skręcić.

– Zawsze trzeba wrzucić prawy przed zjazdem z ronda.

– Ale Padecki go nie wyłączył, tylko jechał dalej i migał.

– Może zapomniał wyłączyć?

– Musiał tu gdzieś skręcić. – Jolka twardo obstawała przy swoim, zwalniając przed kolejnym progiem.

Nie ma nic gorszego, niż wjechać w obszar zabudowany i wlec się w żółtym tempie, co chwila zmieniając tempo z wolnego do wolniejszego, bo na jezdni widać kolejny ogranicznik.

– Ładne te bloki – zauważyła mimochodem Martusia.

– Szukaj auta! – wysyczała Jolka. – Ja muszę się skupić na drodze. Chcesz, żebym kogoś przejechała? Jak wytłumaczę się Tadzikowi z tego, co tu robiłam?

– I tak nie ma cię w domu. Z tego nie będziesz musiała się tłumaczyć?

– Powiem, że byłam z tobą. Będzie zachwycony.

– Lubi mnie? – zdziwiła się Martusia. Z tego, co Jolka opowiadała o mężu, Markiewicz nie był zdolny do lubienia kogokolwiek.

– Zgłupiałaś? On nawet własnych dzieci nie lubi. Zresztą ja też ich nie lubię – wyznała nieoczekiwanie.

– Pyskate szczeniaki. Mają szczęście, że je kocham.

– Matczyna miłość jest ślepa.

– Żebyś wiedziała – oznajmiła z nagłą urazą Jolka. – Widzisz, jak stają się podobne do tego padalca, a i tak je kochasz. Macierzyństwo ma w sobie coś schizofrenicznego.

– Naprawdę?

– Nie. Tak tylko gadam. Jak będziesz miała swoje...

– Tam!

Pisk Martusi na moment ogłuszył Jolkę, sprawiając, że jej funkcje motoryczne nagle zamarły. Przeleciała nad progiem ograniczającym prędkość jak dziki rumak nad płotem. Z dwóch powodów przed oczami nie przewinęło jej się w tym momencie całe życie. Po pierwsze, jechała zbyt wolno. Po drugie, miała przed sobą palec Martusi, wskazujący na coś po lewej stronie. Jolka odwróciła głowę w tym kierunku i zobaczyła złoty wóz stojący przed jednym z bloków.

Skręciła we właściwym miejscu, minęła wolno lexusa i teraz rozglądała się za miejscem do zaparkowania.

Kalinka zobaczył, że audi skręciło w lewo i zatrzymało się po kilkunastu metrach. Zjechał na prawo i zaparkował auto na pustym kawałku chodnika. Resztę drogi pokonał pieszo. Szedł ostrożnie, trzymając się w cieniu. Na szczęście dochodziła dwudziesta druga i ulica była wystarczająco szeroka, by mógł iść poza zasięgiem latarni. Stał pod niewielkim drzewem rosnącym tuż przy klatce schodowej, oparł się o nie wygodnie i czekał na dalszy rozwój sytuacji.

– I co teraz? – zapytała Martusia po kilkunastu minutach milczenia i wpatrywania się w lexusa.

– Nie wiem – mruknęła Jolka.

– Długo tu będziemy?

– Nie wiem.

– Ten plan nie działa.

– Zadziała – odparła z przekonaniem tamta.

– Skąd wiesz?

– Bo musi. Mam dość Tadzika. Muszę się go pozbyć, zanim on pozbędzie się mnie.

– Ma kogoś?

– Nie wiem. Możliwe.

– To jeszcze nie znaczy, że...

– Dzieci są już duże. Zanim się obejrzę, pójdą na studia. Jaki wtedy będzie miał ze mnie pożytek?

– Hm... – mruknęła ze współczuciem Martusia.

– Tadeusz wszystko rozpatruje w kategoriach przydatności. Teraz mnie potrzebuje, bo ktoś musi wychowywać jego dzieci. One właściwie już same się wychowują, ale przecież mu tego nie powiem.

– Daj spokój, Jolka. Jeszcze trochę i strzeli wam dwudziestolecie małżeństwa.

– No. I Tadeusz zrobi sobie prezent. Wymieni mnie na dwudziestoletnią laskę.

Była pewna, że ich małżeństwo zmierza ku nieuchronnemu końcowi. Widziała, jak mąż patrzył na tę prawniczkę. Wiedziała, kto ją zastąpi. Jeśli już to się nie stało. Znała go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że urządził sobie własny teatr rozrywki, każąc swojej kochance zajmować się sprawami przyjaciółki żony.

– Tomaszewska jest młoda, piękna, zdolna – powiedziała głośno.

– Myślisz, że on z nią? – Martusia nie dowierzała.

– Jeśli jeszcze nie, to na pewno wkrótce tak.

– Hm... Może ona nie będzie go chciała...

– Jest ambitna.

– Ale inna niż my. Jest niezależna i samowystarczalna.

– I wystarczająco cwana, by tak pozostało. Będzie się po nim wspinać, a potem to Tadeusz stanie się starszym modelem i pójdzie na złom. – Była tego pewna. Ten świat tak działa. Trzeba było wyjść za Heńka. I co z tego, że był stolarzem? To dobry zawód.

Rozmowę przerwał sygnał komórki.

– Kamelia – westchnęła Jolka. – Odbiorę, bo nie da nam spokoju. Co jest? – rzuciła do telefonu.

– Co się dzieje? – Kamelia była w domu zaledwie od kilkunastu minut, ale czas ciągnął się niemiłosiernie. Siedziała jak na szpilkach.

– Nic. Siedzimy i pilnujemy lexusa.

– A Maciej?

– Nie mamy pojęcia. Wiesz co, Kama... Tak się zastanawiam. Przecież i tak go teraz nie stukniemy, a to spotkanie nie należy do planu dnia. – Jolka wreszcie uruchomiła zwoje mózgowie. – Co nam to daje w wymiarze praktycznym?

- Chcę wiedzieć, gdzie jest i z kim!
- I tak się nie dowiemy, z kim. Nie mam pojęcia, gdzie się podział. To siedzenie w aucie jest do dupy.
- Gdzie jesteście?
- Hm... Nie mam pojęcia – przyznała się Jolka. – Martusia, gdzie my jesteśmy?
- Nie znam tej okolicy...
- Martusia też nie wie – powiedziała do telefonu.
- Nie możecie sprawdzić adresu? – niecierpliwiła się Kamelia.
- No dobra. Martusia, sprawdź adres na bloku.
- Dlaczego ja?
- Bo to twoja działka. Ja tu tylko robię za kierowcę – przypomniała jej rozeźlona Jolka.
- Dobrze, już dobrze. Po co te nerwy? – Marta wygramoliła się z audi.

Kalinka cofnął się aż pod sam blok i przywarł do ściany. Wdowa wysiadła z auta i ruszyła w jego stronę. Na szczęście miał na sobie ciemny garnitur, nie mogła go widzieć w półmroku.

Rzeczywiście, Skałkowa minęła go, nawet nie rzuciwszy okiem w tę stronę. Dotarła do końca bloku, skręciła, a po chwili, wracając znowu przeszła obok komisarza. Patrzył, jak wsiadła z powrotem do auta. Żałował, że nie może słyszeć, o czym obie kobiety rozmawiają.

Trzydzieści minut później, gdy już zaczął żałować, że nie pali – przynajmniej miałby jakieś zajęcie – na osiedlu pojawiła się taksówka.

Kamelia wypatrywała ciemnego auta Jolki. Na razie dostrzegła tylko lexusa męża. Dziewczyn nie widziała.

- Niech się pan zatrzyma – poleciała. – Wsiadam.

Chwilę później stała na parkingu, szukając w torebce telefonu komórkowego. Zadzwoi do Jolki i zapyta, gdzie dokładnie stoją.

- Czy ty to widzisz? – Jolka słyszała swój głos, lecz go nie poznawała.

Ostatni raz zdarzyło się to, gdy jej syn miał jakieś sześć lat i bawił się w mechanika w kuchni. Zabawa polegała na tym, że znalezionym w garażu smarem wymazał szafki, żeby drzwiczki nie skrzypiały. Kuchnia była biała. Przed zabawą, rzecz jasna. Jolka była wówczas sina ze złości, a Tadzik zzieleniał, usłyszawszy, że nowa kuchnia już nie jest nowa i znów trzeba ją wymienić.

- Co takiego? – Martusia przestała piłować paznokcie i spojrzała przed siebie.

– Właśnie to. – Jolka wskazała palcem stojącą kilkanaście metrów dalej kobietę, która gorączkowo grzebała w torebce.

- Jakaś babka – rzuciła obojętnie.

- Nie jakaś, tylko Kamelia! Ta idiotka przyjechała tutaj! Ściągnij ją do nas, zanim mąż ją zobaczy!

Martusi nie trzeba było dwa razy powtarzać. To mogło źle się skończyć.

Kalinka zachichotał. Zaczynało się robić coraz ciekawiej. Marta Skałka wysiadła z audi, schowała się za stojącym nieopodal oplem i zaczęła machać rękami, w nadziei, że szukająca czegoś w torebce kobieta ją zauważy. Z równym powodzeniem mogłaby nadawać sygnały dymne. Przemknęła do kolejnego auta, to był chyba peugeot, i ukryła się za nim. W tym momencie otworzyły się drzwi audi. Jolanta Markiewicz wysiadła, włożyła dwa palce w usta i gwizdnęła przeraźliwie, wprawiając w popłoch zarówno blondynkę, jak i rudą. Skałkowa aż przysiadła na chodniku, Padecka szarpnęła się jak rażona prądem.

Komisarz znów zachichotał. Cóż za niefortunny dobór słów.

Jolka pomachała ręką nad głową. Upewniła się, że tamte dwie ją widzą, i na powrót usiadła za kierownicą audi. Marta wróciła na swoje miejsce minutę później, tuż za nią do auta wślizgnęła się Kamelia.

– Oszalałaś? – zdenerwowała się Martusia. – Ktoś mógł cię usłyszeć!

– Z pewnością wzbudziłam mniejsze zainteresowanie niż ty, czając się za autami – odcięła się tamta. – Co ty tu robisz? – Odwróciła się do Kamy.

– Nie mogłam czekać. Wiecie, gdzie on jest?

– Nie. Czekamy, aż wróci do auta – odparła Jolanta. – Co też nam nic nie da. Nadal nie będziemy wiedzieć, u kogo był. Może chociaż zobaczymy, z której klatki wychodzi.

– Kama... – zaczęła nieśmiało Martusia. – Jeśli Maciej jest u jakiejś baby, to i tak nic nam to nie da. Nie stukniesz go tutaj. Musimy mieć plan i rozsądnie wszystko zorganizować.

– Zamknij się – syknęła. – Jak jest u jakiejś baby, to osobiście go przejadę autem, chociaż nie mam prawa jazdy. Będzie to wypadek podczas cofania!

– Dobrze, że to ja siedzę za kierownicą – uznała Jolka, z której stopniowo zaczęło schodzić napięcie. Poziom adrenaliny opadł i teraz chciało jej się spać. – Martusia ma rację. Dalsze czekanie jest bez sensu. Wracamy do domu – zdecydowała. – Nie wiem, po co tu właściwie przyjechałyśmy – powiedziała jeszcze na koniec zdziwiona. Było to działanie całkowicie nieprzemyślane i nonsensowne. – Mam nadzieję, że jak przejdziemy od słów do czynów, będziemy spokojne, zdystansowane i logiczne.

Martusia zasznurowała usta. Nie miała serca powiedzieć przyjaciółce, że zgon niekochanego męża też jest wstrząsem. Zwłaszcza gdy człowiek przyczynił się do jego śmierci, choćby niechcący. A ona nie była bez winy. To, że nie zabiła celowo, nie oznaczało, że jest niewinna. Wręcz przeciwnie, przecież planowała odejście Tobiaszka. Do tego miała sporo drastycznych pomysłów.

– Nigdzie się nie ruszam – oznajmiła kategorycznym tonem Kamelia.

– I słusznie – pochwaliła ją Jolka. – Nie chciałabym, żebyś wyskoczyła z auta podczas jazdy.

– Nie o to mi chodziło!

– Ćśśś... – uciszyła je Martusia. – Coś się dzieje. – Wskazała palcem na lexusa zaparkowanego po przekątnej.

W złotym aucie zapaliły się światła i samochód wyjechał z parkingu. Przyjaciółki spojrzały na siebie z przerażeniem. Kłótnia tak je pochłonęła, że nie zauważyły, kiedy Padecki wsiadł do wozu. Nie widziały, z którego bloku wyszedł.

– I nadal nic nie wiemy – skomentowała kwaśno Jolka. – Tyle było z naszego śledzenia.

– Wręcz przeciwnie – sprzeciwiła się Martusia. – Jest druga w nocy. Nikt mi nie wmówi, że komornik pracuje w takich godzinach. Wiemy, że zdradza Kamelię.

– Co za świnią! – Kama uderzyła zaciśniętą pięścią w skórzane siedzenie. – Jak on mógł?

– Czy muszę to powiedzieć głośno? – Jolka skrzywiła się z lekkim rozbawieniem.

– Nie – burknęła Kama, osłaniając brzuch. Dobrze wiedziała, co ma na myśli przyjaciółka.

– Nie jedziemy za nim? – zapytała Martusia.

– Po co? – Jolka wzruszyła ramionami. – Dokąd się wraca od kochanki?

– Do domu? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Martusia.

– Zgadza się. – Jolka uruchomiła silnik.

– Do domu? Rany boskie, Jolka! – Kamelia zacisnęła palce na ramieniu przyjaciółki. – Muszę tam być przed nim!

Kalinka upewnił się, że obydwa samochody odjechały, i wolnym krokiem wyszedł ze swojej kryjówki. Nie zamierzał jechać za tamtymi. Podejrzewał, że wszyscy wracają do domów. Wprawdzie Padeckiemu mógł się przydarzyć nieszczęśliwy wypadek, ale w tej chwili Bartosz nie był w stanie nic zrobić. Co najwyżej w stosownym czasie poprowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa. Niewykluczone, że dojdzie do niego jeszcze tej nocy.

Przez chwilę współczuł Padeckiej. Odkrycie, że partner cię zdradza, to cios, z którego ciężko się podźwignąć. Po chwili jednak komisarz przypomniał sobie jej definicję szczęśliwego małżeństwa i jego empatia przeniosła się w stronę ewentualnego nieboszczyka. Miał nadzieję, że facet zaznał odrobiny szczęścia. To mógł być jego ostatni raz.

Miały pecha. Padecki właśnie wjeżdżał do garażu, gdy dotarły pod dom. Jolka szybko wyłączyła światła mijania i przemknęła obok posesji.

– Co robisz? Muszę wysiadać! – Kamelia była bliska łez. Normalnie byłaby wściekła. Teraz miała ochotę skulić się i płakać, płakać i płakać. Ta cięza ją wykończy.

– Zobaczysz cię. – Tamta zaparkowała pod sąsiednim budynkiem.

– Może pojedziemy do mnie? – zaproponowała Martusia. – Powiesz, że byłam w kiepskim stanie i nie mogłaś mnie zostawić.

– Akurat go to obejdzie. Wejdzie do środka przez garaż. Jak tylko zamkną się drzwi, lecę do domu.

– Też pomysł!

– Zwariowałaś?!

– Maciej musi przejść przez kuchnię. Wejdem od frontu i pobiegnę na górę. Mam szansę! – Kama była zdeterminowana.

– Nie masz żadnych szans. Idź od tyłu – poradziła jej Jolka. – Miniecie się.

– A może... – Martusia nie dokończyła, bo właśnie zadzwonił telefon Kamelii. Ta spojrzała na wyświetlacz.

– Co mam robić?

– Odbierz – poleciła Jolka. – Nie masz wyjścia. Chyba już wie, że cię nie ma.

Następnego dnia rano Jolka siedziała przy kuchennym stole wściekła jak osa. Tadeusz znowu nie wrócił na noc do domu. Zdaje się, że śledziły nie tego męża co trzeba. To już drugi raz w tak krótkim czasie, pomyślała. Robi się coraz bardziej bezczelny. Jeśli miała kiedykolwiek jakiegokolwiek wątpliwości dotyczące jego odejścia, teraz zniknęły bezpowrotnie. Jej małżeństwo zmierzało do nieuchronnego końca.

Zadzwonił telefon. To była Kamelia. Jolanta niechętnie odebrała połączenie.

– Tak, słucham?

– To ja słucham!

– Ale czego? – Jolka usłyszała gniew w głosie przyjaciółki, jednak nie rozumiała przyczyny.

– Ciebie słucham!

– Przecież ja nic nie mówię! – zdenerwowała się.

– A powinnaś!

– Ale co?!

– Na twoim miejscu zacząłabym od przeprosin.

– Czego???

– Przeprosin. Ludzie dobrze wychowani wyrażają w ten sposób żal za popełnione winy.

– A to nie jest definicja spowiedzi?

– Nie! Spowiedź nie ma nic wspólnego z dobrymi manierami, tylko z religią.



– Kama, ja ciebie zupełnie nie rozumiem... Czy ty jesteś pijana? A może Maciej ci coś zrobił? Powiedz mi, zrobił ci coś? Dlatego tak dziwnie się do mnie zwracasz? Natychmiast przyjadę i...

– Proszę, proszę, jaka przyjaciółka! Jedna warta drugiej. Nie chcę cię znać! – Kama zakończyła rozmowę.

– Hm... – mruknęła kompletnie zdezorientowana Jolka. Nic z tego nie rozumiała. Kamelia ma jakieś pretensje. Do niej, Jolanty Markiewicz, z domu Ciepłka. Przygryzła wargę i zadzwoniła do Martusi. Ta odebrała natychmiast.

– Witaj, kochana, przed chwilą dzwoniła do mnie Kama. Była strasznie wściekła...

– Dziwisz się? – zapytała z przekąsem Martusia.

– A nie powinnam?

– Na jej miejscu też bym była wściekła.

– Ale dlaczego?

– Ja ciebie nawet rozumiem...

– Naprawdę?

– Mnie też się to zdarzyło. Może ty też niechcący?

– Ale co? – Jolka była coraz bardziej zdenerwowana. Co się, u licha ciężkiego, dzieje?

– Zadzwoń do niej i przeproś. Tak będzie najlepiej. Nie możemy jej teraz zostawić samej. Jak długo Kama ma czekać na swoją kolej?

– Nie rozumiem...

Przecież jedyne, na co Kama czeka, to zejście swojego małżonka. Nikt jej nie wyprzedził. Poza Martusią. Ale ten temat już przerobiły. Wielokrotnie.

– Nie udawaj idiotki – zdenerwowała się Martusia. – Tak trudno powiedzieć „przepraszam”? Dzwoń do niej natychmiast!

Jolka nadal nie wiedziała, o co chodzi, lecz na wszelki wypadek zadzwoniła do Kamelii. Ta odebrała natychmiast.

– Czego chcesz? – zapytała złowrogim tonem.

– Kama, ja ciebie bardzo przepraszam... – zaczęła i urwała. Bo co miała dalej powiedzieć? Myśli kłębiły się setkami, ale wszystkie były pozbawione sensu.

– I co mi po twoich przeprosinach?

– Nie wiem.

– Nie wiem! Nie wiem! – przedrzeźniała ją Kama. – A kto ma wiedzieć?

– Tego też nie wiem, ale może chociaż się dowiem, o co chodzi? – jęknęła żałośnie Jolka.

W telefonie zapadła cisza. Po chwili Kama zapytała:

– Kpisz czy o drogę pytasz?

– Kama, ja naprawdę przeproszę cię, za co tylko chcesz, ale co się właściwie stało? Martusia też mi nie chciała powiedzieć, a zła była na mnie jak osa.

– Dziwisz się?

– Błagam, Kama, po prostu powiedz, co jest grane... Za wolno jechałam? Jesteś zła, że Maciej się zorientował, że...

– Ty naprawdę nie wiesz... – powiedziała zdumiona Kamelia. Powoli zaczynało do niej docierać, że tamta nie udaje idiotki.

– No nie... – przyznała Jolka.

– Męża masz w domu?

– Tadzik nie wrócił na noc. Ale to nie pierwszy raz, więc o co chodzi?

– Rany boskie! Jolka, może lepiej usiądź. – Kama w popłochu zastanawiała się, jak przekazać tę

wiadomość. Dobrą. Albo złą. Cholera wie jaką. – Trąbią o tym od samego rana. Że znany radca prawny, Tadeusz Markiewicz, miał wypadek samochodowy. Znajduje się w szpitalu w stanie krytycznym.

– Matko Boska... – Na szczęście Jolka, zgodnie z sugestią Kamelii, już siedziała. W przeciwnym wypadku zemdlałaby jak nic.

– Tak mi przykro... – Kama nie dokończyła.

Nie wiedziała, z jakiego właściwie powodu wyraża współczucie. Przykro, że przeżył? Przykro mi, że może umrzeć? Cholera! Ale się porobiło! Nieważne, ważne, że jej przykro i już.

– Matko Boska – powtórzyła Jolka. – Wiesz, w którym jest szpitalu?

Kalinka prychnął z niedowierzaniem. Spodziewał się dzisiaj czyjegoś zgonu, ale to nie był ten nieboszczyk, o którym myślał. W zbiegi okoliczności specjalnie nie wierzył. Owszem, czasami się zdarzały. Tak jak wtedy, gdy nieoczekiwanie wrócił wcześniej do domu i przyłapał Baśkę z kochankiem.

– Co się dzieje? – zapytała Baśka, która właśnie weszła do gabinetu, ściskając pod pachą plik dokumentów. Ręce miała zajęte kubkami z kawą.

– Wierzysz w zbiegi okoliczności?

– Średnio. A co masz?

– Markiewicz trafił do szpitala. Wypadek samochodowy. Stan krytyczny.

– Kim jest ten Markiewicz? To któryś z naszych chłopaków? – zaniepokoiła się Baśka.

– To mąż Jolanty Markiewicz, przyjaciółki Marty Skałki. Widziałas ją wczoraj na pogrzebie.

– To ta z oczami jak spaniel?

– Właśnie ta. Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności. Trzy przyjaciółki i dwóch martwych mężów w odstępie kilku dni?

– Półtora.

– Co? – Nie zrozumiał.

– Stan krytyczny, więc Markiewicz jeszcze żyje. Półtora męża. Ale masz rację – spoważniała, widząc na twarzy Bartka złość. – Dwa wypadki w tak krótkim odstępie czasu... Trzeba to sprawdzić.

– Nie nasz rejon – powiedział z żalem.

– Jakoś nigdy nam to nie przeszkadzało... – Mrugnęła do niego łobuzersko.

Wbrew sobie uśmiechnął się do niej. To był pierwszy od dawna prawdziwy uśmiech, którym ją obdarzył, a nie tylko zdawkowe skrzywienie ust lub złośliwy uśmieszek.

Kama z Martusią wpadły do szpitala jak dwie trąby powietrzne. Albo dwa huragany o wdzięcznych imionach „Martha” i „Camellia”. Kama pokonywała po dwa schody naraz, Martusia dreptała za nią na wysokich obcasach.

– Myślisz, że Jolka mi wybaczy? – jęczała, starając się nadążyć za przyjaciółką.

– Co jej zrobiłaś? – Tamta zatrzymała się na półpiętrze.

– Zmieszałam ją z błotem. Myślałam... – Urwała na widok idącej po schodach pielęgniarce. – Wiesz, co sobie pomyślałam.

– Wiem, bo pomyślałam dokładnie to samo... Co nie znaczy, że nie mamy racji – dodała z namysłem Kama.

– Myślisz, że Jolka wali ściemę?

– Chyba nie... – Nie była jednak pewna, na ile może ufać przyjaciółce. Martusi też ufała i co? Została z ręką w nocniku.

– Ale to co? Mamy ją pocieszać?

– Od tego są przyjaciółki.

– Wiem. Tylko, Kama... – Martusia ściszyła głos. – Właściwie z jakiego powodu mamy ją pocieszać?

Dlatego że przeżył, czy że zmarł?

– Najlepiej mówić, że nam przykro, i że wszystko będzie dobrze. Jolka już sobie wybierze własną wersję tego, co dla niej dobre – zdecydowała Kamelia.

– A dzieci? – Martusia przestała cokolwiek widzieć przez napływające do oczu łzy. Zamrugła powiekami, by wyostrzyć obraz. – Stracą ojca.

– Nic im nie będzie. To nastolatki. Nie zdziwiłabym się, gdyby same go załatwiły.

– Co ty mówisz?

– Telewizji nie oglądasz? No, nieważne, idziemy. Chirurgia jest piętro wyżej.

– Dlaczego właściwie wchodzimy na piąte piętro pieszo?

– Bo w windzie na pewno się zrzygam.

Jolka siedziała w poczekalni. Przycupnęła na plastikowym krześle pod ścianą i wpatrywała się nieruchomo w jeden punkt. Dla postronnego obserwatora wyglądała na osobę w stanie głębokiego szoku. Nic bardziej mylnego. Jolka miała wrażenie, że jej umysł nigdy wcześniej nie pracował równie jasno.

Tadzik miał wypadek. Samochodowy. Zwykły, pospolity wypadek, jakie zdarzają się każdego dnia. Ona nie przyłożyła do tego ręki. Czyżby to jakaś moc sprawcza jej umysłu? Nieważne. Machnęła w myślach ręką, całkowicie bagatelizując przyczynę zdarzenia. Liczy się efekt.

Miała do rozważenia trzy opcje.

Numer jeden. Tadzik przeżyje. Przeżegnała się szybko, odpędzając tę fatalną myśl. Musi jednak rozważyć i najgorszy wariant. Tadzik nie tylko przeżyje, ale i wyzdrowieje. Nie zmieni to sytuacji, nadal będzie musiał odejść. Cała nadzieja w tym, że w okresie rekonwalescencji pojawi się więcej możliwości. Zleci ze schodów. Upadnie w łazience. Przedawkuje leki. Zaśnie z poduszką na twarzy.

Numer dwa. Tadzik przeżyje, ale zostanie sparaliżowany. Będzie wszystko widział, wszystko słyszał, lecz nie będzie mógł choćby mrugnąć. Wynajmie się pielęgniarkę, a ona, Jolka, będzie prowadziła własne życie. Schudnie, znajdzie sobie kochanka. Kurczę, do domu przecież nie będzie go sprowadzać. Co by dzieci powiedziały! Sparaliżowany ojciec, a ona gzi się z jakimś gachem? Jakieś pozory przyzwoitości trzeba zachować... Niedobrze... Taka wolność bez wolności... Ale zawsze wolność. Finansowa. Oczywiście wówczas Tadzik też mógłby odejść, jednak możliwości będzie znacznie mniej. Stałaby się pierwszą podejrzaną. Trzeba wówczas znaleźć jakiś niewykrywalny sposób. Podać mu insulinę albo coś w tym stylu.

Numer trzy. Tadzik umiera, a ona zostaje szczęśliwą wdową.

– Jolka! – Martusia przytuliła ją mocno.

– Martusia? I Kama? – Pogrążona w rozmyślaniach Jolka nie zauważyła przybycia przyjaciółek. – Cieszę się, że jesteście – powiedziała, uśmiechając się blado, jak osoba dotknięta nieszczęściem.

– Dobrze ci idzie – pochwaliła ją Kamelia.

– Co takiego? – Co za dzień, pomyślała Jolka, nie rozumiem, co się do mnie mówi.

– Pogrążona w nieutulonym żalu małżonka. Jesteś bardzo wiarygodna. Taka ponura i zrozpaczona.

– No... – przytaknęła słabo.

– Wiesz już coś? – Martusia trąciła Kameę.

Sama tego doświadczyła. To, że odchodzi ktoś, kogo i tak chcesz się pozbyć, wcale nie oznacza, że jest ci lżej. Przynajmniej nie od razu.

– Ma krwotok wewnętrzny. Żebra przebiły płuco i coś tam jeszcze. Podobno nie mogli wyciągnąć go z samochodu. Stracił sporo krwi. Coś nie tak z organami wewnętrznymi... I sporo złamań... Tyle tego było, że sama nie wiem, co jeszcze.

– To źle z nim – podsumowała krótko Kamelia.

– No... – Jolka znów przytaknęła. – Martusia, czy ty też... No wiesz... – Nie mogła w miejscu publicznym dokończyć pytania.

Ale tamta w lot załapała, o co chodzi. Właśnie o to, o czym sama przed chwilą pomyślała.

– To szok – wyjaśniła. – Potem wszystko się unormuje. Będzie lepiej. – Uścisnęła jej dłoń.

– Lekarz prosi panią do gabinetu. – Nie wiadomo skąd obok nich zmaterializowała się pielęgniarka.

A może były tak pochłonięte rozmową, że jej nie zauważyły.

– Czy przyjaciółki mogą iść ze mną? – zapytała błagalnie Jolka.

– Oczywiście. – Tamta zawahała się, uznała jednak, że przepisy przepisami, ale wdowie przyda się wsparcie. Dobrze, że to lekarz musi ją poinformować o śmierci męża, a nie ona.

Wszystkie trzy kobiety podążyły za kobietą w białym uniformie. Weszły do niewielkiego gabinetu. Mężczyzna siedzący za biurkiem wstał na ich powitanie. W równym rzędku – jak na dywaniku przed dyrektorem szkoły – stanęły przed nim trzy kobiety. Jedna blondynka, dwie rude. Wszystkie wyglądały na przerażone. Trudno było jednoznacznie stwierdzić, która z nich właśnie została wdową, o czym zaraz się dowie.

– Doktor Dołęga – przedstawił się. – Pani Markiewicz? – Spojrzał pytająco na całą trójkę.

– To ja – odezwała się cicho Jolka. – Jolanta Markiewicz. To moje przyjaciółki. – Nie przedstawiła ich z imienia i nazwiska, uznając to za zbędne. – Chcę, żeby zostały – dodała jeszcze na wszelki wypadek.

– Oczywiście – zgodził się odruchowo. – Pani Markiewicz, bardzo mi przykro, ale nie mam dobrych wiadomości. Stan był zbyt ciężki. Robiliśmy, co w naszej mocy, ale... – Pokręcił z żalem głową.

– Tadzik nie żyje? – wymamrotała zbielełymi wargami Jolka.

– Przykro mi – powtórzył raz jeszcze. – Obrażenia, których doznał pani mąż...

– Dziękuję. – Jolka przerwała mu bezceremonialnie. Informacja była zbyt nagła, by mogła ją tak po prostu przyjąć do wiadomości. – Czy mogę go zobaczyć? – poprosiła.

– To nie najlepszy pomysł. Mąż jest jeszcze na sali operacyjnej. Chwilę potrwa, nim personel odpowiednio się nim zajmie. – Starał się delikatnie ująć w słowa to, czego powinna się spodziewać. Przecież nie powie tej kobiecie, że jej mąż leży tam cały we krwi, rozłożony na czynniki pierwsze, być może z wystającymi jeszcze z brzucha narzędziami.

– Zaczekam... – Spojrzała na niego błagalnie.

– Dobrze – zgodził się z wahaniem. – Ale to potrwa.

– Zaczekam. – Tym razem jej głos zabrzmiał znacznie pewniej.

– Jak pani sobie życzy. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Dziękuję. – Skinęła głową i podtrzymywana przez Martusię wyszła z gabinetu.

Nie mogła tam zostać. Lekarz i tak nie miał do powiedzenia niczego, co mogłoby ją zainteresować. Właśnie została wdową. Powinna się cieszyć, ale... Hm... Sama nie wiedziała, co czuje. Otaczała ją ogłuszająca pustka. Martusia rozejrzała się w poszukiwaniu najbliższego krzesła. Nieoczekiwanie Jolka wydała z siebie zdławiony krzyk.

– Ja wiem, że ci przykro, ale... – Marta urwała, z wrażenia nie mogąc nawet mrugnąć. Gapiła się tylko na nieoczekiwany widok, który pojawił się przed jej oczami, dostrzeżony najpierw przez przyjaciółkę.

Kamelia, która wyszła z gabinetu ostatnia, nie zauważyła, co spowodowało ten nagły kryzys. Czyżby Jolka miała zejść na zawał? Zaraz chwyci się dramatycznie za pierś i padnie?

Otworzyła usta, by zapytać, co się, do cholery, dzieje, gdy tamta runęła jak długa. Podtrzymująca ją Martusia nie przewróciła się tylko dlatego, że po lewej stronie miała futrynę, a ta ochroniła ją przed upadkiem. Osunęła się więc na podłogę z wdziękiem, którego zabrakło Jolce. Klapnięcie na pupę nie miało w sobie żadnego uroku, podobnie jak widok Martusi siedzącej w pozycji porzuconej marionetki,

z rękoma opadającymi bezwładnie po bokach i szeroko rozrzuconymi nogami.

Baśka przyglądała się krążącemu po korytarzu Bartoszowi. Jej partner zachowywał się jak uwięziony w klatce tygrys. To nie ich rejon, nie powinni tu być. Mieli inne sprawy, którymi należało się zająć. Kalinka, gdy tylko usłyszał, co się stało, natychmiast pojechał na miejsce zdarzenia. Markiewicza przewieziono już do szpitala, ale komisarz obejrzał dokładnie cały ten fragment jezdni. Nie było śladów hamowania. Markiewicz wpadł na skrzyżowanie na czerwonym świetle i wjechał wprost na ciężarówkę. Cud, że nie zginął na miejscu, ale Barbara nie wróżyła mu długiego życia.

– Bartek, posłuchaj – zaczęła niepewnie. – Mamy robotę. Nie powinniśmy siedzieć tutaj.

– Przecież wiem. Chcę tylko zobaczyć twarz jego żony, gdy ta kobieta tu przyjdzie. Bo w końcu się zjawi. Ktoś ją zawiadomi. Mówię ci, że coś tu śmierdzi.

– Zachowujesz się irracjonalnie.

– Wiem.

– Aha... – Zdumiała się. – To dlaczego?

– Bo nie mogę inaczej. Jechałem wczoraj za nimi – wyznał nieoczekiwanie.

– Co takiego?!

– Śledziły Padeckiego. Był u jakiejś baby.

– I co z tego? Gdyby każdy zdradzany miał zabijać, trupy leżałyby na ulicy rzędami...

– Specjalistka od wierności się wypowiedziała.

– To nie ma związku z przeszłością – zirytowała się. – A może jestem w błędzie?

Kalinka milczał. Przyglądał jej się chwilę, po czym odwrócił wzrok.

– Powiedz, mylę się? – W głosie Baśki pojawił się nowy, ostry ton. Podeszła bliżej i stanęła przed Bartkiem, zmuszając go, by na nią spojrział. – Sprawy prywatne nie mogą wpływać na śledztwo. Jeśli tak jest, to znaczy, że nie nadajesz się do tej roboty. – Nie zamierzała mu odpuszczać. – Jeśli to nie był wypadek, nasi to wykryją. Nie jesteś jedynym dobrym gliną w tym mieście. O ile nadal jesteś dobrym gliną – dodała złośliwie, nie wiedząc już, jak do niego trafić.

Ten mały upór Bartek miał w sobie od zawsze. Nienawidziła tej jego cechy. Z jednej strony, dzięki niemu był dobry w tym, co robił, bo nigdy się nie poddawał. Z drugiej zaś jako partner życiowy, oględnie mówiąc, bywał trudny.

– Jestem pewien, że Skałkowa maczała palce w śmierci męża – odezwał się teraz. – Trzy przyjaciółki i dwa trupy? To nie może być przypadek.

– Ty i te twoje przecucia! – zadrwiła. – Sprawa jest zamknięta. Jeśli nie trafisz na naocznego świadka, najlepiej dysponującego nagraniem, jak Marta Skałka wrzuca suszarkę do wanny, to nikt ci powtórnie nie otworzy śledztwa. Zapomnij o tym. Wynośmy się stąd.

– Nie rozumiem, dlaczego to Markiewicz miał wypadek. – Kalinka upierał się przy swoim.

– Zgodnie z twoim tokiem rozumowania ten wypadek powinien się przydarzyć Padeckiemu, tak? Tylko co z motywem Skałkowej? Przecież żyła jak królowa. Po co miałyby zabijać męża?

– Może to ona ma kochanka? – zasugerował.

– Znalazłeś go?

– Nie, ale...

– Ofiarą jest Markiewicz, jak to się ma do twojej teorii? Trzy kobiety zawiązały spisek, żeby się pozbyć mężów? To rzeczywistość, Bartek, nie film Hitchcocka.

– Wiem.

– Nie znamy przyczyny wypadku. Technicy dopiero obejrzą auto.

– Na jezdni nie było śladów hamowania. Ktoś uszkodził hamulce.

– Nie masz zupełnie nic na... – Urwała. Zdenerwowany mężczyzna, który właśnie ich minął, wyglądał zupełnie jak... – Markiewicz – wykrztusiła osłupiała. – Właśnie widziałam Markiewicza.

– Co? Kogo? – Kalinka nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

Baśka nie odpowiedziała, bo ruszyła za przybyłym. Widziała go tylko przez chwilę na stypie. Mogła się pomylić, może to tylko ktoś podobny. Albo po prostu pomyliła Markiewicza z innym uczestnikiem pogrzebu Skałki, tyle twarzy przewinęło jej się wczoraj przed oczami. Mimo to biegła szpitalnym korytarzem, by nie zgubić idącego szybkim krokiem mężczyzny.

Kamelia stała jak wryta. Martusia siedziała jak popsuty pajac pod ścianą. Jolka leżała skulona na podłodze. Jakiś facet, wyglądający jak świeży nieboszczyk Tadeusz Markiewicz, podnosił ją do pozycji siedzącej, co musiało być przywidzeniem.

– Proszę mnie przepuścić. – Lekarz zerknął tylko na Martusię, ale widząc, że jest przytomna, zdecydowanie odsunął Kamelię i przykucnął przy zemdłonej kobiecie.

– Co jej jest? Jeżeli zrobiliście coś mojej żonie, podam was do sądu – zagroził lekarzowi Tadeusz.

– Jest w szoku. Proszę się odsunąć...

– Ona jest w szoku? A co ja mam powiedzieć? – Wstał, otrzepał kolana, po czym wycelował palec w Kamę i powiedział ze złością: – Gdzie jest ten kretyn, twój mąż?! Wyszedłem jak Zabłocki na mydle, pożyczając mu auto!

Kamelia zbladła jak ściana.

– Ma... Ma... Ma... – jąkała się. – Ma... ma... cieję?

– Maciej, Maciej... Jego lexus padł dziś rano, więc pożyczyłem mu swojego, a ten idiota go skasował! Gdzie ta oferma?!

Wściekły Tadeusz nie zwracał już uwagi na Jolkę, która właśnie otworzyła oczy i próbowała coś powiedzieć, ale świat zawirował jej przed oczami, więc zamknęła je z powrotem. Wcale nie spodobało jej się to, co zobaczyła.

– Maciej...? – wyszeptała nagle zbielełymi wargami Kamelia.

Nieoczekiwanie z jej ust wyrwał się histeryczny chichot, oczy uciekły w tył głowy i runęła na podłogę obok Jolki.

Jedyna Martusia zachowała jeszcze pozycję półpionową, ale wyłącznie dzięki ścianie, o którą się opierała. Nie oznaczało to, że jest w lepszym stanie niż przyjaciółki. Wyciągnęła nieśmiało dłoń i lekko szturchnęła przybyłego w kolano. Gdy poczuła pod palcem jedwabne spodnie, uznała, że to dla niej zdecydowanie za dużo, i również zemdlała. Osunęła się na bok i gdyby nie strużka śliny ściekająca z kącika ust, wyglądałaby jak królewna Śnieżka w wersji blond.

Komisarz Barbara Sznurek z trudem opanowała nerwowy śmiech. Cała ta sytuacja nie była jednak zabawna. Przynajmniej nie w sensie ogólnym. Właściwie przed jej oczami rozgrywał się dramat. Jolanta Markiewicz zobaczyła męża całego i zdrowego, a Kamelia Padecka dowiedziała się, że to jej mąż nie żyje. Marta Skałka zemdlała chyba do towarzystwa. Innego powodu raczej nie było.

Bartek gwizdnął cicho. Baśka stanęła obok niego pod ścianą i przyglądała się w milczeniu, jak Markiewicz pieklił się na korytarzu, grożąc procesem wszystkim po kolei, od lekarza poczynając, poprzez pielęgniarki, na nieprzytomnej Padeckiej kończąc.

– Miałem rację – powiedział cicho.

– Co takiego? – Podniosła wzrok na Kalinkę. Na jego twarzy błąkał się uśmiezek satysfakcji.

– Miałem rację co do Padeckiego.

– Owszem, jeśli Padecka ma kryształową kulę.

– Co?

– Jakim cudem ta kobieta przewidziała, że dziś rano mąż pożyczy wóz od Markiewicza? I że auto się zepsuje?

– Nie wiem, ale na pewno coś jest na rzeczy – upierał się komisarz.

– Spadamy stąd. – Baśka miała dość. – Jak chcesz coś wiedzieć, to sprawdź, kto prowadzi sprawę, i poproś o informacje. Koledzy na pewno chętnie ci powiedzą.

Już dość ustępowania mu na każdym kroku. Została oddelegowana do jego wydziału tymczasowo, ale wiedziała coś, o czym nie wiedział Bartek. Jego dawny kolega nie wróci już do pracy. Rehabilitacja była jedynie pretekstem. Jak tylko tamtemu skończy się zwolnienie lekarskie, zamierzał złożyć wniosek o emeryturę. W dochodzeniówce zwolni się więc miejsce. A ona, Barbara Sznurek, zamierzała je zająć. Pod warunkiem że nie pozwoli, by Kalinka spaprał jej życiową szansę.

Kamelia wraz z Jolką leżały w jednej sali. Tadeusz, mimo że zdaniem Jolki świnia był skończoną, cuchnącą i... no cóż, jego żona użyła jeszcze kilku innych niewybrednych określeń, stanął na wysokości zadania. Załatwił dla nich oddzielny pokój z widokiem na park, choć pod wpływem środków uspokajających obie spały snem sprawiedliwych i było im wszystko jedno, co się znajduje za oknem.

Martusia ocknęła się w porę, by powiadomić lekarzy o ciąży Kamelii. Mimo oszołomienia, w jakim znajdował się jej umysł, dotarły do niej dwie rzeczy. Po pierwsze, lekarze muszą dowiedzieć się o dziecku, żeby mu nie zaszkodzić. Po drugie, nie trzeba już trzymać tego w tajemnicy, skoro mąż Kamy nie żyje. Świętej pamięci Padecki był jedyną osobą, która mogła zaprzeczyć temu, że zostanie ojcem. A teraz, jak już zmarł, wszystko poszło na jego konto.

Tadeusz nie tylko patrzył lekarzowi i pielęgniarkom na ręce, ale informował ich szczegółowo, co robi – jako prawnik, rzecz jasna – jeśli którejkolwiek z kobiet coś się stanie. Wprawdzie Padecki skasował mu lexusa i miał drań szczęście, że zginął, ale Padecka żyje i jest równie głupia, jak jego żona, zatem będzie potrzebowała kogoś, kto się zajmie jej sprawami finansowymi.

Martusia siedziała wygodnie w fotelu pod oknem i czekała, aż przyjaciółki się obudzą. Tadeusza gdzieś wciągnęło. Przed wyjściem pytał ją o coś, ale jednocześnie rozmawiał przez telefon, więc nie była pewna, które pytanie było do niej, a które do tamtej osoby. Pielęgniarka kilka minut wcześniej wyszła z pokoju, zaraz po tym, jak zbadła jej ciśnienie. Martusia kolejny raz odmówiła hospitalizacji, twierdząc, że jej mąż nie żyje od ponad tygodnia, więc zdążyła się już z tym oswoić. Tamta tylko popatrzyła na nią dziwnie, ale uszanowała jej życzenie.

Drzwi pokoju uchyliły się i ukazał się w nich bukiet kwiatów. Trzymał go ktoś w okularach, grafitowych spodniach wyprasowanych na kant, czarnych, skórzanych półbutach i z łysym plackiem nad brwiami ciągnącym się aż do czubka głowy. Dalej włosów też nie było, jeśli dobrze rozpoznała osobnika, który zakłócił jej spokój.

– Śpią jeszcze? – Bukiet przemówił ludzkim głosem.

– Aha – przytaknęła.

– Dobrze. Może mi pani pomóc, pani Marto? – Głos mówił zupełnie jak Tadeusz Markiewicz, choć bardziej przyjaźnie i cieplej niż zazwyczaj.

– Ehe – zgodziła się Martusia i wzięła kwiaty, które okazały się dwoma bukietami.

Markiewicz pod pachą niósł jeszcze ogromnego gryzonia, chyba jakąś wiewiórkę, a na drugim ramieniu miał przewieszoną torbę z zakupami, z której unosił się smakowity zapach.

– O! – Z zainteresowaniem pociągnęła nosem.

– Nie wiem, co pani lubi, więc przyniosłem kurczaka z migdałami. Proszę. – Podał jej butelkę z wodą mineralną. – Niegazowana.

– Cudownie – rozpromieniła się i z ulgą wypięła od razu dwa łyki. – To miło z pana strony. – Wskazała na pluszaka, którego posadził na krześle pod ścianą.

– No cóż, nie co dzień człowiek się dowiaduje, że zostanie ojcem – powiedział z dumą.

– He? – Martusia zakrzuszyła się tak mocno, że łzy zaczęły jej spływać po policzkach. Markiewicz rzucił się na ratunek. Uderzył ją w plecy tak mocno, że straciła oddech.

– Nie! – jęknęła, gdy zamierzył się po raz kolejny. – Już dobrze. – Kaszel powoli ustępował. Zgodnie z zasadą, że należy leczyć się tym, czym człowiek się zatrzał, wypięła jeszcze trochę wody, by zebrać myśli, i zapytała ze zdumieniem pomieszanym z niesmakiem: – Jak to się stało?

– Co takiego? – Wyjmował pudełka z torby. – Sałatkę też wziąłem. Z rukoli. Lubi pani?

– Tak, bardzo. Cięża. Jak to możliwe?

– Nie jesteśmy najmłodszy, ale wszystko działa. – Uśmiechnął się z dumą.

Jak ona mogła? – pomyślała ze zgrozą Marta. Nic im nie powiedziała. Wiedziały, że ma romans z trenerem i założyły, że to on jest ojcem. Ale coś takiego? To podłość nad podłościami!

– Nie wie pani, który to miesiąc?

– Eeee... Coś w okolicach czwartego...?

– Czwartego? – zastanawiał się przez chwilę usilnie, o czym świadczyła zmarszczka, która pojawiła się między jego brwiami. Zdjął okulary i zaczął czyścić szkła, obliczając coś pod nosem. – Tak, może być... To możliwe... Nie mówię, że nie, ale... Hm... Jest pani pewna?

– Ja mam być pewna? – Martusia zdębiała.

– Zna pani szczegóły?

– Szczegóły?

– Może to bliżej piątego miesiąca niż czwartego. Wie pani, jej gabaryty mogą wprowadzić w błąd. – Zatoczył rękoma okrąg wokół własnego, dość odstającego brzucha.

– O czym pan właściwie mówi? – Do Martusi dopiero teraz dotarło, że coś tu zdecydowanie nie pasuje. Kamelia nie miała żadnych gabarytów!

– Nie jestem za stary na ojca? Wie pani, wcześniej nie zajmowałem się dziećmi jak trzeba, ale teraz... Mógłbym więcej zadań zlecać młodszym prawnikom. Miałbym czas... Nie wie pani, czy to chłopiec czy dziewczynka?

– Dziewczynka? – powtórzyła machinalnie.

– Dziewczynka – powiedział w zadumie. – No nic, niech będzie dziewczynka. Też dobrze.

– Dobrze...

– Nie rozumiem tylko, dlaczego mi nie powiedziała... – Podrapał się po łysince.

– Moment! – Martusia uznała, że czas na wyjaśnienia. – Miał pan romans z Kama?!

– Co takiego? – zdumiał się Markiewicz.

– Rozumiem. To był jednorazowy incydent. Ale i tak powinna była nam powiedzieć. Jolka panu tego nie wybaczy – oświadczyła z przekonaniem.

A może to był gwałt? I Kama wstydziła się przyznać? Nie, niemożliwe, prędzej by go wykastrowała, niż darowała.

– O czym pani mówi?! Czego mi Jolka nie wybaczy?! Przecież, u diabła, ona też brała w tym udział!

– No wie pan! – oburzyła się Martusia. – Jolka nigdy w życiu by czegoś takiego nie zrobiła!

– To jak, do cholery, zaszła w ciążę?! Myślenie życzeniowe?!

– To Jolka jest w ciąży?!

– Przecież to pani wrzeszczała na cały korytarz o ciąży! Więc o kim pani, u licha, mówiła?!

– To Kamelia jest w ciąży! – wrzasnęła Martusia. – A pan jest skończonym łajdakiem!

– Ja?!



– Zrobił pan dziecko przyjaciółce żony i jeszcze pan się dziwi?!

– Przecież ja jej palcem nie tknąłem!!!

– A co to jest?! – Wycelowała palec w przysłuchującego się rozmowie wiewióra.

– To... Chwila! – Markiewicz wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł czoło. – Chyba mamy do czynienia z nieporozumieniem.

– To teraz tak się to nazywa?!

– Zrozumiałem, że to Jolka spodziewa się dziecka, a nie pani Padecka.

– Że co? Że Jolka... Och – bąknęła zawstydzona Marta. – To chyba powinnam pana przeprosić. Za tego łajdaka i w ogóle...

– Więc Jolka nie jest w ciąży?

– No nie...

Markiewicz wyglądał na zażenowanego sytuacją i zawiedzionego. Przez chwilę Martusi zrobiło się go żal. On chyba naprawdę cieszył się, że zostanie ojcem.

– Muszę wracać do pracy. Proszę powiedzieć żonie, że tu byłem. Nic mi nie jest i... Jak co, to niech dzwoni do kancelarii. Moja sekretarka wszystkim się zajmie. – Skinął głową na pożegnanie, trzasnął drzwiami i tyle go było widać.

– A jednak świnia – mruknęła do siebie. – Żona leży jak trup w szpitalu, a ten wziął nogi za pas. I jeszcze każe dzwonić do sekretarki!

– No... – Z łóżka pod oknem dał się słyszeć słaby głos Jolanty.

– Gorszy niż Maciej – wymamrotała Kamelia.

– Nie śpicie już? – ucieszyła się Martusia.

– Te wrzaski martwego podniosłyby z grobu – gderała Jolka. Słyszac ciche chlipnięcie, powiedziała szybko: – O rany, Kama, nie chciałam...

– Nic nie szkodzi. – Tamta chlipnęła znowu. – Ja tylko tak... Zupełnie nie wiem czemu... To samo z siebie... Moje dziecko! – zawołała wystraszona i szarpnęła za wężyk, doprowadzający do jej przedramienia jakiś płyn z przezroczystego worka zawieszzonego na stojaku.

– Zostaw! To bezpieczne! – Martusia dopadła do niej i przytrzymała jej rękę. – Ani się waż, bo ci przywalę! – zagroziła, gdy Kama próbowała uwolnić dłoń.

– Skąd wiesz, że bezpieczne?

– Powiedziałam lekarzom o dziecku! Zostaw to, no już!

– Dlaczego mój mąż myślał, że jest ojcem dziecka Kamelii? – Jolka nie wszystko dosłyszała. A to, co dosłyszała, jakoś tak dziwnie składało się w jej umyśle w niepojętą całość.

– Słyszał, jak krzyczałam, że ona jest w ciąży, ale nie załapał, która ona, więc myślał, że ta ona to ty – wyjaśniła Martusia.

– Zrozumiałas to? – Kamelia mrugała półprzytomnie.

– Nie, nie zrozumiałam. Chcę tylko wiedzieć, czy to dziecko Tadzika? – Jolka odwróciła głowę w jej stronę, czekając na odpowiedź.

– Nigdy w życiu nie byłam tak pijana, by przespać się z twoim mężem! – przysięgła uroczyście Kama, podnosząc do góry rękę z podłączoną kroplówką, ale zawartość wężyka była tak ciężka, że dłoń opadła z powrotem.

– Wierzę ci. – Jolka odetchnęła głośno. To oświadczenie ją uspokoiło. Na trzeźwo żadna kobieta nie przespałaby się z jej mężem. Nie bez dodatkowych korzyści. Ale Sandra Tomaszewska... W jej myślach natychmiast pojawiło się to nazwisko. – Precz! – Machnęła ręką, by odpędzić sprzed oczu obraz młodej kobiety.

– Ja? Za co? – Martusia nie kryła urazy.

- Nie ty, tylko ona.
- Jaka ona?
- Sandra. Tadzik ma z nią romans.
- Skąd wiesz? – zapytała Kamelia.
- Po prostu wiem i już. – Jolka ucięła temat.
- Przykro ci? – zapytała ze współczuciem Martusia.
- Że ma romans?
- Nie, że to nie on, tylko Kamy mąż... odszedł...

– Ach, to... – mruknęła Jolka, sama nie wiedząc, jak opisać swój stan emocjonalny. Na wieść, że Tadzik nie żyje, poczuła... Nie była pewna, co właściwie poczuła, ale na pewno był to wstrząs. Nie wiedziała tylko, jakiego rodzaju. – No wiesz... Ten dzień w końcu nadejdzie i nie będzie łatwo... Jak jesteś z kimś kilka lat, to... To nie to samo, co wyrzucić stary odkurzacz...

- To prawda... – przyznała z westchnieniem Martusia. Przez chwilę nawet łza zakręciła jej się w oku.
- Jak chcesz, to zwolnię Sandrę – zaproponowała.
- Ani się waż! – zirytowała się Jolka. – To harpia.
- No właśnie... – zdziwiła się Martusia. – Tym bardziej powinnaś...
- Tym bardziej musisz ją mieć po swojej stronie. Znam Tadzika. Łóżko nie przesłania mu pracy!
- Ja tylko chciałam zauważyć, że właśnie zostałam wdową – wtrąciła Kamelia.

Była urażona brakiem zainteresowania ze strony przyjaciółek. Większą wagę przykładają do jakiegoś tam romansu knurowatego Tadeusza niż do jej straty i stanu emocjonalnego. Była wstrząśnięta. Przerażona. I dziwnie pusta.

- I jak się z tym czujesz? – zapytała ze współczuciem Martusia.

Sandra kończyła przeglądać umowę, gdy drzwi jej gabinetu otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł wściekły Adam Tomyślak. Westchnęła ciężko. Czy on się nigdy nie odzwyczai?

Coraz więcej osób nie uważało za stosowne pukać do jej drzwi. Pierwszy Markiewicz, ale on nie robił tego z oczywistych powodów. Potem Ania albo Hania – Sandra nadal nie wiedziała, jak ma na imię życzliwa sekretarka – która teraz uważała ją za przyjaciółkę. No i dzisiaj Adam. Jak zwykle zresztą.

- Ja wiem, że na moich drzwiach nie ma informacji „Proszę pukać”, ale dobre maniery by to nakazywały. Chyba że wydarzyło się coś, o czym nie wiem. Na przykład nasz szef odkrył, że jesteś jego zaginionym synem, i przepisał na ciebie własne udziały – zakpiła.

- Wiem, że to twoja sprawka – wysyczał Adam.

Czerwony ze złości, ze spływającym z czoła potem, nie był już taki przystojny. Po tym, jak za jego przyczyną spore grono współpracowników zostało zmuszone do wdychania koszmarnego fetoru, a co za tym idzie, pracy w uciążliwych dla zdrowia warunkach, Tomyślak stracił wiele ze swojego uroku playboya. Takiego odoru nie da się zapomnieć. Człowiek składa się z wielu obrzydliwych rzeczy, ale większość z nich starannie ukrywa. Do Adama pasowało znane stwierdzenie, że król jest nagi!

- Po twojej pracy widać, że nie przywiązujesz wagi do szczegółów, ale może by tak dokładniej?
- Krotkowski – rzucił z triumfem, przekonany, że Sandra przestraszy się i przyzna do swojej intrygi.
- Co z nim?
- Ukradł mi go!
- Z tego, co pamiętam, to ty byłeś niedysponowany, a ja wręcz przeciwnie.
- Myślisz, że jesteś taka cwana?

– Powiesz wreszcie, o co ci chodzi, czy będziesz kluczył ogródkami? Uważaj tylko, żebyś nie wpadł w jakąś dziurę, z której się nie wygrzebieesz.

- Grozisz mi?
- Odnoszę wrażenie, że raczej to ty mi grozisz, a nie ja tobie.
- I słusznie. Zapłacisz mi za to.
- Wystaw rachunek. Tylko nie zapomnij przystawić pieczątki, panie mecenasie – zadrwiła.
- Suka! – rzucił na odchodnym.
- Palant – mruknęła, gdy trzasnął drzwiami.

Niestety, nie było jej dane popracować w spokoju. Ucisk w skroniach przerodził się w nieprzyjemny ból głowy. Do tego wszyscy trąbili o wypadku Markiewicza, co najpierw ją ucieszyło, potem zirytowało, bo jego śmierć przyszła zdecydowanie nie w porę. Mimo to Sandra potraktowała ów fakt jako dar od losu.

Kiedy się dowiedziała, że to nie Markiewicz zginął, najpierw poczuła złość, potem ulgę. Ten drań jeszcze jej się przyda. Potrzebowała go przez kilka miesięcy, żeby wdrożyć się we wszystkie sprawy, które ją interesowały. Po śmierci szefa dostałaby je od pozostałych wspólników wraz z ich błogosławieństwem. Któż poza nią byłby wprowadzony we wszystkie szczegóły? Któż inny mógłby przejąć klientów zmarłego jak nie ona, która zna ich od podszewki?

Kolejny problem, jaki się pojawił, to kwestia samochodu. Sandra poświęciła sporo czasu na przestudiowanie konstrukcji lexusa. Doskonale wiedziała, jak uszkodzić hamulce. Internet jest kopalnią informacji. Teraz będzie musiała zaczynać od nowa, chyba że dozna objawienia i wpadnie jej do głowy lepszy pomysł. A może Markiewicz kupi kolejne auto tej marki? Byłoby miło.

- Hm... – Nagle zaświtała jej pewna myśl.

Z tego, co słyszała w radiu, Padecki wjechał na skrzyżowanie na czerwonym świetle bez zatrzymywania się. Albo nie hamował, bo postanowił odejść z tego świata z pomocą kilkutonowej ciężarówki, albo nie mógł zahamować. Czyżby ktoś ją ubiegł? Niemożliwe, żeby w wychuchanym lexusie Markiewicza hamulce padły same z siebie!

Tego samego zdania był komisarz Bartosz Kalinka, który wisiał na telefonie i odbierał wszystkie możliwe przysługi od każdego, kto tylko przyszedł mu na myśl. A było tych osób całkiem sporo. Nie jego rejon? OK. Nie jego sprawa? OK. Ma masę własnej pracy? Racja. Wszystko się zgadza. I co z tego? Nie podaruje im. Jego psi nos mówił mu, że coś tu śmierdzi. Diabeł tkwi w szczegółach. Czasami wystarczy jeden niepasujący element, by ruszyć maszynę sprawiedliwości. Jakiś włos z miejsca zbrodni, kropla wydzieliny, odcisk palca. Zbrodnia doskonała nie istnieje.

- Tak?
- Jesteś pewien?
- Dobra, dzięki...
- Jestem twoim dłużnikiem.
- Daj znać, jak będziesz wiedział coś więcej.

Baśka miała już tego dość. Bartek spędził cały poranek, rozmawiając o wypadku Padeckiego. Ona do tej pory zdążyła przygotować kilka raportów, odbębnić przesłuchania świadków w sprawie kradzieży, która nie obchodziła nikogo poza właścicielem sklepu domagającym się odszkodowania, oraz wypełnić stos papierów dotyczących zaginięcia. Czasami sama się zastanawiała, jakim cudem kogoś odnajdują. Poza wypełnieniem formularzy i wklepaniem danych do systemu niewiele tak naprawdę się robiło, jeśli w grę nie wchodziło dziecko albo ktoś niepełnosprawny.

- Może weź sobie urlop – poradziła mu złośliwie. – Będziesz mógł cały wolny czas poświęcić na nękanie trzech Bogu ducha winnych kobiet.

- Tego nie wiesz. – Kalinka starannie notował coś w punktach w swoim kajeciku, z którym nigdy się

nie rozstawał.

– Nie wiem, w jakim ty żyjesz kraju, ale w moim człowiek jest niewinny, dopóki mu się nie udowodni winy.

– Kiedyś nie byłeś taka cwana.

– Kiedyś żyłam z facetem, który widział świat tylko w dwóch kolorach: czarnym i białym. Sam nie był ideałem, ale wymagał tego od innych.

– Tak? I co się z nim stało? – Aż zacisnął szczęki na myśl o innym mężczyźnie w życiu Baśki.

– Siedzi przede mną i jest dokładnie takim samym dupkiem, jakim był dwa lata temu. Moja matka miała rację. Kto się głupi urodził, głupi umrze – odparła ze złością.

– Ta kopalnia mądrości powinna wreszcie zamknąć jadaczkę! – zdenerwował się Bartek.

– Zamknęła ją rok temu. – Oczy Baśki zaszczyły łzami. Otarła je szybko, by nie widział. Nie znosił, gdy się mazała. – Zadowolony? – burknęła.

– Przykro mi. Nie wiedziałem... – Zawstydzony potarł nieogolony podbródek. – Wiem, że mnie nie lubiła...

Baśka wzruszyła ramionami. Kogo to teraz obchodziło.

– Oduść tę sprawę – poradziła mu cierpko.

– Ktoś przeciął hamulce w samochodzie Markiewicza – poinformował ją.

– Jest znanym prawnikiem. Ma sporo wrogów. Padecki zresztą też, choć raczej to nie on miał być ofiarą. Sprawca musiałby być jasnowidzem, żeby przewidzieć pożyczenie auta.

– Zgadzam się.

– Naprawdę? – zdumiała się Baśka.

– Nie jestem zatwardziałym neandertalczykiem, za jakiego uważała mnie twoja matka. Potrafię wyciągać wnioski. To oczywiste, że ofiarą miał być Markiewicz.

– Wreszcie mówisz rozsądnie...

– Tym bardziej jestem przekonany, że te kobiety działają w zмовie. Padecki zginął przypadkiem, co nie znaczy, że nie był na ich liście do odstrzału.

– Dobra. Mam dość. – Jego partnerka energicznie wstała zza biurka. – Nie zamierzam tego słuchać. Przez chwilę myślałam, że poszedłeś po rozum do głowy. Zapomniałam, że tam go nie ma. – Trzasnęła drzwiami na pożegnanie, aż zadźwięczała łyżeczka na talerzyku.

Kamelia spokojnie przyjmowała kondolencje, siedząc w salonie Jolki. Martusia popijała zieloną herbatę i bacznie obserwowała rudowłosą przyjaciółkę, która właśnie zakończyła kolejną rozmowę i położyła telefon komórkowy na stoliku.

– Nie sądziłam, że tak źle to zniosę – powiedziała zdumiona. – Sama bym gnoja udusiła, gdybym miała tyle siły i odwagi. I gdybym była pewna, że ujdzie mi to płazem. Mimo to... Dziewczyny, zaraz się popłaczę... – Ostatnie słowa zostały odrobinę zniekształcone, bo nagle zaczęło ją dławić w gardle.

– Jak się czujesz? Zjesz coś? – Do salonu weszła Jolka, u której chwilowo mieszkwały obydwie wdowy.

Kamelia nie chciała być sama, a nie mogła iść do Darka. Na to było za wcześnie. I co mogłaby mu powiedzieć? „Mój mąż nie żyje, jesteś ojcem. Gratuluję!”. Martusia z kolei bała się zostać sama w domu. Twierdziła, że tam straszy, co było kompletną bzdurą, ale jeśli miała się trząść za każdym razem, gdy coś puknie, stuknie albo zabulgotze, to niech lepiej zostanie tutaj.

– Tak, poproszę. – Kama uśmiechnęła się smutno do Jolki i dodała: – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Co my byśmy zrobiły – poprawiła ją Martusia.

– Wiem, co mogłybyście zrobić – odparła Jolka.

– Co takiego?

– Przestać się pławić we własnym nieszczęściu i pomyśleć o moim.

Wprawdzie zamierzała nakarmić Kamelię, która teraz zaczęła jeść za dwoje i nie wymiotowała, ale jak chwilę zaczeka, nic jej się nie stanie. Zdaniem Jolki wcześniejsze złe samopoczucie tamtej było spowodowane obawą, że Maciej zauważy ciążę, nim zejdzie, a nie samym faktem noszenia w sobie pasożyta. Tak, właśnie tak. Te dwa pasożyty, które dźwigała przez dziewięć miesięcy, w bólach rodziła, potem nosiła, przewijała, własną piersią karmiła, choć gryzonie próbowały pozbawić ją sutek, dziś nawet nie zapytały, jak się czuje, gdy wróciła ze szpitala.

– No tak... Racja. Jest dwa do trzech – zauważyła Martusia. – Ale nie sądzisz, że trzeci zgon w tak krótkim czasie może się wydać podejrzany?

– Musimy poczekać – powiedziała Kamelia. – Wprawdzie Maciej zginął przypadkiem, jednak Martusia ma rację. Jak zaczną grzebać, to jeszcze czegoś się dogrzebią. Wiesz, jak to jest. Dajcie mi człowieka, paragraf się znajdzie.

– Ciekawe, czy byłabyś tego samego zdania, gdyby twój mąż jeszcze nie odszedł. – Jolka była na nią zła. – Mam ci przypomnieć, jak naskoczyłaś na Martusię? I jakie pretensje pod moim adresem wygłaszałaś przez telefon?

– Przecież przeprosiłam... – mruknęła zawstydzona Kama.

– No i dużo mi z tego przyszło. Tadzik chce mieć trzecie dziecko!

– Co takiego? – zawołały jednocześnie.

– Wyobraźcie sobie, że przed kwadransiem zadzwonił do mnie i zapytał, czy regularnie miesiączkuję! A potem zasugerował wizytę u ginekologa, żeby sprawdzić, czy jestem płodna! Co ja jestem? Klacz rozplodowa rodu Markiewiczów?!

– Żartujesz? – Kamelia nie dowierzała własnym uszom, choć zgnębiony wyraz twarzy Jolki mówił sam za siebie.

– Chciałabym. Siedziałam w kuchni i patrzyłam w piekarnik. Ciekawe jak długo się umiera, trzymając głowę w środku!

– Jolka – odezwała się nieśmiało Martusia – masz elektryczny piekarnik. Z termoobiegiem.

– Wiem, jaki mam piekarnik! – wrzasnęła niedoszła samobójczyni. – To była metafora!

Kama z Martą podskoczyły nerwowo. Jolka nigdy nie wrzeszczała. A gdy już zdarzyło jej się podnieść głos, brzmiał on raczej piskliwie i w niczym nie przypominał tego basowego ryku zranionego niedźwiedzia, który teraz z siebie wydała.

– No tak... Twój mąż przez chwilę nawet się cieszył, jak myślał, że będzie ojcem... – Martusia zerknęła na Kamę, szukając u niej pomocy.

– Na litość boską, a wiesz, co mówił, gdy któreś z dzieci zaczynało płakać? „Kobieto, zrób coś z tym!”. Tyle było jego pomocy w wychowaniu maluchów. I taki człowiek teraz chce zostać ojcem? Kuźwa, dziewczyny, on już nim jest!!! Niech ten stary piernik sam zbada swoje plemniki, a nie moje jajeczka!

– Co tak śmierdzi?

Kama doskonale rozumiała Jolkę. Sama wolałaby umrzeć, niż pozwolić, by dotknął jej Tadzik. Zemdlilo ją na samą myśl. Niemniej coś się przypalało i bardziej interesował ją ewentualny obiad niż wyobrażanie sobie procesu reprodukcyjnego przy współudziale Markiewicza.

– Wiewiór – poinformowała je krótko pani domu.

– Mój wiewiór? – zapytała Kamelia. – To maskotka dla dziecka!

– Ale ja nie mam dziecka.

– To ja je mam!

– Ale wiewiór był przeznaczony dla mojego dziecka!

– Przecież nie masz dziecka!

– Właśnie. Więc wiewiór mi niepotrzebny.

– Proszę pani... – Do pokoju zajrzała nieśmiało kobieta zajmująca się domem.

– Tak? – zapytała Jolka, zmuszając się do miłego uśmiechu.

– W piekarniku pali się coś... kosmatego... Czy mam wyłączyć?

– Dziękuję. Sama się tym zajmę. Na dziś to wszystko. Dziękuję pani.

– Oczywiście. – Tamta zawahała się, najwyraźniej chcąc coś jeszcze dodać, lecz widząc niezbyt przyjazne spojrzenia trzech kobiet, powiedziała tylko: – Do widzenia. – I wyszła.

W pokoju zapadła cisza. Kamelia nie odważyła się upomnieć ani o obiad, ani o pluszaka, który właśnie dogorywał w piekarniku.

– To może porozmawiamy o czymś przyjemnym? – zasugerowała niepewnie Martusia.

– Niby o czym? – Jolka nie widziała nic przyjemnego w swoim życiu.

– Myślę, że pogrzeb Kamelii nie musi być tak okazały, jak mój. W końcu Maciej był tylko komornikiem.

Wystarczy coś kameralnego. Dla najbliższych. Co o tym sądzicie?

Mecenas Markiewicz z uwagą słuchał dwóch policjantów, którzy tego popołudnia odwiedzili jego biuro. Komisarz Hamski przez „H” bez „c” i komisarz Wojtkowiak zapewne podali też jakieś imiona, ale dla Tadeusza były one całkowicie zbędne. Spisał tylko starannie numery odznak obu funkcjonariuszy, na wypadek gdyby miał złożyć na nich skargę.

– Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem. Mógłby pan powtórzyć? – zwrócił się do komisarza Hamskiego przez „H” bez „c”.

– Pytałem, czy ma pan wrogów. Może ktoś panu ostatnio groził?

– To słyszałem. Interesuje mnie kwestia wypadku. Co się stało z moimi hamulcami?

– Linka hamulcowa została przecięta. Nie dostaliśmy jeszcze oficjalnej opinii w tej sprawie, ale technik, który oglądał auto, jest tego pewien.

– Zakładam, że to nie pan uszkodził hamulce we własnym aucie, a następnie pożyczył wóz panu Padeckiemu? – Do rozmowy włączył się teraz Wojtkowiak.

– Zdecydowanie nie. Przyjaźniliśmy się. Tylko dlatego pożyczyłem mu lexusa.

– Auto było ubezpieczone?

– Oczywiście.

– Więc nic pan nie straci.

– Nic poza bliskim przyjacielem. – Markiewicz specjalnie nie przejął się śmiercią Padeckiego. Znajomych komorników miał na pęczki. Po prostu zaprzyjaźnił się z następnym, tak działa ten świat, ale nie zamierzał o tym informować śledczych. Może to idealisci. – Zakładam, że to ja miałem zginąć?

– To nasza hipoteza. Dość logiczna, jak sądzę. – Odpowiedzi udzielił komisarz Hamski bez „c”. – A więc... Wracając do mojego pytania, czy ma pan wrogów?

– Oczywiście, że mam. Przecież jestem prawnikiem – odparł swobodnie Markiewicz, zastanawiając się nad czymś usilnie.

Policjanci spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Większość pytanym o to osób na ogół udziela odpowiedzi negatywnej. Wrogowie? Jacy wrogowie? Przecież przez całe życie nie nadepnęli nikomu na odcisk.

– Może pan podać nazwiska?

– Nie bardzo... – Poprawił okulary na nosie. – Obawiam się, że nawet w przypadku byłych klientów nadal obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

– Zakłada pan, że to niezadowolony klient?

– Tacy się zdarzali, komisarzu – odpowiedział Wojtkowiakowi. – Stawiam jednak na strony przeciwne. Jestem dobry w swoim fachu. Naraziłem się paru osobom, pracując dla moich klientów – wyjaśnił.

– Jest pan bardzo spokojny...

– Nerwy tu nie pomogą. – Zabębnił palcami po biurku. Zastanawiał się, czy agencja ochroniarska, która świadczy usługi dla jego firmy, ma w ofercie odpowiednik ochrony prezydenckiej. Kogoś, kto w razie potrzeby zasłoni go własnym ciałem. – Zrobię listę najszybciej, jak to będzie możliwe. Muszę przejrzeć akta.

– Nikt panu ostatnio nie groził?

– Nie.

– Żona?

– Skąd! – Wprawdzie Jolka wykrzyczała sporo niewybrednych epitetów pod jego adresem, gdy jej zasugerował trzecie dziecko, ale hamulce zostały przecięte wczoraj, a o dziecku rozmawiali dzisiaj. Poza tym jest zbyt głupia, by znaleźć wlew do baku, a co dopiero uszkodzić hamulce.

– Kochanka?

– Mam żonę i dwoje dzieci.

– No i?

– I żadnych kochanek. Właśnie dziś rozmawialiśmy z żoną o powiększeniu rodziny. Starsze dzieci niedługo idą na studia, przydałby się taki maluch w domu – odrzekł Markiewicz.

– Żona się zgodziła? – zdziwił się komisarz Hamski.

– Prowadzimy pertraktacje w tej sprawie. Jestem przekonany, że...

Ciąg dalszy przerwało mu pukanie i sekretarka, która ukazała się w drzwiach.

– Przepraszam, panie mecenasie. – Pani Lida była wyraźnie zażenowana. – Właśnie taksówkarz przywiózł paczkę od pańskiej małżonki.

– Czy to nie może poczekać?

– Taksówkarz powiedział, że to pilne i do rąk własnych, a pani Jolanta dzwoniła już dwukrotnie z pytaniem, czy przesyłka dotarła... – wyjaśniła przepraszającym tonem.

– Przepraszam panów – zwrócił się do policjantów, po czym uśmiechnął się uspokajająco do sekretarki i powiedział: – Niech wejdzie. Tylko szybko.

Dokładnie trzy minuty i dwadzieścia sekund później – Lida bardzo ceniła sobie dokładność – oklejony taśmą karton został otwarty, a jego zawartość ukazała się oczom wszystkich obecnych.

Wojtkowiak z rozbawieniem przyglądał się mokrym, nadpalonym szczątkom czegoś, co niedawno musiało być sporym miśkiem lub czymś w tym rodzaju.

– Zdaje się, że pańska żona powiedziała NIE – stwierdził rozbawiony Hamski przez samo H.

Bez c.

Sandra kopnęła auto. Raz, drugi, trzeci. Czwarty raz też nie pomógł. Wszystkie koła były pocięte, samochód nie nadawał się do jazdy. Doskonale wiedziała, kto to zrobił. Adam. Odgrażał się, a taka dziecinada była w jego stylu. Nagle przyszło jej do głowy, że to on mógł stać za zamachem na Markiewicza.

Zawróciła do windy i wjechała na piąte piętro, gdzie mieściła się ich kancelaria. Nie zamierza odpuścić tej gnidzie. Zadarł z niewłaściwą osobą. Jeśli musi sypiać z tym starym zbrojeńcem, to przynajmniej będzie coś z tego miała. Załatwi własne porachunki. Pomaszerowała prosto do gabinetu szefa.

– Dzień dobry, pani Lido. – Po raz pierwszy zwróciła się bezpośrednio do sekretarki. – Czy pan mecenas jest u siebie?

– Tak, ale zajęty.

– Proszę mu powiedzieć, że mam pilną sprawę.

– Zabronił przeszkadzać.

– Ma klienta?

– Nie, ale po wyjściu policjantów zadzwonił do firmy ochroniarskiej. Ich przedstawiciel przyszedł kilka minut temu.

– Chodzi o ten wypadek?

– To nie był wypadek. Podobno ktoś...

– Przeciął hamulce. Tak, wszyscy mówią tylko o tym. Ja właśnie w tej sprawie. Proszę powiedzieć panu mecenasowi, że to pilne, dobrze? – poprosiła z miłym uśmiechem.

– No dobrze. Skoro tak... – Lida nie była przekonana, ale szef był wyraźnie przejęty. Zginął człowiek. Może lepiej niech ta cała Tomaszewska wejdzie. – Proszę za mną – poleciała, podchodząc do drzwi gabinetu.

Zapukała i weszła, nie czekając na odpowiedź. Sandra nie słyszała dokładnie słów sekretarki, lecz ta po chwili przesunęła się, robiąc dla niej miejsce, i wskazała, że może wejść do środka.

Naprzeciwko Markiewicza siedział mężczyzna koło pięćdziesiątki. Miał krótko ścięte szpakowate włosy, twarz poraną zmarszczkami, a jego oczy, jasne i przenikliwe, patrzyły na nią uważnie.

– Dzień dobry – powiedziała. – Panie mecenasie, mam pilną sprawę. Czy znajdzie pan dla mnie chwilkę? Na osobności – dodała z naciskiem.

– Pani Lida mówiła, że przyszłaś w sprawie wypadku. Jak chcesz powiedzieć, że ci przykro, to nie mam czasu na te dyrdymały – poinformował ją ostro.

– Wręcz przeciwnie, panie mecenasie. – A uświadomiwszy sobie, jak to zabrzmiało, szybko pospieszyła z wyjaśnieniem: – Sprawa rzeczywiście jest przykra i niepokojąca, ale chciałam zgłosić incydent, być może związany z uszkodzeniem pańskiego samochodu.

– Co pani ma na myśli? – Do rozmowy wtrącił się nieznajomy mężczyzna.

– Kim pan jest? – zapytała, nie bawiąc się w podchody.

– Artur Ziajka. Jestem właścicielem agencji detektywistycznej i ochroniarskiej. Będę zajmował się sprawą wypadku równoległe z policją.

– Rozumiem. – Spojrzała pytająco na Markiewicza, który rzucił krótko:

– Mów.

– Ktoś przeciął wszystkie opony w moim aucie.

– A mnie to obchodzi, ponieważ...? – Nie dokończył.

Nie musiał. Złośliwość i chamstwo niemal unosiły się w powietrzu. Obecność kogoś obcego absolutnie mu nie przeszkadzała.

Niezrażona jego zachowaniem Sandra wyjaśniła spokojnie:

– Pomyślałam, że to może mieć związek z majstrowaniem przy pańskim samochodzie. Nie sądzi pan, że dwa takie incydenty w krótkim czasie mogą być ze sobą powiązane?

– Pańska pracownica może mieć rację – odezwał się Ziajka, uprzedzając Markiewicza. – To może nie być przypadek. Albo ktoś ma pretensje do pańskiej firmy i celuje na oślep, albo oboje państwo z jakiegoś powodu znaleźli się na celowniku...

– Albo jakiś były facet pociął pani Tomaszewskiej opony i nic więcej się za tym nie kryje. – Markiewicz starał się zbagatelizować ów incydent. Jeśli ten Ziajka ma choć trochę rozumu, nasunie mu się oczywisty w takich okolicznościach wniosek. Co łączy ich dwoje...

– Proszę wybaczyć to pytanie, ale czy państwa coś łączy albo łączyło w przeszłości?

– Pytanie absolutnie niestosowne, lecz w tej sytuacji zrozumiałe. Nie, pana mecenas Markiewicza



i mnie nie łączą żadne relacje prywatne – skłamała bez mrugnięcia okiem Sandra, patrząc wprost w jasnoniebieskie oczy detektywa.

– Jestem zobowiązany do zachowania tajemnicy...

– Proszę pozwolić mi dokończyć. – Przyszła tu, by załatwić swoje porachunki, i dokładnie to zamierzała zrobić. – Dziś rano w moim gabinecie zjawił się Adam Tomyślak. Groził mi. Był wściekły. Zbagatelizowałam jego zachowanie, ale jak zobaczyłam auto, pomyślałam, że może zbyt pochopnie uznałam go za nieszkodliwego. Nie chciałam od razu zgłaszać tego policji. Taka reklama nie jest potrzebna naszej kancelarii. Dlatego przyszłam prosto do pana, panie mecenasie, żeby pan zdecydował, co z tym począć.

Markiewicz z zadowoleniem kiwnął głową, ale nie zdążył nic powiedzieć. Ubiegł go detektyw Ziajka.

– Dlaczego pani groził?

– Chodziło o jednego z naszych klientów. Zastąpiłam mecenasa Tomyślaka podczas jego niedyspozycji, a potem klient zażyczył sobie, żebym to ja asystowała przy obsłudze jego firmy – wyjaśniła.

– Chodzi o Krotkowskiego? – Markiewicz prychnął kpiąco. – Tomyślak sam jest sobie winien, że wyleciał. To ja wyznaczyłem cię na zastępstwo za niego. Ty tylko wypełniasz zleconą pracę. Grozi niewłaściwej osobie. Kretyn.

– I mamy motyw! – stwierdził z satysfakcją Ziajka. – I pierwszego podejrzanego. Gdzie stoi pani auto?

– W garażu.

– Jest tam monitoring?

– Tylko przy wjeździe i wyjeździe – odpowiedział Markiewicz.

– Kiepsko...

– Bardzo kiepsko – zgodził się z nim mecenas. – Będzie pan musiał się wysilić, żeby zapracować na tę fakturę, którą mi pan wystawi.

Sandra schyliła głowę, by ukryć uśmiezek.

– Moi klienci są zadowoleni ze świadczonych przeze mnie usług – odparował spokojnie Ziajka.

– Jak przeżyją.

– To już moja rzecz, żeby zleceniodawca żył wystarczająco długo, by móc uregulować rachunek. – Ziajka był przyzwyczajony do ekscentrycznych zachowań klientów.

– Niech mi pan zorganizuje kogoś zaufanego do ochrony osobistej – polecił jeszcze Markiewicz.

– Mój człowiek jest już w drodze. Ja zajmę się dochodzeniem. – Detektyw uznał, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Od Markiewicza niczego więcej się nie dowie. – Chciałbym zamienić kilka słów z tym Tomyślakiem.

– Sandra, zaprowadzisz pana Ziajkę. I przy okazji zabierz Adamowi sprawę Marcinkowskiej. Jeszcze ją specjalnie zawali, jak się zorientuje, że jest na wylocie.

– Chyba nie zamierza go pan zwolnić?

– Oczywiście, że zamierzam. – Markiewicz ze zdziwieniem spojrział na detektywa. – Dlaczego miałbym trzymać w firmie kogoś, kto próbuje pozbyć się mnie?

– Na razie proszę nic nie robić. Najpierw musimy się upewnić, że to on. Nie wolno nam go spłoszyć.

– Jak tam pan chce. Byle szybko. Nie mogę ryzykować utraty klientów. – Ani swojego życia, pomyślał, czując na plecach strużkę zimnego potu.

– Co mam mu powiedzieć? – zapytała Sandra.

– Że ma oddać Marcinkowską. Za pierwszym razem nie dosłyszałaś?

– Usłyszałam doskonale, panie mecenasie. Muszę mu podać jakieś wyjaśnienie, jeśli nie chce pan, żeby poczuł się zagrożony.

– Nic mu nie wyjaśniaj, tylko powiedz, że sam zajmę się tą sprawą i już – polecił. – Jeszcze tego

brakowało, żebym miał się tłumaczyć przed pracownikami niższego szczebla.

Teraz, gdy zagrożenie prawdopodobnie zostało zidentyfikowane, strach miał już znacznie mniejsze oczy.

Komisarz Kalinka i komisarz Hamski siedzieli sobie wygodnie w niewielkiej kawiarni w przyjemnej dzielnicy willowej, obserwując przez okno dzieci biegające na placu zabaw. Kalinka raczył się kawą z bitą śmietaną, Hamski zamówił mrożoną herbatę z żurawiną. W normalnych okolicznościach Bartek postawiłby mu piwo, ale urwać się w godzinach służby, a urwać się na piwo, to nie to samo.

– Dlaczego interesujesz się tą sprawą? – Hamski nie krył zaciekawienia.

– Prowadzę... Prowadziłem sprawę, którą zakwalifikowano jako nieszczęśliwy wypadek. Mam jednak wątpliwości – odpowiedział pokrętnie, gdyż stanęła mu przed oczami twarz Baśki i pełne jadu słowa rzucone pod jego adresem. Nie był takim idiotą, za jakiego go miała. Dopuszczał możliwość, że się myli, choć to mało prawdopodobne. – Szukam punktu zaczepienia.

– Jaki to ma związek z naszym wypadkiem?

– Skałka, Markiewicz, Padecki. Ich żony się przyjaźnią. – Urwał, zastanawiając się, jak ubrać to w słowa i nie wyjść na wariata. Podrapał się po podbródku. – Tobiasz Skałka zginął we własnej wannie porażony prądem z suszarki do włosów. Padecki zginął w wypadku, w którym prawdopodobnie miał zginąć Markiewicz. Trudno mi uwierzyć, że na tę trójkę padło jakieś fatum. Coś jest na rzeczy.

– Owszem, dziwne, ale masz coś poza tym?

– Niestety, nie. Wiesz, przypadki chodzą po ludziach, jednak jak jest ich za dużo, to trudno w nie uwierzyć.

– Hm... – Hamski przez „H” bez „c” wypił duszkiem pół szklanki herbaty, odetchnął głęboko i zaczął mówić: – Nie ma wątpliwości, że do uszkodzenia hamulców doszło celowo. Zakładam, że celem miał być Markiewicz, ten Padecki zginął przez przypadek. Głupia sprawa z tym wyszła. Policjant z drogówki, który był na miejscu pierwszy, spisał dane z dowodu rejestracyjnego. Stąd ta pomyłka. Markiewiczowa i Padecka wylądowały w szpitalu. Nerwy. Do tego Padecka jest w ciąży... Kiepska sprawa. Nie zazdroszczę. Ale zmowa żon... – Pokręcił głową. – Prędzej bym przypuszczał, że jak Skałkowa została wdową, to Markiewiczowa postanowiła wziąć przykład z koleżanki i cieszyć się jej szczęściem. Żona standardowo jest brana pod uwagę, chociaż powiem ci, chłopie, że jeśli faktycznie porozumiały się między sobą, to o ile jedna z nich nie zacznie gadać, nie masz szans.

– Sądziś, że moja hipoteza jest prawdopodobna?

– Powiem ci tak, chłopie. Gdyby to był film albo książka, to czemu by nie. Ale w życiu? – Z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Dobra. Powiedz mi jeszcze jedną rzecz. Jesteś w stanie określić, kiedy doszło do uszkodzenia hamulców?

– Markiewicz dojechał bez przeszkód do pracy około siódmej rano. Pół godziny później Padecki wziął jego auto i rozwalił się na skrzyżowaniu. Dobrze, że nie zabrał nikogo ze sobą tam, gdzie po śmierci idą komornicy. Lexus był zaparkowany w podziemnym garażu. Obstawiamy z Wojtkowiakiem któregoś z pracowników. Żona naszym zdaniem odpada, chyba że kogoś wynajęła.

– Sprawdzaliście alibi Markiewiczowej?

– Zdaniem jej pomocy domowej była w domu i nigdzie nie wychodziła.

– To jeszcze nic nie znaczy... Mogła zapłacić albo zastraszyć tę kobietę.

– Widziałeś Markiewiczową? – Hamski bez „c” uśmiechnął się pobłaźliwie. – Aż szkoda jej dla tego buca, choć powiem ci, że ma babka trochę ikry. Wysłała mu do biura spalonego miśka.

– W jakim celu? – zdziwił się Kalinka.

– Markiewicz wpadł na pomysł trzeciego dziecka. Kobieta zbliża się do czterdziestki, a ten chce ją od nowa w pieluchy pakować! Powiem ci, że moja żona wykastrowałaby mnie za sam pomysł.

Kamelia postanowiła na kilka dni przenieść się do Jolki. Martusia tego samego popołudnia dołączyła do nich z kilkoma walizkami. Zdanie męża w tej kwestii Jolka miała w głębokim poważaniu. Tadzik i tak odejdzie, a niech tylko spróbuje się z nią rozwieść. Nie zdąży. W jej życiu zachodzą zmiany, a on musi się z tym pogodzić, póki jeszcze może. Dużo czasu mu nie pozostało.

Wstrząs, którego doznała w szpitalu, gdy powiadomiono ją o śmierci męża, zmusił Jolanę do zastanowienia się, czy na pewno tego chce. Jednak zachowanie Tadzika i jego pomysł kolejnego dziecka rozwiąły jej wszelkie wątpliwości.

– Tadeusz musi odejść i to im szybciej, tym lepiej – powiedziała do Kamelii, pomagając jej rozpakować rzeczy.

– To nie najlepszy pomysł – wtrąciła się Martusia. – Uważam, że trzeba przeczekać gorący okres. Policja prowadzi dochodzenie. Będą nas mieli na oku.

– To najlepszy moment. Ktoś chce zabić Tadzika, więc jego śmierć pójdzie na konto tamtego. Mamy już wprawę. Dwóch odeszło. Z trzecim też mamy radę – namawiała je do pośpiechu Jolka.

– Tak po prawdzie, to nie mamy żadnej wprawy. Maciej zginął zamiast Tadeusza. Ktoś inny odwalił robotę. A Martusia... Ta suszarka to był zupełny przypadek. Kto normalny uwierzyłby, że można zginąć w taki sposób? – Kamelia rozłożyła ręce w geście bezradności.

– Proszę, proszę – wycedziła Jolka po chwili złowrogiego milczenia. – Jak Tobiasz odszedł pierwszy, to omal jej oczu nie wydrapałaś. Jak myślałaś, że to ja załatwiłam Tadzika, to ze złości aż plućaś w telefon. A jak twój problem rozwiązał się sam, to ja mam teraz iść w odstawkę?!

– Jolka, nie denerwuj się tak, ale Kama ma rację. Poza gadaniem, jak to chcemy się ich pozbyć, to tak naprawdę nic nie zrobiliśmy...

– Poza tobą. Ty zrobiłaś – odcięła się Jolka.

– No niby tak, ale to się nie liczy, bo było bez premedytacji...

– Zostajecie na cały weekend. Zgadza się?

– Mniej więcej. Pogrzeb będzie w poniedziałek. Potem wracam do domu. Martusia też. Ale o co ci chodzi? – Kamelia czuła, że ogarnia ją złość. Jolka była uparta jak osioł. – Sama nas zaprosiłaś!

– No to macie czas do końca weekendu, żeby przedstawić mi pomysł na odejście Tadeusza! – Żona przyszłego nieboszczyka tupnęła nogą i wyszła, trzaskając drzwiami.

– Superowo – skomentowała na młodzieżową modłę Martusia. – Policja kręci się tam i z powrotem, a my mamy załatwić Tadzika! Postradała zmysły.

– A ja ją rozumiem. – Kama, ochłonawszy z pierwszej fali gniewu, nawet była w stanie współczuć Jolce. – Ale wiesz co... Coś mi przyszło na myśl... Ten zamach na Tadeusza... Ona ma rację. Można by to tak zorganizować, żeby odejście Tadzika poszło na konto specjalisty od hamulców.

– Przecież nie wiemy, kto to...

– Policja też nie wie.

– Jak go złapią, to się dowiedzą.

– No i co z tego?

– Nie przyzna się do drugiego zamachu.

– Nie będzie musiał. Wystarczy, jak udowodnią mu pierwszy.

– Chcesz wsadzić do więzienia niewinnego człowieka?! – zawołała ze zgrozą Martusia.

– Jakiego niewinnego? Chciał zabić Tadeusza czy nie?

– No chciał – przyznała po chwili namysłu przyjaciółka.

– Za usiłowanie zabójstwa jest tyle samo co za zabójstwo, więc co mu za różnica, za co dokładnie

będzie siedział? A w ogóle to przecież zabił Padeckiego, wprowadzie przez przypadek, ale zawsze.

– Hm... Jest w tym rozumowaniu jakaś logika, chociaż mam wątpliwości natury emocjonalnej.

– Gdyby chodziło o Tobiasza, to też byś miała wątpliwości emocjonalne czy skorzystałabyś z okazji?

– Niech będzie – zgodziła się niechętnie Martusia. – Ale uprzedzam, cokolwiek wymyślimy, boję się widoku krwi.

Detektyw Ziajka przyglądał się z uwagą młodej prawniczce. Sandra Tomaszewska go zaintrygowała. Spotkał w swoim życiu kilka silnych osobowości, ale ta kobieta była wyjątkowo zimna i opanowana. Jednostka socjopatyczna – tak by ją zakwalifikował, gdyby był psychiatrą.

– Nie lubi pani Tomyślaka.

– Nie.

– A Markiewicza?

– Też nie.

– Ale sypia z nim pani.

– Lubił pan wszystkie kobiety, które pan pieprzył?

Ziajka nie odpowiedział. Tomaszewska nie zwolniła kroku, nie obejrzała się, nie oburzyła. Odpowiadała spokojnie i obojętnie.

– Dlaczego pani zaprzeczyła? – Nie musiał wyjaśniać, o co dokładnie pyta. Wiedziała, że o romans.

– Szef tego oczekiwał.

– Zawsze robi pani to, czego oczekuje szef?

– Oczywiście.

– Kłamała pani odnośnie do Tomyślaka?

– Pyta pan, czy to ja uszkodziłam hamulce? – Zatrzymała się przed szklanymi drzwiami i spojrzała na niego z rozbawieniem.

– A zrobiła to pani?

– Nie. W tej chwili mój szef jest dla mnie bardziej użyteczny żywy niż martwy.

– Tomyślak naprawdę pociął te opony?

– Nie mam pojęcia – odparła tak swobodnie, jakby rozmawiali o pogodzie, a nie o rzuceniu ciężkiego oskarżenia na być może niewinnego człowieka – ale uważam to za prawdopodobne. Groził mi dziś rano. Chwilę potem okazało się, że moje opony są pocięte na strzępy. Do jakiego wniosku doszedłby pan na moim miejscu?

– Że sam włożył mi broń do ręki.

– Brawo.

Przyglądał jej się dłuższą chwilę. Była piękną kobietą, choć się z tym nie afiszowała. A także błyskotliwą. I bezwzględna.

– Wróżę pani wielką przyszłość w tym zawodzie.

– Dziękuję. – Sandra udała, że traktuje jego słowa jako komplement. – Możemy iść dalej, czy zamierza mnie pan zapytać jeszcze o coś, czego nikt nie powinien słyszeć?

Ziajka dał jej znak ręką, że mogą iść dalej. Uśmiechał się pod nosem. Przyzwyczał się do wewnętrznych rozgrywek w firmach, w których świadczył usługi. Ani nie bagatelizował tych spraw, ani nie przywiązywał do nich wielkiej wagi. Traktował je jak źródło informacji i oddzielał ziarna od plew. Zobaczmy, co będzie, pomyślał, Tomaszewska może mieć rację.

– Cześć. – Sandra zdobyła się na uprzejmy uśmiech wobec dziewczyny zajmującej miejsce za biurkiem przed gabinetem Tomyślaka. Nawet nie wiedziała, jak ta nowa ma na imię. Poprzednia, Ania czy Hania, pracowała teraz jako asystentka w księgowości. – To pan Ziajka – przedstawiła towarzyszącego jej

mężczyznę, nie wdając się jednakże w szczegóły, kto to i po co przyszedł. – Adam u siebie?

– Tak, jest wściekły – powiadomiła ją nowa sekretarka.

– Bardzo źle? – zapytała prawniczka raczej obojętnie niż ze współczuciem, ale Ziajka z rozbawieniem zaobserwował, że dziewczyna potraktowała to jako zaproszenie do rozmowy. Przewróciła komicznie oczami i ścisząc głos, powiedziała dramatycznym tonem:

– Klnie na czym świat stoi. Chamstwo aż z niego paruje.

– Czyli jak zwykle – skwitowała Sandra.

– O, chyba gorzej. Odgrażał się... – Urwała, uświadomiwszy sobie poniewczasie, że Tomaszewska nie jest sama.

– Możesz mówić – uspokoiła ją tamta. – Pan Ziajka właśnie w tej sprawie. Adam rano wpadł z pogrozkami do mojego gabinetu. Pociął mi opony w aucie.

– Pieprzysz! – zawołała dziewczyna.

– Niestety, nie... To chyba jakieś problemy emocjonalne. Myślałam, że już z nim lepiej, ale niestety...

– Wzruszyła ramionami w geście bezradności.

Detektyw z niedowierzaniem obserwował, jak prawniczka – absolutnie nic sobie nie robiąc z jego obecności – umiejętnie zasiewa ziarenko, które do końca dnia zakiełkuje, a najdalej jutro zakwitnie.

– No co ty... – Oczy sekretarki błysnęły jak dwa diamenty. Ziajka widział, jak jej wzrok spoczął na telefonie. Za chwilę zostanie uruchomiona gorąca linia.

– Niestety. – Tomaszewska westchnęła obłudnie. – Zmykaj stąd, zanim zrobi się nieciekawie – poradziła jeszcze dziewczynie, a potem po prostu nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Detektywa przez moment korciło, by zostawić ją samą na placu boju, ale ciekawość zwyciężyła.

– Cześć, Adam. Dwie sprawy. Dawaj akta Marcinkowskiej. Szef kazał mi je przynieść. Sprawa numer dwa. To pan detektyw Ziajka. – Wskazała palcem na mężczyznę. – Ma do ciebie kilka pytań – beznamyślnie poinformowała Tomysłaka.

– Detektyw? Nie muszę odpowiadać na pytania jakiegoś tam detektywa – oświadczył prawnik, obrzucając Ziajkę pełnym pogardy spojrzeniem.

– Musisz. Markiewicz go wynajął i kazał współpracować. Już masz u szefa nabrechtane. Nie pogarszaj swojej sytuacji – poradziła z obłudnym uśmiechem.

– Jakiej sytuacji? Zaraz, zaraz, Marcinkowska jest moja! – Dopiero teraz się zorientował, po co właściwie przyszła Sandra.

– Już nie. Szef sam się nią zajmie. I co zrobisz? Jemu też potniesz opony? A nie, czekaj, przecież on już nie ma opon, bo nie ma samochodu. Wiesz, Adam, trochę dziwne, że w tak krótkim czasie zdarzyły się dwa incydenty związane z uszkodzeniem aut. – Cmoknęła z udanym namysłem.

– Przepraszam. – Ziajka uznał, że czas się wtrącić. – Chciałbym porozmawiać z panem mecenasem na osobności.

– Oczywiście – odparła uprzejmie. – Z przyjemnością zostawię panów samych. Jak tylko otrzymam to, po co przysłałam.

Ziajka przygryzł wargę, by nie parsknąć śmiechem. Oboje wiedzieli, że nie mówiła o aktach.

Siedziały we trzy w garderobie, udając, że przygotowują ubiór na kolejny pogrzeb. Dla zapewnienia sobie alibi każda trzymała w ręku coś czarnego. Panowało ponure milczenie, iście cmentarne. Sytuacja komplikowała się na każdym kroku.

Tomaszewska wyszła przed godziną, obiecując zorganizować następny pochówek. Problemem nie była jej gotowość do współpracy, lecz wiadomość, którą przyniosła. Tadzik wynajął sobie ochroniarza z prawdziwego zdarzenia. Takiego, co to nie odstąpi go na krok, a w toalecie nawet papier poda, jak

zajdzie potrzeba.

– Myślicie, że będzie z nami spał? – zapytała smętnie Jolka.

– Nie, no co ty. Pewnie będzie siedział w aucie pod domem albo w kuchni na dole i co jakiś czas zrobi obchód. Przecież w domu Tadeuszowi nic nie grozi – powiedziała Kama.

Martusia, widząc minę Jolki, dodała jednak:

– No wiesz, przynajmniej on sam tak sądzi. To nie znaczy, że nie może spaść ze schodów... albo otruć się spalinami w garażu.

– Jak chcesz to zrobić? W domu mam dwójkę nastolatków, a do tego w pobliżu będzie się kręcił ochroniarz.

– Trucizna – obwieściła Kamelia. – Uważam, że najskuteczniejsza będzie trucizna. Tylko nie teraz zaraz. Jolka, mówiłam poważnie, musimy przeczekać, aż wszystko się uspokoi. Chociaż parę dni. Na pewno tak szybko nie złapią tego zamachowca.

– Przecież wiem – mruknęła tamta żałośnie. – Ale to takie niesprawiedliwe. To ja wymyśliłam sposób, jak naprawić nasze życie. I co? Wam wszystko się udało samo z siebie.

– Bóg nad nami czuwał. – Martusia przeżegnała się pospiesznie. Tak na wszelki wypadek, gdyby naprawdę istniał.

– Gdyby Bóg istniał, nie marnowałby swojego cennego czasu, żeby uśmiercić naszych mężów.

– Może potrzebował dobrego doradcy podatkowego i komornika.

– To jeszcze przyda mu się cwany prawnik do kompletu – zasugerowała Jolka. – Właśnie postanowiłam, że zaczekam kilka tygodni. Będziemy miały czas, żeby wszystko dobrze zorganizować.

– To znaczy co?

– Kama ma rację. Trzeba go otruć.

– Otruć? Zwariowałaś?! – zdenerwowała się Martusia.

– Starannie to przemyślałam. – Udała, że nie widzi niedowierzania malującego się na twarzach przyjaciółek. Przecież wpadła na ten pomysł nie dalej niż przed minutą. W takim czasie tylko Kasparow potrafiłby dokładnie coś przemyśleć. – Musimy znaleźć coś niewykrywalnego, co będzie wyglądało, jakby umarł z przyczyn naturalnych – powiedziała.

– W czasach zimnej wojny popularna była rycyna, ale raczej nie znasz żadnego radzieckiego Jamesa Bonda?

– Nie. Nie znam. Nie miałam też w rodzinie oficerów Wehrmachtu. Za Tadzika oczywiście nie ręczę. Jakies praktyczne pomysły?

– Trutka na szczury?

– Odpada. W W-11 od razu by na to wpadli – stwierdziła z przekonaniem Martusia. – Jest wykrywalna. Wpadłby na to nawet student pierwszego roku. Lepsze byłoby przedawkowanie jakiegoś leku.

– Niby jakiego?

– Czy ja wiem? Może takiego, co obniża ciśnienie krwi. Zapaść murowana. A ty idziesz na zakupy, wracasz po kilku godzinach. I gotowe.

– Skąd ja wezmę taki lek?

– Z apteki. Niektóre pewnie można kupić bez recepty.

– Jak to wcisnę Tadzikowi? On nic nie zażywa.

– Nawet witamin?

– Zakładam, że dwie tabletki nie wystarczą. Jak miałabym niepostrzeżenie podać mu opakowanie czy dwa? Głupota. A i tak pewnie by wykryli. Leki odpadają. Potrzebuję trucizny.

– To ja już wolę go stuknąć. Za kilka tygodni zrezygnuje z ochrony, może nie znajdą tego, co rozwalili mu hamulce. Wolę go walnąć w ciemnej uliczce. Pewnie lepiej nam to pójdzie niż te niewykrywalne

trucizny – zdenerwowała się Kamelia.

– Naprawdę mogłabyś to zrobić?

– Tak – odparła zdecydowanie.

– Hm... – Mina Martusi wyrażała wątpliwości. – Nie wiem, jak Tadeusz, ale Tobiaszek jeździł głównie autem. Nie łąził ciemnymi uliczkami. Do tego mamy czerwiec. Ciemne uliczki bywają ciemne dopiero w okolicach dwudziestej trzeciej, a i tak w większości są oświetlone.

– Zaczekamy, aż zacznie się ściemniać wcześniej. Na pewno uda mi się złapać Tadeusza, jak będzie szedł na parking. Albo w jakimś zaułku...

– W okolicach drugiej połowy października? Po zmianie czasu z letniego na zimowy już o siedemnastej będzie ciemno.

– Nie zamierzam czekać do października!

– I słusznie. Kamelia będzie wtedy w którym miesiącu? Siódmym? Ósmym?

Jolka spojrzała z przerażeniem na przyszłą matkę. Wyobraziła ją sobie, jak człapie z opuchniętymi stopami, jedną ręką podtrzymując ogromny brzuch, drugą podpierając plecy, i szykuje się, by dziabnąć nożem Tadzika albo przywalić mu młotkiem. Nierealne.

– Nie! – jęknęła. – Mam dość. Może po prostu uduszę go poduszką?

– Spokojnie. – Martusia delikatnie pogłaskała ją po włosach. – Poradzimy sobie. Bo mam jeszcze jeden pomysł. Policja dopiero zaczęła szukać tego, co przeciął te hamulce. Tak szybko im to nie pójdzie. Mogłybyśmy porwać Tadeusza i gdzieś go wywieźć, a pójdzie na konto tamtego. Już uzgodniłyśmy, że nasz pan X i tak dostanie karę za morderstwo, więc brak ciała kolejnej ofiary nic tu nie zmienia.

– Można kogoś skazać, jak nie ma ciała?

– Przecież jest, męża Kamy. Za to też beknie. Wiecie co... Tak sobie właśnie myślę, że ten od hamulców to naprawdę niebezpieczny przestępca. Powinni go zamknąć i wyrzucić klucz.

– A w czym my jesteśmy od niego lepsze?

– My celujemy jednostkowo. On zbiorowo. Wiecie, ile osób mogło zginąć podczas takiego wypadku? Dobrze, że wjechał w ciężarówkę, a nie w osobówkę. To mogła być matka z dziećmi.

– Racja. – Jolka bardzo chętnie pozbyła się oporów moralnych. – Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonana, że Tadzik powinien odejść dla ogólnego dobra. Przecież mogły z nim jechać moje dzieci... Ten zamachowiec na pewno nie odpuści. Można powiedzieć, że odejście Tadeusza przysłuży się...

– Moment – przerwała te wywody Kama. – Porwiemy go i co dalej?

– Zabijemy i gdzieś zakopjemy. – Martusia chętnie dokończyła swój plan.

– Moment – znowu głos zabrała Jolka. – Ja tak nie umiem. Co innego napaść na niego z nienacka i wepchnąć go pod tramwaj albo zrzucić z mostu, albo zorganizować wypadek i nie widzieć, jak umiera, a co innego zabić tak bezpośrednio, patrząc mu prosto w oczy. Nie ma mowy. Nie zrobiłabym tego nawet dla dobra matki z dziećmi, jadącej w tym samochodzie, w który mógł uderzyć lexus.

– Przecież jak go porwiemy, to możesz go sobie spokojnie otruć! Nie wykryją trucizny, skoro nie będzie ciała. Bo ciało zakopjemy! – Martusia wyglądała na niezwykle z siebie zadowoloną. W błękitnych oczach pojawiły się isierki, których tak brakowało w ostatnich dniach. Jolka i Kama spojrzały na siebie pełne zgrozy.

– No o co chodzi? Mój plan jest dobry – upierała się tamta. – Przecież twój mąż musi odejść. Zmusiłaś nas do wymyślenia sposobu, a teraz się wahasz? Kama i ja miałyśmy szczęście. Teraz musimy wspomóc ciebie. Inaczej dopadnie nas zła karma.

– Wiesz... – odezwała się z wahaniem Kama. – To nie jest zły pomysł.

– Jak chcecie go porwać? W biały dzień? Czy jak będzie wracał do domu ciemnymi zaułkami? I tak

będziemy musiały czekać do października, i to bez gwarancji, że Tadzik wlezie w ten zaułek. Do tej pory policja znajdzie zamachowca i jak wtedy zwalimy to na niego?

– Nie możemy czekać do października. Musimy to zrobić jak najszybciej – oświadczyła Martusia. – Jak będzie przytomny, będzie się opierał. Musimy być silniejsze, a im dłużej będziemy czekać, tym Kama będzie coraz mniej sprawna.

– Chyba oszalałaś, jeśli sądzisz, że zamierzam się szarpać z mężczyzną, będąc w ciąży. Wybij to sobie z głowy! – Kategorieczny ton nie pozostawiał wątpliwości, że przyszła matka nie udzieli im żadnej pomocy poza wsparciem emocjonalnym, ewentualnie intelektualnym.

– Możemy mu podać coś usypiającego i zapakować go do bagażnika. Wtedy damy sobie radę we dwie.

– Martusia, a ochroniarz? Przypominam wam o ochroniarzu. – Jolka miała zmartwioną minę.

– Przecież nie będzie za nim chodził krok w krok. Od biedy możemy to zrobić w domu. Zapakować go do bagażnika twojego audi stojącego w garażu. Wywieźć w jakieś ustronne miejsce i tam dać mu odpowiednio doprawione jedzenie.

– Jak go zmusisz, żeby je zjadł? – wtrąciła się Kama.

– Bardzo prosto. Powiemy, że został porwany dla okupu i jak będzie współpracował, nic mu się nie stanie. Jak będzie współpracował, wróci do domu cały i zdrowy.

– Po co ci okup? Jesteś bogata – zdziwiła się Kama.

– Przecież nie będzie wiedział, że to my. – Martusia z politowaniem przewróciła oczami. – Zje kolację, niczego nie podejrzewając, i padnie jak mucha.

– Dom odpada. W domu są dzieci. Nie będę porywać im ojca w ich obecności.

– No to znajdziemy jakieś inne miejsce.

– Nie chcę, żeby Tadzik cierpiał. Jeśli już musi odejść, to szybko i bezboleśnie.

– A może w ogóle nie chcesz, żeby odszedł? – odezwała się ironicznie Kamelia.

– Też wymyśliła. Przypominam wam, że pomysł wyszedł ode mnie! – zirytowała się Jolka. – Oczywiście, że musi odejść! Albo będę musiała urodzić jeszcze jedno dziecko, żeby mu się opłacało mnie trzymać!

– Mówisz o sobie jak o psie.

– Mówię, jak jest. Dobra, zgadzam się na ten plan. Uśpimy Tadzika, zapakujemy do auta, wywieziemy, otrujemy i zakopemy.

Nic więcej nie zdołały ustalić, bo drzwi garderoby otworzyły się na oścież.

– Hejka. – Nastoletnia latorośl płci żeńskiej weszła do środka i zapytała: – Co tu robicie?

– A co się robi w garderobie? Szukamy czegoś na pogrzeb – błyskawicznie odpowiedziała Jolka. – A co ty tu robisz?

– Ojca naprawdę ktoś chciał zabić?

– No cóż, kochanie, obawiam się, że...

– Ale czad! Cała szkoła o tym mówi! – Regina wyraźnie się ucieszyła. – Musiał podpaść jakimś gangsterom. Myślisz, matka, że nas też będą chcieli pukać?

– Nie wydaje mi się.

– Szkoda. – Uśmiech latorośli trochę przybladł. – Ale byłby odjazd, gdybym miała własnego ochroniarza... A jakby mi dopisało szczęście, może zostałabym jedynaczką... Trudno. Obiad jest?

– W lodówce. – Jolka niemal zazgrzytała zębami.

– Dobra. Spadam. Aha... Tylko, matka, nie wkładaj tej czarnej kiecki, co ją miałaś na sobie ostatnio. Powiększała ci tyłek – doradziła jeszcze, nim zamknęła za sobą drzwi.

– Zabiję ją – wycodziła przez zaciśnięte zęby Jolka.

– Czy moje dziecko też takie będzie? – Kamelia nie kryła przerażenia.



– Tak. To się przenosi na wietrze. Jednego dnia masz małą śliczną dziewczynkę w różowej sukience, a następnego widzisz przed sobą wampa z gołym brzuchem i kolczykiem w nosie. Zaczynasz ją szpiegować, przeglądać komórkę, sprawdzać komputer i modlisz się, żeby nie zaszła w ciążę, nie zaraziła się czymś paskudnym, nie ćpała, nie brała dopalaczy. W końcu dochodzi do tego, że cieszysz się, jak czujesz od niej papierochy, a nie wódę. O matko, uchwaj nas od wszelkiego zła. – Przeżegnała się z namaszczeniem.

– Przecież jesteś niewierząca – zauważyła Martusia, bo Kamelia wyraźnie zaniemówiła.

– Bo jestem. Mam własną świętą.

– Jaką?

– Matkę wszystkich matek. Świętą naiwność.

Markiewicz gniewnie spoglądał na współników. Owszem, był szefem wszystkich szefów, czyli prezesem zarządu, lecz nie zmieniało to faktu, że w firmie działała zasada, iż decyduje większość. A tej nie stanowił on sam, niestety. Było ich pięciu: Madej, Kopytko, Różniczek, Dobytek i on – Markiewicz. Biorąc pod uwagę nazwiska współników, nic dziwnego, że kancelaria nosiła nazwę Markiewicz & Wspólnicy.

– Zwolnić Tomysłaka? – powtórzył. – Skąd ta nagła decyzja?

– Nagła? Facet chciał cię zabić, a ty jeszcze się zastanawiasz? – zdziwił się Madej.

– Ta informacja nie została potwierdzona. Dowody...

– Jakie dowody? Jesteś jego adwokatem? Nie chciałbym ironizować, ale zdaje się, że to konflikt.

– Nie jestem jego adwokatem i zamierzam go udupić, tylko musimy go wywalić bez rozgłosu. Zamierzam po kolei zabierać mu ważniejsze sprawy. Nie mogę tego zrobić z dnia na dzień, bo stracimy klientów.

– Klienci wrócą. Nie powinniśmy ryzykować, że znów spróbuje cię zabić. A może jeszcze kogoś z nas.

– Policja i tak go nie zamknie. Nie mają dowodów. Najwyżej przesłuchają go jako podejrzanego. Jestem za tym, żeby działać po cichu. Mam ochronę.

– Ale my nie. Pozbądź się go.

– Tutaj możemy go mieć na oku. Jak go zwolnię...

– Po prostu to zrób. Głosowaliśmy. Jest cztery do jednego za. Mamy przewagę.

– Dlaczego sam tego nie zrobisz? Boisz się, że będziesz następny? – zakpił Markiewicz, doskonale odczytując intencje kolegów. Trzęśli dupami ze strachu.

– Musisz uszanować naszą decyzję – upierał się Madej.

– Zwolnię go, ale we właściwym czasie. Tomysłak nie może się zorientować, że jest podejrzany.

– Chcesz powiedzieć, że po rozmowie z tym detektywem już tak nie myśli?

– Ziajka rozmawiał ze wszystkimi, nie tylko z nim.

– Możesz skorzystać z pretekstu, że pociął opony Tomaszewskiej. Przyznał się przecież.

– Zgadza się. Nikt go nie widział, nie ma kamer, a ten idiota się przyznał. I ty twierdzisz, że jest taki dobry? – odparł powątpiewająco Dobytek.

– Sam go przyjąłeś – odciął się Tadeusz.

– Dlaczego zaatakował ciebie i Tomaszewską?

Markiewicz spojrzał krzywo na Kopytkę.

– Omal nie zawalił sprawy Krotkowskiego. – Posłużył się wyjaśnieniem, którego użyła Sandra. – Niech się cieszy, że tylko tak to się skończyło. Gdyby nie prowadził kilku ważnych procesów, wywaliłbym go na zbity pysk.

– Reakcja raczej nieadekwatna do sytuacji – zauważył Madej.

- Słyszałem, że facet podobno leczył się psychiatrycznie – zabrał głos milczący do tej pory Różniczek.
- Mówisz poważnie? Jak to się stało, że nic nie wiedzieliśmy? Nikt z nas by go nie zatrudnił.
- Nie wiem. Może leczył się tylko prywatnie.
- Wiadomo, co dokładnie mu dolega?
- To tylko pogłoski, ale jak widać po ostatnich wydarzeniach, jest w tych plotkach więcej niż ziarno prawdy.
- Powinniśmy się go pozbyć jak najszybciej.
- Nie wiadomo, jak zareaguje. Odebranie mu Krotkowskiego spowodowało zamach na Tadeusza. Jak go zwolnimy, gotów podłożyć bombę. Masz rację. – Dobytek spojrział na Markiewicza. – Problem Tomysłaka trzeba rozwiązać ostrożnie, niech policja się nim zajmie. Ten Ziajka jest całkiem skuteczny, może się czegoś dogrzebie, a na razie proponuję zwiększyć ochronę kancelarii. Tak na wszelki wypadek.
- Myślę, że nie byłoby od rzeczy, żeby ktoś miał na niego oko.
- Chcesz go śledzić?
- To nam pozwoli skutecznie przeciwdziałać wszelkim problemom, a przynajmniej zminimalizować ryzyko.
- Prasa zje nas żywcem, jak się rozniesie, że zamachowcem był jeden z naszych prawników.
- Takie nagłe zwolnienie Tomysłaka też nam nie pomoże. Musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby wszystko odbyło się po cichu.
- Może zaproponować mu ugodę? Odejdzie po cichu, dostanie solidną odprawę...
- W żadnym wypadku – sprzeciwił się Markiewicz. – Facet chciał mnie zabić i jeszcze mam mu za to płacić? Po moim trupie!

Kalinka niecierpliwie czekał na jakąkolwiek oznakę, że ktoś jest w środku. Odwiedził już dom Skałków, gdzie w końcu sąsiadka wracająca z zakupów poinformowała go, że pani Marty nie ma już od kilkunastu dni. Potem pocałował klamkę u Padeckiej. Poza kilkoma dziennikarzami koczującymi na chodniku nie zastał nikogo. Wniosek nasuwał się tylko jeden, obie kobiety są u Markiewiczowej. Brał oczywiście pod uwagę możliwość, że wyjechały do swoich rodzin, ale o ile zdążył poznać te czarownice, uważał, to znaczy policyjny nos mówił mu, że wszystkie trzy zebrały się na wspólnym sabacie.

- To ten policjant! – Jolka z zaskoczeniem rozpoznała stojącego pod furką mężczyznę.
- Który? – Kamelia wyjrzała przez wizjer, uprzednio odepchnąwszy tamtą.
- Kalinka. Co on tu robi? Przecież Sandra powiedziała, że sprawa śmierci Tobiasza jest zamknięta, a Maciejem zajmuje się inna komenda.
- Wpuścisz go? – W głosie Martusi zabrzmiała wyraźna obawa.
- Zdeterminowana zabójczyni, która poprzedniego dnia planowała śmierć męża przyjaciółki, zniknęła. Znów na jej miejscu pojawiła się wrażliwa, wystraszona młoda kobieta o ogromnych błękitnych oczach.
- Chyba muszę. – Jolka wyraźnie się wahała.
- A może nie musisz? Przecież nie wie, że jesteśmy w domu.
- Kama ma rację. – Martusia gorąco poparła tamtą. – On nie wie, że tu jesteśmy.
- Jolka spojrziała jeszcze raz w wizjer, po czym zrobiła kwaśną minę.
- Już wie – powiedziała z niezadowoleniem. – Moja ukochana córca go wpuściła.
- Szlag! – zaklęła Kama. – Muszę coś zjeść. Jak jestem zdenerwowana, to robię się głodna.
- Przygotuję ci coś – zaoferowała się błyskawicznie Martusia, gotowa na wszystko, byle tylko nie spotkać się z Kalinką. Ten policjant jej się nie podobał. Ona jemu też nie, nie myliła się w tych sprawach.
- Żmije – mruknęła pozostawiona samotnie na placu boju Jolka, ale zważywszy na to, że jedyna z nich

trzech nie miała sobie nic do zarzucenia ani Kalinka nie mógł jej nic zarzucić, bo Tadeusz żył i to nie ona próbowała go zabić, uznała, że nie ma powodu do obaw. Tego, że pomogła Martusi w ukryciu przestępstwa, nie brała pod uwagę.

Otworzyła drzwi. Stał już za nimi komisarz Bartosz Kalinka wraz z Reginą, która wpatrywała się intensywnie w intruza z odznaką.

– Witaj, dziecko kochane.

– Cześć, matka. Do ciebie. – Pokazała palcem na przybyłego i weszła do środka, pozostawiając go na progu.

– Witam, komisarzu. Co pana sprowadza? – zwróciła się do niego uprzejmym tonem Jolka.

– Dzień dobry pani. Mogę wejść?

– W jakim celu?

– Mam kilka pytań.

– Więc słucham. – Nie zamierzała wpuszczać go do środka. Nie miała nic do ukrycia, ale im szybciej ten facet sobie pójdzie, tym lepiej.

– Przyjaciółki są u pani?

– To znaczy kto?

Nie chciała mu niczego ułatwiać. Rozczarował ją jako mężczyzna. Taki przystojny, pozornie szarmancki, a w rzeczywistości nieznośny służbista. I jeszcze wykorzystał jej córkę, żeby dostać się na posesję. Musi koniecznie porozmawiać o tym z Reginą. Nie wiadomo, kogo wpuści następnym razem.

– Pani Padecka i pani Skałka.

– Tak, są.

– Chciałbym zamienić z nimi kilka słów.

– W jakim celu?

– To już sprawa policji, proszę pani – odpowiedział sucho, mierząc ją swoim najbardziej lodowatym spojrzeniem, od którego pękali najwięksi twardziele.

Ale Markiewiczowa popatrzyła na niego tym swoim wzrokiem zranionej łani, aż poczuł się głupio. Niepewnie przestąpił z nogi na nogę. To zabójczynie, przywołał się do porządku. Już chciał powiedzieć coś o utrudnianiu pracy policji, gdy za jej plecami zmaterializowały się obie kobiety. Blondynka patrzyła na niego z wyrzutem, ruda była nastawiona zdecydowanie bojowo.

– Dzwoniłyśmy do naszej prawniczki. Powiedziała, że nie ma pan prawa tu przychodzić i nas nękać. Sprawa śmierci Tobiasza Skałki jest zamknięta, a zamach na mecenasa Markiewicza i śmierć mojego męża to nie pana śledztwo i nie pana rejon. Zajmuje się tym ktoś inny – oświadczyła hardo Kamelia. – Pan przekracza swoje kompetencje.

– Jestem tu tylko z uprzejmości. Równie dobrze mogę panie w każdej chwili ściągnąć na posterunek, a wtedy nie będzie tak miło – zablefował.

– Uprzedziła nas, że pan tak powie. – Martusia odepchnęła Jolkę od drzwi. – Mecenas Tomaszewska kazała panu przekazać, że jak chce pan nas przesłuchiwać, to ma pan wręczyć nam wezwanie albo przysłać radiowóz i niech nas aresztują. Kazała też życzyć panu szczęścia, bo będzie panu potrzebne, kiedy skończy pisać skargę do pańskich przełożonych.

– Słyszał pan. – Jolka nie wiedziała, czy to prawda i czy przyjaciółki rzeczywiście zatelefonowały do Sandry, ale była gotowa zaryzykować. – Żegnam. – Zatrzasnęła drzwi i od razu przycisnęła oko do wizjera, by widzieć, co robi Kalinka.

– Poszedł sobie? No powiedz, poszedł? – Martusia niemal podskakiwała z wrażenia.

Była tak dumna ze swojej asertywności, że zupełnie zapomniała o ewentualnych powodach przyjścia policjanta. Nie była to wizyta grzecznościowa.

Za to Jolka pamiętała wszystko doskonale. Oparła się plecami o drzwi i gdy tylko Kalinka zatrzasnęła za sobą furtkę, a zrobił to z hukiem, który słyhać było w całym domu, oświadczyła:

– Mam nadzieję, że Tomaszewska naprawdę tak powiedziała. W przeciwnym wypadku Tadzik będzie musiał nas ratować przed aresztowaniem.

– Powiedziała – potwierdziła Kamelia. – Wszystko słyszałam. Martusia wrzuciła na głośnomówiący.

– Skoro tak... – Jolka odetchnęła głęboko i ogłosiła: – Niezwłocznie po pogrzebie Kamelii rozpoczynamy operację T jak Tadzik.

Obie przyjaciółki energicznie skinęły głowami.

Ochroniarz nie odstępował Tadzika na krok.

– Twój mąż wreszcie ma wiernego przyjaciela – skomentowała kwaśno Kamelia, widząc, jak rosły mężczyzna kroczy za Markiewiczem, rozglądając się bez przerwy dookoła, jakby każdy z żałobników mógł być zamachowcem. Co nie znaczy, że tak nie było. – Dlaczego twój pogrzeb był większy od mojego? – zwróciła się teraz do Martusi.

– Zapytaj Sandrę. – Tamta obojętnie wzruszyła ramionami i szepnęła do Jolki: – Jak to zrobimy? Może uśpimy obu?

– Niezła myśl, ale raczej byłoby trudno. – Jolka miała złe przeczucia co do powodzenia całej akcji.

Plan nabrał już kształtu, został uzupełniony szczegółami takimi jak miejsce, do którego wywiozą Tadzika. Tutaj przydało im się zajęcie nieboszczyka Padeckiego. Kama przypomniała sobie, że jeden z dłużników miał domek w lesie. Domek był śliczny, ale kto przy zdrowych zmysłach celowo zaszyłby się w absolutnej głuszy, gdzie żadna z sieci komórkowych nie ma zasięgu? Bez telefonu? Bez Internetu? Gdyby ludzie chcieli żyć w średniowieczu, dziewice nadal byłyby w cenie – chociaż na niektórych aukcjach internetowych podobno mają niezłe wzięcie – a rycerskość nie kojarzyłaby się wyłącznie z mieczem i ciężką zbroją.

Dziupłę już miały, jak stwierdziła Jolka, używając młodzieżowego slangu. Albo złodziejskiego, tego nie była pewna, ale to określenie doskonale pasowało do sytuacji. Problemem było ewentualne wejście do domku, lecz skoro planują zabójstwo, to włamanie już im niestraszne.

Jolka kupiła w sklepie medycznym całe opakowanie rękawiczek jednorazowych i zapłaciła za nie gotówką, żeby nie pozostawiać śladów. Potem komisarz Kalinka albo jakiś inny śledczy zacząłby się dopytywać, po co jej tyle rękawiczek i gdzie one są.

Lokal był, rękawiczki też, brakowało tylko odpowiedniego specyfiku. Jolka postanowiła użyć tego, co miała pod ręką, czyli lorafenu, który lekarz zapisał jej kiedyś na sen, a który wzięła może raz czy dwa. Problemem była tylko dawka. Ile użyć, żeby Tadeusz zasnął, ale jeszcze się obudził.

Ostatecznie doszły jednak do wniosku, że to bez znaczenia. Co za różnica, czy będą przewozić zwłoki, czy też nieprzytomnego faceta? Żadna. I tak trzeba go dźwignąć, zapakować do samochodu, a potem wywlec i sprawić, żeby zszedł na dobre. Następnie zaciągnąć w jakieś ustronne miejsce i zakopać. Do tego została sama z Martusią, bo Kama oświadczyła, że ona w swoim stanie nie może dźwigać. Udzieli im natomiast wszelkiej pomocy innego rodzaju.

– Dlaczego mój pogrzeb jest mniejszy od twojego? – nie poddawała się Kama, licząc przybyłych. Tak na oko, nie przyszło więcej niż ze sto osób, co uznała za niesprawiedliwe. Przecież jej mąż za życia był człowiekiem szanowanym.

– Sandra na mój pogrzeb ściągnęła klientów i ewentualnych kupców, a co do klientów twojego męża, to powiem tak: komorników ci u nas dostatek, a o ich pogrzebach dłużników się nie zawiadamia.

– To podłe i małostkowe.

– Nie, po prostu prawdziwe, a małostkowe są twoje dąsy dotyczące liczby obecnych.

– Za to na twoim pogrzebie będę jedynie ja i Jolka.

– Tylko Jolka. Chyba że mnie dowiozą z zakładu karnego. Nie wiem tylko, czy sprawca może uczestniczyć w pogrzebie ofiary.

Kama spojrzała krzywo na Martusię, która wygłosiła tę nieszczęsną uwagę pod jej adresem.

– Zaraz ja będę uczestniczyła w pogrzebie was obu – zagroziła im Jolka. Nie dość, że tylko jej mąż jeszcze nie odszedł, to jeszcze większość roboty spadnie na nią. Życie jest niesprawiedliwe. Martusia i Kama miały szczęście, a ona jak zawsze pod górkę. – Musimy się pozbyć ochroniarza – szepnęła do przyjaciółek, gdy te się uciszyły.

Wszystkie trzy stały w kącie sali, bacznie obserwując zgromadzonych. Po zwyczajowych kondolencjach obecni wykazywali większe zainteresowanie szwedzkim stołem niż wdową.

– Jak?

– Nie wiem.

– To się nazywa plan doskonały – zadrwiła Kama.

– Sama nie masz żadnego pomysłu. – Martusia wzięła Jolkę w obronę.

– Myślę, że teraz jest idealny moment – poinformowała je szeptem Jolka, nie zważając na ich złośliwości.

– Zwariowałaś?! – Obie spojrzały na siebie z przerażeniem.

– Mam w torebce fiolkę z rozkruszonymi tabletkami dla Tadzika i drugą, dla jego ochroniarza, na rozwolnienie. Trzeba im to jakoś podać. Tadeusz najdalej za godzinę będzie się stąd ewakuował.

– Chcesz rozbroić ochroniarza za pomocą tabletek na sranie?! – wyszczała z niedowierzaniem Kamelia.

– Mojemu synowi pomogły. Stara metoda, ale skuteczna.

– Co ma z tym wspólnego twoje dziecko?

– Wczoraj wezwali mnie do szkoły, bo wrzucił tabletki nauczycielowi do kawy. Po półgodzinie biedak zasmrodził cały pokój nauczycielski, do toalety nawet nie zdążył. Na szczęście matura dopiero za rok. Zdążę przez wakacje znaleźć chłopakowi jakieś inne liceum – stwierdziła ze spokojem Jolka.

– Wyrzucili go?

– Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej.

– I mówisz to tak spokojnie?

– A bo to pierwszy raz? – odparła z filozoficznym spokojem. – Zmyłam mu głowę, ale tak byłam zaabsorbowana samym pomysłem, że nawet nie przyłożyłam się do tego jak należy – przyznała.

– Ile tego trzeba dać?

– Nie wiem, przecież smarkacza nie mogłam zapytać. Kupiłam tylko w aptece to samo co on. Aptekarka powiedziała, że jak wezmę jedną, to po kilku godzinach nastąpi rozluźnienie stolca. Jak damy mu kilka, podziała szybciej.

– Kilka to znaczy ile?

– Dziesięć?

– Chcesz go zabić?

– Bez przesady. Po prostu go przeczyści... – upierała się Jolka. – Tabletki już są rozkruszone, musimy tylko jakoś mu je podać. Ja Tadzikowi lorafen dam sama. Bardzo lubi likier czekoladowo-wiśniowy. To paskudztwo jest gęste jak cholera, jak dobrze jedno z drugim rozmieszam, nie wyczuje.

– Jolka, tu jest ponad sto osób – syknęła Martusia. – Jak chcesz to zrobić przy tylu świadkach?

– Jakich świadkach? W takim tłumie nikt niczego nie będzie widział. Tadzik, jak tylko poczuje szum w głowie, będzie się ewakuował do toalety, żeby nikt nie widział go pijanego. Wtedy wyprowadzimy go tylnym wyjściem, zapakujemy do auta i wywieziemy. Mówię wam, że się uda. Gościom powiemy, że Kamelia źle się poczuła. Strata męża w tak tragicznych okolicznościach i cięża to za dużo na jej delikatne

nerwy.

Martusia spojrzała z powątpiewaniem na rudowłosą przyjaciółkę. Kama i delikatne nerwy? Nikt, kto ją zna, nie uwierzy, ale plan Jolki może się udać. Jest takie zamieszanie, że ludzie niczego nie zauważą. Najciemniej bywa pod latarnią.

– Dobra. Zajmę się ochroniarzem. – Martusia poczuła się jak prawdziwa femme fatale.

Blondwłosa piękność o oczach skrzących się błękitem niebios, z aksamitnymi wargami i anielskim głosem, na pewno odwróci uwagę mężczyzny. Nim ten się zorientuje, będzie już po wszystkim, zadanie zostanie wykonane. Odetchnęła głęboko, zdecydowana użyć wszelkich swoich powabów. Zrobiła zaledwie krok, gdy czyjeś palce zacisnęły się na jej łokciu.

– Co znowu? – zniecierpliwiła się, widząc, że Jolka najpierw zleca jej coś, a potem ją powstrzymuje.

– A ty dokąd?

– No ja... Hm... – Martusia uświadomiła sobie, że właściwie nie do końca przemyślała swój następny krok. – Za dużo filmów z Jamesem Bondem – mruknęła przepraszająco. – To co mam robić?

– Ja zanoszę Tadzikowi jego likier czekoladowo-wiśniowy. Wy dwie podmieniacie szklanę ochroniarza. Sprawdźcie najpierw, co pije, potem działajcie. Rozumiecie, w czym rzecz? – Jolka doceniała chęć pomocy przyjaciółek, ale jako przestępczynie obie były do niczego. – Potem zabierzcie szklanę, żeby nie zostały żadne ślady. Rozumiecie?

Zgodnie pokiwały głowami. Jolka pomodliła się w duchu do swojej świętej i powiedziała:

– Ruszamy.

Sandra bacznie obserwowała trzy przyjaciółki, które wydawały się zbyt przejęte jak na kobiety pogrążone w żałobie. Widziała, jak żona Markiewicza podała Padeckiej coś, co wyglądało jak pojemnik na kał – niewielki plastikowy kubeczek z czerwonym wieczkiem, który można kupić w każdej aptece za złotówkę lub mniej. Chwilę później tamte się rozdzieliły. Markiewiczowa podeszła do baru, gdzie poprosiła kelnera o coś, co wyglądało na cholernie słodki likier. Pozostałe zaczęły się kręcić w pobliżu przyszelego denata, jak przypuszczała Sandra. Pomyślała, że musi podejść bliżej, by zobaczyć, co one kombinują.

Bo że kombinują, tego była pewna w stu procentach. W tym samym momencie sygnał dźwiękowy obwieścił nadejście wiadomości. Zerknęła szybko. To mogło być coś ważnego. I było.

ZA GODZINĘ U CIEBIE. TM.

Kurwa mać, zakłęła w myślach, zupełnie nie jak prawniczka z renomowanej kancelarii. Nie miała wyjścia. Nadal była na każde zawołanie szefa, choć, paradoksalnie, role powoli się odwracały. Mimo że Markiewicz traktował ją jak szmatę, udało jej się wykonać w firmie ogromny skok w górę. Jeszcze kilka miesięcy i sama się tego dupka pozbędzie.

W dalszym ciągu jednak nie rozwiązała głównego problemu – jak? Jej ostatni pomysł uszkodzenia hamulców – choć ona nie zamierzała ciąć przewodów, tylko spuścić płyn, by nie zostawić śladów – został już wykorzystany przez nieznanego wroga Tadeusza Markiewicza. Głównym podejrzanym był według niej Adam, ale trzy krążące w pobliżu harpie z pewnością miały coś na sumieniu. Statystyka nie działa tu na korzyść kobiety, wręcz przeciwnie. A tej trójce, właściwie dwójce, nieźle się poszczęściło.

Do tego jako pełnomocniczka obu była zasypywana pytaniami dotyczącymi dziedziczenia. Żadna z wdów nie przejawiała specjalnego zainteresowania pogrzebem swego ukochanego męża. Zdaniem Sandry byli to dranie i świnię pospolite i żadnego z nich nie żałowała. Jeśli szanowne małżonki postanowiły ich wykończyć, nie jej sprawa. Musiała jednak mieć na uwadze własne dobro, a co się z tym wiąże, niestety, także dobro Markiewicza. Toteż zamiast wykonać polecenie, wyjść ze stypy, wsiąść do auta i pędzić do domu, by stać się Sondrą, postanowiła zaczekać, aż szef bezpiecznie ewakuuje się

z restauracji.

Nie miała wpływu na to, co może mu się przydarzyć w domu, sądziła jednak, że przyszła wdowa numer trzy nie będzie nadmiernie ryzykować wpadki, zwłaszcza że tam są dzieci, do których Jolanta wydawała się raczej przywiązana. Sandra zaczęła przeciskać się ostrożnie do przodu, by znaleźć się jak najbliżej Markiewicza.

Martusia uśmiechnęła się czarująco do pana... jak mu tam było? No, nieważne, uznała, postanowiwszy nazywać go panem X. Goryl nie zareagował. Martusi to nie zniechęciło.

– Co pana tu sprowadza? – zagadnęła go kokieteryjnie.

Kamelia, gdyby mogła, uderzyłaby głową w stół, słysząc taką zaczepkę. A co może człowieka sprowadzić na pogrzeb?! Jak ta idiotka Tobiasza poderwała?!

– Przepraszam. Jestem w pracy – odparł sztywno mężczyzna, ledwo rzuciwszy na nią okiem.

– O, jest pan kelnerem? – zaszcebiotała Martusia. – To może będzie pan tak uprzejmy i poda mi...

– Nie jestem kelnerem – poinformował ją chłodno.

– O! – zawołała z udawanym zaskoczeniem. – To pan jest, że tak brzydko powiem... Na krzywy ryj?

– Słucham?

– Wiem, że ludzie tak robią na weselach, w telewizji widziałam. Ale że na stypach też? Wstydziliby się pan! – powiedziała z oburzeniem, wczuwając się w rolę. – Zaraz zawołam ochronę! A pan nigdzie nie idzie! – Udała, że rozgląda się dookoła, jednocześnie chwytając mężczyznę za rękaw marynarki.

– Jestem tu służbowo! – wycedził, próbując się wyrwać z żelaznego uchwytu damskiej dłoni, miętoszącej jego najlepszy garnitur.

– Aha! Każdy tak może powiedzieć! – Martusia szarpała go dalej, jakby osobiście zamierzała go wyprowadzić.

Kamelia, wciąż zniesmaczona działaniami przyjaciółki, skorzystała jednak z okazji i zręcznie podmieniła szklanki. Z daleka widziała odcień płynu w szklance ochroniarza. Miała nadzieję, że to faktycznie sok pomarańczowy, bo do tego napoju wsypała sproszkowane tabletki.

– Czy twoja przyjaciółka, obecnie wdowa, podrywa mojego ochroniarza na pogrzebie męża swojej przyjaciółki? – zapytał Tadeusz, obserwując zachowanie Marty Skałki.

– To na pewno jakieś nieporozumienie. – Jolka nie wiedziała, co ma właściwie powiedzieć.

Taka metoda odwrócenia uwagi ochroniarza może i była skuteczna, ale Tadeusz dostrzegł rozgrywającą się scenę, a tego w planie nie miały.

– Dlaczego go szarpie?

– Może to opóźniona reakcja na żałobę?

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Masz ochotę na likier? Wiśniowo-czekoladowy, twój ulubiony. – Podała mu kieliszek.

– Nie, dzięki, innym razem – odrzekł zdawkowo. – Muszę jechać do kancelarii. Ale zabierz butelkę do domu. Wypijemy wieczorem, chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

– Stanowczo odmawiam rozmnażania się! – syknęła Jolka, wojowniczo ujmując się pod boki.

– To się zobaczy! – odparł zirytowany Tadeusz.

– Prędej mi kaktus na cipce wyrośnie, niż ty włożysz tam swojego... swojego... – Urwała zażenowana. Jedno brzydkie słowo przeszło jej przez usta, drugie za nic nie chciało. – To coś – dokończyła rozpaczliwie. – I biorę antykoncepcyjne zastrzyki hormonalne – skłamała. – Nie zajdę w ciążę wcześniej niż za trzy miesiące!

– Wrzeszcz jeszcze głośniej. Tylko Padecki cię nie słyszał – odpowiedział z niesmakiem jej mąż. – Nie

zamierzam cię zapłodnić. Zamierzam się z tobą rozwieść – poinformował ją, a potem po prostu odszedł.

Kamelia wydała z siebie zdławiony jęk. Martusia w szoku puściła rękaw ochroniarza. Jolka bezwiednie podniosła kieliszek do ust. Na szczęście likier był na tyle gęsty, że ledwo go poczuła na języku. Kamelia trwała w stanie zawieszenia motorycznego i nie zareagowała na próbę samobójczą przyjaciółki. Martusia jednak odzyskała zdolność działania i wyrwała tamtej kieliszek z ręki, nim Jolka wypła wszystko.

– Zwariowałaś?! – wysyczała, chcąc nią potrząsnąć, lecz jedną ręką nie dała rady.

Pamiętając o potrzebie ukrycia wszelkich dowodów, wcisnęła kieliszek z likierem – Jolka na szczęście wypła może łyk – do jej torebki. Mimo stanu pewnego oszołomienia Martusia uznała, że lepiej poświęcić nieelegancką i niemodną torebkę tamtej niż własną, nową, modną i jeszcze nieużywaną.

Sandra była za daleko, by usłyszeć, co powiedział Markiewicz, ale sądząc po tym, iż twarz jego żony przybrała bladozieloną barwę, musiało to być coś strasznego. Nie dociekając, co się stało, podążyła jego śladem. Musiała znaleźć się w mieszkaniu przed nim.

– Wychodzimy! – zdecydowała Kamelia, otrząsnąwszy się z szoku.

Złapała Jolkę za rękę, a Martusia karnie podreptała za nimi. O szklance soku pomarańczowego z domieszką tabletek przeczyszczających zupełnie zapomniwały.

– Nie mogę prowadzić w tym stanie – wymamrotała zrozpaczona Jolka. – Chcę umrzeć.

– Wcale nie chcesz. Chcesz zabić męża – odparła kategorycznie Kamelia, odbierając jej torebkę, i włożyła do środka rękę w poszukiwaniu kluczyka od samochodu. Niestety, natrafiła na coś lepkiego. Spojrzała z obrzydzeniem na brązową maź pokrywającą jej palce.

– Co to, u licha, jest?! – zawołała, ze złością potrząsając ręką.

– Kieliszek z likierem – wyjaśniła Martusia, sięgając po swoją torebkę w poszukiwaniu chusteczek nawilżających.

– Skąd się wziął?! –

– Przecież nie mogłam go zostawić na stole! Jeszcze ktoś by się otruł!

– Ale dlaczego wrzuciłaś go do jej torebki?!

– Przecież nie wrzuciłabym go do własnej!

– Przestańcie się kłócić! – wrzasnęła Jolka. – Chcę wiedzieć, dokąd ta wszawa pijawka jedzie!

– Może lepiej pojedźmy do szpitala – zaproponowała Kamelia.

– Po co? – zdziwiła się Jolka.

– Wypiłaś trutkę dla Tadeusza.

– Tylko łyk. Nic mi nie będzie.

– Tego nie wiesz...

– Wsadzaj dupę do auta i jedź za nim! – bezceremonialnie zwróciła się Jolka do Martusi, jedynej poza nią osoby posiadającej prawo jazdy.

– Ale ja... – zająknęła się Martusia, z obrzydzeniem patrząc na jej torebkę, w której znajdował się kluczyk od auta.

Jolka bez wahania włożyła rękę do środka i szukała chwilę, nim wyjęła kluczyk od audi. Wyciągnęła go w stronę Martusi.

– Weź chusteczkę! – jęknęła rozpaczliwie Marta, widząc, że nie ma wyjścia.

Jolka, zaciskając gniewnie szczęki, położyła kluczyk na nawilżającej chusteczce rozpostartej na dłoni Martusi. Ta oczyściła go, nie zważając na zniecierpliwione posapywania Jolki ani nalegania Kamy, próbującej namówić amatorkę likieru z lorafenem na wizytę w szpitalu.

– Jak stracę przytomność, możecie mnie odstawić na ostry dyżur. Nie wcześniej – zakończyła rozmowę przysła wdowa numer trzy, zajmując miejsce pasażera i czekając, aż Marta wreszcie uruchomi



samochód.

Tymczasem Martusia, która kierowcą była raczej niedzielnym, i to nie w wymiarze cotygodniowym, lecz raczej comiesięcznym, najpierw dopasowała sobie fotel, potem ustawiła lusterka, a dopiero wtedy zapięła pas i uruchomiła silnik.

– To dokąd jedziemy? – zapytała.

Martusia siedziała za kierownicą audi obrażona na cały świat, zwłaszcza na dwie pseudoprzyjaciółki, które użyły wobec niej wielu epitetów powszechnie uważanych za obraźliwe. Z trudem tłumiła łzy. Przecież to nie jej wina, że nie widziała, dokąd pojechał Tadeusz. Nie mogła tak po prostu wsiąść do cudzego auta i pędzić na złamanie karku. A gdyby musiała zmieniać pas? A lusterko byłoby źle ustawione? Co wtedy? Dopiero by się Jolka wściekła, gdyby rozwalila jej audi.

– A ta dokąd? – Jolka wskazała palcem na Sandrę wyjeżdżającą z parkingu.

– Pewnie do biura. – Kamelia wzruszyła ramionami.

– Wyszła prawie od razu po Tadziku. To podejrzane – upierała się Jolka. – Jedź za nią – poleciała Marcie.

– Dlaczego? – zapytała tamta z urazą. – Co nas obchodzi, dokąd ona się wybiera?

– Bo powinna pilnować stypy i zajmować się ludźmi. Wyszła zaraz po Tadziku. Do tego jest jego protegowaną, a ten drań zażądał rozwodu. Pewnie już ma na oku nową klacz rozplodową. Jestem pewna, że mają romans! Jak pojedziemy za nią, trafimy do niego.

– Ona nie wygląda mi na taką, co by chciała rodzić mu dzieci – odparła z powątpiewaniem Kamelia.

– Ruszaj! – wrzasnęła Jolka, kompletnie nie panując już nad sobą. Mgła, która pojawiła się w jej głowie, nie pomagała w podejmowaniu decyzji.

– Dobrze, już dobrze, nie musisz tak krzyczeć. – Mimo urażonego tonu głos Martusi drżał niebezpiecznie. Co innego jechać na zakupy z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, a co innego śledzić kogoś, gnając za nim po mieście. I to tak dużym jak Warszawa. Przecież ludzie pędzą tu na złamanie karku!

Uruchomiła silnik i powoli wyjechała z parkingu w tym samym kierunku co Tomaszewska. Śledzona kobieta nie jechała zbyt szybko, najwyraźniej przestrzegając dopuszczalnej prędkości.

Po kilkunastu minutach Kamelia stwierdziła:

– Ona nie jedzie do biura.

– Aha – potwierdziła Martusia skoncentrowana na prowadzeniu audi.

Jak dla niej było za dużo wszystkiego. Za dużo samochodów. Za dużo znaków. Za dużo pasów. Jeśli będzie musiała przejechać przez jakieś ogromne rondo, to chyba się zapłacze. W dodatku umiała zmieniać pas na lewy, miała za to kłopot ze zjazdem na prawo. Do tej pory było nieźle, bo Sandra jechała prosto. Martusia zdawała sobie jednak sprawę, że to tylko kwestia czasu, a tamta gdzieś skręci.

Były już poza centrum i nie bardzo wiedziała, jak się poruszać na tych wszystkich rozjazdach.

– Czy to nie jest to samo osiedle, gdzie kiedyś znalazłyśmy mojego męża? – Kama wskazała na szereg bloków z prawej strony.

Martusia wydała z siebie tylko jakiś nieokreślony pisk. Cholerne rondo!

– Co mam robić?! – zawołała przerażona, widząc, że Sandra zmienia pas na skrajny, czyli prawy.

– Rób to samo!

– O Boże, Boże! – jęknęła przerażona Martusia. Wiedziała, że to się stanie! Wiedziała! – O Boże, Boże! – wyjęczała znowu. – Spojrzeć w prawo, upewnić się, że nic nie jedzie, zjechać – poinstruowała się głośno.

– Jakim cudem zdałaś egzamin?

– Skąd mam wiedzieć? To było ponad dziesięć lat temu! – krzyknęła, wciskając się tuż przed maskę jakiegoś sporego samochodu, którego kierowca zmuszony był nie tylko do gwałtownego hamowania, ale również użycia klaksonu, a sądząc po poruszających się ustach mężczyzny i wygrażającej pięści widocznej we wstecznym lusterku, rzucił również kilka niewybrednych wyrażań pod adresem Martusi. – Cholera! Zapomniałam o migaczu! – zaklęła, zjeżdżając z ronda w pierwszą ulicę. Teraz też nie użyła kierunkowskazu.

– Dlaczego ona tu jedzie? – Kama nie spuszczała wzroku z pojazdu przed nimi.

Siedziała na środku z tyłu, nie mając zapiętego pasa i wychylała się niemal przy twarzy Martusi, by lepiej widzieć drogę przed sobą.

– Skąd mam wiedzieć? – Marta pociągnęła nosem.

Była absolutnie przerażona. Jolka sama powinna prowadzić auto. Zamiast tego usiadła z przodu i zwała na nią czarną robotę. Szok szokiem, ale na litość boską, kto w takiej sytuacji od razu łapie za kieliszek?! Alkoholik?

Kamelia nic już nie mówiła. Nie spuszczała wzroku z samochodu Tomaszewskiej, która właśnie zaparkowała wóz dokładnie przed tym samym budynkiem, przed którym całkiem niedawno widziały jeszcze wtedy żywego Macieja w lexusie. Przeszedł ją dreszcz. To było jak *déjà vu*. Z tą tylko różnicą, że teraz jej męża tu nie było.

– Niemożliwe – wymamrotała zbielełymi wargami. Maciej zdradzał ją z tą zdziwą? To nie mógł być zbieg okoliczności, że Tomaszewska mieszkała akurat tutaj.

Martusi udało się zaparkować samochód już za czwartym razem. Uśmiechnęła się z ulgą i z dumą zarazem.

– Jesteśmy. Co dalej? – zwróciła się do Jolki, która milczała przez całą drogę.

I właśnie odkryła dlaczego. Tamta spała sobie w najlepsze. Po wykrzyczeniu tego „Ruszaj!” musiała zapaść w sen. Albo straciła przytomność. Martusia przyglądała się chwilę przyjaciółce, ale pierś śpiącej poruszała się rytmicznie, zatem można było założyć, że Jolka żyje i po prostu śpi, bo nie wyglądało to na stan agonalny.

– Ona śpi – poinformowała Kamelię, która patrzyła przed siebie jakimś takim nieobecny wzrokiem. – Co dalej? Kama!

– Co? – Ocknęła się i rozejrzała dookoła spłoszona.

– Jolka śpi. Nie wiem, co teraz? Czekamy?

– Na co?

– Nie wiem, na co. Nie wiem nawet, co tu robimy!

– Czekaj. Muszę pomyśleć – oświadczyła tamta zdeterminowana.

Sandra nie była zaskoczona, widząc stojącego pod drzwiami jej mieszkania mężczyznę. Zdumiała się jednak, gdy zobaczyła jego twarz.

– Adam? Co ty tu robisz?

– Możemy porozmawiać? – zapytał spokojnie.

Zawahała się. Ich relacje dalekie były od normalnych. Akcja z pocięciem opon. Groźby. Kto wie, może Tomyslak miał coś wspólnego z zamachem na Markiewicza, a przecież Tadeusz zaraz powinien tu być. Musi jak najszybciej pozbyć się natręta. Jeszcze szef gotów sobie pomyśleć, że ona jest w zмовie z Adamem.

– Cokolwiek chcesz mi powiedzieć, musi to poczekać, aż spotkamy się w biurze. To moje prywatne mieszkanie i nie życzę sobie, żebyś tu przychodził. Skąd w ogóle masz mój adres? – zapytała z irytacją.

– Potrafię zdobywać informacje.

– Więc tym bardziej powinieneś wiedzieć, jak trafić z powrotem tam, skąd przybyłeś. Żegnam. – Z trudem ukrywała lęk, który ją ogarnął. Szczerze mówiąc, była przerażona.

Do tej pory pogrywała sobie z Tomysłakiem, jak chciała, teraz dostrzegła w nim coś niebezpiecznego. Wydawało jej się, że wyczuwa bijącą od niego groźną aurę. Był spocony, oczy miał rozbiegane, podkrążone. Sandra szybko otworzyła drzwi i wsunęła się do środka. I prawie zatrzasnęła je za sobą. Prawie.

Silne uderzenie spowodowało, że runęła na podłogę. Oszołomiona upadkiem próbowała odczołgać się od Adama, który wszedł spokojnie do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Przestań. – Nie była pewna, czy zabrzmiało to jak prośba, czy polecenie. W ogóle nie była pewna, czy zabrzmiało. Mogła to tylko pomyśleć.

– To wszystka twoja wina. – Adam wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł czoło.

– Wylecisz za to – zagroziła mu, starając się opanować szczykowanie zębami.

Gdy spojrzała na jego twarz, przemknęło jej przez myśl, że zagrożenie mu to nie jest najmądrzejszy pomysł. Nie miała pojęcia, co temu facetowi chodzi po głowie, ale paradoksalnie to Markiewicz był jej jedyną szansą. Powinien zjawić się tu lada chwila.

– Och, czyżbyś nie wiedziała? Już wyleciałem. Dziś rano policja o mnie pytała. Zdążyłem się wymknąć, ale nie na długo. Pewnie już czekają w moim mieszkaniu.

– Sam sobie jesteś winien. – Nie mogła się powstrzymać, by nie dokręcić śruby. Nie byłaby sobą, gdyby tak po prostu spasowała.

– Głupi przypadek sprawił, że straciłem Krotkowskiego, a potem było tylko gorzej... Gdyby nie ta choroba... – Urwał. Coś w twarzy Sandry, może błysk w oku, może grymas, który pojawił się w kąciку ust kobiety, sprawiło, że wreszcie zrozumiał. – To nie był przypadek, prawda? To zrobiłaś ty.

– Nie wiem, o czym mówisz...

– Myślę, że wiesz. – Zbliżył się i ukląkł przy niej. – Wiesz, co jest w tym wszystkim najbardziej absurdalne? Nie mają dowodów, że to ja chciałem załatwić Markiewicza. Skoro jednak próbują mi się dobrać do skóry, nieważne za co... Ciebie zabiję z przyjemnością.

– Oszalałeś. Nie mogą cię oskarżyć, jeśli nic ci nie udowodnią.

– Mam to gdzieś. Chciałem być współnikiem. Przez ciebie to niemożliwe. Nie będę żalonym adwokacina w jakiejś zapchlonej dziurze. – Wyjął z kieszeni lateksowe rękawiczki.

Sandra otworzyła usta do krzyku. Nie zdążyła jednak wydobyć z siebie choćby pisku. Adam błyskawicznie zacisnął palce na jej szyi, drugą ręką ścisnął jej nos i z dzikim uśmiechem przyglądał się, jak oczy jego ofiary ogromnieją. Teraz zapłaci za wszystkie zniewagi i poniżenia, których od niej i przez nią doznał. Niech ta suka poczuje, jak smakuje to, co mu zaserwowała.

Dźwięk domofonu przywrócił go do równowagi. Ktoś przyszedł. Spojrzał na znieruchomiałą kobietę. Nie poruszała się. Cofnął ręce. Leżała bezwładnie jak szmaciana lalka. Wstał i rozejrzał się nerwowo. Nie zdąży uciec. Schował się w łazience. Może ten ktoś sobie pójdzie, a wtedy jemu uda się niepostrzeżenie wymknąć. Nie mogą go złapać.

– Zawieźmy ją do szpitala – zdecydowała Kamelia po dłuższej chwili namysłu.

– Niby po co? – zdziwiła się Martusia.

– Nie wiemy, ile tego połknęła...

– Gdyby miała umrzeć, toby tak nie chrapała. Może wrócimy do domu?

– Nie ma mowy! – sprzeciwiła się Kamelia. – Chcę wiedzieć, czy Maciej był wtedy u Tomaszewskiej!

– I jak chcesz to zrobić? Wejdiesz i tak po prostu zapytasz?

– A żebyś wiedziała, że tak!

Kamelia wysiadła z auta i trzasnęła mocno drzwiami, za co w normalnych okolicznościach dostałoby się jej od właścicielki audi. Nie tym razem jednak. Zerknęła przez boczną szybę. Jolka spała z głową pochyloną na bok i otwartymi ustami. Kamelia z ubolewaniem pokręciła głową. Sukcesu trucicielskiego nie osiągnęły, niech chociaż ona teraz dowie się prawdy o zmarłym mężu.

– Czekaj! – Martusia wysiadła z samochodu. – Zobacz! Tam! – Wskazała idącego po chodniku mężczyznę. Kamie nie trzeba było nic więcej. Błyskawicznie przykucnęła, chowając się za autem.

Marta oczywiście gapiła się na niego jak sroka w gnat, nie reagując na posykiwania przyjaciółki, że ma się schować. Kama nie wiedziała, czy dopisało im szczęście, czy zawiniła krótkowzroczność Tadeusza, ale Markiewicz po prostu otworzył drzwi i wszedł do budynku, nie zauważając swojej klientki ani audi żony. Tak przy okazji, gdyby to kogoś obchodziło, kupionego na licytacji ustawionej przez Macieja. Raz czy drugi zapomniał umieścić obwieszczenie o licytacji we właściwym miejscu. Markiewicz kupił samochód za psie pieniądze.

– Idziemy za nim! – zdecydowała Kama, widząc, że mąż Jolki zniknął w tej samej klatce, do której przedtem weszła Tomaszewska.

– I co mu powiemy?

– A jakie to ma znaczenie? I tak się rozwodzi z Jolką. Jak go przyłapiemy na zdradzie, to Jolka tylko na tym zyska! – Kama pobiegła na przełaj przez trawnik w kierunku wejścia do bloku.

– Przecież on... odejdzie, zanim zdąży się rozwieść...

Martusia nie rozumiała, jakie znaczenie ma przyłapanie Tadeusza na zdradzie. Sądząc jednak po minie Kamelii, było to istotne. Spojrzała jeszcze na Jolkę, ale ta spała mocno, ostatecznie więc wdowa numer jeden zdecydowała się posłuchać lepiej zorientowanej przyjaciółki. Zamknęła samochód, wrzuciła kluczyk do torebki i pobiegła za Kama, chwając się na obcasach, które były wyłącznie do oglądania, a nie do chodzenia, o bieganiu nie wspominając. Jej szpilki zostały zaprojektowane dla kobiet będących na wiecznej diecie, a nie uprawiających biegi przełajowe.

– Ulotki, proszę otworzyć – zaświergotała Kamelia dziecinnym głosem, gdy w domofonie odezwał się czyjś głos.

Nie uzyskała odpowiedzi, ale ciche kliknięcie przy drzwiach zasygnalizowało, że te stanęły otworem. Kama pchnęła je i weszła do środka.

– I co dalej? Będiesz chodzić od mieszkania do mieszkania? – zapytała szeptem Martusia.

– Cicho! – syknęła Kama, przyciskając dłoń do ust przyjaciółki. – Słuchaj!

Martusia nie wiedziała, czego ma słuchać, ale posłusznie zamilkła.

– Słyszę kroki – szepnęła podekscytowana, odsunawszy dłoń tamtej od warg.

– Zamknij się. – Kama spojrzała w górę, próbując usłyszeć, gdzie kroki się zatrzymają. – To chyba drugie piętro – szepnęła po chwili. – Idziemy! – zakomenderowała.

Adam ze zdumieniem patrzył na nieprzytomnego mężczyznę. Tadeusz Markiewicz. I wszystko stało się jasne. Obrzucił nieruchomą Sandrę wzrokiem pełnym nienawiści. Nie żałował, że się jej pozbył. Taboret, którym uderzył szefa, odstawił na miejsce. Stał jeszcze chwilę, przyglądając się obojgu leżącym, po czym spokojnie wyszedł z mieszkania, pozostawiając otwarte drzwi. Tomaszewska nie żyła, Markiewicz nie widział jego twarzy. Mógł spokojnie wyjść. Gniew i frustracja, które do tej pory dodawały mu siłę, nagle go opuściły, czuł jedynie pustkę.

Pozostało mu tylko tyle jasności umysłu, że słysząc odgłos kroków na schodach, pobiegł na górę, mając nadzieję, że to nie mieszkańcy czwartego piętra wracają do domu. Źle byłoby, gdyby ktokolwiek zobaczył jego twarz.

Marta z Kamą zatrzymały się przed uchylonymi drzwiami.

– Myślisz, że to tutaj? – Martusia spojrzała z wahaniem na Kamelię, po czym wzruszyła ramionami,

sama sobie odpowiadając: – Zawsze możemy wejść i przeprosić za pomyłkę, jeśli się okaże, że to nie tu.

– Idź pierwsza – poleciła jej Kama.

– Niby dlaczego?

– Bo ja jestem w ciąży.

– Dobra. – Ten argument przekonał Martusię.

No bo czego miała się obawiać? Markiewicza? Prychnęła pogardliwie i weszła do mieszkania. Zaraz za drzwiami potknęła się o leżącego twarzą do posadzki mężczyznę. Kamelia ostrożnie podążyła za nią. Stała obok Martusi i z zaintrygowaniem przyglądała się szokującemu widokowi. Ostatnie wydarzenia spowodowały u niej pewne otępienie emocjonalno-umysłowe. W normalnych okolicznościach nie zdołałaby zachować tak wielkiego spokoju.

– Kto to?

– Tadeusz.

– Skąd wiesz?

– Poznaje po garniturze – odparła bez zająknięcia Martusia.

Ostatnie dni i ją trochę uodporniły na niespodziewane tragiczne wydarzenia, a te, które nie były jej udziałem, znosiła całkiem nieźle.

– A tam dalej?

– Gdzie dalej? – Martusia nie odrywała wzroku od łysiny Markiewicza, która mniej więcej na środku zaczynała nabrzmiwać. Z tego, co pamiętała z seriali kryminalnych, po śmierci człowieka rosną tylko włosy i paznokcie. Nie guzy.

– Tam dalej! – Kama wyciągnęła przed siebie palec wskazujący i dźgnęła nim powietrze, wskazując odpowiedni kierunek, trochę bardziej w prawo od ciała mężczyzny i w dół.

Tamto drugie ciało też leżało bez ruchu i wyglądało jej na Sandrę, ale musiała się upewnić. Twarz była odwrócona, więc jedyne, co dokładnie widziały, to nogi i damskie czółenka na obcasie.

– To Sandra.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Markiewicz ją zabił?

– Nie wydaje mi się... – enigmatycznie odpowiedziała Martusia.

Obie stały w przedpokoju, obok ciała Markiewicza i gapiły się na nieruchome nogi w czarnych czółenkach. Rozmawiały tak spokojnie, jakby każdego dnia znajdowały zwłoki w mieszkaniach, do których weszły bez zaproszenia. Niewątpliwie był to pewien objaw szoku, bo obie tak samo czuły, że ich nogi zamieniły się w słupy soli.

– Dopiero co wszedł. Nie zdążyłby – dokończyła swoją myśl Martusia.

– W takim razie jedyne wyjaśnienie jest takie, że jakiś X zabił Sandrę, zabił Tadeusza i zniknął, zanim tu weszliśmy. – Kamelia uznała, że ta teoria trzyma się kupy. – Jolka ma szczęście. Dzwonię po policję.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego ma szczęście?

– Nie musi zabijać męża, bo zrobił to już ktoś inny. Bóg jednak istnieje.

– Bóg?

– No jasne. Wszystkie chciałyśmy zabić swoich podłych mężów, a żadna z nas tego nie zrobiła. No dobrze, prawie żadna z nas, ale gdy chodzi o twojego Tobiasza, był to wypadek. Może Bóg pokierował

tak naszym losem? Sama zobacz, jak wszystko rozwiązało się po naszej myśli. Myślę, że jednak zdecyduję się na ochrzzczenie dziecka. Dzwonię po policję.

– Ale on żyje.

– Jak to, żyje? – zdziwiła się Kama.

– No mówię ci, że żyje. Jego plecy się poruszają.

– Może na czymś leży?

– Chyba na żółtym! Mówię ci, on żyje! – Martusia odzyskała zdolność odczuwania emocji. – Trzeba go dobić.

– Co takiego? – Kamelia zdębiała.

– Trzeba go dobić, żeby poszło na konto tamtego. Ty to zrobisz czy ja?

Kamelia milczała. Poraziło ją tak drastyczne postawienie sprawy.

– Więc z tą policją musimy się wstrzymać – powiedziała smętnie, przyglądając się zwłokom Tadeusza. Faktycznie, poruszały się. Nie całe, rzecz jasna. Tylko plecy. Oddychał. – Jolka miała rację, ta świnia jest pozbawiona wszelkich ludzkich odruchów. Gdyby miał choć odrobinę przyzwoitości, po prostu szedłby nam z drogi – powiedziała z urazą. – Nie dość, że zdradza i chce się rozwieść, to jeszcze nie potrafi umrzeć jak należy. W dodatku już drugi raz.

– Postarajmy się, żeby trzeciego nie było. Z samochodem nie wyszło, X-owi nie wyszło. Do trzech razy sztuka.

– Zrobię to – zdecydowała Kamelia.

Rozejrzała się dookoła. Przedpokój łączył się z pokojem i nigdzie nie widziała żadnego przedmiotu, którego można by użyć w charakterze narzędzia zbrodni. Jedyne, co było pod ręką, to stojący przy ścianie taboret. Schyliła się, by go podnieść, gdy Martusia złapała ją za ramię.

– Co?

– Rękawiczki, bo zostawisz odciski palców.

– Skąd ja ci wezmę rękawiczki?

– Ręcznik? Albo narzuta? – zaproponowała Marta.

– No dobra.

Kamelia łokciem nacisnęła klamkę drzwi od łazienki, które znajdowały się na prawo od wejścia do mieszkania. Na wieszaku na drzwiach wisiały dwa ręczniki do rąk. Wzięła po jednym w dłoń i przykrywszy palce, podniosła taboret. Stała nad Markiewiczem w rozkroku. Taboret uniosła w obu rękach nad głową, spojrzała na swoją ofiarę i...

– Nie mogę tego zrobić – oświadczyła zrozpaczona.

– Musisz.

– Nie dam rady. Ty go uderz.

– Dlaczego ja?

– Masz wprawę. Tobiasza załatwiłaś.

– Ile razy mam powtarzać, że to był wypadek?!

– Wypadek sradek! – syknęła Kama. – W takim razie walnij go tym taborem. Następny wypadek! – Postawiła taboret obok Markiewicza.

– Sama jesteś wypadek – odparła tamta. – Powinnaś go zabić, jesteś to winna Jolce. Gdyby nie twój mąż, to dziś byłby pogrzeb Markiewicza, a nie twojego Macieja.

– To najgłupszy argument, jaki słyszałam. Maciej zginął przypadkiem!

– Dobra! – zdenerwowała się Martusia. – Zrobię to! Dawaj ręczniki!

Ośloniła ręce i chwyciła taboret tak samo jak wcześniej Kamelia. Stała nad Markiewiczem dokładnie w tej samej pozycji co przed chwilą Kama. Zamierzyła się taborem i...

- Nie dam rady.
- Musisz.
- Ale nie mogę. To żywy człowiek.
- Szlag! – zaklęła Kamelia. – To co robimy?
- Nie wiem.
- Może zostaniemy przy koncepcji otrucia go? Powinno być łatwiej.
- Myślisz?
- Na pewno.
- Nie możemy tu go otruć.
- Wywieziemy go do lasu.
- A jak się ocknie, kiedy będziemy go wynosić? I co z ochroniarzem?
- Nie mam pojęcia. Myślisz, że czeka na dole? – zmartwiła się Kama.
- Możliwe... – Martusia wyglądała już na załamana. Kamelia musiała działać szybko, zanim tamta wpadnie w histerię.
- Trzeba go stąd wynieść, zanim się ocknie i zanim ochroniarz zacznie go szukać – powiedziała z namysłem. – I jeszcze licząc się z tym, że możemy na kogoś wpaść. Hm... Musimy to przemyśleć. – Usiadła na taborecie porzuconym przez Martusię i tępo gapiła się na Markiewicza. Żywy czy martwy, wciąż sprawiał problemy.

Adam wybiegł, jakby go sam diabeł gonił. Swój samochód zostawił dwa bloki dalej. Tak na wszelki wypadek, żeby nikt nie skojarzył go ze śmiercią Sandry, chociaż doskonale wiedział, że i tak będzie głównym podejrzanym. Powoli docierało do niego, że został z niczym. Po takim skandalu – choć zapewne udowodni swoją niewinność – jedyne, co mu pozostało, to otwarcie własnej niewielkiej kancelarii.

Jego życie w wielkim mieście było skończone. Postanowił wrócić do swojego mieszkania. Uszkodził opony w samochodzie Sandry pod wpływem impulsu, za który teraz musiał płacić. Jeśli chodzi o te hamulce w aucie Markiewicza, wiedział, że nikt mu niczego nie udowodni. Gorzej z Tomaszewską, ale jeżeli nikt go nie widział, to przecież odcisków palców nigdzie nie zostawił, więc mogą mu naskoczyć, a i tak wyżej tyłka nie podskoczą. Narobią mu tylko smrodu. Nic więcej.

Trudno. Muszę jakoś z tym żyć, uznał. Nie rozglądając się, wszedł na przejście dla pieszych na czerwonym świetle.

To była jego ostatnia myśl.

– Chwilunia. – Martusia przycisnęła rękę do czoła, jakby usiłowała... No cóż, Kama nie wiedziała, co tamta usiłowała. Równie dobrze mogła to być próba opanowania kłębiących się myśli, jak i próba zatrzymania choć jednej w swojej pustej głowie. – Bo tak w ogóle, to o co nam właściwie w tym wszystkim chodzi?

– Chodzi nam o to, żeby zostać bogatymi wdowami – wyjaśniła uprzejmie Kamelia, chociaż miała ochotę złapać przyjaciółkę za tę blond czuprynę i wyrwać kilka pęków włosów, by zrobić przewiew. Szare komórki potrzebowały klimatyzacji.

– Czyli tak naprawdę chodzi nam o kasę.

– Zgadza się.

– I gdyby była inna możliwość niż... – Martusia przejechała palcem po krtani – to wystarczyłby nam zwykły pospolity rozwód, czyż nie?

– I to się zgadza. A teraz najpierw...

– No to mam pomysł, jak to załatwić bez zabijania Markiewicza – ogłosiła triumfalnie Marta.

Ochroniarz ziewnął szeroko. Klient kazał mu się tu przywieźć i czekać, więc siedział i czekał. Gorzej, że gazeta mu się skończyła, krzyżówkę rozwiązał, radio mu zbrzydło, do tego był głodny jak jasna cholera. Na stypie nie zdążył za dużo zjeść. Markiewicz powiedział, że da znać, jak będzie wychodził, by podjechał pod blok, pomyślał więc, że nie stanie się nic złego, jeżeli wyskoczy na minutkę do osiedlowego sklepiku, którego witrynę widział w lusterku wstecznym. Ominęło go więc niemałe widowisko.

Nie miał sobie jednak nic do zarzucenia, bo odbyło się bez udziału jego klienta, a za napaść w mieszkaniu, do którego pilnowany go nie zabrał, odpowiedzialności przecież brać nie mógł.

Kamelia szóstym zmysłem wyczuła, że to może się udać. Plan nakreślony przez Martusię brzmiał jak bredzenie szaleńca, ale wszyscy wiedzą, że Bóg kocha wariatów. Tylko dlatego jest ich tak wielu na tym świecie.

Jolka, gdy się ocknie, może być niezadowolona, że jej mąż jeszcze żyje, lecz kiedy dojdzie do stanu pełnej świadomości, powinna docenić możliwości, jakie się przed nimi otwierają.

Szantaż. Takie zwykłe, pospolite słowo, niosące w sobie wielki ładunek podłości i brudu, lecz rozwiązujące tak wiele problemów. Z pewnością tworzy też nowe, ale na razie Kama postanowiła działać pod wpływem chwili.

Posługując się rękawiczkami do mycia toalety, znalezionymi w łazience, wyjęła z lodówki pikantny keczup Pudliszki. Osobiście wolała Kotlin, lecz tym razem liczył się kolor, a nie smak.

Wzięła z kuchennej szuflady największy nóż, jaki znalazła, i polała go keczupem. Uważając, by nie poplamieć dywanu – ładny był – wróciła do miejsca, gdzie leżały zwłoki Sandry. Nieprzytomny Tadeusz był właśnie doprowadzany przez Martusię do stanu śpiączki.

Trochę się wystraszyły, gdy nagle jęknął i się poruszył, ale Martusia zaczęła działać na jakichś podwyższonych obrotach. Włożyła wsuwane papucie, w których Sandra prawdopodobnie chodziła po domu, i pognała do auta. Chwyciła torebkę Jolki, upewniła się, że przyjaciółka śpi, a nie dogorywa, i wróciła do mieszkania, gdzie za pomocą szpatułki załączonej do kremu depilacyjnego powyskrobywała z torebki Jolanty resztki likieru czekoladowo-wiśniowego doprawionego lorafenem.

Wcześniej oczywiście związały Tadeusza i zasłoniły mu oczy opaską, na wypadek gdyby w trakcie tych zabiegów odzyskał przytomność. Do tego celu użyły jego paska i krawata. Kamelia pomogła Martusi przetoczyć Markiewicza na plecy, odchyliły mu głowę do tyłu, rozwarły szczękę, jak pokazywał to ratownik na filmach o udzielaniu pierwszej pomocy, i szpatułką rozsmarowały lepki likier na języku i podniebieniu mężczyzny, mając nadzieję, że to wystarczy.

– Gotowe? – zapytała Kamelia, gdy Martusia podniosła się z klęczek.

– Gotowe. Dawaj nóż – poleciała.

Kamelia ostrożnie podała jej umazany keczupem nóż, który Martusia starannie włożyła do ręki Markiewicza, zaciskając na trzonku wszystkie palce, by odciski były dokładne i wyraźne.

– Zdjęcie – poleciała Kamelii, która standardowym aparatem dostępnym nawet kilkulatkom, czyli telefonem komórkowym, posłusznie sfotografowała rękę męża Jolki trzymającą wielgachny nóż.

– Zabieramy narzędzie zbrodni. Tylko ostrożnie. Znalazłaś w kuchni worek na śmieci?

– Mam. – Kama rozłożyła zielony worek i nadstawiła go, a Martusia ostrożnie wyjęła nóż z ręki Tadeusza i równie ostrożnie włożyła do worka.

– Chyba się nie rozmażą. W W-11 też wszystko wkładają do worków foliowych, chociaż nie na śmieci. Ale worek to worek – uznała. – Schowam go do torebki Jolki. Do mojej się nie zmieści – powiedziała, odbierając dowód rzeczowy z rąk Kamelii. Zawinęła go dodatkowo w ręcznik i ostrożnie położyła na taborecie.



– Teraz ona – poleciła Martusia.

Kama stanęła nad ciałem Sandry i wylała na jej brzuch sporą ilość keczupu. Martusia zrobiła kilka ujęć martwej kobiety.

– Sandra nie ma żadnej rany. Albo ktoś ją walnął w głowę, albo udusił. Nie zamierzam dziabić jej nożem dla stworzenia pozorów. Musimy ją zabrać. Nikt nie może znaleźć ciała, dopóki Markiewicz nie wypstryka się z kasy. W przeciwnym wypadku od razu się zorientuje, że to ściema – tłumaczyła Marta.

Kama spojrzała na nią ze zgrozą i odrobiną podziwu.

– Co chcesz z nią zrobić?

– Zabierzemy ją do tego domku w lesie – zdecydowała Martusia.

– Nie możemy. Prędzej czy później pójdzie pod młotek. Będzie smród, jak ona się tam rozłoży.

– To ją zakopujemy. – Martusia nie widziała problemów, tylko same rozwiązania. – Przecież Tadeusza też musiałybyśmy zakopać.

– Chyba że tak – zgodziła się markotnie Kamelia, niezbyt zachęcona perspektywą pracy fizycznej, w której będzie musiała wziąć udział. – A co z nim? – Wskazała na pochrapującego Markiewicza. Ewentualnie rżęzącego. Cholera wie.

– Rozwiążemy go i zostawimy. Pewnie zniknie stąd, jak tylko się ocknie. Nie będzie miał pojęcia, co się stało, ale też nie będzie się wychylał.

– Czy ja wiem? – odparła powątpiewająco Kama. Markiewicz wyglądał jej na piniacza.

– Zadzwoń po policję i co powie? Że został napadnięty w mieszkaniu kochanki? Już to widzę. Zresztą, jestem skłonna zaryzykować.

– Dobra. I tak siedzę w tym po uszy. Jak ją wyniesiemy?

Jolka otworzyła oczy i ziewnęła szeroko. Zamrugła oczami, by odzyskać zdolność widzenia, i zamrugowała jeszcze raz. Coś z nią nie tak. Gdzie ona, do diabła, jest?! Nie dość, że nie rozpoznawała otoczenia, to przez szum w głowie dolatywały do niej jakieś dziwne dźwięki. Jakieś pukanie, stukanie, i... tak, to chyba był świergot ptaków.

Leżała na tapczanie pod drewnianą ścianą. Nad głową miała drewniany sufit. Gdy lekko odwróciła głowę w bok, co było nie lada wyzwaniem, obraz zaczął jej się rozpląwać przed oczami, ale ten obraz też był brązowy. Po chwili odzyskała ostrość widzenia. No, może nie do końca, bo drewniany stół na drewnianej podłodze był jakiś mało wyrazisty, ale był. Pieprzona chatka Puchatka, pomyślała, przypominając sobie obrazki z bajki, którą czytała dzieciom, gdy były małe. Spróbowała podnieść rękę, co ku jej zdumieniu okazało się trudniejsze niż odwrócenie głowy. Spojrzała z urazą na swoją dłoń, po czym zamknęła oczy, postanawiając jeszcze chwilę odpocząć. Tylko po czym, u licha, była tak zmęczona?

– Tu będzie w sam raz – zdecydowała Kama, z zadowoleniem przyglądając się niewielkiemu dzikiemu ogródkowi za domkiem. Nie wiedziała wprawdzie, co to za kwiatki, ale były drobne, ładne i w różnych kolorach.

– No nie wiem – wahała się Martusia, przestępując z nogi na nogę. Buty Sandry zaczęły ją uwierać w palcach. Jej zmarła pełnomocniczka miała trochę mniejszą nogę. Albo stopy jej spuchły z wysiłku. Tak też mogło być.

Najpierw zawlokły Tadeusza do łazienki, bo w przedpokoju im przeszkadzał. Następnie zawinęły Sandrę w koc, potem w dywan, obwiązały go znalezionym w szafie sznurkiem do wieszania bielizny i modląc się w duchu, by nikogo nie spotkać po drodze – ani nie upuścić ciała – znieśli rulon z drugiego piętra.

Dobrze, że Tomaszewska była szczupła. Na oko Kamy mogła ważyć jakieś pięćdziesiąt pięć

kilogramów, choć bezwładne ciało wydawało się znacznie cięższe. Przenoszenie zwłok po schodach było cholernie ryzykowne, ale szczerze mówiąc... miały inne wyjście?

Odważnym szczęście sprzyja. Wrzucenie jej do bagażnika byłoby pestką, gdyby nie to, że rulon im się nie mieścił. Musiały go rozwiązać, częściowo rozpakować zawartość, podgiąć nogi Sandrze i to wszystko w małej powierzchni bagażnika; dobrze, że na szczęście męża Jolki stać było na audi, a nie na małe seicento, bo dopiero wtedy miałyby problem. Narzekanie na Jolkę, że wszystko to przespała w najlepsze, miało się z celem. A potem? Potem było tylko gorzej.

– Czego znowu nie wiesz? – zirytowała się Kama. – Przecież będzie miała tu całkiem ładnie.

– Co za różnica? I tak jest martwa. Pomyśl lepiej o tym, co zrobimy, jak ktoś będzie chciał wykopać tu sobie oczko wodne? Pochowajmy ją może głębiej w lesie.

– Nie ma mowy! Mam dość tego dźwigania! – zdenerwowała się Kama, która i tak była już na skraju wytrzymałości. – Nie dość, że musiałyśmy targać trupa, to jeszcze Jolkę. A ona jest znacznie cięższa! Powinna trochę o siebie zadbać!

– No dobrze, już dobrze. Nie pójdziemy daleko. Tylko mały kawałek za posesję. O, zobacz, tam! – Wskazała palcem na rosnące nieopodal sosny.

– Nie. Zakopujemy ją tutaj albo wcale. Nie dam już rady. Nie po tym, jak kazałaś mi dźwigać Jolkę. I nie będę kopać! Mowy nie ma! Jestem w ciąży!

– Sama to zrobię!

– I dobrze!

– Jak nie chcesz pomóc, to nie! Przynajmniej zakopię ją tam, gdzie będę chciała! I już! – Martusia ze złością tupnęła nogą. – Nie zostawię Jolki samej z jej problemem!

– To znaczy, że ja ją zostawiam?! – wrzasnęła rozżłoszczona Kamelia. – To niby co, do cholery, tu robię?! Podziwiam widoki?! Powinnam być na moim pogrzebie, a nie latać po lesie z trupem!

– To nie twój pogrzeb. – Martusia złapała za róg koca, na którym spoczywała świętej pamięci Sandra Tomaszewska, i zaczęła ciągnąć zwłoki w kierunku dwóch sporych sosen, rosnących poza obrębem działki.

– Dobra, pomogę ci! – Kama chwyciła szpadel znaleziony w szopie i pomaszerowała za Martą. – Żeby potem nie było, że nie jestem prawdziwą przyjaciółką. Ale Jolka będzie nam dużo winna za tę katorgę. Profanacja ciała. Ukrywanie śladów przestępstwa. Za to idzie się siedzieć.

– Za morderstwo też.

– Nikogo nie zabiłam.

– Ale chciałaś. Nie zabiłaś tylko dlatego, że nie miałaś okazji.

– A właśnie że miałam. Dzisiaj. Nie jestem morderczynią.

– Bo to był cudzy mąż, a nie twój własny.

– Czyli nasz plan od samego początku był do dupy.

– Niby dlaczego? – wysapała spocona Martusia. Nic dziwnego, że ci bandyci z W-11 mają taką krzepę. Trzeba mieć siłę, żeby przenieść i pogrzebać zwłoki.

– Bo miałyśmy zabić nie swoich mężów.

– Coś w tym jest – przyznała Martusia. – Dobra, mam dość. Muszę odpocząć. Twoja kolej.

– Kolej na co?

– Zaczynij kopać. Jestem zmęczona.

– A ja to niby nie?

– Chyba tylko gderaniem. Zaczynij, potem się zmienimy.

Kamelia westchnęła ciężko, ale czego się nie robi dla przyjaciół.

– Niech będzie. Duże to ma być?

- Żeby się zmieściła.
- A głębokie?
- Żeby zwierzęta nie wykopały.
- Po tym wszystkim będę potrzebować dobrego psychologa.
- I co mu powiesz? Że jesteś socjopatką? Tego się nie leczy. Takich pacjentów od razu się zamyka.

Jolka znów spróbowała unieść rękę. Tym razem poszło dużo łatwiej. Wprawdzie wszystkie linie się rozplywały, ale miała świadomość, że ta macka przed oczami to jej dłoń. Była też świadoma, że znajduje się w jakimś nieznanym miejscu, które nie jest chatką Puchatka.

Wiedziała także, kim jest. Jolanta Markiewicz, lat trzydzieści osiem. Matka dwojga dzieci. Żona znanego prawnika, Tadeusza Markiewicza... I w tym momencie coś zaskoczyło w jej umyśle. Tadzik. Miały za nim jechać.

Usiadła na łóżku i natychmiast podłoga zakołysała się przed jej oczami. Zamknęła je i próbowała opanować mdłości, które pojawiły się jak najlepszy przyjaciel zawrotu głowy. Tadeusz chce się z nią rozwieść. Ona chce go zabić. To pamiętała doskonale. Tylko co w tym planie robi Kubuś Puchatek?!

Wstała. Trochę się zatoczyła, ale zdołała dotrzeć do stołu. Usiadła na krześle i popatrzyła dookoła. Jeśli to była chatka Kubusia Puchatka, to skurczybyk chyba wyszedł na polowanie. I zwierzyną nie jest Prosiaczek, pomyślała, patrząc na ogromne rogi zajmujące połowę ściany.

Potrzebowała świeżego powietrza. Rozejrzała się. Zobaczyła drzwi. Brakowało w nich kawałka szyby, ale były uchylone. Ktokolwiek ją tu przywiózł, nie zamknął jej na cztery spusty, więc to nie porwanie. Zaraz, zaraz, a co się stało z Martusią i Kamelią?

Wyszła z domu. Powietrze było gorące, ale lekki wiatr przyjemnie schłodził jej twarz i stopniowo przywracał jasność myślenia. Stała na drewnianych schodkach drewnianego domku, a u ich podnóża zobaczyła czarne audi.

– O, mój samochód. – Uśmiechnęła się, ruszając ku niemu tanecznym krokiem, którego nie powstydzilyby się instruktorka zumbi.

Drzwi nie były zamknięte. Kluczyk tkwił w stacyjce. Bez namysłu uruchomiła auto. Musi znaleźć Kamę i Jolkę.

I skąd tu tyle drzew?!

– Słyszysz? – Martusia przerwała kopanie. – Samochód.

– Ktoś jedzie? – wystraszyła się Kamelia.

W tym momencie zobaczyły wyjeżdżające zza rogu domu czarne audi prowadzone przez Jolkę. Spojrzały na siebie przerażone. Martusia rzuciła szpadel i machając szaleńczo rękami, pobiegła prosto przed siebie, w nadziei, że uda jej się przeciąć drogę odjeżdżającej przyjaciółce.

– Jolka! – wrzeszczała. – Jolka! Jolka!

Kamelia nie miała siły biec, za to wtórowała Martusi krzykiem:

– Jolka! Jola! Co za idiotka – sapnęła na koniec.

Martusia się nie poddawała. Gnała, ile sił w nogach, za samochodem, wrzeszcząc, ile sił w płucach i machając rękami. Jolka w końcu spojrzy w lusterko i ją zobaczy. Nie wolno tylko się poddawać.

Nie poddam się. Nie poddam. Nie poddam, powtarzała sobie, cały czas biegnąc za samochodem. Nie miała już siły krzyczeć. Wszystkie siły wkładała w pościg za oddalającym się audi. Nabrała tchu, by wrzasnąć ostatni raz, a wtedy potknęła się o wystający korzeń i runęła jak długa na leśną drogę, pokrytą szyszkami i innym badziewiem, którego serdecznie nie znosiła.

Martusia tego nie wiedziała, gdyż leżała twarzą do ziemi i wdychała zapach lasu, ale dopisało jej

szczęście. W momencie, kiedy się potknęła, Jolka spojrzała w lusterko i zobaczyła lewitującą przyjaciółkę. Zmarszczyła czoło, spojrzała na drogę, a potem jeszcze raz w lusterko wsteczne. Martusia już nie lewitowała. Martusia wylądowała. Tylko dlaczego twarzą do ziemi?

To była ostatnia myśl Jolki – niezbyt logiczna i składna – tuż przed wstrząsem, jakiego w tym momencie doznała. Bliskie spotkanie trzeciego stopnia z drzewem spowodowało otwarcie się poduszki powietrznej, która walnęła ją w policzek i skroń, gdy półprzytomna kobieta runęła na nią całym ciałem. Pozbawiło ją to możliwości oddychania na dłuższą chwilę.

Zderzenie z drzewem miałoby z pewnością mniej bolesne skutki, gdyby Jolka zapięła pas. Na szczęście jechała jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę, toteż obyło się bez obrażeń. Przynajmniej gdy chodzi o nią. Jej audi nie mogłoby tego powiedzieć o sobie.

Wygramoliła się z samochodu i spojrzała za siebie. Martusia właśnie klęczała i chyba... tak, modliła się. Jolka musiała przyznać, że ten widok ją zaskoczył. Mogła się mylić. Ale co może robić ktoś, kto klęczy na środku drogi, a dłonie ma złożone na piersi?

Postanowiła porzucić na razie ten temat i sprawdzić uszkodzenia samochodu. Wsiadła z auta i chwiejnym krokiem poszła obejrzeć przód audi. Maskę wyglądała na wgniecioną, ale silnik nadal pracował, zatem nie mogło być źle. Jolka spojrzała jeszcze raz na drzewo wystające z jej auta, po czym cofnęła się do drzwi kierowcy i wyjęła kluczyk ze stacyjki. Powoli, tanecznym krokiem ruszyła ku modlącej się Martusi.

Kamelia z otwartymi szeroko ustami obserwowała rozgrywającą się przed jej oczami scenę. Drzewa w tym miejscu rosły na tyle rzadko, że widziała nie tylko szaleńczy bieg Martusi, ale również parkowanie Jolki. Ten dzień obfitował w zbyt wiele zdarzeń. Przynajmniej jak dla niej. Jest w ciąży, nie wolno jej się denerwować.

Na stres nie ma nic lepszego niż wysiłek fizyczny, pomyślała i wbrew wcześniejszym zapewnieniom, że nie wolno jej się przemęczać, postanowiła zabrać się do pracy zaniechanej przez Martusię na rzecz pościgu za Jolką. Wzięła więc szpadel i wbiła go w ziemię. Martusia zdołała już wykopać całkiem niezły kawałek grobu. Kamelia postanowiła go powiększyć.

- Co ty robisz? – Jolka stanęła nad klęczącą Martusią i niecierpliwie czekała na odpowiedź.
- Go... gonię cię – wysapała tamta.
- Ale co robisz teraz?
- Przewróciłam się.
- Aha. – Zwoje mózgowe Jolki próbowały podjąć pracę, jednak przypominało to pchanie kamienia przez Syzyfa. Z tą różnicą, że nie mogła go dopchać do szczytu.
- Dlaczego uciekłaś? – zapytała Martusia.
- Dlaczego? Cóż... Wydawało mi się to logiczne.
- Jak się czujesz?
- Dobrze.
- Hm... – Martusia jakoś jej nie dowierzała; znalazła w sobie dość siły, by wreszcie stanąć na nogach. Spojrzała na swoje podrapane kolana. Dostanie zakażenia i umrze.
- Co robimy w lesie? – zapytała Jolka.
- Zakopujemy zwłoki.
- O! – ucieszyła się tamta. – To wspaniale. Jak wam idzie?
- Kopiemy dół.
- Pomogę wam – zaofiarowała się radośnie.

– Może będzie lepiej, jak wrócisz do domku i się położysz?

– No dobrze – zdecydowała się po krótkiej analizie swojego stanu fizyczno-emocjonalnego. – Mogę się położyć. – I pomaszerowała ścieżką w kierunku domku, raz idąc jej lewą stroną, a raz prawą.

Martusia powoli ruszyła za przyjaciółką, nie spuszczając z niej wzroku. Gdy Jolka dotarła do drzwi, uznała, że może wracać do pracy. Kolana będą musiały poczekać.

– Nieźle ci idzie – zwróciła się do Kamy, która jak szalona machała łopatą. Na temat drogich balerinek z lakierowanej skóry, które przyjaciółka miała na nogach, wołała się nie wypowiadać. Ruda pewnie i tak wystawi jej rachunek.

– Co z nią?

– Dobrze. Poszła spać.

– A auto?

– Działa. Prawdopodobnie.

– Mam dość. Twoja kolej. – Kama z trudem wyprostowała plecy. Jak ludzie mogą w ten sposób zarabiać na życie?

– OK – potulnie zgodziła się Martusia, wskakując do wykopu.

Nie był zbyt głęboki, do metra brakowało ze dwadzieścia centymetrów, a muszą wykopać jeszcze z pół metra. Cholera. Spojrzała na niebo. Mrok zbliżał się nieubłaganie. Do nocy chyba nie zdążą.

– Co robicie? – Głos Jolki zabrzmiał za ich plecami tak radośnie, jakby były na pikniku.

– Miałaś spać! – ofuknęła ją Martusia.

– Wiem, ale wolę być z wami. – Zachichotała.

– A ta z czego tak się cieszy? – zwróciła się do Martusi Kama.

– Nie wiem. Ma tak od wyjścia z auta.

– To on? – Wzrok Jolki spoczął na podłużnym pakunku, leżącym obok wykopu.

– Jaki on? – znów zwróciła się do Marty Kama.

Martusia właśnie wygrzebywała się z dołu, by podejść do jedynej z nich, która nie została wdową, ale jeszcze o tym nie wiedziała. Musi rozwiać złudzenia Jolki i jak najszybciej wyjaśnić, co się wydarzyło. Na Kamelię nie ma co liczyć. Ona potrafi tylko krytykować.

– Jolka, widzisz... – Nie dokończyła, bo ta złapała za brzeg koca i szarpnęła go do góry. Materiał rozwinął się, a ciało zsunęło do płytkiego grobu.

– O Boże... – jęknęła Kama, słysząc głuchy łoskot, towarzyszący upadkowi Sandry.

Naćpana Jolka stanęła na pagórku usypanym z ziemi i zajrzała do grobu.

– Hej... – powiedziała zdziwiona, a uśmiech zniknął z jej twarzy. – To nie jest Tadzik.

– No nie jest – przyznała Martusia.

– Dlaczego zakopujemy kogoś, kto nie jest Tadzikiem?

– Bo widzisz...

– Dlaczego on jest kobietą? – Jolka wydawała się jeszcze bardziej zdziwiona, jakby fakt zakopywania obcego mężczyzny był mniej dziwaczny niż zakopywanie obcej kobiety. Obcej? Zaraz, zaraz, przecież gdzieś już widziała tę twarz. – Dlaczego zakopujemy Sandrę? – zapytała z jeszcze większym zdziwieniem, które nienaturalnie wykrzywiło jej twarz. A może powodem owego grymasu był fakt, że jeszcze nie doszła do siebie po tym, jak niechcący podtruła się lorafenem.

– Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Tylko najpierw ją pochowajmy, zanim zapadnie noc, dobrze? – Martusia zwracała się do Jolki jak do dużego dziecka.

– To okrutne.

– Nie. To konieczne. Później ci wyjaśnię...

– Nie mogłaś jej najpierw zabić? Pogrzebanie żywcem to straszna śmierć – powiedziała z wyrzutem Jolka.

– Żywcem? – Kama zdecydowała się włączyć do tej nonsensownej rozmowy. – Przecież ona nie żyje.

– To dlaczego rusza oczami? – zapytała z triumfem Jolka, wychylając się mocno do przodu i pokazując coś palcem.

A że nadal była pod wpływem tabletek nasennych, które nie opuściły jeszcze jej krwiobiegu, zachwiała się i runęła do środka. Rozległ się jęk, który równie dobrze mógł się wydobyć z piersi Jolki, jak i Sandry. Kama z Martusią spojrzały na siebie z niedowierzaniem, po czym obie, w niemym porozumieniu, rzuciły się do wykopu, by ratować przyjaciółkę.

Tadeusz Markiewicz nie pamiętał takiego kaca od lat studenckich, kiedy to różne sytuacje się człowiekowi zdarzały i różne rzeczy się piło. Światło żarówki paliło go niemiłosiernie w oczy. Koszmarny łomot w czaszce sprawiał, że chciał się położyć i umrzeć. Leżeć już leżał, i to na samym środku łazienki, śmierć jednak nie nadchodziła. W związku z tym postanowił usiąść i przemyśleć swoje położenie.

Znajdował się w łazience i nie była to jego łazienka. Bolała go głowa. W ustach miał posmak czegoś słodko-gorzkiego. Ostatnie, co pamiętał... Pamiętał... Przycisnął czoło do płytek na ścianie w nadziei, że odrobina chłodu zmniejszy ból.

Pamiętał, że umówił się z Sandrą.

Otworzył jedno oko i zobaczył białą płytkę w złote róże. Dobra. Był już pewien dwóch rzeczy. To łazienka Sandry.

Nadal pozostawało niewyjaśnione, dlaczego leży na podłodze w łazience kochanki, i to w takim stanie. Na stypie nie brał alkoholu do ust. Czyżby potem pił z Sandrą? Wysilił umysł, próbując się przebić przez mgłę niepamięci i nienastrojonego radia, które miał w głowie.

Wszedł do mieszkania Tomaszewskiej i co dalej? Na pewno wszedł, bo jak znalazłby się w łazience? Widział czarne noski swoich butów na schodach. Widział, jak wkłada klucz do zamka i... Nie, tego popołudnia nic nigdzie nie wkładał. Drzwi były otwarte. Poruszył się, by wstać. Ruch wywołał nasilenie bólu. Z jękiem podniósł rękę i dotknął potylicy. Ze zdumieniem namacał tam guza.

Ktoś go uderzył! Wszystko było jasne. Ktoś zaszedł go od tyłu. Sandra? Nie, ona... Leżała. Tak, był tego pewien. Sandra leżała na podłodze. W takim razie kto? Czyżby ten, kto uszkodził hamulce w lexusie? Tomyslak? Nie wiadomo, czy to Adam próbował go zabić... Możliwe, ale nieudowodnione, więc na razie się nie liczy.

Musi się stąd wydostać. Sprawca może być w mieszkaniu, ale wtedy upewniłby się, że on, Tadeusz Markiewicz, nie żyje. Nie zawracałby sobie głowy układaniem trupa w łazience. Jednak zostawił zapalone światło. Może zamierza wrócić? Tym bardziej trzeba się stąd zabierać.

Jolka siedziała na brzegu wykopu, cała ubrudzona ziemią, i wycierając dłonie o spódnicę, powtarzała:

– Ona ruszała oczami. Mówię wam, że ruszała.

– Wydawało ci się. Jesteś naćpana – wyjaśniła jej uprzejmie Kamelia.

– Sama zobacz. Jej oczy się ruszały. Otworzyły się, a potem zamknęły. Ona ruszała...

– Tak, tak, ruszała oczami – powiedziała zniecierpliwiona Martusia, nadal stojąc w wykopanym dole, tuż obok ciała Tomaszewskiej. – Kamelia odprowadzi cię do domu, a ja się wszystkim zajmę, dobrze?

– Ale ona...

– Idź do do... Aaaaaaaaaaaaaa! – Z ust Martusi wyrwał się potworny wrzask, gdy poczuła, jak coś łapie ją za kostkę. Spojrzała w dół. Ręka Sandry spazmatycznie drżała zaciśnięta na jej nodze jak imadło. –

Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa! – wrzasnęła ponownie.

Kamelia, widząc, co się dzieje, otworzyła usta w niemym zdumieniu. Nie wydobył się z nich jednak żaden dźwięk. Tylko Jolka zawołała z triumfem:

– A nie mówiłam?!

Tadeusz w jednej ręce ścisnął butelkę żurawinowej finlandii, którą znalazł w barku, drugą zamknął drzwi na klucz i trzymając się poręczy, ruszył schodami w dół. Po drodze chlapnął sobie jeszcze jednego głębszego. Jasności umysłu nie odzyskał. Picie wódki, kiedy się ma takiego guza na głowie, nie było mądre. Ale to jedyna rzecz, która przyszła mu do głowy, żeby uniknąć pytań ochroniarza. Pijany klient nie powinien wzbudzić żadnych podejrzeń.

Nie rozumiał, co się stało. I dopóki nie zrozumie, nie zamierzał podejmować żadnych działań. Z pewnością ktoś podał mu jakieś narkotyki. Nie może zgłosić się na policję i oświadczyć, że został napadnięty, choć to akurat było faktem, a namacalny dowód miał na głowie. Ale gdyby zaczął bredzić o martwej kobiecie, która zniknęła, i anonimowym sprawcy, którego nie widział na oczy, z pewnością uznano by, że on, mecenas Markiewicz, pozostaje pod wpływem substancji odurzających.

Ciało Sandry zginęło. Samo sobie nie poszło. A może poszło? Myśli plątały mu się w głowie. Musi wrócić do domu. Koniecznie. Tylko spokój może go uratować.

Sandra Tomaszewska leżała na łóżku w jakimś dziwnym domku. Czuła się tak, jakby przejechał po niej walec. Miała obolałą krtań, a na całym ciele nie było miejsca, które by nie pulsowało nieznośnym bólem. Stały nad nią trzy kobiety.

– Co się stało? – wychrypiała.

Martusia z Kamą spojrzały na siebie z poczuciem winy. Jak wyjaśnić żywej i przytomnej kobiecie, że zamierzały ją pochować w lesie jak skatowanego psa? Jolka nie miała żadnych oporów, by ją uświadomić.

– Chciały cię zakopać, ale za słabo cię zabiły – poinformowała ją radośnie.

Sandra spojrzała na żonę Markiewicza. Kobieta uśmiechała się do niej bezmyślnie. W pierwszym odruchu miała zamiar wyjaśnić, że to nie tamte dwie próbowały ją zabić, lecz zamiast tego zapytała:

– Gdzie ja jestem?

– U Kubusia Puchatka. – Jolka uśmiechnęła się jeszcze bardziej bezmyślnie.

Tadeusz ostatkiem sił dowlóknął się do własnego łóżka, na które runął w ubraniu i w butach. Ochroniarz nie zadawał pytań, kiedy jego klient ledwo dał radę wtoczyć się do samochodu. Od razu widać, że solidna firma, pomyślał Markiewicz, gdy tamten pomógł mu wysiąść z samochodu i zaprowadził go pod same drzwi domu. Pewnie nawet zapakowałby zleceniodawcę do łóżka, ale aż tak fachowej obsługi mecenas nie potrzebował i co istotniejsze, nie życzył jej sobie.

Jeszcze tego brakowało, żeby Jolka zobaczyła, jak jego strażnik ściąga mu skarpety i gacie, pomyślał ostatkiem sił, nim zapadł w sen. Gdzieś jeszcze w majaku sennym mignęła mu myśl, że dom wydaje się pusty i pozbawiony życia, a z tego, co pamiętał, poza żoną i dwójką nastolatków pomieszkiwały tu jeszcze dwie kobiety.

Przy pokojowo-kuchennym stole siedziały cztery kobiety. Wszystkie wyglądały jak wyciągnięte z grobu. W brudnych ubraniach, z rozmazanym makijażem, upaprane ziemią. Zapach, który je otaczał, też nie należał do przyjemnych. W domku była jedynie zimna woda, choć nie miały pojęcia, skąd się bierze. Ważne, że płynęła w rurach, a czy z jakiegoś wodociągu, czy ze studni, było im wszystko jedno. Ważne,

że nadawała się do picia.

Sandra, jak na niedoszłą ofiarę zabójstwa i pogrzebania żywcem, czuła się zadziwiająco dobrze. Wprawdzie przełykanie śliny było nie lada wyzwaniem, ale chyba nie miała uszkodzonej krtani. Chyba. Nadal jednak nie wiedziała, jak się tu znalazła i dlaczego. Koniecznie powinna zawiadomić policję, co się stało, ale intuicja nakazywała jej na razie milczeć. Rozumiała, że policja nie jest tym, z czym zgromadzone przy stole kobiety najbardziej chciałyby mieć teraz do czynienia.

Jolka drapała się po skroni, jakby to miało stłumić koszmarny ból głowy. Na razie postanowiła o nic nie pytać. Wczorajszy dzień pamiętała jak przez mgłę. Wolała nic nie mówić przy Tomaszewskiej, bo nie miała zielonego pojęcia, co może powiedzieć.

Martusia i Kama były niewyspane. Na zmianę pełniły dyżur przy Sandrze, żeby im nie uciekła. Kamie zaburczało w brzuchu. Ten dźwięk wyrwał wszystkie cztery z oszołomienia. Były głodne.

– Która zacznie? – odezwała się w końcu Martusia.

Jolka spojrzała na nią żałośnie, Sandra wbiła wzrok w stół, Kama wzruszyła ramionami, ale wskazała palcem na Martusię i powiedziała:

– To był twój pomysł, więc ty mów.

– No dobrze. – Martusia spojrzała niepewnie na Sandrę. Pomyślała chwilkę i powoli zaczęła opowiadać: – Więc było tak, że Jolka zaczęła podejrzewać Tadzika o romans – zamilkła i spojrzała na tamtą, oczekując potwierdzenia.

– No... – mruknęła Jolka.

– Postanowiliśmy go śledzić. – I znów urwała.

– No... – potwierdziły teraz obie. I Jolka, i Kamelia.

– Ale Tadeusz powiedział, że chce rozwodu, i wtedy Jolka tak się zdenerwowała, że chlapnęła sobie coś na uspokojenie. Plus jakieś tabletki uspokajające. – Tu Martusia już nie czekała na potwierdzenie. Wyjaśnienie było jak najbardziej prawdziwe, a właściwego przeznaczenia owego alkoholu i tabletek Sandra znać nie musiała. – I nie mogła prowadzić. Kamelia nie ma prawa jazdy, więc padło na mnie.

– I co dalej? – zapytała zaintrygowana Jolka. Do tego momentu pojmowała, co tamta mówi. Reszta była dla niej owiana tajemnicą.

– Pojechaliśmy za... Tadeuszem. – Wdowa numer jeden uznała, że kłamstwo jest konieczne. – I poszliśmy za nim. To znaczy poszłam ja z Kama, bo Jolka już spała jak kamień i chrapała sobie w najlepsze.

– Ja nie chrapię! – Jolanta zakwestionowała jej słowa.

– Może po tych tabletkach – powiedziała pocieszająco Kama, jakby fakt chrapania przez Jolkę był najistotniejszy dla sprawy.

– No... I jak weszliśmy do mieszkania, to Tadeusz leżał. Ty leżałaś...

– Razem? – przerwała jej oburzona Jolka.

– Nie, osobno – śpiesznie zapewniła ją Kamelia. – Nic nie robili, bo ona nie żyła, a on był nieprzytomny. Chciałam powiedzieć, że wyglądałaś jak martwa. – Spojrzała przepaszająco na Sandrę. Nadal jej nie lubiła, ale, kurczę pieczone, omal nie pogrzebała jej żywcem!

– Jasne – mruknęła Sandra bardziej do siebie niż do nich. Nadal czekała, aż dotrą do puenty. Sama nie wiedziała, co ją interesuje bardziej, keczup na bluzce czy grób, w którym się ocknęła.

– No właśnie... – Na twarzy Martusi pojawił się wzmożony wysiłek. Jak tu powiedzieć prawdę, nie narażając się jednocześnie na... – Hej! – zawołała olśniona. – Przecież ty jesteś moją prawniczką. I Kamy też!

W tym stanie Sandra nie była pewna, do czego zmierza Skalkowa, ale potwierdziła skinieniem głowy.

– No to nie możesz nas wydać – obwieściła z triumfem Marta. – Przynajmniej co do przeszłości.



Sandra nie wyjaśniła jej, że to niekoniecznie tak wygląda. Tajemnica dotyczy tego, czego się dowiedziała, udzielając swojej klientce pomocy prawnej czy też prowadząc sprawę. Raczej trudno byłoby podciągnąć pod to ostatnie wydarzenia. Niemniej znów skinęła głową.

Zastanowiła ją kwestia przeszłości, o której wspomniała Martusia. Wywnioskowała z tego, że kobiety planują jakąś przyszłość, o której ona, Sandra, nie powinna wiedzieć. Kolejny wniosek był taki, że chyba nie zamierzają jej zabić. W przeciwnym wypadku rozmawiałyby bez skrępowania o wszystkim. Martwy prawnik na pewno nie wygada niczego, czego się dowiedział w trakcie wykonywania swojej pracy, jak i poza nią.

– Więc co do naszych działań w twoim mieszkaniu... Tadzika zostawiłyśmy, ciebie zawinęłyśmy w koc, a potem w ten dywan z przedpokoju i zaniósłszyśmy do auta. Potem zawiozłyśmy cię w bagażniku do lasu, żeby cię pochować. Nie jesteś wprawdzie prawniczką Jolki, ale do niej nie możesz się przyczepić, bo była nieprzytomna i nie wiedziała, co się dzieje. – Martusia była tak z siebie zadowolona, że nie zwróciła najmniejszej uwagi na wlepione w siebie oczy przyjaciółki, której właśnie z takim przejęciem broniła.

– Czy nie da się jakoś jaśniej, żebyś zrozumiała, o co chodzi? – zapytała w końcu z przekąsem Jolka. – Dlaczego oni leżeli osobno, skoro mają romans. I dlaczego ona była martwa, a już nie jest?

– Tego akurat nie wiemy – wyznała Kama.

– Mogę wyjaśnić – wyszeptła Sandra. – Adam Tomyslak próbował mnie udusić, ale chyba pan Markiewicz go spłoszył, bo jednak mnie nie udusił.

– Pan Markiewicz? – Martusia zrobiła sceptyczną minę. – Mówisz do niego w łóżku na pan?

– Martusia! – syknęła Kama. – To nieistotne!

– A co do... Tadeusza... Sądzę, że Adam go uderzył. Musiał uciec, zanim przyszłyście. – Ostatnie słowa były już prawie niesłyszalne.

– Kto to jest Adam? – zapytała Martusia.

Sandra sięgnęła po szklankę z wodą. Szare komórki zaczęły pracować. Powoli zaczynała ogarniać całokształt sytuacji. Po jaką cholere te dwie postanowiły ją zakopać? Żeby chronić Tadeusza? Myślały, że to on ją zabił? Bzdura. Nawet one nie są tak głupie. Miały zamiar go kryć? Wątpliwe. Chciał się przecież rozwieść z ich najlepszą przyjaciółką. Dlaczego zatem wywiozły jej ciało, tak głupio ryzykując? Potarła swędzący brzuch. Bluzka była sztywna od zaschniętego keczupu. Znieruchomiała na chwilę. Ostatni kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce.

– Jeśli chodzi o szantaż, wchodzę w to – oświadczyła z determinacją.

Tadeusz skinieniem głowy podziękował pomocy domowej za kawę i śniadanie, które gospośnia przed nim postawiła. Naprzeciwko niego siedziała dwójka jego dzieci, przyglądając mu się z wrogością.

– Jak to nie wiesz, gdzie matka?

– Nie tym tonem, synu.

– Nie wróciła na noc, a ty masz to gdzieś?

– Matka jest dorosła i może robić, co chce. – Podejrzewał, że po oświadczeniu, które wygłosił na stypie, Jolka mogła wypłakiwać oczy u którejś z przyjaciółek.

– Myślisz, że ma kochanka? – zapytała córka.

– Skąd! – zachnął się oburzony.

– Jak coś jej się stanie, pożałujesz – zagroził mu syn, gwałtownie wstając od stołu.

– Wracaj tu, smarku! – wrzasnął Tadeusz, czując, jak własny głos mu wibruje i rozsadza czaszkę.

– Wal się, stary zgredzie – rzucił Tymoteusz, trzaskając drzwiami.

– A ty dokąd? – zapytał ze złością, widząc, jak Regina wstaje od stołu i podąża za bratem.

– Do szkoły – warknęła dziewczyna, zła jak osa.

Prawo do wyłącznej opieki dostanie Jolka, zdecydował szybko Tadeusz. Jakim cudem zachciało mu się trzeciego dziecka? Przecież wystarczy ta dwójka, żeby człowiek wziął nawet najbardziej tępy nóż i osobiście się wysterylizował.

Właściwie teraz rozwód stał mu się zbędny. Tadeusz miał ochotę być wolny, niezależny, nie tłumaczyć się przed nikim. Miał ochotę na związek z młodszą kobietą. Tomaszewska – mimo swojej przeszłości – była reprezentacyjna, inteligentna, nie angażowała się uczuciowo i spełniała wszystkie jego zachcianki. Skoro jednak Sandra nie żyje, to żona już nie przeszkadza. Nagle wszelkie romanse wywietrzały mu z głowy. Musi skoncentrować się na firmie i obronie własnego tyłka, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Spojrzał na zegarek. Ochroniarze pewnie już się wymienili. Może jechać do pracy. Ziewnął szeroko, wrzucił do aktówki jeszcze kilka aspiryn – czuł, że tego dnia będą mu potrzebne, po czym zadzwonił do żony i nagrał się na jej pocztę głosową:

– Kochanie, możesz wracać do domu. Rozvodu nie będzie.

Zadowolony z siebie dopił kawę i wyszedł stawić czoło kolejnemu dniowi. Po drodze przemyslił sprawę martwej kochanki.

– Szantaż? Jaki szantaż? – W całym doborowym kobiecym towarzystwie tylko Jolka była zaskoczona. – Ona mówi poważnie? – zwróciła się do Kamy i Martusi, gdy te milczały zaskoczone.

– To jedyne logiczne wyjaśnienie – wyszeptła Sandra. – Ketchup na mojej bluzce to pewnie krew. Macie zdjęcia?

– Jakie zdjęcia? – dopytywała się Jolka.

– Zdjęcia Markiewicza, trzymającego w ręce narzędzie zbrodni. Ja bym takie zrobiła. – Ostatnie słowa były ledwo słyszalne.

– A, te – powiedziała Martusia, wyciągając telefon komórkowy. – No co? – Wzruszyła ramionami, widząc przerażone spojrzenie Kamelii. – Przecież jej nie zabijemy. To, co na nas ma, i tak posłałoby nas na długie lata do więzienia, gdyby zaczęła gadać. Równie dobrze możemy jej zaufać.

– Ja byłam nieprzytomna – oświadczyła na wszelki wypadek Jolka.

– Ja tylko chciałam zaznaczyć, że gdyby Tadeusz nie zażądał od Jolki rozvodu, to żadna z nas nie wpadłaby na pomysł szantażu. Ale jak wszyscy wiedzą, okazja czyni złodzieja, w tym przypadku szantażystę. – Kamelia wygłosiła mowę obrończą, głównie pod własnym adresem.

– I gdyby nie intercyza, to nawet wezwwałybyśmy pomoc – zapewniła żarliwie Martusia.

– I gdybyś nie miała z nim romansu, ten drań pewnie nie chciałby rozvodu – dodała Kama.

– Jakie zdjęcia? – dopytywała się Jolka. W tym momencie romans był dla niej problemem drugoplanowym. Ważniejsze to, że jeśli dobrze pójdzie, może stać się bogata, nie brudząc sobie rąk zabójstwem. I jeszcze będzie mogła zobaczyć, jak ta gnida się skręca. O, to nawet lepsze niż pogrzeb. – Chcę zobaczyć te zdjęcia! Natychmiast! – zażądała. – Jak nas wsypie, to za szantaż dostaniemy mniej niż za... inne metody zmierzające do odejścia Tadeusza, zanim się ze mną rozwiedzie.

– Zaraz, zaraz... – Kama zdecydowanie powstrzymała Martusię, która dotąd trzymała telefon przed sobą jak tarczę, a sądząc po minie przyjaciółki, zamierzała je udostępnić. – Dlaczego mamy jej zaufać? Równie dobrze może nas wsypać, jak tylko się stąd wydostanie! Chciałyśmy pogrzebać ją żywcem! Cud, że nie wykitowała. Mogła umrzeć po drodze i miałybyśmy jej krew na rękach!

– Miała romans z moim mężem. Na pewno chętnie się go pozbędzie – uznała Jolka.

– A w jaki sposób szantaż mógłby jej w tym pomóc? – dopytywała się Kamelia.

– Po pierwsze, Sandra nie wróci do pracy, dopóki go nie oskubiemy. Jak nam zmartwychwstanie, to Tadzik nie da ani grosza.

– Jest ambitna. Tym bardziej będzie chciała...

– Tym bardziej nam pomoże. Im szybciej pomoże nam załatwić sprawę, tym prędzej wróci na swoje stanowisko.

– Tadzik ją wywali...

– Pod jakim pretekstem? Że jest martwa? Przecież się nie przyzna, że tam był! – Jolka była coraz bardziej podekscytowana tym pomysłem.

– Nieusprawiedliwiona nieobecność w pracy?

– Ktoś zadzwoni do kadr i zawiadomi, że zachorowała i jest na zwolnieniu lekarskim.

– Przecież Tadzik będzie wiedział, że to ściema!

– Ale nie będzie mógł się przyznać. Bo co powie? Będzie przekonany, że to dzwoni szantażysta.

– Hm... A kto zanieś zwolnienie?

– Po pierwsze, wystarczy przesłać, czego oczywiście nie zrobimy, bo jak Tadzik będzie już je miał w ręku, to polezie do lekarza, który je wystawił, i wszystko się wysypie, jak by powiedział mój syn. Po drugie, obecnie powiadamia się zakład pracy o zwolnieniu, ale doręcza się je w ciągu siedmiu dni.

– Siedem dni? Chcesz oskubać Tadzika w siedem dni?

– Poradzę sobie – uznała Jolka. – Poza tym oskubię go, z czego się da, a resztę dostanę po rozwodzie, który będzie z jego winy, bo przecież miał romans. A jak będzie z jego winy, to jeszcze dostanę alimenty.

– Zgadza się – wyszeptwała Sandra, nie kryjąc zaskoczenia. Jolanta Markiewicz nie była taką idiotką, za jaką miał ją mąż. Nie była też bezradną kobietką, mimo że sprawiała takie wrażenie. To przez te oczy, pomyślała. Wydaje się taka delikatna i bezradna. – Wolalabym jednak nie zeznawać na sprawie rozwodowej. Stracę wizerunek. Może zaszantażuje go pani tym romansem, żeby dostać dom, alimenty i niewielką część majątku, za co Tadeusz będzie wdzięczny, bo przecież się nie dowie, że inne jego aktywa też trafiły w pani ręce.

– Mów mi Jolka – wspaniałomyślnie zaproponowała przyszła rozwódka, której umysł nigdy nie pracował tak jasno jak dziś.

– Super, może jeszcze się uściskajcie. Prawdziwe psiapsiółki! Połączył je seks z tym samym facetem. Obie zainteresowane jak na zawołanie otrząsnęły się ze wstrętem. Jolka zachichotała.

– Co na ciebie miał? Nie wierzę, że to był prawdziwy romans.

Sandra skrzywiła się z niechęcią.

– Myślisz, że ją zmuszał? – spytała z niedowierzaniem Kamelia. Jak dla niej Tomaszewska wyglądała na taką, co po trupach dojdzie tam, gdzie chce.

– Powiedziałabym, że to bardzo możliwe. Bardzo, bardzo.

– No to wspaniale! – wykrzyknęła Kama. – Zaraz nam tu powie, o co chodziło, dzięki temu będziemy miały na nią haka.

– Skąd wiecie, że powie nam prawdę? – Do rozmowy wtrąciła się milcząca od dłuższego czasu Martusia, która nie mogła się doczekać, aż wszystkie punkty sporne zostaną rozwiązane, i wreszcie będzie mogła się pochwalić swoim talentem fotograficznym. – Może skłamać.

– Przed chwilą sama machałaś zdjęciami przed jej nosem!

– Nie sądzicie, że to, co na nas ma, wystarczy, żeby nas wszystkie posłać do więzienia? Oczywiście ja byłam nieprzytomna – zaznaczyła szybko Jolka.

– Byłam prostytutką. – Sandra nawet chętnie podzieliła się z nimi swoją skrzętnie ukrywaną tajemnicą.

– A twój mąż był moim klientem. Rozpoznał mnie, kiedy trafiłam do jego firmy – wyjaśniła chrapliwym głosem.

Potrzebowała lekarza, i to szybko. Inaczej może mieć spore problemy z krtanią, a nie da się ukryć, że głos był jej bardzo potrzebny w pracy. Niemowcy tyle nie zarabiają. To po pierwsze. A po drugie...

Komu powiedzą? Do tego musiałyby podać okoliczności, w których się dowiedziały.

Sama była zaskoczona takim obrotem sytuacji i swoją chęcią współdziałania, lecz jej analityczny umysł błyskawicznie rozważył wszystkie za i przeciw. Nie będzie musiała zabijać Markiewicza. Nie będzie też musiała z nim sypiać. I będzie mogła zostać w firmie. To argumenty za. Argumenty przeciw – Markiewicz zamieni jej życie w piekło. Musi mieć coś, co pozwoli jej trzymać go w ryzach. Tylko co by to miało być? Znajdzie się. Na razie trzeba płynąć z prądem.

Jolka popatrzyła na nią nieodgadnionym wzrokiem. Kama i Martusia taktownie milczały. Co innego romans, a co innego dowiedzieć się, że mąż chodził na dziwki.

– No wiesz, Jolka... – Martusia postanowiła pocieszyć oniemiałą przyjaciółkę. – Seks zawsze kosztuje. Nasze małżeństwa to też pewien rodzaj prostytucji...

– Zamknij się. Liczę.

– Co liczysz? Przecież nie wiesz, jaką miała stawkę...

– Martusia! Czy ty chociaż na chwilę mogłabyś przestać rzucać tymi głupimi pomysłami?! – zdenerwowała się Jolka.

– Głupimi?! A kto nas tu przywiózł?! Ja! Bo ty chrapałaś jak smok wawelski, a ślinaś się jak alpaka! Musiałam przejechać dwa ronda w lewo! W lewo! Rozumiesz?!

– Wiem, gdzie jest lewo na rondzie!

– No to wiesz, ile pasów trzeba zmienić?! Myślisz, że to takie hop siup?! Jechałam z naćpaną przyjaciółką i trupem w bagażniku!!! Rozumiesz to?!

– Tak, rozumiem! – wrzasnęła Jolka. – A ty nie rozumiesz, że chcę wiedzieć, od kiedy ta świnka mnie zdradzała?!

– A... To chcesz policzyć. – Martusia wreszcie zrozumiała, w czym rzecz.

– Poznałam go siedem lat temu – usłużnie poinformowała ją Sandra. – Proszę, czy możemy cokolwiek postanowić? Potrzebuję lekarza – powiedziała żałośnie.

Bezwzględna, bezlitosna, ambitna, pozbawiona empatii i zdolności odczuwania uczuć wyższych Sandra teraz wyglądała jak kupka nieszczęścia. I jedyne, czego chciała, to przytulić się do mamy, co nie było możliwe, bo nie utrzymywała z nią kontaktu od dziesięciu lat.

– Jestem głodna – zmieniła temat Kamelia.

– Oczywiście. – Jolka przewróciła oczami. – To najistotniejsze.

– Moje dziecko jest głodne – oświadczyła ze złością przysła matka.

– Gratuluję – szepnęła Sandra.

– Dziękuję. Mam pytanie. Czy skoro mój mąż nie żyje, to mogę wpisać dziecku jego prawdziwego ojca?

Sandra zamrugała kilkakrotnie oczami, próbując opanować zdumienie. Coraz więcej tajemnic wydobywało się na światło dzienne. Nie spodziewała się czegoś takiego po Padeckiej, która była tak przeciwna wciąganiu jej w szantaż.

– Nie radzę – odparła uprzejmie. – Dziecko straci wtedy prawo do spadku. Niech je adoptuje, jak się urodzi.

– OK, to teraz chcę jeść.

– Zdjęcia! Nikt się stąd nie ruszy, dopóki nie zobaczę tych kurewskich zdjęć! – wrzasnęła Jolka.

– Jolka, od kiedy ty używasz takich wyrażen? – zdziwiła się Martusia.

– Od kiedy mam nastoletnie dzieci.

– One tak mówią?

– Nie, ja tak mówię przez nie. Zdjęcia!

– Dobrze, już dobrze. – Martusia wyszukała odpowiedni plik w galerii i podała telefon Jolce.

Ta dłuższą chwilę przeglądała fotografie, po czym oddała telefon właścicielce, spojrzała po kolei na

nie wszystkie, łącznie z posiniaczoną, brudną od ziemi i keczupowej krwi Sandrą, po czym obwieściła z powagą:

– Dziewczyny, kocham was.

Tadeusz z niechęcią spoglądał na kolejnego ochroniarza, którego przysłał mu detektyw Ziajka. Poza tym, że miał teraz osobistego kierowcę, ochrona nic nie wносиła do jego zagrożonego przez zamachowca życia. W dodatku szef agencji postawił całą kancelarię na nogi. W korytarzach szumiało jak w ulu. Szkoda tylko, że to nie pracowite pszczołki, tylko roznoszące plotki trutnie, pomyślał zjadliwie.

– Niech Tomaszewska natychmiast przyjdzie do mojego biura – polecił sekretarce, zdecydowany udawać, że ten dzień jest dokładnie taki sam jak każdy inny.

Czyli że Sandra żyje. Choć on wiedział, że to nieprawda.

Musi jednak zachowywać się tak, jakby żyła, bo przecież nie ma powodu, dla którego miałby wiedzieć, że jest martwa.

Weź się w garść, człowieku, złażał się. Jak tak dalej pójdzie, przyzna się pierwszemu napotkanemu policjantowi do przestępstwa, którego nie popełnił, a którego sam padł ofiarą.

A może Sandra nie była celem? Może zabójca wiedział o romansie i zaczął się w jej mieszkaniu, żeby dopaść jego, Tadeusza? Może to ten sam, który przeciął mu linkę hamulcową? Bębnił palcami po biurku, rozważając kolejną ewentualność.

Załóżmy, że ktoś znalazł ciało Sandry. Bo w końcu ktoś je znajdzie. Za dzień, dwa, najdalej trzy w mieszkaniu zacznie śmierdzieć. Wtedy policja szybko odkryje ich romans, a kto jest bardziej podejrzany niż kochanek? Nikt. No, może żona kochanka. Tyle tylko, że jego odciski palców są w całym mieszkaniu, a Jolki nie. I znowu wrócą do niego.

Nic na niego nie znajdą. Nic, co by mogli przedstawić w sądzie. Szlag! Pieprzony ochroniarz! Przecież ten facet powie, że osobiście zawiózł go pod ten adres. Co więcej, zezna, że on, Markiewicz, w czasie zabójstwa przebywał w mieszkaniu. No, że w samym mieszkaniu, to nie udowodnią, bo tamten z nim nie poszedł, ale on, Tadeusz, nie ma alibi. I co teraz?

– Zwalniam pana – poinformował chłodno Bogu ducha winnego ochroniarza, bo przecież to nie on będzie zeznawał przeciwko niemu. – Proszę poinformować pana Ziajkę, że rezygnuję z jego usług.

Zdumiony mężczyzna nie zdołał powiedzieć ani słowa, gdy klient wstał zza biurka i osobiście otworzył mu drzwi.

– Pani Lido – zwrócił się jeszcze do sekretarki. – Źle się czuję. Proszę odwołać dzisiejsze spotkania. Tomaszewska nie będzie mi już potrzebna.

– Pani mecenas jeszcze...

Zamknął drzwi, nim skończyła mówić. Oczywiście, że nie przyszła do pracy. Przecież trupy nie chodzą. Nie mówią. Nie słyszą. Nie czują. Ale za to już przez sam fakt swojego istnienia mają inne sposoby komunikowania się ze światem, które patolog i technicy policyjni zbyt dobrze, jak na jego gust, odczytują. Dlatego należy raz na zawsze zamknąć możliwość owej komunikacji. Krótko mówiąc, trzeba koniecznie pozbyć się zwłok, nim ktoś je znajdzie.

Dariusz Klepka potakująco kiwał głową. Jego tępy wyraz twarzy nie był wadą wrodzoną, tylko skutkiem wydarzeń, które właśnie nastąpiły. Dokładnie dwanaście minut temu na podjeździe jego domu odziedziczonego po dziadku i wymagającego sporych nakładów, na co nie było go stać, zatrzymał się czarny samochód marki Audi. Wysiadły z niego cztery kobiety. Samochód miał z przodu spore uszkodzenie, do tego brakowało jednego reflektora.

Dostrzegł to mimochodem, gdy otworzył drzwi, gotów rozszarpać na strzępy osobę, która wcisnęła

dzwonek i nie puszczała. Dziadek był częściowo głuchy, kazał więc zainstalować taki sygnał, żeby mógł go usłyszeć. Cud, że babcia go nie zamordowała. Za drzwiami stała Kamelia, której nie widział od kilku tygodni, w towarzystwie trzech kobiet.

– Cześć, kochany. – Kama przepchnęła się obok niego i truchtem ruszyła do kuchni, gdzie dopadła do lodówki i dokładnie zlustrowała jej zawartość.

Martusia uśmiechnęła się ujmująco do zaskoczonego mężczyzny. Kama miała gust. Przystojny był. Zbudowany jak Apollo.

– Będziecie mieli ładne dziecko – poinformowała go radośnie.

– Co? – Dariusz zdębiał.

– Możemy wejść? – Jolka trąciła łokciem Martusię. Ta to nigdy nie wie, kiedy trzymać język za zębami.

– Oczywiście. – Odsunął się, by zrobić przejście, a tamte trzy minęły go bez słowa.

Ostatnia, która weszła, była najbrudniejsza z nich wszystkich. Miała podarte rajstopy, ubranie ciemne od ziemi, na białej bluzce rozlała się ogromna plama z sosu pomidorowego, a we włosach dostrzegł igliwie i grudki błota. Kobieta, która zapytała, czy mogą wejść, wyglądała tylko odrobinę lepiej. Za to blondynka miała podrapane kolana i czarne stopy. Kamelia prezentowała się najkorzystniej z nich wszystkich, choć i ona bawiła się w tej samej piaskownicy.

– W prawo – powiedział jeszcze, gdy go mijały.

Zanim zamknął drzwi wejściowe, spojrział ponownie na zaparkowany krzywo przed domem samochód, którym przyjechały, audi z rozbitym reflektorem i wgniecioną maską.

Kama usiadła przy stole. Postawiła przed sobą półmisek z czymś, co wyglądało na sałatkę z kurczaka, wzięła widelec i nie zwracając sobie głowy nakładaniem na talerz, zaczęła jeść.

– Wolniej, bo się zakrztusisz – zwróciła jej uwagę Jolka.

– Pieprzyć to – burknęła. – Umieram z głodu.

– Ja też – powiedziała żałośnie Martusia.

– Ale ja bardziej – ucięła zdecydowanie Kama. – Jak jesteście głodne, zróbcie sobie coś.

Jolka, która jedyna w tym towarzystwie potrafiła gotować, westchnęła, ale podreptała do lodówki.

– Jajecznicza będzie w sam raz – postanowiła. – Szybka i pożywna.

– Mogę dostać coś ciepłego do picia? – poprosiła Sandra.

– Zrób sobie, na co tylko masz ochotę – powiedziała wspaniałomyślnie Kamelia. – Dla mnie też. Może być kawa.

– Nie możesz pić kawy – zaprotestowała Martusia.

– To niech będzie herbata.

– Ja mam zrobić? – Sandra nie kryła zaskoczenia. Jeszcze niedawno była ich wrogiem numer jeden, potem stała się współpracowniczką, a teraz ma być służącą?

– Daj jej spokój – ofuknęła Kamę Jolka. – Nie widzisz, że ledwo trzyma się na nogach? Siadaj, Sandra.

Martusia zajmie się napojami, a ja jedzeniem.

Darek stał w progu i niepewnie obserwował krzątające się po jego kuchni kobiety. Chrząknął, by zwrócić na siebie uwagę. Bezskutecznie. Kama ledwo podniosła na niego oczy. Pozostałe jakby go nie dostrzegały.

– Co się stało z autem? – zapytał głośno. Na to musiały zareagować. Nie mogą go ignorować w jego własnym domu.

– Nie masz herbaty jaśminowej? – zapytała ze zgrozą blondynka.

– Nie – uciął. – Co z autem?

– Wjechałam w drzewo – wyjaśniła spokojnie puszysta ruda. – A jest zielona? – zwróciła się do blondynki.

– Jakim cudem wjechałaś w drzewo?

– W lesie jest ich bardzo dużo – odpowiedziała. – I co? Jest? – zapytała blondynkę, która przetrząsała szafkę.

– Nie, ale mam jakąś z dziką różą i jabłkiem. Pachnie całkiem ładnie.

– To ja chcę! – zawołała z pełnymi ustami Kama.

– O co chodzi z tym dzieckiem? – Podniósł głos, by zwrócić na siebie uwagę.

– Powiedziałaś mu? – Kama spojrzała z wyrzutem na Jolkę.

– Ja? Skąd! – Jolka wbiła ostatnie jajko na patelnię i drewnianą łypatką wskazała Martusię.

– No jasne – westchnęła teatralnie Kama.

– Co jasne? – Martusia nie słuchała toczącej się rozmowy.

– Powiedziałaś mu, że jestem w ciąży!

– Jesteś w ciąży?!

Ośłupiała mina mężczyzny świadczyła dobitnie, że właśnie się o tym dowiedział. Od niej.

– To co mu powiedziałaś? – Kama popatrzyła gniewnie na Martusię.

– Że będziecie mieć ładne dziecko. Nie powiedziałam, że już za kilka miesięcy!

– To moje dziecko?! – Darek wyglądał, jakby miał zamiar zemdleć.

– Oficjalnie mojego męża. Ale możesz adoptować.

– Nic się nie martw. Plemniki był twój – zapewniła go uroczyście blondynka szykująca herbatę.

Sandra podparła brodę rękami i patrzyła na kraciastą ceratę na stole. Wokół niej działało się zbyt dużo. Miała wrażenie, jakby znalazła się w świecie Visteria Line. Z tą tylko różnicą, że oglądając serial *Gotowe na wszystko*, bez trudu nadażała za fabułą. Tutaj nie było to możliwe. Nikt nie napisał scenariusza. Te trzy plotki, co im ślina na język przyniosła, same nie mając pojęcia, co za chwilę mogą chlapać.

Darek usiadł naprzeciwko sponiewieranej kobiety. Przynajmniej na taką wyglądała. Krótkie ciemne włosy sterczały jej we wszystkich kierunkach. Podpuchnięte oczy i zasiniona szyja sprawiały, że biedaczka wyglądała jak ofiara przemocy domowej.

– Czy ktoś mi w końcu powie, co tu się dzieje? – zapytał ze spokojem, którego zdecydowanie nie czuł.

Powtarzał sobie jednak, że tylko spokój może go uratować. Niestety, nie przewidział, że to on ma ratować kogoś. Blondynka coś do niego mówiła. Niby rozumiał, ale nie pojmował. Zdaje się, że chcieli, by kogoś chronił.

– Że co? – zapytał mało gramatycznie.

– Nie zgadzasz się?! – Tamta prychnęła gniewnie.

– Na co mam się zgodzić? – Wziął do ręki widelec i zaczął automatycznie jeść jajecznicę, którą postawiła przed nim rudowłosa puszysta z oczami jak czekolada.

– Powiedziałaś, że jest w porządku! – oburzyła się Martusia, tym razem zwracając się do Kamelii.

– Bo jest.

– To dlaczego nie chce pomóc?! – Uderzyła dłonią w stół, aż zadźwięczały szklanki.

– Może spróbuj mu to wyjaśnić jeszcze raz, tylko wolniej – poradziła Jolka, stawiając na stole dzbanek z zaparzoną herbatą.

– A, to o to chodzi... – Wdowa numer jeden zrozumiała wreszcie, w czym rzecz. – Powinnaś mnie uprzedzić.

– O czym? – Kamelia była zajęta jajecznicą, ale doskonale wyczuła z tonu Martusi, w którą stronę skierowany był wyrzut.

– Że jest ładny.

– Bo jest.

– Że jest TYLKO ładny – uściśliła tamta.

Darek pojął w końcu, że to o nim mowa. Zanim zdążył zmanifestować święte oburzenie, blondynka usiadła obok niego, wzięła go za rękę, jakby to mogło w czymś pomóc, i zaczęła od początku, mówiąc głośno i powoli:

– Chłopak Sandry jest agresywny. Chciał ją udusić. Musisz jej pomóc.

– Nie jestem debilem! – Wyrwał jej rękę.

– To nawet lepiej – ucieszyła się.

– Słuchajcie... – Darek za wszelką cenę chciał odzyskać panowanie nad sytuacją, które stracił jakąś sekundę po tym, gdy otworzył drzwi. – Zjawiacie się u mnie bez uprzedzenia, okupujecie kuchnię, dowiaduję się, że będę ojcem, i mam się zająć ofiarą przemocy domowej. Kim wy, u diabła, jesteście?!

– To ja ci nie powiedziałam? – zdziwiła się Kamelia. – To moje przyjaciółki. Ta od jajecznicy to Jolka. Blondynka to Martusia. Ta przyduszona to Sandra.

– No i?

– Jakie i? – Kamelia była coraz bardziej zdziwiona jego postawą. Zawsze był taki chętny do współpracy, a teraz się stawia? Może to dlatego, że wcześniej chodziło tylko o seks? Ta myśl wyprowadziła ją z równowagi. – Czy właśnie ty, przyszły ojciec mojego dziecka, chcesz powiedzieć, że nie pomożesz kobiecie w potrzebie? Czy to znaczy, że ani ja, ani moje dziecko nie możemy na ciebie liczyć? Taki przykład chcesz dać swojej córce albo synowi?

– Ale ja przecież...

Było już za późno. Przyszła matka wpadła w wojowniczy nastrój.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, przez co ja przesłam???

Jolka z Martusią były bardzo ciekawe, przez co przeszła, bo na razie najbardziej poszkodowana okazała się Sandra.

– Pochowałam męża. Ratowałam przyjaciółkę przed brutalem. Prawie nie spałam, a moje dziecko głodowało. I jedyna osoba, która powinna stać przy mnie murem, ma szczeliny?!

Darek nie wiedział, o jakie szczeliny chodzi. Kama, do niedawna całkiem normalna, teraz mówiła językiem, którego nie rozumiał. Spojrzał więc na odratowaną przyjaciółkę, którą miał się zająć, i na tym jego inwencja się skończyła.

Sandra odpowiedziała mu obojętnym spojrzeniem. Była obolała, zmęczona, brudna, lecz dzięki Jolce nie czuła już głodu. Dziś chce tylko spać. Od jutra zacznie myśleć. Ale nie dziś, tylko nie dziś. Dziś może mieszkać choćby u Kuby Rozpruwacza.

– Przecież pomogę – odezwał się w końcu, świadom wbitych w siebie oczu czterech kobiet.

– No i widzisz... Nie można było tak od razu? – Martusia nagrodziła go wspianym uśmiechem.

Sandra zniknęła. W miejscu, w którym przedtem leżała, było tylko... puste miejsce. Tadeusz sprawdził sypialnię, potem kuchnię i łazienkę. Ani śladu zwłok. Usiadł na taborecie stojącym obok ławy. Nikt, kto by go teraz zobaczył, nie podejrzewałby go o umiejętność dokonywania jakichkolwiek operacji myślowych. Wzrok miał tępy, nieruchomą maskę zamiast twarzy, w głowie mu wrzało.

Czyżby to była wizja narkotyczna? Przywidzenie? Skutek uderzenia w czaszkę? A może środek, który mu podano, zawierał jakąś substancję halucynogenną?

Tadeusz zaczął rozważać różne możliwości.

Numer jeden. Przywidzenie. Odrzucił ją bez namysłu. Gdyby to był efekt działania narkotyku, widziałby pająki albo jakieś inne stwory, a nie martwą kochankę.

Numer dwa. Sandra żyje. To gdzie jest? Sprawca ją uprowadził? Jeśli tak, to on, Markiewicz, powinien zawiadomić policję. A może straciła pamięć i błąka się po ulicach Warszawy? Tym bardziej powinien



zgłosić jej zaginięcie.

Numer trzy. Sandra nie żyje. Zatem gdzie jest jej ciało? Sprawca je zabrał? Po co? To by znaczyło, że wrócił do mieszkania i wie, że on, Markiewicz, nie umarł. Zatem zdaje sobie sprawę, że istnieje świadek... Ale zaraz, zaraz... Skoro tamten ktoś uderzył go w głowę, to doskonale rozumie, że on nic nie wie, bo nic nie widział. Jest więc bezpieczny. Tylko co z Sandrą? Nie ma ciała, nie ma przestępstwa? Możliwe, lecz dlaczego tamten jest taki pewny, że Tadeusz nie pójdzie na policję?

Mecenas Markiewicz znalazł się w kropce. Coś takiego nie zdarzyło mu się od lat. To do niego ludzie przychodzili ze swoimi problemami. To on zawsze znajdował najlepsze wyjście z trudnej sytuacji. Do kogo zatem on sam powinien teraz się udać?

Jolka z ulgą wyłączyła silnik. Wreszcie znalazła się we własnym domu. Szkoda, że nie sama. Tylko Sandra została u Darka, który obiecał nic nikomu nie mówić, zając się nią i strzec jak własnego życia. Ton, jakim Kamelia wygłosiła ostatnie zdanie, nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

– Naprawdę możemy jej zaufać? – Jolka teraz nie była tego tak do końca pewna.

– Darek ma jej pilnować. Gdyby chciała gdzieś wyjść albo zadzwonić, powstrzyma ją.

– Niby jak? Zamknie w piwnicy? – zadrwiła Martusia.

– Jeśli będzie trzeba – odparła stanowczo Kama. – Powiedziałam mu, że Sandra jest jedną z tych kobiet, które są uzależnione od partnera, i może chcieć do niego wrócić. Musi ją powstrzymać za wszelką cenę, dopóki nie ochłonie i nie spojrzy innym okiem na swoje życie.

– Kupił to? – zdziwiła się Jolka.

– Nie jest zbyt bystry, a teraz ma misję ratowania ofiary przemocy przed nią samą. Poza tym wreszcie do niego dotarło, że zostanie ojcem. – Kamelia nie ukrywała dumy. Może Darek nie był zbyt bystry, ale to dobry facet. Chyba właśnie dlatego, pomyślała. Ci inteligentni zawsze jej dokopali w życiu.

– Czy jest jakiś powód, dla którego musimy siedzieć przed garażem? – zapytała Martusia, która wprawdzie została nakarmiona i napojona, ale nadal miała na sobie brudne, przepocone ubranie.

– Nie sądzę. – Jolka zachichotała nerwowo. Musi koniecznie odespać te dwa dni, bo przestaje zachowywać się racjonalnie.

Wszystkie trzy wysiadły z auta i natknęły się na grupkę osób stojących nieopodal i obserwujących je uważnie. Niestety, byli to ci wszyscy, których Jolka, Kama i Martusia powinny unikać. Tadeusz Markiewicz z gniewem patrzył na uszkodzone auto. Tymoteusz i Regina mierzyli matkę i jej przyjaciółki kpiącym wzrokiem, choć była w nim również ulga, że rodzicielka odnalazła się cała i zdrowa. No i na dodatek towarzyszył im komisarz Kalinka we własnej osobie.

– O co chodzi? – zapytała niegrzecznie Jolka, dochodząc do wniosku, że z domu może się pozbyć tylko jednego intruza. Dzieci nie wywali, męża nie może, został więc Kalinka. Toteż zwróciła się wyłącznie do niego.

– To ja się pytam, o co chodzi! – wrzasnął Tadeusz.

– Nie rozmawiam z tobą, tylko z tym panem – odparowała spokojnie Jolka.

Teraz, gdy jego los został przesądzony na wiele różnych sposobów, chociaż sam zainteresowany o tym nie wiedział, nie widziała najmniejszego powodu, dla którego miałyby być miła dla swojego wkrótce byłego, a jak będzie ją wkurzał, niewykluczone, że nawet martwego męża.

– Czego pan tu chce? – fuknęła na komisarza.

– Spokojnie, matka – odezwał się Tymoteusz. – Ja po niego zadzwoniłem.

– Niby dlaczego? – zdziwiła się Jolka.

Kama z Martusią milczały, pozwalając, by sprawy prywatne Markiewiczów rozwiązywała pani domu. One będą milczącą armią chwały, która ruszy do boju, gdy zajdzie taka potrzeba. Oby zaszła dopiero

wówczas, jak już się umyją i wyśpią.

– Jeszcze śmiesz pytać! – znów wrzasnął rozeźlony Tadeusz.

– Zamknij się, ojciec! – krzyknęła Regina. – Ty to byś się cieszył, gdyby mama wcale nie wróciła! Zaraz byś tu ściągnął jakąś flamę!

– Regina, nie używaj takich słów. Ojciec nikogo tu nie ściągnie. Po moim trupie. Tadzik, dziecko ma rację. Zamknij się. A ty, Tymoteusz, natychmiast się wytłumacz! – zażądała od syna, który spoglądał na nią z niejakim podziwem, zaskoczony postawą potulnej na ogół matki.

– No tego... Tak jakby...

– Jak ty się do mnie zwracasz! – wrzeszczał Tadzik, nie panując już nad sobą.

– Tak, jak mi się podoba! – ryknęła jego małżonka iście niedźwiedzim głosem. – Mów! – wycelowała palec w syna.

– My tak jakby... martwiliśmy się... Nie wróciłaś na noc... – wyjąkał wystraszony chłopak.

– Kochane dzieciaki. – Jolka się rozczuliła.

– Gdzie pani była? – wreszcie udało się wtrącić Kalince.

– O, o właśnie! Ja też mam prawo wiedzieć! – znów wrzasnął Markiewicz.

– Ty nie masz żadnych praw. Straciłeś je, gdy zażądałeś rozwodu.

– Zmieniłem zdanie. Nagrałem ci się na skrzynkę. Nie odsłuchiłaś wiadomości?!

– To bez znaczenia. Skoro ty nie rozwodzisz się ze mną, to ja rozwiodę się z tobą.

– Brawo, matka! – Tymoteusz z Reginą przybili piątkę.

– Ty... – Gdyby nie świadkowie, powiedziałby jej, co o tym myśli. – Zostaniesz bez grosza przy duszy!

– To się zobaczy – odparła chłodno. – A panu już dziękuję. – Spojrzała wymownie na Kalinkę. – To i tak nie pana rejon, ale miło, że pan się zjawił. A teraz proszę sobie iść, zanim moja prawniczka złoży skargę o nękanie, co zlecę jej zaraz po tym, jak złoży pozew o rozwód z tą zdradziecką świnią – poinformowała uprzejmie komisarza.

– Tak cię załatwię, że będziesz żebrać na ulicy! – Markiewicz już zupełnie nie panował nad sobą. Nie zważał na obecność świadków i dzieci. Otworzył usta, by coś jeszcze dodać, ale nagle zrezygnował. Uśmiechnął się tylko złośliwie i powiedział już spokojnie: – A składaj sobie, co chcesz, głupia krowo. Moja prawniczka nie będzie cię reprezentować przeciwko swojemu pracodawcy. – Zwłaszcza że jest martwa, dodał już w myślach. – A każdego innego adwokata zjem żywcem, przeżuję, wypluję i zmiażdżę obcasem buta.

– Na szczęście w tym kraju o rozwodach orzekają sądy, a nie prawnicy. – Bartosz nie byłby sobą, gdyby tak po prostu odszedł. – Pani Markiewicz, może sobie pani składać tyle skarg, ile sobie pani życzy, ale dopóki pani małżonek nie ochłonie, nie zamierzam się stąd ruszyć – oświadczył twardo.

– A siedź pan tu sobie. – Markiewicz prychnął wzgardliwie, zrobił w tył zwrot i wszedł do domu, z całej siły trzaskając drzwiami.

Jolka nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Wpatrywała się w Kalinkę takim wzrokiem, jakby w dłoni policjanta nagle pojawił się miecz świetlny, a na ciele srebrna zbroja. Pod furtką stał jednak stary opel, nie biały rumak. To szybko przywołało ją do porządku. Nie był to żaden dzielny rycerz, tylko gliniarz podejrzewający Martusię o zamordowanie męża. A kysz! – krzyknął rozum.

– Wszystko gra, matka? – Tymoteusz zaniepokoił się nagłą zmianą w postawie rodzicielki. Cała jej furia gdzieś znikła. Jolanta Markiewicz znów była zmęczoną kobietą przed czterdziestką, do tego brudną.

– Jeszcze nie, ale będzie – z bladym uśmiechem zapewniła syna.

– Pani Markiewicz... – zaczął ze współczuciem Kalinka. Mógł myśleć swoje o tym tercie podstępnych żon, ale jemu osobiście nie przyszłoby do głowy takie potraktowanie kobiety i nie znosił facetów, którzy tak postępują.

– Wszystko w porządku. Nic mi nie będzie. Nie jestem sama. Proszę już iść.

Wdzięczność wdzięcznością, lecz żaden policjant nie będzie jej się kręcił po domu, gdy one właśnie planują popełnienie przestępstwa.

Kalinka zawahał się, jednak w końcu skinął tylko głową na pożegnanie i odszedł. Markiewiczowa miała rację, to nie był jego rejon. Jej syn zadzwonił do niego tylko dlatego, że znalazł wizytówkę. Bartosz powinien był powiadomić Markiewicza juniora o właściwej procedurze i skierować go do odpowiedniego komisariatu. Zamiast tego przyjechał sam, żeby upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– Mamo, tata naprawdę zostawi nas bez pieniędzy? – zmartwiła się Regina.

– Skąd! – zachnęła się Jolka. – To tylko takie gadanie. – Machnęła ręką. – Wejdźmy do środka, muszę się umyć. – Ruszyła przodem, a przyjaciółki bez słowa pomaszzerowały za nią.

– Tadzik powinien był odejść pierwszy – szepnęła Martusia do Kamy.

Ta przytaknęła cicho, po czym odszepnęła:

– Gdybym wczoraj wiedziała to, co dzisiaj, nie zawahałabym się z tym taboretom.

Martusia westchnęła głęboko. Ona teraz też tego żałowała.

– Mamo, a dlaczego jesteście takie brudne? – zapytała Regina, gdy weszły do domu.

– Pojechałam do lasu, żeby ochłonać. Wpadłam na drzewo. Ubrudziłyśmy się, jak wypychałyśmy samochód na drogę – skłamała bez zmrużenia oka Jolka.

– Dlaczego nie wróciłaś na noc?

– Zabłądziłyśmy.

– A telefon? Nie odbierałaś...

– Na litość boską! – zdenerwowała się na córkę. – Zamierzasz być prokuratorem czy co? Dobrze, powiem wam prawdę. Pojechałyśmy do lasu, żeby tam zakopać zwłoki, i zeszło się nam dłużej, niż myślałam. Wiecie, jak ciężko jest wykopać porządny grób?

Człowiek to dziwna istota. Woli wierzyć w kłamstwa, choćby nie wiadomo jak nieprawdopodobne, niż w prawdę. Znakomitym przykładem były jej dzieci. W chwili, gdy powiedziała im prawdę, obraziły się śmiertelnie i wyszły z domu. Wróciły po północy. Miały szczęście, że była zbyt zajęta ich ojcem, by obojgu natrzeć uszu. Niedługo ta samowolka się skończy. Tak im przykręci śrubę, że zaczną chodzić jak szwajcarskie zegarki, odgrażała się w myślach Jolka, wiedząc jednak doskonale, że nie uda jej się zapanować nad siedemnastolatkiem i szesnastolatką.

– Tadeusz jeszcze jest? – Martusia ostrożnie wsunęła głowę do kuchni, by sprawdzić teren.

– Śpi w gabinecie – poinformowała ją Jolka. – Kama jeszcze śpi?

– Nie. Nie śpi – odezwała się wymieniona, wchodząc do kuchni, gdy tylko usłyszała, że ta kanalia jeszcze nie zwlokła się z łóżka. – Jestem głodna – obwieściła.

– To ci nowina – zakpiła łagodnie Jolka, doskonale pamiętając swój apetyt w czasie ciąży. Do dziś miała po nim pamiątki na brzuchu, udach i pośladkach.

– Co robimy? – Martusia z zadowoleniem popatrzyła na dzbanek pełen aromatycznej kawy.

– Działamy. – Jolka spojrzała na zegar. Nie było jeszcze ósmej. – Najpierw coś zjedzmy, wypijmy kawę i pojedziemy. Wiecie, do kogo. – Mrugnęła znacząco.

– Rozmawiałam z naszą nową przyjaciółką – szepnęła Kama z pełnymi ustami. Sałatka, którą znalazła w lodówce, była przepyszna. – Czuje się lepiej. Powiedziała, że mamy kupić telefon i kilka kart. Jeszcze dziś zaczynamy działać. Najdalej za tydzień chce wrócić do pracy.

– Tak się zastanawiam... – Martusia najczęściej myślała na raty, za to całkiem skutecznie. – Co ona będzie z tego miała?

– Swoją działkę – odpowiedziała Jolka.

– Nie przypominam sobie, żeby wspomniała o tym choć słowem. Powiedziała tylko, że w to wchodzi. –  
Martusia przypomniała im słowa Sandry.  
– Może chodzi o to, że będzie miała haka na T? – zasugerowała Kama.  
– Ona jest hakiem. Naszym.  
– Martusia ma rację. – Kama energicznie żuła ciemny chleb z miodem. Od śmierci męża mogła jeść, co  
tylko chciała, i nawet jej nie mdliło. – To babsko kute na cztery nogi. Krzywdy sobie nie zrobi, ale też  
chciałabym wiedzieć, dlaczego nam pomaga.

Godzinę później Sandra próbowała zebrać myśli, by w sposób jasny i logiczny wyjaśnić swoją  
motywację trzem inkwizytorkom, które wyglądały, jakby zamierzały spalić ją na stosie. Niemal czuła  
zapach zgromadzonego pod drzwiami drewna.

– Markiewicz ma na mnie haka...  
– Tak. Wiem. Pytanie brzmi, co się zmieni, jak już go oskubiemy. Nadal będzie miał na ciebie haka, ale  
ty na niego nie, bo ty jesteś hakiem. Naszym. – Kama przedstawiła sytuację tak prosto i jasno, by nawet  
prawnik mógł od razu zrozumieć w czym rzecz i nie doszukiwać się ukrytego dna czy też niepełnych  
prawd.

– To nie takie proste... – zaczęła niepewnie Sandra.  
– Wręcz przeciwnie – przerwała jej znów Kama. – To jest bardzo proste.  
– Nie przerywaj, bo nigdy nie skończy. – Martusia dźgnęła ją palcem w ramię.  
– Dziecko kochane – zaczęła Jolka z odpowiednią dozą matczynej troski. – Nie interesuje mnie twoja  
przeszłość, bo jesteś czy tam byłaś kochanką mojego męża, a nie narzeczoną syna. Do mojej rodziny nie  
wchodzisz. Chcę tylko wiedzieć, czego chcesz w zamian za swoją pomoc. – Tu postanowiła pominąć  
milczeniem próbę pogrzebania żywcem Sandry. Łączył je teraz sojusz, nie ma co wypominać starych  
krzywd. – Kasy? Podzielę się. Tadzik ma więcej, niż jemu i mnie potrzeba. Ale muszę wiedzieć, na czym  
stoję.

– Rozumiem. – Sandra zbierała myśli, nie wiedząc, jak dokładnie oddać słowami swoje emocje.  
Na ogół bowiem jej stan uczuciowy był na poziomie mrówki robotnicy. Takiego ogromu nienawiści  
nigdy dotąd nie odczuwała i nie podejrzewała nawet, że jest do tego zdolna. – Chcę zemsty –  
powiedziała w końcu. – Myślę, że właśnie o to mi chodzi. Chcę widzieć, jak ten drań się skręca i cierpi.

– No patrzcie... – zdumiała się Kama. – Myślałam, że to Jolka jest jego żoną.  
– Jak widać, niewiele potrzeba, by osiągnąć taki stan – powiedziała w zadumie Martusia.  
– Rzecz w tym, dziecko kochane... – Jolka znów zachowywała się jak wcielenie matki Polki, zwłaszcza  
że Tomaszewska bez makijażu wyglądała, jakby była niewiele starsza od jej dwójki. – Że nic nie  
zobaczysz, bo nie możesz mu się pokazać na oczy. A jak wrócisz do firmy, nadal będziesz w tym samym  
miejscu.

– To stanowi pewien problem – przyznała ich sojuszniczka. – Ale mam tydzień na jego rozwiązanie.  
– Kto to jest Adam? – Martusia przypomniała sobie, że już o to pytała w leśnym domku, lecz nie  
uzyskała odpowiedzi.

– Pracujemy razem. Dostałam klientów, na których ostrzył sobie zęby, i go poniosło – wyjaśniła  
Sandra, przełykając ślinę.

Jej głos nadal brzmiał chrapliwie, jednak mówienie nie sprawiało jej już takich trudności. To miło ze  
strony Skałkowej, że zapytała, pomyślała. Do tej pory niespecjalnie interesowało je, kto próbował ją  
zabić.

– Czyli z naszego punktu widzenia jest nieistotny – westchnęła z żalem tamta.  
– Liczę na to, że pomożecie mi znaleźć coś, co mi pozwoli trzymać Markiewicza w szachu. – Sandra

znów upomniała się o swoje.

Właśnie otrzymała wspaniały przykład egoizmu w wykonaniu nieutulonej w żalu wdowy po Tobiaszu Skałce. Jej przyjaciółki nie były lepsze. Padecka wciąż coś przeżuwała. Markiewiczowa jedyna próbowała udzielić jej wsparcia, jednak mimo tej matczynej troski w gruncie rzeczy wszystko opierało się na relacji coś za coś.

– Skarbie, gdybym miała coś takiego, już dawno byłabym szczęśliwą rozwódką – odparła z żalem Jolka. – Ale niech będzie. Obiecuję, że coś wymyślimy. W ostateczności...

Pełne głębokiego namysłu milczenie Markiewiczowej wywołało popłoch u jej przyjaciółek. Chyba Jolka nie zamierza go...

– Chcesz, żeby... odszedł? – zapytała ze zgrozą Martusia.

– Oczywiście, że tego chce – zdziwiła się Sandra. Miała wrażenie, że to wszystko właśnie ku temu zmierza.

– Ale odszedł naprawdę?

– Rozwód w zupełności wystarczy – oświadczyła stanowczo Jolka, spoglądając ostrzegawczo na Martę. Jak zawsze jej spojrzenie nie zostało właściwie zinterpretowane.

– Ja wiem, że ty masz zbyt dobre serce – powiedziała płacząco tamta, serdecznie współczując przyjaciółce.

Tobiaszek był świnia, ale w porównaniu z Markiewiczem... Nie był taki zły. Co nie znaczy, że żałuje, że go nie ma. Po prostu będzie myślała o nim z odrobiną sympatii, a czasem może nawet pójdzie na jego grób. Tyle może zrobić.

Kamelia przełknęła resztkę kaszy jaglanej z truskawkami i miodem, którą znalazła w lodówce Darka, i oświadczyła:

– Dziś środa. Sandra ma siedem dni na powrót do pracy. A my dokładnie tyle samo czasu na oskubanie Tadzika. Zabierajmy się do roboty.

– Ja to zrobię. – Sandra nie kryła podniecenia. Może i jest radcą prawnym, ale ta praca wymaga etyki, a nie moralności. Kiedyś myślała, że to jedno i to samo. Myliła się.

– Moment – powstrzymała ją Kama. – Co dokładnie zamierzasz zrobić?

– Wyślemy mu SMS z jednego z numerów, które kupiłyście. I MMS z jednym ze zdjęć. Musimy podgrzać atmosferę, żeby był gotów zapłacić – wyjaśniła. – Dopiero potem zażądamy pieniędzy.

– A ile? – zapytała Jolka, która do tej pory nie zastanawiała się nad kwotą.

– Ile chcesz?

– Dużo.

– Milion? Dwa?

– To Tadzik ma aż tyle?! – zawołała tamta oszołomiona.

– Ma więcej. Ale więcej niż dwóch milionów w ciągu tygodnia nie zbierze. Resztę zgarniesz przy podziale majątku – zapewniła ją Sandra.

– Jakim podziale? Podpisałam intercyzę.

– Przekonamy go, żeby się podzielił. Mam pewien pomysł.

– Jaki? – zawołały wszystkie trzy. Kamelia mniej wyraźnie niż pozostałe.

– Możecie notarialnie przeprowadzić podział majątku.

– Jasne, a Tadzik na to pójdzie! – zakpiła Kama.

– Jolka dostanie zdjęcia na swój telefon i zmusi męża do wyrażenia zgody – wyjaśniła Tomaszewska.

– Dlaczego nie zrobić tego od razu? – zapaliła się do pomysłu Martusia.

– Bo większość kasy Markiewicz trzyma w bankach za granicą. Może być kłopot z oficjalnym oszacowaniem jego zasobów. Będzie musiał przelać pieniądze tutaj, żeby zapłacić szantażyście.

A nieruchomości nie ukryje – wyjaśniła Sandra.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – Jolka nie kryła zaskoczenia.

– Szukałam czegoś na niego, ale dokopałam się tylko do kasy. Tobie się przyda. Mnie niekoniecznie.

– Jolka, co ty zrobisz z dwoma milionami w gotówce? Wpłacisz do banku? Nie możesz przecież trzymać pieniędzy w tapczanie.

– Dlaczego w gotówce? – zdziwiła się Sandra. – Założysz konto w mBanku. Do przelewu wymagany jest tylko numer rachunku. Nie potrzeba danych odbiorcy, więc Markiewicz się nie zorientuje, że to twoje konto.

– A jak pójdzie na policję? Przecież w końcu się wyda, że żyjesz. On mi tego nie odpuści...

– Najpierw będzie musiał udowodnić ci szantaż, a to nie będzie możliwe, bo kiedy wyciągniesz od niego kasę i podpiszesz umowę u notariusza, zwiniemy mu telefon. Bez komórki nie udowodni, że ktokolwiek go szantażował – tłumaczyła Sandra. – Zaufaj mi – przekonywała Jolkę. – Wiem, co robię. Przecież siedzę w tym wszystkim razem z wami, a za coś takiego straciłabym uprawnienia do wykonywania zawodu. Za dużo mnie kosztowało skończenie studiów i zrobienie aplikacji, żebym miała to zaprzepaścić. No i jeśli znajdziemy na Markiewicza coś, co pozwoli mi zostać w firmie, a on nie będzie mógł bruździć w moim życiu prywatnym i zawodowym, będziesz mogła to wykorzystać, żeby zostawił cię w spokoju.

– Chcesz upiec więcej niż jedną pieczeń na tym ognisku. Jestem za. – Martusia nie miała wątpliwości, że im się uda. W końcu Sandra jest prawnikiem i pomaga im w popełnieniu przestępstwa. Przecież na samą siebie bata by nie kręciła.

– Panie mecenasie, jest pan wreszcie! – Lida, sekretarka doskonała, której byle co nie było w stanie wyprowadzić z równowagi, wybiegła zza biurka na jego spotkanie.

Markiewicz gniewnie zmarszczył brwi. Kac dawał mu się we znaki. W głowie pulsowało nieznośnie. Pusty dom powitał z wdzięcznością, choć brak wyprasowanej koszuli nie wpłynął pozytywnie na jego samopoczucie. Wrzeszczącą piskliwym głosem sekretarkę przywitał z niechęcią.

– O co chodzi? – zapytał, nie kryjąc złości. – Zachowuje się pani jak przekupka na targu!

– Ależ panie mecenasie – zaczerwieniła się ze wstydu – takie straszne rzeczy!

Czyżby znaleziono ciało Tomaszewskiej? – przemknęło mu przez myśl.

– O co chodzi? – powtórzył pytanie już znacznie spokojniej.

– Pan Adam Tomyslak nie żyje! – Lidzie trudno było zapanować nad głosem. – Taki młody! Taki zdolny!

Tadeusz stanął jak wryty. Nie tej odpowiedzi się spodziewał.

– Jak to się stało?

– Wypadek samochodowy. Podobno wszedł prosto pod koła. Na czerwonym świetle. Zginął na miejscu – opowiadała sekretarka. – Wczoraj w ogóle nie przyszedł do pracy. Panie mecenasie, byli tu ci dwaj policjanci co ostatnio. Dopytywali się o mecenasa Tomyslaka i pańskie relacje z nim, a zaraz potem okazało się, że on nie żyje. To straszne!

– Tak, bardzo – przytaknęła machinalnie.

Śmierć Tomyslaka rozwiązywała problem jego zwolnienia. Wypadek zostanie przyjęty obojętnie przez klientów. Nie odbije się to w żaden sposób na kancelarii i jej wizerunku. On sam też powinien być już bezpieczny, skoro zamachowiec nie żyje. Jedynym problemem pozostaje zaginione ciało Sandry. Najlepiej byłoby ją zwolnić dyscyplinarnie za nieusprawiedliwioną nieobecność w pracy.

– Pani Lido, niech Tomaszewska do mnie przyjdzie.

– Nie ma jej dzisiaj, panie mecenasie – powiadomiła go.

– Jak to, nie ma?! – Tadeusz udał złość. – Proszę do niej zadzwonić i zażądać, by natychmiast się tu stawiła. W przeciwnym razie ma się już nie pokazywać! – Czuł się jak idiota, ale trudne sytuacje wymagają poświęceń.

– Ale, panie mecenasie... Mecenas Tomaszewska zawiadomiła kadry z samego rana, że jest chora. Ma zwolnienie lekarskie!

– Co... co... kto? – jąkał się. Takiej odpowiedzi się nie spodziewał.

– Dostarczy je listownie, bo nie wolno jej wychodzić z domu – wyjaśniła Lida, a widząc nagłą bladość pracodawcy, zapytała z troską: – Panie mecenasie, czy wszystko w porządku? Źle się pan czuje?

– Nie, nie, doskonale. Ale to fatalnie. Mecenas Tomaszewska jest mi niezbędna, a do tego nie ma jej kto zastąpić, bo Adam... No cóż... Proszę mi podać mocną kawę i sok pomarańczowy.

– Oczywiście.

– Pani Lido, czy Tomaszewska telefonowała osobiście?

– Z tego, co wiem, poprosiła kogoś, by zadzwonił w jej imieniu. Podobno ma kłopoty z mówieniem...

– Rozumiem.

Oczywiście, że ma kłopoty z mówieniem. Przecież jest martwa. Tadeusz zamknął drzwi i ledwo dotarł do swojego biurka, gdzie bezwładnie opadł na fotel. Wokół niego działy się rzeczy przekraczające granice pojmowania. Jego dwaj przyjaciele nie żyli. Tobiasz zmarł w tak idiotyczny sposób, że bardziej już się nie da. Maciej zginął przez głupi przypadek.

On sam został napadnięty. Sandra była martwa, ewentualnie... Tak, to możliwe, mogła być tylko nieprzytomna. Albo nawet działała w porozumieniu ze sprawcą. Tylko co by zyskała na... No właśnie, na czym? Na tajemniczym zniknięciu? Wszystkich jego przyjaciół i kochankę spotykają same nieszczęścia. Jolka zażądała rozwodu i... Tak, wszystkie nieszczęścia kumulują się wokół niego. Czyżby był przeklęty?

– Oszalałeś, człowieku – szepnął. – Może i pochodzisz z zabitej dechami dziury, ale to nie znaczy, że wierzysz w te wszystkie zabobony. Nie przyciągasz nieszczęść. Nikt cię nie przeklął.

Przed jego oczami stanęły trzy kobiety niczym trzy makbetowskie wiedźmy. Marta Skalka, Kamelia Padecka, Jolanta Markiewicz. Po plecach przebiegł mu dreszcz zwiastujący, że wydarzy się coś złego. Nie musiał długo czekać. Wystarczyło, że przeczytał wiadomość, która właśnie nadeszła na jego telefon komórkowy z nieznanego numeru.

**WIEM KIM JESTEŚ. WIEM GDZIE MIESZKASZ. WIEM CO ZROBIŁEŚ.**

– Rany Julek. Genialne! – szepnęła z podziwem Martusia.

– A nie można by tak od razu do rzeczy? – Kama również była pod wrażeniem, lecz nie miała skłonności sadystycznych, jak niektórzy w tym towarzystwie.

– Tak jest doskonale – stwierdziła autorytatywnie Jolka. – Jeszcze nie wie, o co chodzi, ale już zaczyna się denerwować. Ma swoje na sumieniu. Teraz będzie przypominał sobie wszystkie złe rzeczy, które komuś zrobił. Do tego gdzieś w pobliżu nadal czai się morderca, a jak znam Tadzika, nikomu tego SMS-a nie pokaże. Będzie się kisił we własnym sosie.

Jolka знаła męża jak przysłowiową własną kieszeń. Tadeusz spocił się jak mysz, serce waliło mu jak oszalałe. Ręce trzęsły mu się ze strachu, gdy odpisał: „Kim jesteś?”.

– Sukinsyn – burknął po chwili.

Nie otrzymał raportu doręczenia, widać telefon został wyłączony. Będzie na łasce i niełasce nadawcy, dopóki tamten się nie odezwie i nie powie, czego chce i za co. Markiewicz zbyt długo pracował w tym zawodzie, by się nie zorientować, o co chodzi. To szantaż. Pytanie tylko, kto to, co wie i ile go to będzie kosztowało. Dopóki się nie dowie, nie może podjąć żadnych działań.

– Panie mecenasie, pańska kawa. – Lida weszła śmiało do gabinetu. Na tacy niosła filiżankę kawy, cukier, śmietankę, sok pomarańczowy. – Przed chwilą dzwoniła pańska żona. Prosiła, żeby panu przekazać, że otrzymała dziwną wiadomość i prosi o telefon.

– Jaką wiadomość? – zaniepokoił się Markiewicz.

– Powiedziała tylko, że dziwną. Była zdenerwowana. – Postawiła tacę na biurku. – Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze?

– Nie, to wszystko.

Nie poznawał własnego głosu, który nagle zaczął brzmieć chrapliwie. Łapczywie wypił całą szklankę soku i odstawił ją z brzękiem na tacę.

Nie ma co zwlekać. Trzeba się dowiedzieć, o co chodzi.

Jolka odebrała już po pierwszym sygnale.

– Jestem w pracy. Co jest tak ważnego, że musisz mi przeszkadzać? – Nie silił się na uprzejmość. Chciała wojny, będzie miała wojnę. Rozvodu głupiej krowie się zachciało!

– Jest wściekły – szepnęła Jolka do przysłuchujących się kobiet. Głośno zaś powiedziała:

– Dostałam SMS z nieznanego numeru. Dziwna wiadomość. Przeczytam ci: „Zapytaj męża, co zrobił”. Nic nie rozumiem...

– Ktoś się wygłupia i tyle, a ty mi zawracasz głowę! Co to za numer?! – zapytał podniesionym głosem, próbując w ten sposób zamaskować własny strach.

Jolka odczytała dziewięć cyfr, dokładnie tych samych, które miał w swoim telefonie.

– Zajmę się tym – burknął jeszcze, nim się rozłączył. – Kurwa mać! – zaklął.

Ktoś zdobył namiary nie tylko na niego, ale i na jego rodzinę. Jeśli szantażysta naprawdę coś na niego ma, Jolka nie może się o tym dowiedzieć, bo puści go z torbami! Ale co robić? Co robić? Nie może nikomu o tym powiedzieć. Nie miał do kogo się zwrócić. Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu poczuł się bezradny jak mały chłopiec.

Jolka zachichotała złośliwie, chowając telefon do torebki. Innej niż ta, w której rozlał się likier wiśniowo-czekoladowy. Tamta wylądowała w śmietniku.

– Ale czad! – oznajmiła radośnie. – Do wieczora będzie się trząsał jak galareta! Co dalej?

– Musisz założyć konto w mBanku. Najlepiej osobiście – poradziła jej Sandra. – Na razie nic więcej nie robimy. Kolejny SMS wysłę wieczorem do was obojga.

– Myślicie, że Tadeusz pęknie? – zapytała Kamelia, wkładając do ust ostatniego krakersa.

– Ja bym pękła – oświadczyła Martusia, udając, że nie widzi ironicznych spojrzeń przyjaciółek.

– OK, plan jest taki. Jedziemy do mBanku założyć konto. Potem trzeba załatwić zwolnienie dla Sandry. Znajoma z jogi jest lekarzem. Wystawi. Następnie SPA i jakiś dobry obiad na mieście. Co wy na to?

– Dla mnie brzmi jak raj – westchnęła Martusia. – Nie pamiętam już, jak wyglądają dobrze ułożone włosy. Zrobiły mi się odrosty. Po śmierci Tobiaszka nie miałam do tego głowy, a potem wszystko tak szybko się potoczyło. Mój pogrzeb, twój pogrzeb – zwróciła się do Kamy. – Potem ta akcja z twoimi zwłokami. – Wskazała palcem na Sandrę. – Za dużo tego.

– Chcesz jechać z nami? – zaproponowała Kamelia ich świeżo nabytej przyjaciółce.

– Czy ja wiem... – zawahała się Sandra. – A jak mnie ktoś zobaczy?

– Ciemne okulary. Chustka na głowę. Chustka na szyję. Nikt się nie kapnie. A w SPA dostaniesz maseczkę na twarz. Zresztą w ciuchach Darka wyglądasz jak chłopak – przekonywała ją Kama.

– To dzwonię po taxi – ucieszyła się Martusia.

– Nie mam pieniędzy...

– Ja stawiam – oznajmiła wspaniałomyślnie Jolka. – Właściwie to Tadzik. Mam jego kartę kredytową.



– Nie zablokował jej? – zdziwiła się Kama.

– Przecież powiedziałam, że mam jego kartę, a nie swoją. Wyjęłam mu rano z portfela, jak spał. – Uśmiechnęła się szyderczo i jakby trochę z żalem dodała: – Znam go lepiej niż on mnie. Czy to nie przerażające?

Bartosz Kalinka odłożył telefon i z poczuciem winy spojrzął na swoją partnerkę. Baśka poprawiała zsuwającą się z włosów gumkę i przewróciła kolejną stronę raportu, który czytała. Odwaliała robotę i za siebie, i za niego.

– Idę po kawę. Chcesz? – zapytał.

Zamknęła raport i odłożyła go do teczki, ignorując wyciągniętą do zgody rękę Bartka. W milczeniu sięgnęła po leżącą na biurku korespondencję.

Kalinka nie zamierzał jej pozwolić na takie zachowanie.

– Jak masz mi coś do powiedzenia, to słucham!

Stał naprzeciwko niej w szerokim rozkroku, z założonymi na piersi rękami.

– Jesteś idiotą – poinformowała go, nie podnosząc oczu. Nożem do listów otwierała kolejne przesyłki.

– To cała lista zarzutów? – zakpił, próbując zmusić ją do konfrontacji.

Sam nie wiedział dlaczego. Zwalił na nią całą robotę, a mimo to kryła go przed szefem. Uprzejmością nie grzeszył. Traktował ją jak psie gówno. Miała prawo być na niego wściekła. Rozdrażnianie jej nie prowadziło do niczego dobrego.

– W tym słowie zawiera się wszystko – odparła spokojnie. – Chciałam zostać w waszym wydziale, ale zmieniłam zdanie, więc nie obchodzi mnie, co ty wyprawiasz. Ja zamierzam wrócić do siebie z pochwałą w aktach, a współpracując z tobą, jej nie dostanę, bo ty nie robisz kompletnie nic. Wisisz tylko na telefonie i szukasz dziury w całym. Sprawa Skałki jest zamknięta i nie możesz nawet wezwać wdowy na przesłuchanie, bo nie masz podstaw. Sprawę Markiewicza i Padeckiego prawdopodobnie zamkną w ciągu kilku tygodni, może dwóch. Główny podejrzany zginął, a innych nie mają. Jeśli zamach na Markiewicza się nie powtórzy, odłożą akta na półkę. Markiewiczowa się rozwodzi, a to nie jest karalne. Coś pominęłam?

– Nie – burknął. Cała para się z niego ulotniła. Baśka miała rację. Teoretycznie. Bo praktycznie czuł, jak wątpliwości drażną mu w głowie dziurę wielkości krateru Etny. Ludzie wierzą w Boga, choć nigdy go nie widzieli. Bartosz wierzył swojej intuicji. – Wezmę urlop. Bezpłatny.

– Dzięki Ci, Panie Boże. – Baśka złożyła ręce jak do modlitwy. To nie idiota. To tylko kretyn. – Rób, co chcesz, tylko już beze mnie. Za taką postawę powinieneś wylecieć z policji, ale nie martw się, ja na ciebie nie donoszę. Zrobi to pewnie nowy partner. Nikt nie chce pracować z idiotą.

– Nowy partner? – zdumiał się Kalinka.

– Zgadza się. Twój wspierający głupotę kumpel po chorobowym idzie na emeryturę. Nikt ci nie powiedział? – zapytała z obłudnym współczuciem.

Ani przez moment nie żałowała tego dupka. Dobrze, że go zdradziła. Żałowała tylko, że ze swoim kolegą, a nie z jego. Wtedy miałyby poprzekładane wszystkie klepki, a nie tylko te antyfeministyczne.

Teraz już cztery przyjaciółki w wieku, gdy ceni się znaczenie tego słowa na „s”, zakończonego na „ks”, siedziały mniej lub bardziej wygodnie na przechylonych do tyłu fotelach w SPA. Na głowach miały białe turbany z ręczników frotté, otulone były miękkimi szlafrokami w tym samym kolorze, na twarzach, dłoniach i stopach położono im maseczki, każdą w innym kolorze. Siedziały w milczeniu, żeby maseczki nie popękały, z plasterkami czegoś chłodnego na powiekach, czegoś, co mogło być ogórkiem, awokado albo czymś zupełnie innym, co zamówiły w zestawie kosmetycznym, a czego nie widziały na oczy.

Jolka po raz pierwszy od lat rozmyślała o swoim życiu bez troski i z przyjemnością. Czekala ją jeszcze kilkuniedniowa szarpanina, ale wszystko zmierza ku lepszemu. Będzie mogła schudnąć. Zmieni fryzurę i kolor włosów. Dość tego oszpecaenia się. Zamiast rudego strzeli sobie ładny orzechowy brąz. Każe wycieniować włosy i skróci je tak do ramion. Zapisze się na fitness. Może zacznie chodzić na basen. Ma dopiero trzydzieści osiem lat. Pozna kogoś przystojnego, najlepiej młodszego. Niedużo, kilka lat. Koniecznie po trzydziestce. Może zarejestruje się na Sympatii? Kto wie, co przyniesie przyszłość.

Martusia miała wyrzuty sumienia. Jej wszystko poszło jak z płatka, a Jolka musi się tak męczyć. Życie jest takie niesprawiedliwe dla sponiewieranych żon. Ile wyrzeczeń, ile poświęcenia trzeba włożyć w małżeństwo, a i tak jedyne, co można dostać w zamian, to kopniak w tyłek na odchodne. Ta Sandra nawet nie jest taka zła. Dzięki niej nie będą musiały zabijać Tadeusza, a i tak go się pozbędą. To miła niespodzianka od losu, czyż nie?

Kamelia jak zwykle odczuwała głód. Nie wiedziała tylko, na co miała ochotę. Lody z malinami? Polędwiczki z indyka? Brokuły w sosie beszamelowym? Może pojedą na obiad do tej nowej francuskiej restauracji?

O rany, zupełnie zapomniala o Darku. No nic, zadzwoni do niego później. Teraz i tak nie dałaby rady wybrać numeru.

Sandra nie miała złudzeń co do swoich świeżo zdobytych przyjaciółek. Nic tak nie łączy ludzi, jak wspólny wróg. Nie pamiętała, kto to powiedział, ale miał rację. Jedyne, co je łączyło, to chęć pozbycia się tego samego mężczyzny. Na litość boską, te kobiety chciały ją żywcem zakopać w lesie!

Ale wierzyła Jolce, że ta jej pomoże. Toteż mając możliwość dręczenia Tadeusza, zrobi to nawet na odległość, a potem wieczorami będzie z satysfakcją popijać wino, ciesząc się, że zyskała wreszcie upragnioną wolność i szczęście, a ta męska gnida cierpi.

Jeszcze tylko kilka dni i życie ich wszystkich zmieni się bezpowrotnie.

Tadeusz zamknął się w swoim gabinecie. Te trzy rozchichotane idiotki działały mu na nerwy, lecz abstrahując od jego relacji z Jolką, nie mógł wyrzucić z własnego domu dwóch klientek, które powierzyły prowadzenie swoich spraw jego kancelarii. Musiał znosić je tak długo, jak długo będzie tu mieszkała jego żona. A zamierzał pozbyć jej się z domu niezwłocznie. Był świadom tego, że będzie musiał utrzymywać tę rozlazłą krowę, lecz przynajmniej przestanie ją codziennie mieć przed oczami.

Sprawa rozwodu musi na razie poczekać. Są ważniejsze problemy do rozwiązania. Na razie szantażysta milczał. Tadeusz łudził się, że może to tylko głupi dowcip rozeźlonego klienta albo przeciwnika w sądzie. Może nic więcej się nie wydarzy.

Nie bez powodu mawia się jednak, że nadzieja jest matką głupich.

Uświadomił mu to MMS, który właśnie przyszedł na jego telefon. Były tam dwa zdjęcia. Pierwsze z nich przedstawiało martwą Sandrę, całą we krwi. Na drugim widniała jego ręka – obrączka i zegarek na zamówienie nie mogły należeć do nikogo innego – z palcami zaciśniętymi na trzonku kuchennego noża.

I SMS, który przyszedł potem.

**ODCISKI PALCÓW NA NARZĘDZIU ZBRODNI NALEŻĄ DO ZNANEGO WARSZAWSKIEGO PRAWNIKA.**

Ups...

Miał szczęście, że toaleta była tuż obok jego gabinetu. Tylko dzięki temu zdążył do niej dobiec, nim zwymiotował wszystko, co zjadł w ciągu dnia.

Kolejny dzień nie zaczął się dla niego lepiej. Lida na jego widok poderwała się jak pies gończy i ruszyła ku niemu truchcikiem, czego nie był w stanie pojąć. Żeby wejść do gabinetu, musiał przejść

obok jej biurka. Po jaką cholere ę ta kobieta biegnie do niego jak tresowany piesek? Jakie ę trudne do ogarnięcia nawyki starej panny? Co bę dzie dalej? Rzuci mu się na szyję?

– O co znowu chodzi? – zapytał niegrzecznie.

– Detektyw Ziajka osobi ęście przyni ęł fakturę wraz z naliczoną karą za bezpodstawne zerwanie umowy. Mecenas R ężniczek bardzo się tym zdenerwował i powiedział, że jak tylko pan przyjdzie do pracy, ma się pan stawić w biurze zarządu i lepiej, żeby miał pan dobre...

– Proszę im przekazać, że mogą się ode mnie odpieprzyć. Mam wa ęniejsze sprawy na głowie niż lizanie ich tyłków. Jak znajde ę czas, to do nich zajrzę. Nie wcześniej.

– Mam powiedzieć, że... – Nie była w stanie dokończyć. Mecenas Markiewicz nigdy nie używał tak wulgarnych i niegrzecznych słów. Aż się zatrzę ęła z oburzenia.

– Dokładnie to, co powiedziałem.

Trzasnął drzwiami najmocniej, jak tylko potrafił, lecz wcale nie zrobiło mu się od tego lepiej. Wręczył przeciwnie. Huk rozsadał mu czaszkę. Musi przestać pić.

Spokój nie był mu jednak pisany. Właśnie miał poprosić o kawę, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

– Proszę! – krzyknął.

Lida pewnie ju ę ją niesie, pomyślał z zadowoleniem. Jedyna kobieta w jego życiu, która nigdy go nie zawiodła. Niestety, nie tym razem. Przyszła z pustymi rękami. Nie było tacy z fili ęanką parującej, aromatycznej kawy, dzbanuszka ze śmietanką ani cukierniczki w kwiatki.

– Co znowu? – warknął rozczarowany.

Sekretarka zawahała się chwilę, nim podeszła do biurka.

– Przepraszam, panie mecenasie, ale osoba, która dzwoniła, powiedziała, że pan czeka na tę wiadomość.

– Jaką wiadomość?

– To chyba numer konta. – Podała mu kartkę z szeregiem równo zapisanych cyfr.

– I co mam z tym zrobić?

– Ta osoba powiedziała, że pan będzie wiedział...

– Ta osoba? Nie przedstawiła się? – Strach znów go chwycił w swoje szpony.

– Nie jestem pewna...

– Czego pani jest pewna?! – Podni ęł głos.

– No bo ta osoba przedstawiła się jako pańska żona, ale głos był jakiś taki chrapliwy. Zupełnie nie jak pani Jolanty...

– Moja małżonka jest przeziębiona – oświadczył krótko.

– Ach tak... Oczywiście, nie pomyślałam o tym... Jest lipiec i...

– Moja żona jest alergiczką, a nie jakąś osobą. Proszę to sobie zapamiętać – polecił.

– Oczywiście. Tylko...

– Proszę kawę. Natychmiast.

– Oczywiście. – Szybko umknęła z pokoju.

Szef jeszcze nigdy jej tak nie potraktował. Nigdy. Lida prawie płakała, gdy biegła przygotować ulubioną kawę mecenasa Markiewicza.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Tadeusz natychmiast zadzwonił do żony.

– Telefonowałaś do mnie?

– Nie. Dlaczego miałabym to robić? – Jolka udała zdziwienie.

Mrugnęła porozumiewawczo do kobiet siedzących w kuchni Darka, który poszedł ju ę do pracy i w końcu przestał się dopytywać, o co w tym wszystkim chodzi i dlaczego jest intruzem we własnym domu.

– Nie dzwoniłaś do mojej sekretarki?

– Nie. Nie dzwoniłam. Po co miałabym do niej dzwonić?

– Po nic. – Rozłączył się.

Jeśli to nie Jolka, w takim razie musiał to być szantażysta. Dlaczego, u licha, podał się za jego żonę? Czyżby chodziło o zastraszenie? Pokazanie, że niedługo inne osoby zaczną zadawać pytania, jeśli on, Tadeusz, nie zastosuje się do poleceń tamtego? To była chora gra, ale mecenas nie miał dotąd pomysłu, jaki ruch mógłby wykonać.

W tym momencie ktoś inny powiedział mu, co ma robić.

DWA MILIONY. NUMER KONTA JUŻ DOSTAŁEŚ.

„Nie ma mowy” – odpisał, wściekle uderzając w klawisze telefonu.

MASZ TRZY DNI.

„Nie mam takich pieniędzy” – wystukał nerwowo.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem zaczęły przychodzić kolejne SMS-y. Nazwy banków, w których miał konta. Lista nieruchomości, które posiadał. Wykaz firm, których akcje kupił.

Jolka z zadowoleniem przeglądała się w lustrze. Nowa fryzura była bardzo twarzowa. Trzaśnięcie drzwi wejściowych zasygnalizowało, że ktoś wrócił do domu. Albo dzieci, albo mąż. Tylko tej trójki brakowało. Jej przyjaciółki okupowały kuchnię.

Wyszła z łazienki i stanęła u szczytu schodów. Jej dwie latorośle z chmurnymi minami wlokły się na górę, jakby przygniatały je wszystkie grzechy ludzkości.

– Co zmalowaliście? – przywitała ich podejrzliwie.

– Ładnie wyglądasz – powiedziała zdziwionym tonem Regina.

– Dzięki, dziecko. Miło mi to słyszeć, ale nie zmieniaj tematu. Co zmalowaliście? – zapytała groźnie.

– Matka, ty jak zawsze – westchnął Tymoteusz. – Złe wieści mamy.

– To widzę. Pytam się jakie!

– Ojciec naprawdę może cię puścić z torbami – oznajmił ponuro. – Rozmawiałem z Szymkiem. Jego ojciec niedawno się rozwodził z drugą żoną. Mieli intercyzę. Tamta nic nie dostała.

– Martwicie się? – Jolka poczuła, że dostaje skrzydeł.

Najpierw zawiadomili Kalinkę o jej zaginięciu, teraz to. W takich chwilach czuła, że sprawdziła się jako matka.

– Niepotrzebnie – powiedziała, gdy oboje ponuro przytaknęli. – Wasz ojciec zachowa się przyzwoicie i zabezpieczy nas wszystkich.

– No nie wiem, matka. Odgrazał się i...

– Synku – przerwała mu. – Obiecuję, że wszystko będzie dobrze. Chcecie nowy dom czy wystarczy nam ten?

– Dobra. Spadam stąd. – Tymoteusz uznał, że z rodzicielką nie da się rozsądnie rozmawiać.

– Oj, mam, mam. – Regina z ubolewaniem pokręciła głową. – Wpakowałaś się.

Poszła do swojego pokoju. Może matka wreszcie wygląda jak człowiek, ale nadal jest głupia jak but.

Jolka jeszcze nie zdążyła dotrzeć do kuchni, gdy do domu wpadł Tadeusz. Pobiegł prosto do swojego gabinetu. Chyba nawet jej nie zauważył. Uśmiechnęła się z zadowoleniem. To był naprawdę dobry dzień.

Sandra od dawna tak dobrze się nie bawiła. Wiedziała, że Markiewicz wkrótce się zorientuje, że musiała brać udział w szantażu, ale oboje będą wiedzieli, że nic nie może z tym zrobić. Cała lista „że”, która przyszła jej do głowy, wprawiła ją w doskonały humor. Nie będzie miał żadnego dowodu przeciwko niej. Co jej zrobi? Pójdzie do zarządu i powie, że najpierw szantażował ją jej przeszłością,

a potem sam był szantażowany jej rzekomym zabójstwem? Nigdy się do tego nie przyzna, bo straci opinię.

Co nie znaczy, że nie będzie się mścił. Oj, będzie, będzie. Ale w tej chwili zupełnie jej to nie obchodziło. Była pijana. Facet Kamelii miał w lodówce dwie butelki wina na specjalne okazje. Skoro przyszłe ojcostwo nie jest dla niego wystarczającą okazją, by je opróżnić, pani mecenas postanowiła zrobić to za niego.

Jedna butelka stała puściutka, jak ją Pan Bóg stworzył. W drugiej do dna sporo jeszcze brakowało, ale Sandra zamierzała temu zaradzić. Darek nie był zbyt rozgarnięty, lecz bardzo się przejął rolą jej anioła stróża. Musiała przyznać, że to całkiem miła odmiana. Fajny facet, opiekuje się nią i nie próbuje zaciągnąć jej do łóżka. Może powinna się rozejrzeć za podobnym modelem dla siebie? Przecież nie może istnieć tylko jeden prototyp, prawda?

– Jesteś idiotką, Sandra. – Zachichotała pijacko. – Po co ci facet? Mało masz przez nich kłopotów? – Beknęła głośno, co wprawiło ją w jeszcze lepszy humor. Nikt, kto by ją teraz zobaczył, nie uwierzyłby, że ma do czynienia z wcieleniem kancelaryjnego zła.

Markiewicz nie zamierzał przelać ani grosza na konto, które mu wskazano. Nigdy w życiu. Po jego trupie. Zdjęcie nic nie znaczy. Widać na nim, jak zabija Sandrę? Nie widać. Jeśli to wszystko, co ma na niego szantażysta, może się pocałować we własne dupsko. Od niego zaś wara. On, Tadeusz Markiewicz, jest nietykalny. Jego kancelaria jest najlepsza. On sam jest doskonałym prawnikiem. Najdoskonalszym. Nie ulegnie jakiejś tam podłej szumowinie. Nikt mu nie podskoczy.

– Panie mecenasie. – Tym razem Lida nie wybiegła na jego powitanie. Zdaje się, że była na niego obrażona. – Pańscy współpracownicy proszą o natychmiastowe przybycie do biura zarządu. Sytuacja awaryjna.

– Kurwa mać! – zaklął Markiewicz, rzucając aktówkę pod drzwiami gabinetu. – Czy ja choć raz nie mogę popracować w spokoju jak normalny człowiek?! – ryknął.

Lida drgnęła gwałtownie, otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Trwała tak, patrząc tępo na szefa.

– I czego rozdziawiasz tę mordę?! – wrzasnął Tadeusz.

Tego było już dla niej za dużo. Po jej policzkach pociekły łzy. Ze szlochem uciekła do toalety.

– Kurwa! – zaklął jeszcze raz, ale nie pomogło.

Kopnął więc swoją aktówkę i bynajmniej tym nieusatisfakcjonowany, ruszył na spotkanie z zarządem. Ciekawe, czego te pieprzone dupki od niego chcą. Fakturę wystawioną przez detektywa Ziajkę zobowiązał się pokryć z własnej kieszeni, więc o co, kurwa, jeszcze może chodzić tym kutasom?!

Markiewicz sam siebie nie poznawał. Do tej pory chlubił się swoim opanowaniem. Teraz był strzępkiem nerwów. Czyżby utrata kontroli doprowadziła go do takiego stanu?

W biurze zarządu przy owalnym stole siedziało już czterech jego współpracowników: Madej, Kopytko, Różniczek i DobYTEK. Przed każdym z nich stała filiżanka. Zajął swoje miejsce i skinął ręką na stażystkę – nie pamiętał jej imienia – każąc jej podać jeszcze jedną kawę.

– Co jest tak ważnego, że nie mogło poczekać, aż wejść do własnego gabinetu? – zapytał nonszalanckim tonem.

– Chwila. – Madej gestem nakazał milczenie.

Pozostali milczeli chmurnie, czekając, aż dziewczyna opuści gabinet.

Z ust Markiewicza wyrwało się poirytowane sapnięcie.

– O co chodzi? – zapytał już spokojniej, gdy zostali sami.

– Dostaliśmy dziwną wiadomość. – Madej postanowił osobiście przekazać złe wieści koledze.

– Jaką?

– Chcesz powiedzieć, że tylko ty jej nie dostałeś? – zapytał podejrzliwie Różniczek.

Dobytek i Kopytko mruknęli pod nosem coś, co według Markiewicza nie brzmiało dobrze.

– Nie wiem, o czym mowa – zdenerwował się. Oby to nie miało nic wspólnego z...

– „Dobytek, Kopytko, Madej, Różniczek, Markiewicz. Jeden z was jest mordercą. Entliczek pentliczek, na kogo wypadnie, na tego być” – przeczytał na głos Madej.

Tadeusz milczał zszokowany. Tego się nie spodziewał. Szantażysta poluje na niego jak na zającą, zaciska pętlę coraz ciasniej. Jeśli nie zgodzi się zapłacić... Co będzie dalej? Zdjęcia?

– A, ten SMS. Wykasowałem go – skłamał. – Uznałem to za głupi dowcip konkurencji. Przecież nikt z nas nie dopuściłby się czegoś takiego...

– Wykasowałeś? – zdziwił się Madej. – To mógł być dowód...

– Dowód czego? Czyjejś głupoty? Żaden z nas nie popełnił morderstwa. Koniec. Kropka. Nie ma o czym mówić – oświadczył stanowczo, mając nadzieję, że pot płynący mu po plecach nie ścieka na podłogę.

– Nie powinniśmy tego bagatelizować – odezwał się Kopytko. – Ktoś próbuje szantażu...

– Jeśli tak, robi to wyjątkowo nieudolnie – przerwał mu Tadeusz. – Może to tylko głupi kawał... My wygraliśmy, ktoś inny przegrał. I jakiś pajac odreagowuje porażkę.

– W takim razie to groźba – uznał Dobytek.

– Niby jaka? Dziecięca rymowanka? Róbcie, co chcecie, ale mnie w to nie mieszajcie. Tomyslak nie żyje. Tomaszewska chora. Mam za dużo pracy, żeby się zajmować dyrdymałami. Ale w tej kancelarii zawsze tak było. Dobrzy prawnicy zarabiali prawdziwe pieniądze, kiepscy marnowali czas.

Markiewicz wyszedł z biura, pozostawiając nietkniętą kawę. Tego było dla niego za wiele. Chusteczką od nosa wytarł szkła okularów. Chyba z wrażenia oczy zaczęły mu się pocić. Jak burza wpadł do swojego gabinetu. Zalogował się na stronie banku i zaczął sprawdzać stan swoich finansów. Ma dwa dni na zdobycie pieniędzy.

– Jesteś pewna, że to się nie wyda? – Martusię zdjął nagły lęk.

– Przecież o to chodzi, żeby wiedział, że to ja go oskubałam, a Sandra mi pomogła – odpowiedziała za nią Jolka.

– Ale żeby nie mógł nic udowodnić – dodała z uśmiechem prawniczka.

Czuła się coraz lepiej. Miała niesamowite szczęście, że Adam nie uszkodził jej krtani. Jak to wszystko się zakończy, na wszelki wypadek pójdzie do poradni laryngologicznej. Na razie musi się cieszyć zwolnieniem lekarskim, które zdobyła dla niej Jolka. Od alergologa. Lepsze takie niż od psychiatry, uznała.

– Dziś ostatni dzień. Myślicie, że zdąży? – Jolka nie była tak podekscytowana nawet w dniu swojego ślubu.

– Napisał, że zapłaci. Manewr z zarządem podziałał – powiedziała Kama. Tak przy okazji, to był jej pomysł. A Sandra miała doskonałą pamięć do numerów.

– To był świetny pomysł – pochwaliła obie Martusia.

– Skręca się jak dżdżownica – poinformowała je Jolka, nakładając sobie podwójną porcję lodów pistacjowych.

Trochę się denerwowała, ale widok Tadzika, który był tak zaabsorbowany swoim problemem, że traktował je wszystkie jak powietrze, stanowił dla niej największą nagrodę. Mamrotał coś do siebie, ganiał jak z rozwolnieniem. Wciąż czuła od niego alkohol. Te rozbiegane, podkrążone oczy, te drżące ręce... To było jak przysłowiowa wisienka na torcie.

– Jest przerażony – dodała z satysfakcją.  
– Dziewczyny, dostałam wiadomość. – Sandra spoważniała. – „Chcę gwarancji milczenia” – przeczytała.  
– To od Tadzika?  
– Yhm – przytaknęła tamta.  
– Nie zapłaci? – wystraszyła się Martusia.  
– Zapłaci. – Prawniczka była o tym przekonana. – „Numer konta jest gwarancją. Ty masz haka na mnie, ja na ciebie” – mówiła głośno, co pisze do Markiewicza.  
– Co odpisał? – ponaglała ją Kamelia, gdy przyszła wiadomość zwrotna.  
– „To za mało” – przeczytała. – Dobra. Koniec z uprzejmościami. – Sandra na powrót zamieniła się w zimną sukę. Towarzystwo tych trzech trochę ją rozkleiło, ale czas na powrót stać się sobą.

Szybko wystukała:

NIKT POZA MNĄ NIE WIE, GDZIE JEST CIAŁO. TYLKO JA MAM NARZĘDZIE ZBRODNI Z TWOIMI ODCISKAMI PALCÓW. ZARYZYKUJESZ?

– Kurwa! – zaklął Markiewicz.

Podrapał się po łysej głowie, najchętniej złapałby się za włosy, ale nie miał ich wystarczająco dużo. Upił łyk czystej wódki prosto z butelki i odpisał:

ZAPŁACEŃ.

Ze względu na Kamelię opijanie zwycięstwa postanowiły odłożyć na później. Powetują to sobie za kilka miesięcy, kiedy przyjaciółka przestanie karmić dziecko. Zostały im do zrobienia jeszcze dwie rzeczy. Muszą usunąć całą korespondencję z telefonu Tadzika. I znaleźć jakąś gwarancję bezpieczeństwa dla Sandry. Ich sojuszniczka zbyt wiele przeszła, by zostawić ją samej sobie. No i, co najważniejsze, dzięki niej Jolka stała się bogata. A dzięki intercyzie mąż nie miał dostępu do jej pieniędzy. Czyż prawo nie jest cudowne?

– Musimy jej pomóc – powiedziała przyszła rozwódka.

– I trzeba szybko naprawić twoje auto. Cud, że jeszcze nie dostałyśmy mandatu za brak reflektora – uświadomiła im Martusia.

Dzisiaj zamiast taksówką jeździły audi Jolanty. Z wgniecioną maską i bez jednego reflektora.

– Pieprzyć audi, jest zarejestrowane na Tadzika. Niech sobie z nim robi, co chce. Nienawidzę tej kolubryny. Kupię sobie coś małego, czym zaparkuję w mysiej dziurze.

– No cóż, stać cię – oznajmiła z powagą Kamelia, po czym parsknęła śmiechem. – Nie mogę uwierzyć, że nam się udało.

Chwila, w której na koncie Jolki pojawiły się dokładnie dwa miliony polskich złotych, została powitana przez całą czwórkę grobową ciszą, która po chwili przemieniła się w zbiorowy pisk. Żadna z nich nie wypila kropli alkoholu, ale szumiało im w głowach.

– To prawda. Jeszcze tylko kwestia domu. Tadzik musi go przepisać na mnie. Doszłam do wniosku, że lubię swój dom. Nie lubię tylko Tadzika. Zrobię, jak radziła mi Sandra.

– Jak go przekonasz? – zmartwiła się Martusia.

– To nie będzie trudne – uśmiechnęła się jadowicie. A przynajmniej miała taki zamiar, bo jej uśmiech jak zawsze był łagodny i godny samej Madonny.

Jolka, popijając wino, czekała na powrót Tadeusza. Dochodziła północ, gdy wtoczył się do domu. Rumor, który uczynił, obudziłby nawet świętego, choć świętych w tym domu nie było. Nic dziwnego więc, że na schodach pojawiła się widownia. Martusia w kusej koszulce, Kamelia w męskim T-shircie,

Regina w legginsach i bokserce, Tymoteusz w szortach. Wszyscy zasnęli, z niedowierzaniem, obserwowali czołgającą się po schodach postać w garniturze.

– Ojciec? – Regina poznała go po łysinie na czubku głowy.

– Ojciec – przytaknęła spokojnie Jolka, która z dołu obserwowała poczynania męża.

Tadeusz, stopień po stopniu, jak zmutowany wąż z nogami, ni to pełzł, ni to człapał po schodach, na czworakach, rzecz jasna. Dwie kończyny to było dla niego zdecydowanie za mało, by zdołał utrzymać pozycję pionową.

– Dzieci, nie ma na co patrzeć – powiedziała. – Ojciec idzie do siebie. Jestem pewna, że do rana trafi do swojej sypialni.

Tymoteusz z pogardą pokręcił głową. Z uznaniem spojrzął na długie, gołe nogi blond przyjaciółki matki. Ruda też była niczego sobie. Regina trąciła go łokciem.

– Ale siara – syknęła.

Tymoteusz wzruszył ramionami. Nie wnikał, czy mowa o nim i jego zainteresowaniu starszymi babkami, czy też o ojcu. Było mu wszystko jedno.

Tadeusz czuł się tak zmęczony, że dotarł tylko do połowy schodów. Tam ręce odmówiły mu posłuszeństwa, nie chcąc utrzymać ciężaru ciała. Zgięły się w łokciach, głowa opadła mu w dół i tak utknął, na kolanach, z siedzeniem wypiętym do góry, wykonując jakieś pokraczne ruchy. Wyglądał jak martwa żaba, która jeszcze porusza odnóżami.

– To trzeba uwiecznić – powiedziała Martusia.

Nie tylko ona wpadła na ten pomysł.

Tymoteusz wrócił niepostrzeżenie i pstryknął kilka zdjęć pijanemu ojcu, upewniając się, że choć na jednym jest widoczna jego twarz. Kolejne fotografie uwieczniły aktówkę z dokumentami, leżącą przy drzwiach wraz z przewróconym wieszakiem na kurtki. Wśród tego wszystkiego wałała się pusta butelka po wódce.

– Dziecko kochane, co ty robisz? – zapytała podejrzliwie Jolka. – Ja wiem, że Facebook kocha takie ujęcia, ale to jednak twój ojciec.

– Żaden Facebook, matka. Do sądu się przyda.

Jak on nie zadba o jej interesy, to będzie musiał iść do pracy, gdy tylko skończy szkołę. A jak ma ją skończyć, skoro go wywalili? Muszą wyciągnąć od ojca kasę, inaczej będzie miał przesrane.

– Do sądu? – Jolka zmarszczyła czoło. Spojrzała na męża. Już nie podrygiwał. Chrapał.

– Pewnie. To, co tu widzisz – chłopak pokazał palcem bałagan przy drzwiach – to efekt awantury domowej, którą właśnie urządził twój mąż. Nim padł.

– Jakiej awantury?

– Domowej, matka. Domowej. Regina i ja już wszystko ustaliliśmy.

– To znaczy co? – Jolka nie kryła zdumienia.

– Jesteś ofiarą przemocy domowej.

– Co takiego? – zdumiała się. – Chcecie kłamać?!

– Żadne kłamać, matka. Prawda ma wiele warstw. Jak cebula. Jak ojciec podniósł głos, to znaczy, że wrzeszczał i się awanturował. Powiedział coś niemiłego pod twoim adresem – czyli obrażał cię i obrzucał wyzwiskami. Lubisz seks z ojcem?

– Hę? – Jolka zdębiała.

– Czyli nie. Więc zmuszał cię do współżycia. To się nazywa gwałt – poinformował ją z powagą. – Nic się nie martw, matka. Nie zostawimy cię samej z tym zwyrodnialcem – zapewnił ją jeszcze, nim wrócił do siebie.

– Te twoje dzieci nie są takie złe – stwierdziła z zadumą w głosie Kama.



– Poszukajmy lepiej jego telefonu – przypomniała im Martusia.

Miały zadanie do wykonania. Muszą usunąć wszystkie ślady przestępstwa. Wiadomość do współników Markiewicza została wysłana z innego numeru niż ten, z którego Tadzik otrzymywał polecenia. Żaden dowód w sprawie.

– Racja. – Jolka postanowiła na razie nie komentować pomysłu syna.

Nie zamierzała ciągać dzieci do sądu, ale podobał jej się ich tok myślenia. Trzymając w jednej ręce kieliszek z niedopitym winem, drugą sięgnęła do marynarki małżonka, leżącej obok wieszaka, na którym prawdopodobnie próbował ją zostawić i wraz z nim się przewrócić.

– Ale tak sobie myślę – powiedziała, przeglądając skrzynkę odbiorczą i kasując kolejne wiadomości – że taki pijak tylko cudem nie zgubiłby telefonu. – Skasowała ostatnią wiadomość i wyjęła z aparatu kartę SIM. – To do kibla – poinformowała przyjaciółki. – A komórka do Wisły. I problem mamy rozwiązany.

Nocna działalność przyszłej rozwódki nie zakończyła się na splukaniu karty SIM w toalecie. Obiecała Tomaszewskiej, że jej pomoże, i zamierzała dotrzymać słowa. Należało się to Sandrze choćby dlatego, że spała z jej mężem. Zazdrość przyszłej rozwódki była związana raczej z poczuciem własności niż uczuciami, które Jolka żywiła do Tadzika. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że powinna być wdzięczna jego kochance. Ostatnie tygodnie były prawdziwą oazą spokoju, jeśli chodzi o te rzeczy. W dodatku ich sojuszniczka sprawę szantażu załatwiła szybko i sprawnie. Nie poruszała także tematu pogrzebania jej żywcem, co było naprawdę uprzejme z jej strony.

Jolka zaczęła darzyć młodą prawniczkę pewną sympatią. Przynajmniej o tyle, o ile było to możliwe w zaistniałych okolicznościach. Dlatego uznała, że oprócz spokoju psychicznego Sandrze należy się zadośćuczynienie finansowe. Ku jej zdziwieniu, tamta odmówiła.

– Co to znaczy, że nie chcesz pieniędzy? Wszyscy chcą pieniędzy! – zaatakowała ją Kamelia.

– Ja nie. Pragnęłam zemsty i ją dostałam – powiedziała stanowczo ich sojuszniczka.

– Zemsta zemstą, ale...

– Nie – przerwała Kamelii. – Ja naprawdę nie potrzebuję pieniędzy. Dorobiłam się już własnego mieszkania. Niedużego, ale własnego. Mam też trochę oszczędności. Do tego dodajmy moje przyszłe zarobki. I co najważniejsze, nie chcę pieniędzy Markiewicza.

Nie potrafiła tego wyjaśnić, lecz dla niej te pieniądze były po prostu brudne. Niewykluczone, że gdy to wszystko się skończy, będzie potrzebowała pomocy psychologa. Zaczynała odczuwać zbyt wiele emocji, nad którymi nie panowała. Psycholog pomoże je wszystkie pochować. Najpierw, rzecz jasna, będzie się upierał, że trzeba je wyciągnąć na światło dzienne i zmierzyć się z nimi. Ale ona płaci, ona wymaga.

– Mam dla ciebie coś innego. Nie wiem, czy ci to pomoże... – Jolka podała jej czarną teczkę, którą znalazła w sejfie Tadzika. Sama niewiele z tego rozumiała, ale może trafiła na prawdziwą skrzynię złota. Byłe czego nie trzyma się w sejfie.

Sandra z zaciekawieniem wzięła teczkę. Otworzyła ją i zaczęła z uwagą przeglądać poszczególne dokumenty. Martusia, Kamelia i Jolka z zapartym tchem czekały na werdykt Tomaszewskiej.

– Wiecie, co to jest? – zapytała oszołomiona.

– Nie – odparły zgodnym chórkim.

– Tajemnica sukcesu zawodowego mecenasa Markiewicza – poinformowała je z ironią. Miała ochotę tańczyć z radości.

– To znaczy? – zapytała nieufnie Kama.

– Krótko mówiąc, Tadeusz dawał w łapę.

– Korupcja? – Martusia była zszokowana.

– To mnie nie dziwi – przyznała z westchnieniem Jolka. – Czyli załatwiłyśmy go?

– Załatwiłyśmy – potwierdziła Sandra.

Nagle wszystkie cztery kobiety zgodnie przybiły w powietrzu piątkę. Oczy im błyszczały radośnie. W tym momencie w kuchni pojawił się Darek, dźwigający dwie torby zakupów.

– Coś świętujemy? – zapytał z ciekawością, patrząc z uśmiechem na Kamę, która dopadła do jednej z toreb i zaczęła rozgrzebywać jej zawartość. Nie była już tak szczupła, jak w dniu, kiedy ją poznał, ale co tam. Będzie ojcem.

– Wolność – powiadomiła go Sandra z oczami pełnymi łez.

Podkrążone oczy, przekrwione białka, skóra żółtawa i cuchnąca. Tadeusz pił dopiero od tygodnia, a wyglądał jak menel. Miał szczęście, że Jolka poprzestała tylko na domu i niebotycznie wysokich alimentach. Reszta majątku jej nie interesowała. Z tym, co mu ukradła z gabinetu, mogła zażądać skolonizowania Marsa.

Dwa dni wcześniej byli razem u notariusza. Podpisał wszystko, co chciała, uznając, że i tak wykpił się tanim kosztem.

Co nie znaczyło, że nie znenawidził tej cwanej krowy.

– Myślę, że to wszystko. – Jolka bez pukania weszła do jego byłego gabinetu. Przesunęła wzrokiem po pustych półkach. – Sprawę rozwodową zlecę innej kancelarii. Pamiętaj tylko, że rozwód ma być z twojej winy.

– Oczywiście. – Omal nie zazgrzytał zębami.

Najchętniej przegryzłby teraz tętnicę szyjną żony i patrzył, jak ta harpia się wykrwawia, ale nie mógł. Tymoteusz nie odstępował matki na krok. Mianował się jej duchem opiekuńczym.

– Nie powinieneś być w szkole? – warknął na chłopaka.

– Mam wakacje – odparł syn.

– No tak... – Tadeusz zawstydział się nieoczekiwanie.

Ale potem zobaczył utkwione w sobie spojrzenie Jolki i gniew znów go zalał potężną falą. Nie potrafił zrozumieć, jak znalazł się w tym punkcie. Został wyrzucony z własnego domu. Stracił większość majątku bez gwarancji ze strony szantażysty, że ten nie przekaze policji narzędzia zbrodni. Jako prawnik wiedział doskonale, że to pograżyłoby go całkowicie. A jeszcze zeznania ochroniarza, któremu kazał się zawieźć do Tomaszewskiej... Mógł sobie powtarzać, że się nie boi, ale nie wybroniłby się z tego.

– To na mnie już pora. – Minał Tymoteusza, nie patrząc na niego.

W korytarzu stały te dwie suki, którym nie mógł powiedzieć, co o nich myśli, żeby nie polazły do innej kancelarii. Sam sobie nie wierzył, że nie zaszkodzi interesom tych czarownic. Postanowił przyjąć kogoś na miejsce Sandry i zlecić temu komuś zajmowanie się ich sprawami.

Pod drzwiami stał ostatni karton z jego rzeczami. Zawierał jakieś drobiazgi, których nie zdążył spakować, gdy wczoraj przyjechała firma przeprowadzkowa. Tadeusz wynajął apartament z widokiem na Wisłę.

– Jolka... – Odwrócił się, stojąc w drzwiach. – Mogę ci zaufać?

Oboje wiedzieli, o czym mówił.

– Oczywiście. Tak samo jak ja tobie – odparła spokojnie.

Tadeusz milczał. Jak mógł się tak pomylić w jej ocenie? Załatwiła go.

Tego dnia przyszedł do pracy już o siódmej. Było sporo do nadrobienia. Mimo postanowienia, że kończy z alkoholem, znów miał kaca. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Sekretarka już pewnie jest u siebie.

– Pani Lido – połączył się z nią przez interkom. – Proszę kawę, sok pomarańczowy i proszę mi

zamówić jakieś śniadanie.

– Oczywiście.

– Czy są dla mnie jakieś wiadomości?

– Nie, panie mecenasie.

– Proszę mi przynieść akta Krotkowskiego. Te dotyczące umowy...

– Zabrała je pani mecenas Tomaszewska.

– Kto taki? – Chyba się przesłyszał. Tomaszewska? Niemożliwe! Przecież ona...

– Mecenas Tomaszewska – powtórzyła zaniepokojona sekretarka. Szef był dziś całkiem uprzejmy, oby znów nie wpadł w ten sam nastrój co ostatnio.

– Przyjeliśmy kogoś nowego o tym samym nazwisku? – Tak, to było jedyne logiczne wyjaśnienie.

Zbieżność nazwisk.

– Nie, panie mecenasie. – Z trudem ukryła zdziwienie. Nie chciała go rozdrażniać. – Pani mecenas wróciła do pracy. Jej zwolnienie się skończyło i...

Rozłączył się. Opadł na fotel. Sandra jest w pracy. Jak to możliwe? Musi ją zobaczyć na własne oczy. Jeśli ona żyje, to znaczy, że... To znaczy, że... on, Tadeusz Markiewicz, jest idiotą!

Zdumiona Lida odprowadzała wzrokiem oddalającego się szefa. Markiewicz biegł korytarzem, co nigdy mu się nie zdarzało. Miał przekrzywiony krawat. Minał bez słowa jednego z prawników, który zaczął coś mówić. I urwał zmieszany, gdy mecenas przeszedł obok niego jak obok ducha.

Drzwi otworzyły się, z rozmachem uderzając w ścianę. Sandra spodziewała się tej wizyty. Ku swemu zdumieniu, w chwili, gdy przekroczyła próg kancelarii, zniknęła przerażona dziewczyna z lasu, a pojawiła się Sandra Tomaszewska. Zimna. Bezwzględna. Ambitna. Mściwa.

– Dzień dobry, panie mecenasie. Za godzinę skończę nanosić poprawki na umowie. Będzie pan uprzejmy się z nimi zapoznać? – Głos miała doskonale profesjonalny, obojętny.

Markiewicz zamknął za sobą drzwi i wolno podszedł do biurka. Z nienawiścią patrzył na siedzącą za nim kobietę. Ciemne włosy miała starannie uczesane. Okulary w złotej oprawie zsunęły jej się na czubek nosa. Ogromne szare oczy patrzyły na niego taksująco.

– Myślisz, że ujdzie ci to płazem? – zapytał groźnie.

– Co takiego? – Odchyliła się na fotelu i z uśmiechem triumfu wskazała ręką leżącą na biurku teczkę. – Na przykład to?

Tadeusz wbrew sobie otworzył ją. Nie spodziewał się tego, co znajdzie w środku. Były to kopie dokumentów, do których dorwała się Jolka.

– Oryginał jest w bezpiecznym miejscu. Jeśli to wszystko, chciałabym wrócić do pracy – powiedziała chłodnym tonem.

Został odprawiony jak uczeń. Wyszedł jednak bez słowa. To było zbyt wiele na jego zszarpane nerwy. Kiedy utracił kontrolę nad swoim życiem? Jakim cudem Jolka i Sandra... Zaraz, zaraz... Czyżby jego żona miała coś wspólnego z... No tak, to dlatego Jolka nie domagała się pieniędzy! Chciała tylko dom i alimenty.

Resztę dnia spędził całkowicie skoncentrowany na pracy. Jak robot. Podświadomie jednak wiedział, że ten spokój jest tylko pozorny. Tak naprawdę był w szoku. Gdy fasada runie, on, Tadeusz, pęknie jak bańka mydlana. Ma dość. Musi się stąd wydostać. Musi się napić.

Sandra weszła do kawiarni ostatnia. Padecka, Markiewiczowa i Skałkowa już czekały. Wszystkie trzy machały do niej jak szalone. Cud, że nie nadawały znaków dymnych.

– I co?

- I jak?
- Opowiadaj!
- Tylko szybko!
- Zaraz umrę z ciekawości...
- Wściekł się?
- Zemdlał?
- Groził ci?

Wszystkie trzy pytały jednocześnie, nie dopuszczając jej do głosu. Sandra usiadła przy stoliku, uniosła rękę na znak, że chce zacząć mówić, a gdy ucichły, oświadczyła krótko:

- Wszedł i wyszedł. Koniec.
- Nie chodzi ci o seks? – zapytała podejrzliwie Jolka.

– Nie – zachichotała Sandra. Obie znały temat z autopsji. – Był wściekły jak cholera. Pokazałam mu kopię dokumentów z czarnej teczki. Zbladł, zatrzęsł się i wyszedł. Uważaj na siebie. Domyślił się, że ty mi ją dałaś.

– Spokojnie. Wymieniłam zamki, kupiłam psa. Dam radę. – Użyła słów syna, które usłyszała dziś rano, gdy poinformowała dzieci, że ojciec nie tylko zostawia im dom i będzie płacił alimenty, ale zabezpieczył finansowo całą trójkę na długie, długie lata.

- Dałaś radę, matka – powiedział z dumą Tymoteusz.
- Jakoś poszło – odparła skromnie.
- Ja też dam radę. Skończę szkołę jak człowiek.
- Naprawdę? – zdziwiła się.

– Pewnie. Gdybym kiedyś miał zostać bez kasy, muszę mieć jakiś zawód – poinformował ją całkiem dorosłym tonem.

- Dam radę – powtórzyła z uśmiechem Jolka.

Przyjaciółki uścisnęły ją serdecznie.

Martusia nie byłaby sobą, gdyby nie powiedziała na koniec:

- I nawet nie musiał odejść.

Kalinka miał urlop dopiero od dziś. Baśka nie chciała z nim gadać. A on nie potrafił przestać. Musi zbadać tę sprawę do końca, nie byłby sobą, gdyby tak po prostu odpuścił.

Problem w tym, że nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Jeśli jego teoria jest słuszna i te kobiety zawiązały spisek, kolej na Markiewicza.

Dlatego pojechał pod dom Jolanty Markiewicz.

Dlatego śledził je, gdy pojechały taksówką do centrum. Wsiadły przed kawiarnią, a on jak idiota krążył w kółko, szukając miejsca do zaparkowania.

Tadeusz wyszedł z biura. Dusił się. Miał dość. Musiał się napić. Po drugiej stronie ulicy była kawiarnia, gdzie podawano też alkohol. Wypije drinka czy dwa, to powinno rozjaśnić mu w głowie. Skierował się do przejścia dla pieszych. Ulica była zbyt ruchliwa, by ryzykować przechodzenie w innym miejscu.

Stał przy krawężniku i czekał na zmianę świateł.

Za szybą kawiarni dostrzegł coś, co przykuło jego uwagę. Przysiągłby, że widzi tam Jolkę. Jolkę i jej sabat. Tylko ich mu tutaj brakowało. Ze wszystkich miejsc w Warszawie musiały przyjść właśnie tutaj. Już miał zawrócić, gdy dostrzegł jeszcze jedną kobietę, w beżowej sukience.

- Sandra... – Furia zmaćła mu wzrok i jasność myślenia. Chciał tylko już tam być. Złapać ją za chudą

szyję i potrząsać nią tak długo, aż wszystkie kości wypadną z ciała. A potem chwyci Jolkę i...

Zrobił krok do przodu. Wprost pod koła nadjeżdżającego pojazdu.

Nie wiedział, co się stało. Ostatnie, co pamiętał, to samochód wyjeżdżający z parkingu na ulicę, tuż przed kawiarnią. A potem wstrząs. Huk, gdy wybuchła poduszka powietrzna. Ból. Ciemność przed oczami.

Chyba kogoś przejechałem, pomyślał komisarz Kalinka, zanim całkowicie stracił przytomność.

– Myślisz, że powinniśmy wysłać mu kwiaty? – Martusia trąciła łokciem Kamelię.

Rudowłosa przyjaciółka wyglądała całkiem atrakcyjnie w ciężowej sukience, podkreślającej niewielki okrągły brzuszek, którego przysłała matka już nie musiała ukrywać. Rzuciła szybkie spojrzenie na wdowę numer trzy, siedzącą obok nich w pierwszej ławce, i odszepnęła:

– Przecież kupiliśmy tej gnidzie wieniec.

– Nie o niego mi chodzi, tylko o tamtego gline, co przejechał Tadzika. – Martusia również zerknęła na Jolkę.

Ulokowały się po jej prawej stronie, dzieci usiadły po lewej. Jolka ze spuszczoną głową słuchała kazania proboszcza i na szczęście nie zwracała uwagi na szepty przyjaciółek.

– Zwariowałaś?! – syknęła Kama.

– Jakkolwiek by na to spojrzeć, przysłużył się Jolce, że hej! Same byśmy tego lepiej nie wymyśliły. I szkoda mi go.

– A mnie nie. Już zapomniałaś, jak cię przesłuchiwał? Gdyby mógł, wpakowałby nas wszystkie do mamra.

– Oprócz Jolki. Sam załatwił jej męża.

– To był wypadek.

– Myślisz, że Bóg istnieje?

– To, że jesteś w kościele, wcale nie znaczy, że musisz zacząć wierzyć.

– Skoro nie Bóg nad nami czuwał, to kto? Zobacz, jak nam się poukładało. Same wypadki, a my mamy czyste ręce.

– Ty nie.

Martusia spojrzała na nią ze złością.

– Ile razy mam powtarzać, żeby to był wypadek?!

– Zamkniecie się w końcu?! – Zdenerwowana Jolka trąciła łokciem Martusię. – Słyszę każde wasze słowo!

– Oj... – Tamta zmarkotniała. – Ja tylko...

– Czekoladki mu jeszcze wyślijcie. Najlepiej Merci.

– Ale ja...

– Zamknij się!

Teraz Kama wbiła Martusi łokieć w bok z taką siłą, że ta aż pisnęła z bólu. Ksiądz umilkł i spojrzał ze zdziwieniem w jej kierunku. Martusia pokryła zmieszanie zbolałym uśmiechem i wydmuchała głośno nos.

– Tadeusz Markiewicz był filarem naszej społeczności – podjął proboszcz. – Ogólnie szanowany, znany z dobrego serca i chęci niesienia pomocy potrzebującym. Zapisał się na stałe w naszych sercach i w naszej pamięci, pozostawiając po sobie dwoje wspaniałych dzieci i pogrążoną w żalu żonę.

To, że pogrążona w żalu Jolka właśnie oglądała swoje paznokcie, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zapomniała zamówić sobie termin na manikiur, chyba umknęło jego uwagi.

– Jakim filarem? – Zdziwiona Kama pochyliła się w stronę Martusi.

– Ćsss... – syknęła ta. – Kasę wziął, musi coś dobrego powiedzieć.

– Ale takie dyrdymały?

– Widocznie Jolka przepłacała.

– Jak pięknie powiedział ksiądz Jan Twardowski: „Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą, zostaną po nich buty i telefon głuchy...”.

– Buty? – zachichotała Martusia, pokrywając nieprzystojący podczas smutnej uroczystości dźwięk kolejnym wydmuchaniem nosa w chusteczkę. – Teraz już wiem, dlaczego wszyscy cytują tylko początek.

– Idiotka – skwitowała krótko Kama.

W tym momencie ksiądz najwidoczniej skończył, bo obecni podnieśli się z miejsc; ekipa panów w czarnych frakach i białych rękawiczkach podeszła do trumny, dźwignęli ją i zaczęli wynosić z kościoła.

Wdowa wraz z dziećmi podążyła za trumną. Jej przyjaciółki szły tuż za nimi.

– Skałkowa robiła więcej hałasu niż wdowa numer trzy – zauważyła Baśka, gdy żałobnicy mijali ich kolejno.

– Padecka jest w ciąży – zauważył Kalinka, chowając się przed wzrokiem Markiewiczowej za partnerką.

– To nie jest karalne. I nie chowaj się tak za mną. Z tym bandażem na twarzy i tak nikt cię nie rozpozna – powiedziała z ironią Baśka.

Odradzała Bartkowi przyjdzie tutaj, zwłaszcza że uciekł ze szpitala, by móc się pojawić na uroczystości. Nikt nie chce widzieć sprawcy wypadku na pogrzebie członka swojej rodziny, choćby wypadek był nieumyślny i wszyscy świadkowie zgodnie zeznali, że ofiara sama weszła pod jadący samochód, do tego na czerwonym świetle.

Komisarz Kalinka nie mógł jednak sobie darować, że mimowolnie przejechał człowieka, chociaż prawdziwą przyczyną śmierci Tadeusza Markiewicza – jak stwierdził lekarz – był zawał. Wdowa zostałaby wdową i bez udziału Bartosza, jednak nie można mu było tego przetłumaczyć. Kalinka wmówił sobie, że to wypadek był przyczyną zawału. Facet śmiertelnie się wystraszył i padł. Fakt, że wcześniej sam wszedł pod samochód, bo być może już miał ten zawał, jakoś do komisarza nie docierał.

Wokół grobu był taki tłum ludzi, jakby to był pogrzeb wielkiego dostojnika państwowego, a przynajmniej burmistrza. Policjanci stanęli z boku. Baśka nie czuła potrzeby rzucania się w oczy wdowie. Gdyby jej tymczasowy partner tak się nie upierał, nie przyszłaby tu. Przynajmniej tyle dobrego, że Bartek przestał w kółko opowiadać o spisku uknutym przez te trzy kobiety, żeby pozbawić życia swoich mężów.

Owszem, to dość dziwne, że wszyscy trzej zginęli w wypadkach – no tak, Padecki zmarł przypadkiem, choć uszkodzenie hamulców nie było przypadkowe – w krótkich odstępach czasu. Jednak ona osobiście nie widziała w tym nic podejrzanego, zwłaszcza że do ostatniego zgonu przyczynił się Kalinka. To rozwiewało wszelkie ewentualne wątpliwości.

Jak się potoczą losy jej kolegi... No cóż... To zależy od prokuratora. Baśka wątpiła, by ktokolwiek chciał stawiać mu zarzuty. Jechał tak wolno, że gdyby nie zawał, facet byłby najwyżej potłuczony.

– Matka, jesteś pewna, że stać nas na rachunek za knajpę? – Tymoteusz z niepokojem przyglądał się tłumowi krążących po sali osób.

– Twojego ojca stać – odparła filozoficznie Jolka, popijając koniak.

To, co przeżyły przez ostatnie dni, skutecznie uodporniło jej system nerwowy na wszelkie przejawy ingerencji sił nadprzyrodzonych. A one właśnie musiały się tu wtrącić, stawiając na drodze Tadzika komisarza Kalinkę i jego samochód.

– Jest martwy – przypomniała jej córka.

– Ale jego konto nie.

Jolka spojrzała uważnie na dzieci. U żadnego z nich nie dostrzegła oznak żalu po śmierci ojca. To było niepokojące. Nie wychowała chyba dwójki socjopatów? Mogły go nie lubić, ale żeby do tego stopnia?

– To znaczy, że chociaż chciałaś się z nim rozwieść, dostaniesz całą kasę? – Tymoteusz, zgodnie z naturą nastolatka, walił prosto z mostu.

– Zgadza się.

– A ja?

– Ty też, ale dopiero jak będziesz pełnoletni. I nie myśl sobie, że pozwolę ci rzucić szkołę. Obiecałeś, że ją skończysz! – zdenerwowała się Jolka.

– Spoko, matka. Nie zamierzam być jakimś tłukiem z kasą, którego może naciągnąć byle laska. Się wie, że coś skończę, ale teraz nie ma ciśnienia, no nie? – Wzruszył nonszalancko ramionami, jak tylko nastolatek potrafi.

– Jakiego ciśnienia? – Jolka nie miała pojęcia, o czym on mówi.

– Mogę zostać, kim zechcę, co nie? Kasę będę miał, to nie muszę być jakimś prawnikiem czy lekarzem, żeby zarabiać, czy nie tak?

– No tak... – potwierdziła niepewnie.

– To kim chcesz być? Dilerem narkotyków? – Regina popukała brata w czoło.

– Nie mów takich rzeczy! – wystraszyła się Jolka. – Twój brat nie wpadłby na taki głupi pomysł! Już lepiej niech zostanie politykiem!

– Jedna połowa społeczeństwa będzie patrzyła mi na ręce, a druga wieszala na mnie psy. A potem się zamienią. Nie, dzięki. – Chłopak skrzywił się niechętnie. – Miałem na myśli jakiś szanowany zawód, matka – dodał jeszcze.

Jolka wolała już o nic nie pytać. Im mniej człowiek wie, tym lepiej śpi – tak brzmiało chyba jakieś rosyjskie powiedzenie, kto wie czy jeszcze nie z czasów KGB. Rozejrzała się w poszukiwaniu przyjaciółek, lecz te zniknęły gdzieś w tłumie nieznanym jej ludzi. Ciekawe, czy jest tu choć jedna osoba, która lubiła Tadzika, pomyślała z przekąsem.

– Jesteście! – jęknęła z ulgą, dostrzegając obok siebie Martusię.

Kama podążała za nią wiernie jak cień.

– Nie uwierzycie, kto mi mignął na parkingu! Kalinka tu przyjechał! – ogłosiła.

– Kto? – Regina spojrzała pytająco na matkę.

– Ten policjant, który zajmował się sprawą pana Skalki – poinformowała córkę Jolka.

– A, ten... Całkiem fajny jak na starego pryka – stwierdziła dziewczyna.

– Matka, czy to nie on przejechał nam ojca? – zapytał ostro Tymoteusz.

– Twój ojciec miał atak serca – oświadczyła surowo Jolka. – Powinieneś współczuć temu człowiekowi, że mu ktoś taki wpadł pod koła. Jak ty byś się czuł na jego miejscu?

Wprawdzie miała pewne obiekcje wobec komisarza, lecz mimo to było jej go żal. Ten policjant znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Musiała jednak przyznać, że jest w tym coś makabrycznie zabawnego. Mogłaby się założyć, że Kalinka je śledził i tylko dlatego znalazł się w pobliżu tamtej kawiarni.

– Na pewno nie polazłbym na stypę, żeby się załapać na darmową wyzerkę! – Tymoteusz prychnął pogardliwie i odszedł.

– Pokolenie wapniaków pewnie tak ma – uznała Regina i podążyła za bratem.

– Przynajmniej nie mają depresji – powiedziała Jolce na pocieszenie Martusia, widząc minę tamtej.

– Co nie znaczy, że nie przydałby im się dobry psycholog – dodała sarkastycznie Kamelia. – Jestem

głodna.

– Ty zawsze jesteś głodna.

– Bo jestem w ciąży i jem za dwoje – odcięła się Martusi.

– Jeszcze chwila, a będziesz wyglądała, jakbyś jadła za troje – podsumowała Jolka. – Gdzie widziałyście tego glinę?

Mimo że usilnie starała się dostrzec komisarza, nie mogła go wypatrzeć w tym tłumie. Może jednak nie wszedł do środka?

– Chcesz go wyrzucić? – zapytała Martusia.

– Nie, podziękować.

– Komu podziękować?

Koło trzech przyjaciółek pojawiła się czwarta. Jeszcze nie przyjaciółka, ale miały ze sobą tyle wspólnego, że kto wie, czy pewnego dnia się nie zaprzyjaźnią. Na razie łączyła je wspólnota interesów i chęć zamiecenia brudów pod ten sam dywan.

– Komu podziękować? – Sandra powtórzyła pytanie, gdyż żadna z kobiet jej nie odpowiedziała.

– Kalinka tu jest – poinformowała ją Jolka.

– Mogę go wyrzucić – zaproponowała prawniczka.

– Nie, nie ma potrzeby. Chciałam zamienić z nim parę słów. Biedak musi się okropnie czuć, uważając, że ma Tadzika na sumieniu.

Współczucie w głosie Jolki wywołało pełne niesmaku prychnięcia pozostałej trójki.

– Ja tam bym go nie żałowała. – Sandra obojętnie wzruszyła ramionami.

– Jolka chce mu podziękować – poskarżyła Martusia.

– Może i powinna. – Mecenas Tomaszewska zachichotała nagle, co było zupełnie nie w jej stylu.

Znajomość z trzema wdowami wprowadziła ją jednak w stan dziwnego zidiocenia. – Facet załatwił jej takie alibi, że lepszego się nie da. A Tadeusz wreszcie ze mnie zszedł. I to dosłownie.

– Chcesz mu podziękować za zabicie Tadzika? – Błękitne oczy Martusi zrobiły się jeszcze większe niż zwykle.

– Wiesz, że czasami samym faktem swojego istnienia potwierdzasz wszystko, co się mówi o blondynkach? – zapytała z przekąsem Kamelia, wcinając odebrane kelnerowi koreczki.

– Jesteśmy na stypie. – Jolka interweniowała szybko, by nie doszło do słownej potyczki, która łatwo mogłaby się wymknąć spod kontroli, i to jeszcze w obecności tak wielu świadków, że ewentualna sprawa uległaby przedawnieniu, nim policjanci skończyliby przesłuchiwać ostatniego z nich. – Nie zamierzam nikomu dziękować. Żal mi go i tyle. Wyobrażacie sobie, co musi czuć taki służbista? Przecież facet podejrzewał nas o usiłowanie zabicia mężów, a potem sam niemalże załatwił jednego z nich. Coś takiego musiało zniszczyć cały jego światopogląd!

– Bogu dzięki, że rozmawiamy szeptem. W przeciwnym wypadku to nasz światopogląd uległby gwałtownej zmianie, gdybyśmy nagle znalazły się w pomieszczeniu dwa metry na dwa, z możliwością wzięcia prysznicza dwa razy w tygodniu albo i rzadziej, w towarzystwie kobiet różnorakiego autoramentu – skwitowała kwaśno Kamelia, przełykając ostatni koreczek. W brzuchu jej burczało, a kelnera ani widu, ani słychu.

– Idę go poszukać – oznajmiła Jolka. – A wy zachowujcie się. W końcu to stypa, nie wesele.

– Jakoś nie widzę, żeby ktoś płakał – burknęła Kama, odprowadzając spojrzeniem zboliałą wdowę, która przepychała się przez tłum.

– Kto by pomyślał... Taka łajza była z tego Tadeusza, a tylu ludzi przyszło. – Martusia nie mogła tego pojąć.

– Darmowa wyżerka, to przyszli.



- Mogę was pocieszyć, że część z nich przysłała tylko po to, żeby się upewnić, że w trumnie leży właściwa osoba – oświadczyła jadowitym tonem Sandra.
- Wiesz, że nawet cię lubię? – ze zdziwieniem w głosie ni to zapytała, ni to stwierdziła Kamelia.
- A dziękuję ci bardzo – odparła uprzejmie Sandra. – Mimo trudnego początku również darzę was pewną dozą sympatii.
- Jakiego trudnego początku? – Na czole Martusi pojawiła się zmarszczka.
- No wiesz... Pieprzyłam się z denatem, który był mężem waszej przyjaciółki. Wywiozłyście moje niedosze zwłoki do lasu, żeby je zakopać. Musicie przyznać, że początek naszej znajomości nie należy do standardowych.
- Oj tam... – Martusia spojrzała na nią z zakłopotaniem. – Koniec końców przecież ci pomogliśmy...
- To prawda – przyznała wspaniałomyślnie Sandra, spoglądając wokoło doskonale obojętnym wzrokiem.
- Jej twarz była tak pozbawiona wszelkiego wyrazu, że gdyby nie wiedziały, ile ta dziewczyna ma lat, stawiałyby na nadmiar botoksu pod skórą.
- Właściwie to można chyba rzec, że jesteśmy przyjaciółkami – brnęła dzielnie Martusia.
- Teraz to już przegięłaś – burknęła Kama.
- „Moje otoczenie każdego dnia udowadnia mi, że życie bez mózgu jest jednak możliwe”. – Sandra zacytowała stwierdzenie nieznanego autora, umieszczone na kubku, który widziała pewnego dnia przez szybę sklepową.

Bartosz Kalinka nie czuł się najlepiej w towarzystwie tych wszystkich garniturów i ciemnych garsonek. Właściwie powinien już się przyzwyczaić, wszak był to jego trzeci pogrzeb w ciągu kilku ostatnich tygodni. Tym razem jednak sytuacja była o tyle inna, że on sam czuł się tak, jakby miał wypalone na czole piętno zbrodniarza, a każda osoba, która na niego spojrzała, choćby przelotnie, widziała w nim mordercę. Rzecz jasna, były to urojenia nękanego wyrzutami sumienia policjanta, który jedyny w tym doborowym gronie coś takiego posiadał.

– Mam dość. I tak jej nie znajdę. – Kalinka uznał, że czas się poddać. – Będzie lepiej, jak odwiedzę ją w domu. Chodźmy.

– Wreszcie.

Baśka z ulgą odłożyła na bok talerzyk z czymś, co miało oczy. Nawet nie wiedziała, jak to jeść. Wolałaby zwykłą sałatkę jarzynową, owocową, nawet kotlet schabowy byłby mile widziany. Oczywiście na stypie po pogrzebie mecenasa Tadeusza Markiewicza nie mogło być tak pospolitych dań. Wdowa zdecydowanie przesadziła z menu, pomyślała partnerka komisarza.

– O żeż... – Kalinka z trudem powstrzymał ciąg dalszy, gdy odwrócił się i dostrzegł utkwione w sobie spojrzenie. Wydało mu się, że oczy koloru czekolady patrzą na niego z łagodnym wyrzutem.

– Tu pan jest! – ucieszyła się Jolka absolutnie nieświadoma faktu, że policjant zupełnie opacznie zinterpretował jej wzrok.

– Nie musi mnie pani wyrzucać. Sam wyjdę – oświadczył z godnością.

– Nie zamierzałam pana wyrzucać – odrzekła zdziwiona.

– Nie? – Kalinka wprost zdębiał.

– Nie? – jak echo powtórzyła zdumiona Baśka, wychylając się zza ramienia tymczasowego partnera. Z zaskoczeniem spoglądała na niewysoką kobietkę w mało gustownej czarnej sukience, podkreślającej sporą oponkę na brzuchu.

– Nie – potwierdziła spokojnie Jolka. – Cieszę się, że pana widzę.

– Naprawdę? – Czuł się jak idiota, ale nie był w stanie wykrzesać z siebie ani odrobiny inwencji.

– Chciałam tylko panu powiedzieć, że to nie była pańska wina.

– He?

– Tadzik miał atak serca. Biorąc pod uwagę jego tryb życia i pracoholizm, to musiało się tak skończyć.

Miał pan pecha, że znalazł się na jego drodze. To mógł być każdy inny kierowca.

– Tak?

– Dlatego chciałam panu coś powiedzieć... Chciałam powiedzieć... – To, co chciała powiedzieć, nagle wydało jej się strasznie głupie, ale dokończyła dzielnie, choć z zawstydzeniem: – Wybaczam panu.

Kalinka wyszedł z restauracji półprzytomny. W głowie wciąż rozbrzmiewał mu łagodny głos Markiewiczowej: „Wybaczam panu”.

Baśka odwiozła go pod sam dom i z niepokojem obserwowała, jak wchodził do klatki. Bartek przez całą drogę milczał, patrząc przed siebie otepiałym wzrokiem. Ręce mu drżały. Jego partnerka nie umiała powiedzieć, czy owym aktem łaski wdowa numer trzy uratowała komisarza przed samym sobą czy też właśnie wbiła ostatni gwóźdź do jego trumny. Kalinka albo dojdzie do siebie, albo się załamie. Ona, Baśka, już nic tu nie zdołała.

# Dwa lata później

Baśka powitała niewyraźnym uśmiechem byłego partnera, który z dziwnym grymasem na twarzy wtargnął nieoczekiwanie do jej pokoju w komendzie. Nie wiedziała, jak tego dokonał, ale jego krótkie, niespełna centymetrowej długości włosy były rozczochrane. Krzywo zapięta koszula zapewne została włożona w pośpiechu i guzik nie trafił we właściwą dziurkę.

Zaskoczenie stanowił również sam fakt, że coś takiego mogło się przydarzyć byłemu już komisarzowi Bartoszowi Kalince, słuźbiście i pedantowi, którego niejednokrotnie miała ochotę zabić za przynajmniej jedną z wymienionych cech. To, że nie zrobiła tego z powodu obu, zakrawało na cud.

– Bartek! – zawołała teraz już bardziej zaniepokojona niż zdumiona jego wizytą. – Co się dzieje?!

– Wydarzyło się coś strasznego – wyszeptał zbiełałymi wargami. Popatrzył na nią półprzytomnym wzrokiem. – Moje słońce mnie zabije, jak tylko się dowie!

– Co jej zrobiłeś? – zapytała ostro Baśka. Bartek mógł być jej dawnym partnerem służbowym i życiowym, mogła go kochać, zdradzić, narazić na szwank ich przyjaźń, żyć z wyrzutami sumienia i skamleć potem jak pies o wybaczenie, ale jeśli chodziło o relacje damsko-męskie, liczyła się wyłącznie solidarność jajników. – Wiesz, że jak byłoby trzeba, własnym ciałem osłoniłabym cię przed kulą, ale jak coś zrobiłeś tej kobiecie, to masz po gębie – powiedziała groźnie. – Więc lepiej się zastanów, co...

– Ona jest w ciąży! – Nadal opierał się o drzwi, jakby tylko one ratowały go przed omdleniem. Szczerze mówiąc, zdaniem Baśki wyglądał, jakby właśnie zamierzał zemdleć.

– Gratuluję. – Na jej twarzy pojawił się serdeczny uśmiech, który po chwili zamienił się w złośliwy, gdy pani komisarz uświadomiła sobie powód histerycznego zachowania Kalinki. – Przyszły tatuś wpadł w panikę! – chichotała bez opamiętania.

– Zwariowałaś?! To nie ja jestem ojcem! – Wzburzenie w jego głosie było przemieszane z odrazą, jakby sam fakt uprawiania seksu był czymś odrażającym, nieprzyjemnym i powodującym mdłości.

– Dobra. W takim razie to ona dostanie po gębie! – wyszczała wściekle Baśka.

Początek znajomości Bartka z miłością jego życia nie rokował dobrze na przyszłość. Ów związek do tej pory przyprawiał ją o zawrót głowy, ale skoro Bartosz odnalazł szczęście w tak przedziwnych okolicznościach, cóż innego jej pozostało, jak polubić przyszłą panią Kalinkową? Albo przynajmniej nie nosić w jej obecności broni, żeby przypadkiem nie wypaliła.

– Oszalałaś?! To nie rozwiąże problemu!

– Ale ja pocuję się lepiej!

– To nie ty masz się czuć lepiej, tylko ja!

– Nie pocujesz się lepiej, jak jej przywalę? – zdziwiła się. – Przecież ty tego nie możesz zrobić. Nigdy nie podniósłbyś ręki na kobietę. Zrobię to za ciebie. Nawet nie będziesz musiał patrzeć, jak zmasakruję tę...

– Ani się waź! – Wściekły Bartek podbiegł do jej biurka i oparł się o nie rękami. Jego nos znalazł się tak blisko nosa Baśki, że oczy same zrobiły zeza.

– Nie to nie. – Niemal się obraziła. – Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi...

– Jesteśmy – oświadczył z taką pewnością, że od razu poczuła się lepiej. – Dlatego musisz mi poradzić,

jak mam jej to powiedzieć.

– O rozstaniu najlepiej powiedzieć...

– Jakim rozstaniu? – zdziwił się. – O czym ty mówisz?

– Nie zamierzasz się z nią rozstać? – Baśka czuła, że nie dość, że ma zezę, to jeszcze dostaje wytrzeszczu.

– Oczywiście, że nie! – zaprzeczył żarliwie. – Kocham ją. A ona mnie. I...

– Kocha cię i jest w ciąży z innym mężczyzną?

Już nic z tego nie rozumiała. Ją wykopał ze swojego życia za szybki numer z innym facetem, a zdaje się, że nadal przyszła, a nie niedoszła pani Kalinkowa, pomimo NUMERU, który mu wycięła – nie numerku – nadal jest w łaskach.

– Nie wiem, czy mnie kocha. Będę się cieszył, jeśli mnie w ogóle lubi. Bez względu na wiek kobieta jest kobietą i diabli wiedzą, co jej chodzi po głowie. Wiem, że mnie lubi, jak coś ode mnie chce, a przez większość czasu raczej mnie ignoruje.

Usiadł na krześle naprzeciwko biurka i smętnie zwiesił głowę.

Baśka odnotowała dwie rzeczy. Po pierwsze, jej oczy wróciły do normy, gdy tylko Kalinka się odsunął. Po drugie, jej intelekt znajdował się w stanie odrętwienia, uniemożliwiającym zrozumienie sytuacji. Z tego, co do niej dotarło, Bartek jest w związku z kobietą, która go kocha, choć po chwili stwierdził, że tamta go nie kocha, tylko lubi, i wyłącznie wówczas, gdy go nie ignoruje. Do tego jest w ciąży z innym mężczyzną, a on zamierza wiernie przy niej czy też przy nich, cholera wie, przy kim, trwać.

– Kim jesteś i co zrobiłeś z moim partnerem? – zapytała, siląc się na ponury żart.

– A tobie o co chodzi? Ja do ciebie jak do przyjaciela, a ty...

– A ja nic nie rozumiem – przerwała mu. – Zaczynaj od początku, bo już nic z tego twojego biadolenia nie łapię. Kocha, nie kocha, lubi, ignoruje, będziesz ojcem czy nie będziesz...

– Jakim ojcem?! Chyba dziadkiem!!!

– Dziadkiem?! – Baśka doznała olśnienia. Wreszcie załapała, kto jest w ciąży, więc sama nie wiedząc dlaczego, zauważyła całkiem głupio i od rzeczy: – Przecież ty nie masz dzieci!

– Oczywiście, że nie mam... Mam... Szlag, wiem, że mam kłopoty. – Bartek na ogół nie przeklinał, zwłaszcza przy kobietach, ale tym razem nie mógł się powstrzymać: – Cholerka! Jeszcze nie zostałem oficjalnie ojczymem, a już zaważyłem!

– No wiesz... Inny facet wychowywał twoją pasierbicę przez... Piętnaście lat?

– Osiemnaście – poprawił ją odruchowo.

– O! I do tego pełnoletnia! – ucieszyła się Baśka.

Jej radość nie dotyczyła jednak wieku młodej matki, lecz tego, że związek przyjaciela jest zupełnie normalny, a nie zwichrowany, jak przed chwilą przypuszczała. Dziecka spodziewała się córka przyszłej pani Kalinkowej, nic dziwnego więc, że Bartek z takim oburzeniem zareagował na sugestię o możliwości romansu ze swoją pasierbicą. Mimo że dzieci trafiły mu się już odchowane, co ma pewne zalety, i mające już własne zdanie, co może stanowić pewien mankament, gdy człowiek stara się przekazać im jakieś prawdy życiowe – Bartek do roli ojczyma podchodził z pełną odpowiedzialnością.

– Więc nie ty jesteś winien, tylko ten, pożałuj się Boże, świętej pamięci tatuś – kategorycznie oświadczyła Baśka.

– Myślisz? – rzucił z nadzieją, ale zaraz sam sobie odpowiedział: – Nie jestem świnią. Nie będę zwał wina na nieboszczyka, który już nie może się obronić.

– No tak... – zmarkotniała.

Te rycerskie maniery wpędzą go kiedyś do grobu, pomyślała, patrząc na poruszonego przyjaciela.

– Muszę o tym powiedzieć jej matce – oznajmił z przygnębieniem.

– A ona sama nie może tego zrobić?

– To ja znalazłem test ciążowy w łazience – odparł ponuro.

– O! – westchnęła ze współczuciem Baśka.

– No – przytaknął kwaśno.

– O! – zawołała jeszcze raz, tym razem bowiem dotarło do niej, że Bartek ma tylko dowód poszlakowy.

Wprawdzie jest jakaś ciąża, ale dlaczego biedak przypuszcza, że to test pasierbicy? Może nie zostanie dziadkiem, lecz ojcem? – O! – powiedziała po raz trzeci, tym razem ze zgrozą. To dziecko nie może urodzić się normalne, pomyślała z przerażeniem. Nie z takiej mieszanki genów.

Kalinka spojrział na nią uważnie. Gama wykrzykników zmusiła go do zastanowienia. Każdy brzmiał tak samo, przynajmniej werbalnie, za każdym razem jednak zdawał się wyrażać coś innego. Ale co?

– Pewnie sama powie matce, tylko kiedy? Może dopiero jak ciąża będzie widoczna? Przecież nie mogę udawać przed moim słońcem, że nic nie wiem. Zatajenie prawdy to to samo co kłamstwo.

– Jasne. – Barbara z trudem powstrzymała ironiczne prychnięcie.

Z takim podejściem Bartek będzie wciąż się spowiadał nawet ze złej myśli. Może i szczerść jest dobra w związku, ale tylko do pewnego stopnia. Przecież jak kobieta pyta: „Kochanie, jak wyglądam?” – w żadnym razie nie można odpowiedzieć: „Masz za grube nogi do tak krótkiej sukienki”. Prawidłowa odpowiedź wówczas brzmi: „Bardzo ładnie, skarbie, ale bardzo podobasz mi się też w tych dzinsowych spodniach, które podkreślają twoją talię”.

Rzecz jasna, żaden facet na to nie wpadnie, chyba że jest zawodowym dyplomatą i posiada przynajmniej dwudziestoletnie doświadczenie jako attaché kulturalny. Na Bartka w tym zakresie nie można liczyć.

– To co mam zrobić? – zapytał tak żałośnie, że aż zrobiło jej się go żal.

– Na twoim miejscu zaciągnęłabym córcię przed oblicze matki i kazała jej się do wszystkiego przyznać.

– No nie wiem... – zawahał się. – Może mnie znienawidzić...

– Pozmieniasz pieluchy i wrócisz do łask.

– Czy ja wiem...

– Zachowujesz się gorzej niż baba – skwitowała z niesmakiem. – Gdzie się podział ten twardziel w policyjnym mundurze?

Bartek spojrział na nią z urazą. To dlatego im się nie udało. Baśka była za mało kobieca. Świetny z niej kumpel, ale do związku się nie nadawała. Wciąż jej się wydawało, że to ona nosi spodnie. On chciał kobietę, która wie, że jest kobietą, choćby to miało oznaczać, że będzie manipulowany i maltretowany, ale potem przytuli swoje słońce i znowu zacznie się czuć potrzebny. Po co mu kobieta, która zamiast chronić się za męskim ramieniem – rzecz jasna, należącym do niego – poda mu żakiet i powie: „Potrzymaj, kochanie, żeby się nie pogniół. Zaraz zmiotę tego łobuza z powierzchni ziemi”.

– Na mnie już czas – powiedział głośno.

Ładna blondynka z zamyśloną miną spoglądała na zamknięte drzwi, zupełnie nieświadoma przemyśleń swojego przyjaciela.

– Nie mam czasu. – Kama nawet nie raczyła spojrzeć w stronę Darka.

Odkąd wykupiła klub fitness, miała więcej pracy, niż mogła przypuszczać. Okazało się, że prowadzenie własnej działalności gospodarczej wymaga znacznie większego zaangażowania niż tylko podpisywanie papierków, które ktoś inny podsuwa. Pieprzone opery mydlane, pomyślała ze złością. Ci wszyscy bogaci biznesmeni nie robili nic więcej, tylko trwonili pieniądze i pieprzyli swoje sekretarki. W polskiej rzeczywistości to się nie sprawdza.

– Jak możesz nie mieć czasu dla swojego dziecka? – Darek mówił cicho, żeby nie obudzić małej, ale

wzburzenie w jego głosie było niemal namacalne.

- Dla swojego dziecka zawsze mam czas – odparła, przerzucając kolejną kartkę raportu księgowej.
- To się nim zajmij!
- Przecież śpi!
- Chcę wyskoczyć na mecz z kolegami. Nie możesz jej popilnować?
- Nie mam czasu – powtórzyła. – Nie widzisz, że pracuję?
- Nie mogłaś zostać po prostu bogatą wdową?

Darek był urażony. Pewnego dnia Kama postanowiła znaleźć sobie zajęcie i wykupiła klub fitness, w którym wcześniej dbała o formę i gdzie się poznali. Efekt był taki, że zaangażowała się w nowe zajęcie tak bardzo, że nie starczało jej czasu na nic więcej. Szczególnie dla niego.

– Gdzie się podziała ta drapieżna kocica, która wpadała do mnie do gabinetu i ściągała mi spodnie, nim zamknęły się drzwi? – Tym razem w jego głosie słychać było raczej nostalgię.

– Została matką i kobietą interesu. A demon seksu z siłowni nie miał wcześniej resztek zielonego groszku na głowie.

Kama nawet nie spojrzała w jego stronę, ale Darek odruchowo przesunął dłonią po włosach. Natknął się na kleistą substancję, która istotnie mogła być groszkiem.

– Mała Melania nie przepada za zieleniną – poinformował jej matkę, jakby sama tego nie wiedziała.

Kama, całkowicie go ignorując, przewróciła kolejną stronę raportu finansowego.

– To mogę iść czy nie mogę? – nalegał Darek.

Tego już Kamelia nie wytrzymała. Ten facet zachowywał się jak mały chłopiec. Był zupełnie niedojrzały. Albo domagał się głaskania po głowie, albo różgi na tyłek. Teraz miał chyba ochotę na jedno i drugie, sądząc po spojrzeniu, jakim obrzucił jej biust.

– Będziesz siedział na dupie i pilnował dziecka! – wysyczała, wycelowując w niego pióro.

Ze zgrozą spojrzała na swoje paznokcie. Czerwone szpony zniknęły zaraz po porodzie, gdy się okazało, że są niekompatybilne z dzieckiem, a szczególnie utrudniają zmianę pieluszek. Te ogryzki, które miała teraz, były krótkie i krzywo opiłowane. Jak u sprzedawczyni z mięsnego.

– No dobra... Powiem chłopakom, że mamy dzisiaj orgię i mecz przy tym to flaki – powiedział smętnie Darek i wyszedł z pokoju.

Kama zmrużyła gniewnie oczy, które rozjaśniły się w ułamku sekundy, gdy tylko jej wzrok spoczął na rudowłosym aniołku, śpiącym w łóżeczku pod ścianą. Chwila, gdy Mela przysłała na świat, była najszcześniejszym momentem w życiu jej matki, głównie dlatego, że wreszcie skończył się poród. Wypychanie z siebie arbuza nie należy do najprzyjemniejszych rzeczy na świecie, zwłaszcza gdy ten arbuź jest odpowiedzialny za rozstępy i nadmiar skóry na brzuchu. Kamelia jeszcze nie wybaczyła tego córeczce, choć główną odpowiedzialnością za ową sytuację obarczała Darka. W końcu dziecko nie wzięło się znikąd.

Melania spała sobie spokojnie, więc jej matka wróciła do przeglądania dokumentów. Odkryła w sobie talent biznesowy i nie zamierzała go marnotrawić. Wreszcie czuła się kimś, a nie tylko pogardzaną i lekceważoną żoną swojego męża.

– Czasami żałuję, że ta moja łajza nie dożyła dzisiejszego dnia – powiedziała kilka godzin później do Jolki i Martusi, gdy siedziały w domu tej pierwszej, okupując kuchnię.

– Zwariowałaś? – Ogromne oczy Jolki zrobiły się jeszcze większe w szczupłej twarzy, gdy wdowa numer trzy spojrzała ze zdziwieniem na rudowłosą przyjaciółkę.

– Jestem kobietą interesu – oświadczyła z dumą Kama. – Dobrze sobie radzę. Wprawdzie na tę inwestycję musiałam użyć pieniędzy ze spadku, ale firma zarabia na sobie. Jestem z siebie naprawdę

dumna i nikt mnie tego nie pozbawi!

– I nikt nie zamierza – zapewniła ją uspokajająco Martusia.

Krótkie jasne włosy i ogromne błękitne oczy w połączeniu ze smukłą sylwetką nadawały jej wygląd chochlika. Ścięcie włosów nie było oznaką żałoby po śmierci męża, jak zdarza się to w niektórych kulturach, lecz oznaką buntu wobec martwego małżonka. Martusia nie przepadała za swoimi włosami. Wprawdzie były długie, gęste i jedwabiste, ale miała z nimi tyle kłopotu, że gdyby była odważniejsza, zgoliłaby je do gołej skóry. Tobiaszek jednak lubił długie włosy, a Martusia musiała lubić to samo, co on, by móc być panią Skałką. Teraz nadal była panią Skałką, lecz bez Tobiasza Skałki. Ten układ zdecydowanie bardziej jej odpowiadał.

– Doskonale sobie radzisz i jako właścicielka firmy, i jako matka – pochwaliła Kamę.

– To się wie. – Kobieta interesu uśmiechnęła się z dumą.

Jolka tylko przewróciła oczami. W jej życiu też zaszło sporo zmian. Przede wszystkim schudła dziesięć kilogramów. Nosiła teraz rozmiar czterdzieści i spódnice do kolan. Wyrzuciła wszystkie obszerne rzeczy i smętne ciuchy, które wkładała głównie po to, żeby nie wzbudzać zainteresowania męża. Pierwszy raz od wielu lat czuła się kobieca, seksowna i atrakcyjna. I czuła się naprawdę szczęśliwa. I szczęśliwie zakochana.

Jedyną chmurką na horyzoncie były narzekania mężczyzny jej życia, że muszą mieszkać w domu po umarlaku, do którego z wielu względów nie żywił przyjaznych uczuć. Jolka doskonale to rozumiała, ale nie widziała powodu, by zmieniać miejsce zamieszkania. W końcu obiecała ukochanemu, że jak dzieci podrosną na tyle, by mogły mieszkać samodzielnie – i nie miała na myśli osiągnięcia przez nie pełnoletności, tylko stanie się dojrzałymi, odpowiedzialnymi młodymi ludźmi – to wtedy oni oboje będą mogli się przeprowadzić, gdziekolwiek on sobie zażyczy. Byłe tylko była tam siłownia, kosmetyczka i fryzjerka. Resztę można załatwić przez Internet.

– A jak ci się układa z chłoptasiem z siłowni? – zapytała Jolka, stawiając na stole kuchennym dzbanek z kawą i własnoręcznie upieczone ciasteczka z żurawiną.

– Gdybym nie potrzebowała niańki do dziecka, wywaliłabym go na zbity pysk. Mówię wam, laski, żadnych młodszych facetów. Nie dość, że dojrzewają z opóźnieniem, to kilka lat w dół i czujesz się jak pedofil. No mówię wam, duże dziecko! A kaprysi to, a grymasi, słów mi brak! – Kama znów się zdenerwowała.

– No wiesz... Jakoś wcześniej ci pasował – zauważyła Martusia, w swoim mniemaniu całkiem rozsądnie.

Zupełnie więc nie rozumiała jadowitego spojrzenia, które rzuciła jej tamta. Potem zaś oświadczyła powoli, niemal sylabizując każde słowo, jakby ona, Martusia, była idiotką:

– Skarbie, facet do łóżka a facet do życia to dwie różne rzeczy. A jak ci się zdarzy taki cud, że facet nadaje się i do łóżka, i do życia, to łapiesz go na łąso, wleciesz do piwnicy, zamykasz na cztery spusty i pilnujesz, żeby nie podebrała ci go inna jałówka. Łapiesz, mała?

– Twoje porównania zaczynają mnie przerażać – powiedziała ze śmiechem Jolka.

Ostatnio dużo się śmiała. I często. Nawet dzieci nie potrafiły odebrać jej radości życia, chociaż Tymoteusz zastanawiał się, czy jako fryzjer gej będzie miał więcej klientek, niż będąc zwykłym hetero, a Regina miała na głowie wszystkie kolory tęczy.

– Nie rozumiem dlaczego. – Kamelia wzruszyła ramionami, sięgając po ciastko. – Cycki mnie bolą. Muszę przestać ją karmić, zanim stracę sutki. Zakładam, że jeszcze kiedyś mogą mi się przydać.

– Ale ci zazdrościsz! – westchnęła Martusia, która od dłuższego czasu za wszelką cenę usiłowała kogoś poznać, lecz, niestety, z miernym skutkiem. – Moja ostatnia randka to taki niewypał, że aż wstyd się przyznać. – Musiała się jednak komuś wyżalić, więc kontynuowała: – Zapowiadał się całkiem nieźle, ale

jak mnie zobaczył, to stwierdził, że jestem niezła laska...

– To chyba dobrze – wtrąciła Jolka.

– I na pewno spodobam się jego żonie – dokończyła Martusia.

– Aha – skwitowały krótko obie przyjaciółki.

– Masz jeszcze kogoś w zanadrzu? – zapytała współczująco Jolka.

– Chyba tylko bank spermy.

– Daj spokój, wyskocz na siłownię, znajdziesz tam chłopów bez liku – poradziła jej Kama.

– Niby tak, ale wiecie, że ja tak nie umiem – wyznała ze wstydem Martusia. Po tylu latach małżeństwa okazało się, że jest bardzo nieśmiała. Kto by pomyślał?

– Może zorganizujemy jakąś podwójną randkę? Zapytam misia, czy nie ma wolnego kolegi – zaproponowała wspaniałomyślnie Jolka.

– Wszystko mi jedno. – Martusi naprawdę było już wszystko jedno. – Ostatnio napisał do mnie facet, oferując swoje usługi jako mój niewolnik. Wprawdzie przydałoby się zrobić porządek w ogródku, ale co by sąsiedzi powiedzieli, gdybym zaczęła tłuc batem jakiegoś nagiego biedaka?

– Tak, to mógłby być problem dla naszego pruderyjnego otoczenia – przyznała ze śmiechem Kama.

– A kolejny napisał, że jestem aseksualna i nikt mnie nie będzie chciał. Tylko dlatego, że nie chciałam się z nim natychmiast umówić – ciągnęła swoje żale wdowa numer jeden.

– Może zmienić portal randkowy – doradziła Jolka.

– Jestem na wszystkich poza katolickim. Może się nawrócę i tam też zarejestruję? Przynajmniej facet zmówi pacierz, zanim będzie chciał mnie zaciągnąć do łóżka – odrzekła z goryczą Marta.

Biedna Martusia, Jolka szczerze współczuła przyjaciółce. Wdowieństwo okazało się prawdziwym darem niebios, co dodatkowo potwierdzało jej tezę, że stan małżeński jest stanowczo przereklamowany. Nie przeszkodziło jej to wszakże przyjąć oświadczyn swojego mężczyzny i wertować kalendarza w poszukiwaniu odpowiedniej daty na ślub. Z jej obliczeń wynikało, że w wymarzony model sukni wciśnie się za jakieś cztery miesiące. Od biedy wcisnęłaby się i teraz, ale przecież człowiek musi oddychać. Kama nadal była z Darkiem, choć ostatnimi czasy ciągle ją irytował. Skoncentrowała się jednak głównie na małej Meli i firmie, więc nie miała czasu rozmyślać o swoim życiu uczuciowym. A Martusia? Biedaczka biegała z randki na randkę i załamywała ręce.

– Pukam i pukam! Głuche jesteście? Umarłego bym obudziła! – Do kuchni wkroczyła zdenerwowana Sandra.

– Uchowaj Boże! – wystraszyła się Jolka, spoglądając w okno z takim lękiem, jakby spodziewała się ujrzeć zagląającego przez nie Tadzika. Nie bez powodu pochowała go na najbardziej oddalonym od domu cmentarzu.

– Omawiamy życie uczuciowe Martusi – poinformowała ją rozbawiona Kama. – Wyobraź sobie, że... – Nie dokończyła, bo dalszy ciąg jej wypowiedzi przerwał sygnał telefonu. Z irytacją spojrzała na wyświetlacz. – O rany! Darek! Coś się stało Meli? – zawołała z przejęciem, gdy tylko usłyszała męski głos. Po chwili jej brwi ściągnęły się groźnie, na czole pojawiła się gniewna zmarszczka, a oczy niebezpiecznie zwęziły. Gdyby Darek ją teraz zobaczył, z pewnością nie ośmieliłby się zadać żadnego pytania, tym bardziej tego, na które właśnie odpowiedziała wyjątkowo nieprzyjemnym tonem: – Gdzie jestem, to ja doskonale wiem, a tobie nic do tego! A w domu będę, jak będę! – Rozłączyła się i ze złością mówiła dalej do otaczających ją kobiet: – Coś takiego! Pyta, kiedy będę, bo mu się nudzi! Czy wy to słyszycie? Nudzi mu się! A co ja jestem? Zegarowa zapchajdziura?!

– Może za tobą tęskni? – podsunęła nieśmiało Martusia.

Kama zmierzyła ją takim wzrokiem, że ta aż się wzdrygnęła.

– Ja już jedno małżeństwo bez żadnych praw mam za sobą. Koniec z tym!



– Nie masz wrażenia, że traktujesz Darka tak, jak Maciej traktował ciebie? – zauważyła Sandra, ośmielając się powiedzieć głośno to, co pomyślały wszystkie kobiety, okupujące kuchnię Jolki.

Kama otworzyła usta, by coś powiedzieć. Coś ostrego, nieprzyjemnego i jak zawsze nieprzemyślanego – ale nieoczekiwanie dla wszystkich zamknęła je na powrót i dopiero po chwili milczenia oznajmiła:

– No dobra, powiem wam. Chodzę do psychologa, bo wiem, że mam problem.

– Może powinnaś go zmienić? – zasugerowała prawniczka.

– To była dopiero pierwsza wizyta. Dam mu jeszcze szansę, OK? – Kama zrobiła skwaszoną minę, gdy Jolka parsknęła śmiechem.

– Przepraszam – powiedziała, gdy Kamelia spojrzała na nią urażona. – Po prostu... Nieważne. – Machnęła ręką.

– Może powinniście chodzić do niego razem? – Sandra nie ustępowała.

– Najpierw muszę uporać się ze sobą. – Kama podrapała się po głowie. – A potem z całą resztą. – Nie byłaby jednak sobą, gdyby nie dorzuciła zjadliwie: – A ciebie o rady nikt nie prosi. Po co właściwie przyszłaś?

– Tak sobie wpadłam – oznajmiła zadowolona z siebie prawniczka. – Lubię was.

– Ciekawe dlaczego? – zadrwiła Kama, mając, rzecz jasna, na myśli to, że Sandra Tomaszewska przejęła obsługę prawną ich wszystkich interesów i dzięki temu żyła sobie teraz jak pączek w maśle.

– Bo przy was czuję się lepszym człowiekiem – oznajmiła z powagą pani mecenas, mrugając przy tym wesoło do Martusi, która oznajmiła radośnie:

– Kama, nie zaczynaj z prawnikiem, bo go nie przegadasz!

– Jednak trzeba było ją zakopać – mruknęła wdowa numer dwa, ale wesoły błysk w jej oczach przeczył ostrym słowom.

– Jak w pracy? – zapytała przyjaźnie Jolka.

Przyjęcie Sandry do przyjacielskiego grona jako czwartej muszkietierki odbyło się tak jakoś łagodnie, płynnie i naturalnie, że wdowie numer trzy w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało, że oto w jej kuchni siedzi sobie była kochanka jej martwego męża i jeszcze wcinając ciastka z żurawiną, upieczone przez nią, Jolanę Markiewicz.

– W pracy nieźle. Tylko zarząd trochę mnie martwi. Zaczęli mi ostatnio patrzeć na ręce – wyznała Sandra, poważniejąc. – Przeglądali akta. Wiem od dziewczyn z księgowości, że sprawdzali moją dochodowość dla firmy... Ale co tam, niech mnie wywalą. Pieprzę ich. Najwyżej otworzę coś własnego. – Wzruszyła ramionami. – Część klientów na pewno odejdzie ze mną, więc lepiej niech Kopytko i spółka nie podskakują.

– Cześć, matka. – W kuchni zmaterializowała się Regina. Wszystkie cztery kobiety z niedowierzaniem wbiły wzrok w ogoloną głowę dziewczyny.

– Co się tobie, dziecko, stało? – ze zgrozą wyszeptała Jolka.

– Znudził mi się kolor włosów – wyjaśniła obojętnie nastolatka. – Ale sprawę mam.

– Nie mogłaś przefarbować?

– Tak poszło szybciej, poza tym odzyskam naturalny odcień. Ale sprawę mam – powtórzyła.

Jolka już nic nie powiedziała. Czekwała w milczeniu, aż ukochane dziecko wyjawi, z czym przyszło, bo bała się pytać. Może chciała, by wszystkie ogoliły sobie głowy?

– Przydałoby mi się trochę rzeczy dla dziecka. Nie zostały po mnie jakieś ciuszki, wózek, łóżeczko? – zapytała dziewczyna normalnym tonem, jakby to pytanie było całkiem oczywiste i nie niosło za sobą żadnych sugestii.

Tym bardziej nie rozumiała, jak to się stało, że matka nagle osunęła się z dziwnym charkotem na posadzkę, a pozostałe kobiety wytrzeszczyły oczy i pozostały tak przez kilkanaście sekund. Z szoku

wyrwało je dopiero wtargnięcie do kuchni Bartosza Kalinki, który z dziwnym odgłosem rzucił się, by ratować swoje słońce, leżące bezwładnie na kamiennych płytkach.

– Cześć, ojciec! – rzuciła Regina. – Matka zemdląła. Mam nadzieję, że nie jest w ciąży, bo będzie wiocha. W tym wieku mogłaby już być babcią!

Sandra Tomaszewska miała wszystko, czego potrzeba, by odnieść sukces: wykształcenie, inteligencję, ambicję, charakter i urodę. Do tego cechowała ją bezwzględność i całkowity brak empatii, a jej umiejętność współczucia była w fazie embrionalnej. Wydawała się osobą całkowicie pozbawioną uczuć, które mogłyby stanowić przeszkodę w wykonywanej pracy. Za to była uparta, skuteczna i potrafiła wygrywać za wszelką cenę.

Tego dnia weszła z podniesioną wysoko głową do biura, ignorując asystentki, sekretarki, aplikantów i praktykantki. Krótkie włosy gładko przylegały do głowy, oczy patrzyły obojętnie. Beżowa garsonka podkreślała zgrabną sylwetkę i mleczy kolor skóry pani mecenas. Wysokie szpilki równomiernie wybijały rytm, gdy Sandra szła prosto do swojego gabinetu, nie zwracając uwagi na szepty i rzucane na nią spojrzenia. Liczyła się tylko praca.

– Przepraszam, pani mecenas. – Na jej drodze wyrosła Lida, była sekretarka Markiewiczza, która awansowała na asystentkę zarządu. – Pan prezes Kopytko prosi panią do sali konferencyjnej.

– Kiedy? – Zmierzyła kobietę zimnym wzrokiem.

– Natychmiast – odparła z satysfakcją tamta. Po czym dodała jeszcze ze sztucznym współczuciem: – Pan prezes zwołał nadzwyczajne zebranie wspólników.

Na twarzy Sandry nie drgnął ani jeden mięsień, gdy doskonale obojętnym tonem odrzekła:

– Zatem chodźmy. Niegrzecznie byłoby kazać panu prezesowi czekać.

Ruszyła przed siebie, udając, że nie zauważa nagłego poruszenia na korytarzu i dźwięku telefonów, które rozdzwoniły się dokoła, przenosząc kancelaryjne plotki. Kilka chwil później zatrzymała się przed drzwiami, za którymi zniknęła Lida, by ją zapowiedzieć.

– To bezwzględna suka – oznajmił Kopytko.

– To prawda. Idzie do celu po trupach – dopowiedział swoje Różniczek.

– Jest nie do zatrzymania. – Dobytek pokiwał głową.

– Zatem wszyscy wiemy, co należy z nią zrobić – podsumował krótko Madej. – Wszyscy jesteśmy zgodni?

Czterej mężczyźni, siedzący przy owalnym stole, pokiwali głowami.

– Kto jej powie? – zapytał jeszcze Dobytek.

– Ja to zrobię – oświadczył Kopytko, uśmiechając się z satysfakcją. – Proszę ją wezwać – polecił Lidzie, w milczeniu przysłuchującej się tej wymianie zdań.

Kobieta otworzyła drzwi i gestem wskazała Sandrze, by weszła do środka.

– Witam panów – powiedziała uprzejmie, aczkolwiek chłodno, młoda prawniczka.

– Pani mecenas – z powagą zaczął Kopytko. – Jest pani z nami od niedawna, ale myślę, że zdążyliśmy już panią dość dobrze poznać. – Zawiesił głos i mierzył ją nieprzeniknionym spojrzeniem. – Nie zwykłem owijać w bawełnę. I nie będę robił tego i teraz – podjął po chwili, gdy stało się jasne, że Tomaszewska nie zamierza nic odpowiedzieć: – Postanowiliśmy jednogłośnie uczynić panią wspólnikiem – oznajmił uroczyście.

– Dziękuję – odrzekła równie uprzejmym i chłodnym tonem, jak przed chwilą, nie zważając na zdławiony jęk zawodu, jaki wydobył się z ust Lidy.

# Epilog

Kalinka nie został dziadkiem. Kiedy już Jolka została ocucona i doprowadzona do normalnego stanu, Regina poinformowała wszystkich, że dziecięce akcesoria będą potrzebne jej przyjaciółce, która nieoczekiwanie dla wszystkich, a zwłaszcza dla siebie samej, zaszła w ciążę. Regina, jak na dobrą przyjaciółkę przystało, postanowiła wspierać przyszłą matkę ze wszystkich sił.

Za to został ojcem. Mimo pewnych obaw, jako że Jolanta Kalinka miała zostać mamą po raz trzeci po czterdziestce, dziecko urodziło się zdrowe, ze wszystkimi paluszkami, i wbrew przewidywaniom Baśki, bez rogów i ogona.

Kama rozstała się z Darkiem. Psychoterapia pozwoliła jej opanować negatywne emocje, dojść do ich źródła i uznać, że Darek będzie znacznie szczęśliwszy bez niej. Ona zaś, jako samotna matka, była bardzo zadowolona ze swojego życia i nie zamierzała go zmieniać. Darek nie był partnerem dla niej, co nie przeszkadzało mu być dobrym ojcem dla Melanii.

Niedługo po pamiętnym spotkaniu przy ciastkach z żurawiną Martusia kupiła auto i postanowiła zostać królową szos. Rok później wyszła szczęśliwie za mąż za mechanika samochodowego, postanawiając oszczędzić w ten sposób na rachunkach za naprawy. Edek był trochę nieśmiały wobec kobiet, traktował Martusię jak królową, chciał mieć dużą rodzinę i, co nie mniej istotne, miał bardzo zręczne palce. I nie tylko.

Sandra, stając się pełnoprawną współniczką w kancelarii, odwiesiła na kołek życie osobiste. Zaprzyjaźniła się jednak do tego stopnia ze swoimi trzema klientkami, że została mamą chrzestną Leny, córeczki Jolki i Bartosza Kalinki, który w kościele co chwila spoglądał z obawą na sklepienie, jakby obawiając się uderzenia pioruna.

Na wyraźne życzenie pani mecenas Lida została jej osobistą sekretarką. Starsza kobieta każdego dnia rano zaznaczała krzyżyk w kalendarzu, a przed wyjściem z pracy zapisywała na nim, ile dni pozostało jej do osiągnięcia wieku emerytalnego. Kiedy Sandra zerknęła mimochodem na wiszący na ścianie kalendarz, widniała na nim liczba: 666.

# Spis treści

[Wstęp](#)

[Dwa lata później](#)

[Epilog](#)